



NORMA MARTYN



DZIEDZICTWO MARZEŃ

TOM I

KSIĘGA PIERWSZA

PROLOG

Kiedy woda w szczelinach zamieniła się w twardy lód, granitowa ściana zaskrzypiała. Odgłos przypominał krzyk kobiety.

Ngaringa, przykucnięty przy ognisku nad brzegiem jeziora, uniósł głowę.

Krzyk powtórzył się, już głośniejszy, jakby wydobywał się z gardeł wielu ludzi.

Nagle górską grań pękła na całej długości, granitowe odłamki potoczyły się w dół na skute lodem jezioro.

Ngaringa otulił się mocniej zwierzęcą skórą i odszedł od ogniska, by przyjrzeć się lepiej pęknięciu. Przez potężną szczelinę widać było płaskowyż, który rozciągał się po drugiej stronie łańcucha gór.

Ciemny wąwóz wyglądał jak czarna dłoń przytrzymująca białe ciało skały. Nadlatywał nim wiatr, żałośnie wzdychając.

Woda w jeziorze poruszyła się pod skórą lodu, na podobieństwo węża zrzucającego łuski, którego ciało wydłużyło się, język sięgnął w przód i woda popłynęła rozwarciem skalnym, po kamieniach i zboczem w dół.

Ngaringa patrzył na granitowe głazy pod spękany lodem. Wydawały się spoglądać na niego, przypominały ludzkie twarze, dziwnie białe, tak jak śnieg wokół. Ogarnęło go przerażenie, ruszył biegiem w stronę wioski, by opowiedzieć starszyźnie, czego był świadkiem.

Po rozważeniu jego opowieści, mężczyźni udali się w dolinę rzeki, która kiedyś była jeziorem, a potem omówili sprawę z kurdatchi, szamanem plemienia. Oznaczył on pękniętą ścianę jako tjurunga, czyli świętą, a nowo powstałą dolinę rzeki jako nietykalne miejsce należące do Węża Tęczy, stwórcy Ziemi.

Od tej chwili dolina stała się miejscem zamkniętym dla kobiet i młodych chłopców przed inicjacją. Tylko mężczyźni mogli się tu zbierać. W każdą rocznicę wydarzenia, gdy biały śnieg pokrywał ziemię. Tańczyli. Wtedy i śpiewali w rytualnym obrzędzie chroniącym ich od wrogów.

Każdego roku nadchodziła gorąca pora, kiedy żadne z plemion nie występowało przeciwko drugiemu. Wtedy to wielki duch Baiamee zsyłał obfitość pożywienia, by nakarmić i dodać sił wszystkim członkom każdego z plemion.

Żar lał się z nieba, a wielkie ćmy zwane bogong nadlatywały z północy i zakładały roje w szczelinach skalnych. Wtedy mężczyźni z plemienia Ngaringi spotykali się na górskich granicach z mężczyznami z innych szczepów i polowali na bogong ogniem i dymem, a potem ucztowali.

Ale ani w porze chłodów, ani w czasie upałów, nikt oprócz mężczyzn z plemienia Ngaringi nie ośmielał się wejść do doliny, która dawniej była jeziorem.

Kiedy Ngaringa dorósł, pewna dziewczynka z jego szczepu spodobała mu się bardziej niż inne. Z uwagą przyglądał się jej. A kiedy przyszedł czas, że oddała ziemi krew, odczekał pięć dni, i wtedy poprosił starszyznę o dziewczynę. A potem wziął ją, by z nim spała.

Jego plemię mieszkało w niższym paśmie górskim. Mieli chaty uplecione z lean-tos i gunyah. Wyżej wchodzili tylko, by polować i szukać pożywienia.

Kiedy mężczyźni szukali śladów kangurów i emu, a kobiety zrywały dzikie owoce i korzenie, Minabee idąc wzdłuż krzaków malin, znalazła się w dolinie. Dopiero na widok znaków zrobionych przez szamana zrozumiała, że wdarła się na święty teren.

Duchy Ziemi, które wchodzą w ciała kobiet, by ożywić dzieci, były dla Minabee bardzo łaskawe. Mądrzy plemienia uczyli ją, że duch dziecka wchodzi w kobietę, kiedy mija ona skałę, drzewo albo rzekę, miejsca, w których duch przodka czeka na kolejne wcielenie. Od czasu gdy ciało Minabee dojrzało, już trzy razy doznała tego szczęścia. Urodziła jednego chłopca i dwie silne dziewczuszki.

Jednak tego roku — kiedy trafiła do świętej doliny, urodziła dziecko, które było inne: albinosa białego jak śnieg. Powiła je sama, kucając za krzakami akacji. Wepchnęła niemowlęciu grudę ziemi do ust, zanim zdołało wydać pierwszy krzyk, a potem odgryzła pępówinę, zębami. Pochowałaby dziecko w miejscu, gdzie je wydała na świat, głęboko zakopała i przykryła kamieniami, ale wiedziała, że to nie wystarczy.

Kiedy weszła do wioski, trzymając sinobiałe ciało przy swej czarnej piersi, inne kobiety usuwały się jej z drogi. Rada starszych wysłuchiwała historii o tym, jak trafiła w święte miejsce. Widzieli, że przyszła do nich bez wahania, natychmiast po urodzeniu diabelskiego pomiotu, bo jej członki były jeszcze umazane krwią od połogu.

Kiedy położyli ją na ziemi u wejścia do doliny, nie broniła się. A gdy przynieśli kopiec mrówek na gałęzi zmurszałego drzewa, uniosła w górę biodra tak, by mogli wsunąć gałąź głęboko, pozwalając mrówkom wykonać robotę do czysta.

Mrówki wdarły się do jej wnętrza, a Minabee brzuch spuchł, jakby znowu nosiła w sobie dziecko. Nie wydała jednego jęku. Zaciśnęła pięści i napięła mięśnie, starając się pozostać nieruchoma i cicha. Ale kiedy mrówki zaczęły wyjadać zamieszkujące ją diabły, ból stał się nie do wytrzymania.

Krzyczała długo i nieprzerwanie.

Wreszcie umilkła. Mężczyźni zostawili ją i wrócili do wioski. Kobiety czekały na nich ze spuszczoneymi głowami, krzyk Minabee dowiódł, że siedziały w niej siły nieczyste, a to przynosiło wstyd całemu plemieniu.

Minęło wiele czasu, od kiedy dolina stała się świętym miejscem. Kolejne pokolenia Starych znaczyły na niej znaki, teraz już równie wiekowe jak drzewa, na których je ryto.

Pewnego dnia trzech chłopców ze szczepu Ngarigo dotarło tu po skalnym zboczu.

Mówiono, że w jednym z tych chłopców mieszka duch Ngaringi, tak jak mieszkał w innych przed nim, od chwili narodzenia się pierwszego z rodu w Czasie Marzeń, czasie kreacji ich ziemi. Chłopiec miał też w sobie krew Minabee, ponieważ jego matka pochodziła w prostej linii od córki Minabee, którą urodziła, zanim wszedł w nią diabeł.

Spoglądając w dół na dolinę, chłopcy ujrzeli drewnianą budowlę, jakiej nie widzieli nigdy wcześniej. Obok niej pasło się nie znane im zwierzę i krzątała się kobieta ubrana tak, jakby nosiła na sobie własną chatę, ciągnącą się za nią przy każdym ruchu. Wyglądała jak krab lub wąż.

Chłopiec, o którym mówiono, że ma w sobie ducha Ngaringi, wpatrywał się w dolinę oniemiały. Dwóch pozostałych, uciekających już co sił, zobaczyło jeszcze białego diabła prowadzącego dziwaczną, czarną bestię. Gonieni trwogą, przyśpieszyli kroku, by jak najszybciej skryć się pomiędzy drzewami.

Biały człowiek ujął w ręce strzelbę, a ta nie znajdując innego celu, skierowała swój gniew na chłopca, którego czarna skóra splamiła się czerwienią krwi Minabee.

Z wysokich wzgórz dobiegło zawodzenie kobiet. Potem zapadła długa cisza. Dopiero kiedy dzień przeszedł w noc, a na niebo wspięła się z rana Kara-Kara — księżyc — kobiety zapłakały znowu.

Ponieważ chłopiec przeżył trzynaście lat, do pogrzebu przygotowano wszystko tak, jakby był dorosłym mężczyzną. Zanim szczep opuścił niskie szczyty, by przenieść się w góry na czas polowań, zdążył być ze swymi rówieśnikami na terenie Bora-Bora, gdzie wziął udział w ceremonii inicjacji i stał się mężczyzną szczepu.

Podczas obrzędów chłopiec zachował odwagę. Śmierć zabrała go, zanim rytualne rany, zasypane gorącym popiołem, zdążyły się zamienić w blizny, z których mógł być dumny. Jako mężczyzna miał prawo zostać zawinięty w korę i pochowany w wysokich górach.

Wykonano cztery głębokie cięcia i kawał kory odpadł od pnia drzewa. Obliczony był na wielkość i kształt mężczyzny. Długi na metr siedemdziesiąt i zwinięty jak tuba. Korę wycinano tak umiejętnie, żeby nie zniszczyć drzewa, bo wtedy dusza zmarłego chłopca nie zaznałaby spokoju.

Ale, mimo starania, kamienna siekiera cięła pień nazbyt głęboko, bo pociekła z niego żywica, jak krew z chłopca.

Lamenty kobiet nasiliły się, a mężczyźni bili powietrze miotłami z trawy, żeby odgonić diabły.

Korę położono na ubitej ziemi i delikatnie umieszczono na niej ciało, a obok pochodnię, dzidę i kołczan ze strzałami. Potem zawinięto korę i obwiązano ją lianami. Mężczyźni przez cały czas zachowali powagę i milczenie. A ten, który był za życia najbliższy chłopcu, stał samotnie z boku i przyglądał się ceremonii.

W rytm pierwszych uderzeń kijów, mężczyźni zaczęli mozolną wspinaczkę w górę, niosąc zawinięte w korę ciało.

Wysoko, na południowym stoku, położyli je w płytkim grobie, twarzą na północ, tak, by Uloola — słońce — mogło spoglądać na niego. Każdy krzak, który zasłaniałby słońcu widok, został wycięty.

Patyki były o siebie coraz mocniej, echo rozchodziło się po górach i przetaczało w dół doliną. Mężczyźni po kolei pokłonili się najpierw chłopcu, a potem niebu, gdzie mieszkał wielki duch Baiamee, następnie każdy kładł się obok zmarłego, by ten nie czuł się samotny na początku swej drogi.

Zasypali grób i ułożyli w półkole gałęzie krzewów. Grób też przykryli gałęziami i trawą, a na wierzchu umieścili konar drzewa.

Po zakończonym rytuale mężczyźni przestali uderzać w kije i w ciszy opuścili miejsce pochówku, pozostawiając przy grobie jedynie tego, który był najbliższy chłopcu za życia. Mężczyzna miał spędzić przy kopcu całą noc.

Nazywał się Benong. Matka zmarłego była jego kobietą. Choć po inicjacji chłopiec stał się mężczyzną plemienia, uczucie Benonga dla niego było nadal silne. Teraz, gdy szykował się do samotnego nocnego czuwania, odczuwał wielki żal.

Wicher hulał nad urwiskami i Benong usłyszał w tym zawodzeniu jęk ducha wiatru szukającego ducha jeziora, który uciekł z doliny, kiedy rozsunęła się góra. Przypomniawszy sobie żywicę ciekącą niby krew z drzewa, gdy wycinał korę na pochówek. Wtedy zrozumiał, co ma zrobić.

Odkrył grób, rozwinął korę i odsunął z oczu zmarłego powieki. Potem zawinął znowu ciało i ułożył je w grobie, twarzą na północ, ale tak by chłopiec spoglądał w dół na dolinę.

Kiedy to zrobił, zakopał znowu ciało i obłożył grób gałęziami i trawą, a na wierzchu położył konar drzewa.

Wreszcie Benong wyciągnął się na ziemi, nasłuchując z zadowoleniem, jak z nadejściem świtu ustaje wiatr. Uśmiechnął się do siebie, gdyż wiedział, że chłopiec może teraz z grobu patrzeć i słuchać.

1.

Mężczyzna z chaty bez entuzjazmu powitał przybysza, który przyjechał konno i przepłynął się brodem przez rzekę, na zachodnią stronę doliny. Wysoki, szczupły, z jasnymi włosami brodą, najwyraźniej bardzo pewny siebie, rozbił na noc obozowisko w zasięgu wzroku jedyne dotychczasowe mieszkańca tej okolicy, a przedstawić się przyszedł dopiero naza jutrz rano.

— Kupiłem tego arabskiego ogiera i poprzysiągłem sobie, że dojadę tak daleko, jak on pociągnie — powiedział nieznajomy, kiedy gospodarz otworzył drzwi.

Z wnętrza dochodziły odgłosy kur i owiec.

— No i dojechałem właśnie tutaj. Arabowie wolą pustynie. Jednak ja lepiej się czuję tam, gdzie góry. Australia nie jest krajem dla ludzi szukających łatwego życia.

— Tutaj na pewno jest ciężko — w głosie gospodarza zabrzmiał cień akcentu charakterystycznego dla ludzi z Devonu i ledwie maskowana nuta niechęci.

— Może nawet ciężiej niż gdzie indziej — zgodził się przybysz. Odwrócił się i spojrzał na rozjaśniające się porannym brzaskiem niebo.

— Można rzec, że im wyżej, tym trudniej. Ale też bezpieczniej.

Roześmiał się, lecz gdy spojrzał znowu na mężczyznę w drzwiach chaty, w jego wzroku nie było uśmiechu. W zasięgu ręki gospodarza stał oparty o framugę muszkiet.

— Nazywam się Jonathan Travis — powiedział nieznajomy.

Mężczyzna w drzwiach milczał. Za nim z ciemnego wnętrza spoglądała kobieta.

— Jonathan Travis — powtórzył. I dodał: — Pochodzę z Surrey.

Travis wiedział, że mężczyzna z chaty nie będzie mu zadawał pytań.

Wiele razy spotykał ludzi tego pokroju. Milczących. Zainteresowanych tylko teraźniejszością. Zadających niewiele pytań i nie odpowiadających na żadne, jeśli wykraczały poza chwilę obecną.

Nawet nazwisko może należeć do innego miejsca i czasu, pomyślał. Ale gospodarz powiedział nagle:

— Samuel Colebrook — jego ręka sięgnęła w stronę muszkietu; w tej samej chwili kobieta poruszyła się, biała suknia mignęła w ciemnościach.

— W tym kraju każde nazwisko jest obce — powiedział swobodnie Travis, obserwując, jak ręka mężczyzny wraca do jego boku.

— Kogo pan szuka?

— Nikogo. — Travis uśmiechnął się. — A jeśli by pan chciał zapytać, kto mnie może szukać, odpowiedź brzmiałaby: nikt.

— Nie zamierzałem zadać takiego pytania.

— Ma pan prawo.

Travis rozmawiał ze swobodą, dobierał słowa, które uspokajały rękę gospodarza, tak że nie zbliżała się już do strzelby. Kobieta podeszła bliżej drzwi, w świetle poranka widać było jej owalną twarz i szare oczy.

— Dokąd pan zmierza? — zapytał Colebrook.

— Przez ostatnie kilka kilometrów pozwoliłem się prowadzić koniowi.

— To duży kraj.

Travis uśmiechnął się i powoli odwrócił, by spokojnie rozejrzeć się po dolinie. Przesuwał wzrok od północy, jakby szacując wysokie skały przechodzące w zbocza i wreszcie w płaskowyż, po którym płynęła rzeka obramowana mulistymi brzegami, a potem na południe — tam dolinę znowu zamykał granit — i na zachód w dziką krainę, gdzie rzeka spadała kaskadą w dół, a dalej wąskim wąwozem spływała pomiędzy skałami.

— To przyjemna dolina — odparł. — Myślę, że właśnie tutaj zmierzałem.

Kobieta szepnęła coś i cofnęła się w ciemność chaty. Ręka gospodarza powędrowała znowu w stronę muszkietu.

— Ja zająłem tę dolinę. Dlaczegoż miałbym się nią dzielić z innym? — zapytał, ale choć słowa były mocne, w głosie zabrakło siły.

— Może przydałoby się towarzystwo drugiego białego człowieka — odparł Travis. — Wszędzie naokoło mieszkają aborygeni. — Gestem wskazał góry na południu, celowo odsuwając dłoń od pistoletu, który miał zatknięty za pasem.

Colebrook nie spuszczał wzroku z przybysza, ale jego ręka powróciła do boku.

— Rzadko podchodzą tutaj. Żaden czarny nie sprawiał w tych stronach nigdy kłopotu. Upewniłem się o tym.

Travis uśmiechnął się i odwrócił znowu, by spojrzeć na kawał płaskiej ziemi i wzgórze po północno-zachodniej stronie doliny.

— Człowiek nigdy nie może być pewny — odparł.

Jonathan Travis przywiózł przytroczone do siodła wszystko, co było mu potrzebne do budowy domu. Siekiere i piłę, gwoździe i młotek, a do tego racje jedzenia.

Pracował przez dziesięć dni, ścinał gumowe drzewa, przy których nie było dużo piłowania, oczyścił ziemię na wschodnim, wysokim brzegu rzeki i zbudował chatę na tyle dużą, że człowiek mógł się w niej obrócić. Tego dnia, kiedy skończyły mu się zapasy solonej wołowiny, sucharów i herbaty, Colebrook przeszedł przez bród i wdrapał się na wzgórze, by złożyć mu wizytę.

— Chciałem dowiedzieć się, co słyhać — powiedział spokojnie.

— A więc zostaje pan?

— A nie powinienem?

— Powody jednego nie zawsze pasują do chęci drugiego — odparł Colebrook. — Po prawdzie to nie liczyłem, że uda mi się całe życie tutaj przemieszkać samemu.

— Dawno temu osiadł pan w tej dolinie?

Przez moment wydawało się, że Colebrook nie zamierza odpowiedzieć na pytanie. Kiedy wreszcie to zrobił, jego głos brzmiał niepewnie.

— Cztery lata. Przed wiosną 1833 roku.

— Cztery lata to szmat czasu w tych stronach. Musiał być pan jednym z pierwszych. A na pewno zapędził się pan najdalej. — Travis mówił tonem blażej pogawędki. — Lhotsky przemierzył te góry nie dalej jak trzy lata temu. Chyba jakoś tak w trzydziestym czwartym. Okrzyknięto go wielkim odkrywcą. To samo dałoby się powiedzieć i o panu.

— Już inni byli tu wcześniej. W drodze posługiwałem się mapą pasterza wołów, która doprowadziła mnie aż do wzgórz. A tutaj w pobliżu też natknąłem się na kilku osadników. Wygląda na to, że nie każdy odkrywca staje się sławny.

— Pewnie tak. Zależy, czego człowiek szuka, sławy czy zapomnienia.

— A czego pan szuka?

— Ja już nie szukam niczego — Travis uśmiechnął się. — Jak nazwał pan to miejsce?

— Farma Colebrooka.

Travis nie przestawał się uśmiechać.

— Chodzi mi o dolinę. O całą dolinę.

— Ona nie ma nazwy. Chyba, że Minaby. Wydaje mi się, że tak ją nazywają czarni. Pierwszej zimy po moim przyjeździe spotkałem całą ich gromadę w wąwozie. Odprawiali właśnie jakąś swoją ceremonię. Biegali i krzyczeli „Minaby, Minaby”. Może tak nazywają to miejsce.

— Nigdy nie sprawiają panu kłopotu, kiedy schodzą w dolinę — dopytywał się Travis.

— Nie są agresywni — Colebrook mówiąc to ściągnął swój kapelusz z szerokim rondem i zmierzwił nerwowo rude kosmyki.

Był nieogolony i jego piegowata twarz wydała się nagle dużo młodsza.

— Kolejnego lata widziałem, jak rozpalają ogniska na wzgórzach. Myślałem, że chcą mnie spalić, ale nie. Pojawiają się zawsze podczas gorących miesięcy. Czasami ogień zaczyna się roznosić. Wtedy muszę sobie z nim radzić. Ale nigdy nie muszę radzić sobie z aborygenami. Nie należę do tych, co łatwo zabijają. Chociaż czasami nie ma się wyboru. A przynajmniej tak się wydaje. Nieraz można się pomylić.

— Nie słyszałem, żeby jacyś czarni mieszkali w tych górach — powiedział powoli, z zastanowieniem Travis. — Lhotsky twierdził, że na tych terenach wcale ich nie ma.

Przez twarz Colebrooka przebiegł cień rozbawienia.

— Do dzisiejszego dnia nie wiedziałem, że jest facet, który nazywa się Lhotsky, i nie zdziwiłbym się, gdyby czarni też o nim nie wiedzieli. Najwyraźniej w tym kraju każdy jest takim samym ignorantem.

— Wyglądał na ubawionego. — W tych stronach jest mnóstwo czarnych. Zimą wielu ich nie widać, za to latem całe mnóstwo. Teraz jest za późno. Nie palą już ognisk. To znaczy, że poszli gdzieś. Prawdopodobnie nie zobaczy ich pan aż do przyszłej zimy.

— Wcale nie odeszli. Wciąż tutaj są — powiedział Travis. — Widziałem jednego, kiedy wjeżdżałem do doliny. I teraz też kręcą się koło wąwozu. Zostawiają kości jakiegoś zwierzęcia układając je tak, by wskazywały dolinę. Chodziłem tam co rano, od kiedy tutaj jestem. Przez te dziesięć dni codziennie kładli świeże kości. Dzień w dzień od chwili, gdy się tutaj zjawiłem.

— Rozkładali kości naokoło już wcześniej. Robią to przez cały czas, odkąd tu mieszkam. Pewnie to ostrzeżenie dla innych czarnych, żeby trzymali się z daleka od kłopotów.

— Mało kto z kolonistów nie zna tego zwyczaju. Musiał być pan bardzo krótko w Kolonii, jeśli nie zdobył pan tego rodzaju edukacji — Travis czekał przez chwilę, a potem szybko dokończył: — Kiedy ich szaman wskazuje na kogoś kością, ta osoba powinna umrzeć w boleściach.

Colebrook uśmiechnął się szeroko.

— Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że biały człowiek może coś takiego potraktować poważnie.

— Bardzo poważnie — odparł Travis. — To oznacza, że wcale nie są tak tolerancyjni, jak pan zdaje się wierzyć. Nie należy ich lekceważyć.

— Widocznie muszę się jeszcze sporo nauczyć — powiedział Colebrook. Na jego twarzy malowała się teraz ostrożność, a w głosie brzmiało wyzwanie.

— Czasami lepiej nie wiedzieć za dużo. Ani o czarnym, ani o białym. Jestem ostrożny, ale nie ciekawski.

— Pańska chata nie nadaje się jeszcze do zamieszkania — powiedział Colebrook. — Proszę przyjść do nas na posiłek o zachodzie słońca.

— Do nas?

— Mieszkamy z żoną. Tylko we dwoje.

Coś w głosie Colebrooka kazało Travisowi spojrzeć w stronę jego domostwa. Obok chaty znajdował się niewielki cmentarz.

— Niełatwo było przywieźć tutaj żonę — powiedział.

— Nic nie jest łatwe. Człowiekowi potrzeba w życiu dużo szczęścia.

— Ja patrzę na to trochę inaczej. Każdy jest kowalem swojego losu — powiedział powoli Travis. — Trzyma się własnego rozumu i wywalcza własne szczęście.

— Nie zagrzałem długo miejsca w Kolonii — powiedział z własnej woli Colebrook.

— Ja też nie — odparł Travis. — Nie dłużej, niż musiałem. — Spojrzał Colebrookowi prosto w oczy, a na jego twarz powoli wypełził swobodny uśmiech, który powiedział wszystko: możemy przemieszkać w tej dolinie razem do końca naszych dni i nie wiedzieć o swojej przeszłości więcej niż teraz.

Colebrook skinął głową i bez słowa odwrócił się, zszedł w dół po zboczu, potem przez bród do swojej farmy. Na progu czekała na niego kobieta.

— Zostaje — powiedział. — Ale wszystko będzie dobrze. Myślę, że będzie dobrze. Z tego, co mówił, widać, że zna ten kraj, a to więcej niż dałoby się powiedzieć o większości. Szczególnie gdy żaden biały nie spędził w Kolonii całego życia. Zbyt szybko zmieniamy miejsca pobytu, by dowiedzieć się tego, co należy. Kiedy tu przyjdą inni, może okazać się, że jego zjawienie się było najlepszą rzeczą, jaka mogła się nam zdarzyć.

Kobieta tylko skinęła głową.

— On się zatrzymał — powiedział Colebrook. — Oto cała prawda. Jest tutaj, ponieważ przestał uciekać.

Samuel Colebrook przybył do Kolonii jako przypadkowy emigrant, uciekając z portu Plymouth w hrabstwie Devon, gdzie zimą trzydziestego pierwszego roku zabił mężczyznę.

Zatrudniony jako robotnik portowy w dokach ładował porządnie towar na brygantynę, która zmaltretowana burzą zawróciła do portu. Amerykański oficer wykrzykiwał rozkazy i obraźliwe przekleństwa, oskarżając Anglię i angielskich robotników o stratę czasu, aż wreszcie wyładował swą frustrację na Samuelu, który pracował samotnie na trapie.

Samuel był zawsze spokojnym człowiekiem, nie dawał się łatwo sprowokować do bójki. Incydent zamieniłby się w zwykłą pyskówkę, gdyby nie kilka słów, które wywołały gwałtowniejszą reakcję.

W czerwcu 1813, podczas wojny między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią, ojciec oficera służył na amerykańskiej fregacie „Chesapeake”, ojciec Samuela zaś na brytyjskiej fregacie „Shannon”. Działo się to w drugim roku wojny, kiedy na traktat z Ghent trzeba było czekać jeszcze półtora roku.

Samuel niewiele wiedział o Kanadzie, a jeszcze mniej o brytyjsko-amerykańskich konfliktach granicznych. Nie miał nawet pojęcia, że Ameryka przegrała wojnę, w której zginął jego ojciec. Słuchając wrzasków oficera, czuł wzrastającą ochotę, by go uderzyć. Tego dnia, na trapie brygantyny, angielski robotnik portowy i amerykański oficer powtórzyli bitwę z wojny, która wydarzyła się osiemnaście lat wcześniej.

Oficer był krzepkim mężczyzną. Wcześniej sześć lat przesłużył jako majtek, czego wyraźnie dowodziły jego mięśnie. Samuel skończył właśnie dwudziesty pierwszy rok życia, był szczupły i delikatnej budowy ciała, które dopiero się kształtowało. Ale złapał jedną ręką za siekiere, drugą za hak do podnoszenia paczek i bez zastanowienia użył obu, rozplatając oficera od gardła po brzuch.

Ogłupiały z przerażenia, wpatrywał się w Amerykanina, w jego serce i kawałek płuca dyndające na haku. Zamiast uciekać, odwrócił się i pokazał innym, co zrobił. Oczy oficera, nadal otwarte, wpatrywały się w niego. Samuel myślał, że tamten jeszcze żyje i chciał jego wnętrzności wsadzić na miejsce.

Przerażony niczym jakiś kmiotek, Samuel beształ samego siebie, kiedy już zaczął uciekać. Ale do tej pory wszyscy wiedzieli, kto zamordował, i poszukiwano go.

Najpierw pojechał do Irlandii. Miał nadzieję, że zgubi się w najgęściej zaludnionym kraju Europy, lecz zdradzał go angielski akcent. W cierpiącej nędzę Irlandii zimą trzydziestego pierwszego ogłoszono właśnie „wojnę dziesięcinową” przeciwko Anglii i kościołowi anglikańskiemu. Wsiadł więc na pierwszy statek, którym okazał się przez przypadek „Red Rover”, płynący z Cork do Nowej Południowej Walii w Kolonii.

Podczas tej drogi „Red Rover” służył jako „statek narzeczonych”. Przewoził dwieście kobiet — uciekających od ubóstwa i angielskich fabryk, do jasnych perspektyw małżeństwa z nieznanym człowiekiem w nieznanym kraju.

Pomiędzy imigrantkami znajdowała się Mary Kate Ferguson McDonald, pół-Irlandka, pół-Szkotka, wychowana w zasadach ślepej wiary i ciężkiej pracy. Nie miała złudzeń co do życia w miejscu, które miało przyjąć męty z innego kraju. Nim pokonali połowę drogi, wzięła ślub z Samuelem Colebrookiem, nie czekając końca podróży.

Już w dwie godziny po przybyciu do Australii Samuel odkrył, że towarzystwo portowe w Sydney obiecywało jeszcze więcej kłopotów niż to w dokach Plymouth i Cork razem wzięte.

Tysiąc mężczyzn, a niektórzy mówili nawet, że dwa tysiące, wszyscy ci skazańcy wypuszczeni za kaucją, wyzwoleńcy i różnego autoramentu szumowiny, tłoczyli się na nabrzeżu, by zdobyć przywiezione kobiety. Zgarniętą razem z resztą narzeczonych Mary zabrano na plac przed tartakiem, gdzie kobiety miały na razie zamieszkać. Tutaj, już w większym porządku, czekali osiedleńcy, gotowi wybrać sobie najlepsze z kobiet na żony.

Samuel nigdy się nie dowiedział, czy tego dnia zabił po raz drugi w swoim życiu, czy nie.

Strażnicy w tartaku byli łasi na łapówki, a nie każdy z osadników miał ochotę czekać w kolejce. Jeden z nich, potężny i bardzo niecierpliwy mężczyzna, wybrał Mary, zanim jeszcze kobiety dotarły do swoich kwater. Gdy Samuel zjawił się na miejscu, jego żonę wrzucono już na wóz do przewożenia bydła, razem z zapasami potrzebnymi do codziennego życia na farmie: ziarnem, jagniętami, kurami, ubraniami, sprzętem gospodarskim i jedzeniem.

Samuel uderzył mężczyznę w tył głowy trzonkiem muszkietu, zwałił go z kozła, na który sam wskoczył, a następnie wyprowadził wóz, nie zatrzymując się nawet, by zapytać, co może mu grozić w dzikim kraju, poza granicami świeżo stworzonej Kolonii.

Jechali na południe tak długo, jak się dało koleinami innych wozów, potem śladami handlarzy bydła, a wreszcie znaleźli własny szlak, który doprowadził ich do zamkniętej między górami doliny.

Mary była córką sezonowego robotnika pracującego na farmach, jej rodzina wywodziła się z górzystej, zachodniej Szkocji. Dlatego ciągnęło ją do gór, które przypominały o domu, mniej przejmując się ziemią i klimatem. Samuel był w trzecim pokoleniu robotnikiem portowym w Plymouth i chociaż zdawało mu się, że mijali po drodze żyzne ziemie, uznał, że jego żona zna się na tym lepiej.

Podróżowali dobre kilka miesięcy. Zjechali czterysta kilometrów po zupełnie dzikich terenach. Kiedy dotarli do otoczonej górami doliny, którą płynęła rzeka, Samuel poczuł się po raz pierwszy od roku bezpieczny.

Tylko dzięki głębokiej, irlandzkiej wierze swojej matki, Mary mogła uznać za cud wrzucenie jej na wóz pełen dóbr, dzięki którym mogła zbudować nowe życie.

Powiała trzech synów i wszystkich ich pochowała w nieprzyjaznej ziemi doliny. Wtedy zaczęła się modlić o kolejną łaskę, która pozwoliłaby jeszcze jednemu synowi urodzić się i przeżyć.

Jonathan Travis rozejrzał się po jedynej izbie chaty Colebrooków. Stało tam podwójne łóżko okryte zwierzęcymi skórami, wepchnięte w sam róg pokoju, by jego funkcja wydała się mniej oczywista. Na szerokim stole leżała biała serweta i nakrycia dla trzech osób. Samuel, wyraźnie skrepowany, wskazał gestem miejsce i Travis usiadł.

Kobieta przywitała się z nim lekkim skinieniem głowy, a potem wróciła do garnków.

— Nie mamy wiele do zaoferowania — odezwała się nagle, przerywając ciszę.

Odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem. Była wysoka jak na kobietę. Miała ładną twarz o wydatnych kościach policzkowych i była dobrze zbudowana. Jej głowę otaczały ciemne włosy splecione w koronę. Szare oczy spoglądały badawczo.

— Mamy gulasz. Ale z oposa — powiedziała to z naciskiem, patrząc na niego przez cały czas. — Myśleliśmy, czy nie zabić kury. Sam powiedział...

— Kiedy żyje się w takim kraju, pani Colebrook, zawsze przyda się mądra rada — Travis przerwał jej łagodnie. — Pani mąż wie, że nie mam drobiu, ale nie zapomniałem jeszcze, jak smakuje. Lepiej będzie, bym się dowiedział, jak smakuje opos. Jestem wam bardzo zobowiązany.

Kobieta uśmiechnęła się sama do siebie. Jej uśmiech nic nie mówił, ale Travis pomyślał: to była jej decyzja. Nie byłaby taka głupia, żeby zmniejszać stado podstawowe. Ona tutaj rządzi.

Odoru dziczyzny nie mogły zabić dodane zioła, ale jedzenie było gorące. Travis cieszył się z ciepłego posiłku, nie zwracając uwagi na zapach.

Bardziej niż jedzenie jego uwagę zaprzętała kobieta, i to mu przeszkadzało.

— Szkotki są znakomitymi kucharkami — powiedział, żeby nawiązać rozmowę.

Spojrzała na niego ostro.

— Ma pan bystre ucho, jeśli rozpoznał pan u mnie szkocki akcent, panie Travis. Jestem na pół-Szkotką, na pół-Irlandką, córką sezonowego robotnika, który pracował tam, gdzie mógł pracę dostać, a zazwyczaj dostawał ją na północy Anglii. Trudno nazwać tę mieszankę łagodną, ale ani Szkoci, ani Irlandczycy nie mieli nigdy łatwego życia, więc jeśli się jest każdą z tych nacji po trosze, może to być błogosławieństwem w tym kraju. A ponieważ przez całe życie wędrowałam, zatrzymując się gdzie popadło, tym bardziej cenię ten dom i tę dolinę. — Wyrzucała z siebie gwałtownie słowa. W spojrzeniu, jakim go po chwili obdarzyła, kryło się coś na kształt przeprosin.

— Czasami bierze we mnie górę natura Irlandki. Szwendanie się po świecie wyostrzyło mi język, ale nie jestem taka, jak się wydaje.

Colebrook jadł w milczeniu, zerkając przez cały czas na Travisa.

— Gdyby przyszedł pan jeść z nami w piątek, zobaczyłby pan na talerzu rybę — odezwała się znowu kobieta, przerywając nieprzyjemną ciszę. Teraz mówiła już spokojniej i bez takiej niechęci jak na początku.

— W rzece są ryby przypominające wążusza, więc w piątek mamy rybę, tak jak należy. Jest tu wiele odmian jedzenia, którym można sobie urozmaicać inne dni. Jedzenie na naszym stole mogłoby służyć za kalendarz. Opos w poniedziałek, wąż w środę, ryba w piątek, ptak na niedzielę, a to, co zostaje, na inne dni. Kiedy tutaj przyjechaliśmy, trudno było zapamiętać, jaki mamy właśnie dzień, czy nawet miesiąc, z tymi odwróconymi porami roku. A ponieważ przyjechaliśmy wprost z portu...

Widelec Colebrooka uderzył hałaśliwie o talerz.

— Na specjalne okazje jemy papugi jako drób — mówiła pośpiesznie dalej kobieta. — Nie ma nic lepszego niż naleśniki z ich mięsem, ale nie chciałabym łapać papug częściej, niż wymagają tego specjalne okazje. Są takie ładne. Na codzienne pożywienie wystarczy innych stworzeń. Mięso węża, gdy je dobrze przygotować, całkiem nieźle smakuje. Trochę jak kurczak, trochę jak ryba. — Napotkała spojrzenie męża i zmarszczyła lekko brwi.

— Na pewno jest tu mnóstwo różnorakiej zwierzyny — odezwał się Travis, czując ciężar ciszy, która nagle zapadła. — Teraz, kiedy chata jest już prawie gotowa, mam zamiar wybrać się na polowanie i może trochę połowić. Do tego czasu żyłem na solonej wołowinie.

— O, trochę wstrzemięźliwości dobrze człowiekowi robi — stwierdziła kobieta. — Tak jak pan powiedział, jest tu na co polować, chociaż nie potrafiłabym nazwać połowy z tych zwierząt. Nigdy wcześniej nic podobnego nie widziałam.

— Głównie różne gatunki kangurów — powiedział Travis. — Koala, wombaty, iguany, dziobaki.

— Sporo pan wie — włączył się Colebrook. — Tych nazw nauczył nas pewien handlarz bydła, którego spotkaliśmy po drodze. Ale wszystkich nie znamy. Łazi tu takie czarne zwierzę, podobne do małego niedźwiedzia, co to może być?

— Prawdopodobnie wombat. Koala nazywają niedźwiadkami.

— Czy to te, które jedzą liście i noszą dzieci na plecach? — zapytała kobieta. — Nie wiedziałam, że w tych stronach jest dzikie ptactwo, ale po nazwie wydają się jadalne. Jak to oni je nazywali? Dzióbki?

Travis roześmiał się.

— Dziobaki. Ale to nie są ptaki. I bardzo wątpię, czy nadają się do jedzenia. Są to kaczko-krety. Mają ciała pokryte futrem i płetwy. Składają jaja i karmią mlekiem małe. Ciekawa kombinacja. W tym kraju jest mnóstwo dziwnych stworzeń. Niektórzy mówią, że Bóg wyrzucił do Australii to, co mu się nie udało.

— Widziałam te, o których pan mówi, i jeszcze inne, równie cudaczne. Zwierzęta i ludzie mają tutaj wiele wspólnego — powiedziała kobieta z uśmiechem, który bardziej mu przypominał skrzywienie ust.

— Tak, to dziwny kraj — zgodził się Travis. — Niektórzy twierdzą, że to najstarsza część Ziemi. Życie, które tu powstało z chaosu, ukształtowało się na długo przedtem, zanim przyszedł biały człowiek z własnym chaosem. Żeby tutaj przeżyć, każdy potrzebuje oparcia.

Musi mieć kogoś, na kogo może liczyć, gdy przyjdą kłopoty. Istnieje nawet na to słowo. Partnerstwo, tak się tu mówi w Kolonii.

— Kto tak mówi? — zapytał Colebrook.

Travis przez chwilę nie odpowiadał.

— Termin ukuli skazańcy — powiedział wreszcie.

— No cóż, tutaj ich nie ma — stwierdziła kobieta. — Kłopotów też nie. Odjechaliśmy tak daleko właśnie po to, by uniknąć kłopotów.

— Tak daleko odjechać się nie da — powiedział Travis. — Stosunki między skazańcami ukształtowały życie w całej Kolonii. Chyba tak musiało się stać.

— A obyczaje mają dość gwałtowne, z tego, co widziałam — skomentowała kobieta.

— Większość z nich na pewno — przyznał Travis. — Partnerstwo... — wrócił do tematu. — Tutaj mężczyźni bardzo prędko się uczą, że da się żyć bez kobiet, ale bez kumpli nie. W grupie potrafią nawet sprzeciwiać się władzy, w pojedynkę — nigdy.

— A więc pan występuje przeciwko władzy?

— Ja wolę sam sobie być władzą, zanim ten kraj nie zacznie funkcjonować jak państwo — odparł Travis.

— Chyba nie oczekuje pan, że przejmie władzę nad doliną, która należy do innego — odpowiedziała szybko, zanim jej mąż zdążył otworzyć usta. — A tutaj nie było żadnych problemów. Sam nie potrzebował nigdy pomocy drugiego mężczyzny. Człowiek żonaty już ma partnerkę. Kobieta w tym kraju szybko staje się równie twarda jak mężczyzna.

— Ta kraina należy do mężczyzn, pani Colebrook, i tak będzie zawsze. Nawet mężczyźni nie jest tu łatwo, ale jeszcze trudniej kobiecie. Kobietom jest tu ciężko, dlatego zawsze ich będzie mniej niż mężczyzn. A kobiety, którym się uda przetrwać, będą pilnowane, aby nigdy nie ruszyły się ze swego miejsca.

— A jakież to jest miejsce, panie Travis? W łóżku i kuchni? — dopytywała się uniesionym głosem, przekrzykując słabe protesty męża. — Lepiej, żebyśmy nie zapominali o polach, które trzeba obsiać, i o drogach, które trzeba wyrąbać w buszu. Kobieta robi swoją część pracy, gdy jej mężczyzna potrzebuje pomocy. — Nagle zamilkła, widząc uśmiech na twarzy Trávisa i jego słabe odbicie na obliczu własnego męża.

— Tak jak pani właśnie powiedziała, pani Colebrook, każdy mężczyzna potrzebuje pomocy, żeby przeżyć w tym kraju. I jeśli w pobliżu jest drugi mężczyzna, nie musi wykorzystywać swej żony.

— Może się pan pewnego dnia przekonać, że w dolinie mieszka pewna kotka, która potrafi się posłużyć pazurami, kiedy potrzeba — powiedziała z uporem, ale z jej głosu zniknęła wrogość.

Teraz odezwał się Colebrook, opierając dłoń na ramieniu żony.

— Żaden przyzwoity mężczyzna nie lubi patrzeć, jak jego żona wykonuje męską robotę. To przeciwko naturze... — głos jego zabrzmiał dziwnie bez wyrazu. — Przyszłość to nie tylko wieczne obsiewanie pola.

Zanim nadszedł czas pożegnania gospodarzy, atmosfera się rozluźniła. Kiedy Colebrook żegnał Trávisa, w jego głosie brzmiała serdeczniejsza nuta. Ale nie w głosie jego żony.

— Uważaliśmy, że nie możemy liczyć na przyjaźń w tych stronach. Mojej żonie trudno uwierzyć, by mogło być inaczej — powiedział Colebrook i z uśmiechem wyciągnął do Trávisa rękę. — Dobry sąsiad to wręcz cud.

— Taaa — powiedziała wolno Mary Colebrook. — Prawdziwy cud.

Jonathan Travis unikał farmy Colebrooków, ale on i Samuel pracowali razem przy umacnianiu brzegów rzeki, a potem wspólnie zbudowali most.

Tematy ich rozmów były dość przypadkowe. Kiedy tylko czuli, że grunt zaczyna być śliski, zaraz zaczynali mówić o czymś innym. Jednak panowała między nimi jakaś dziwna harmonia, jakby rozmowę i trud kształtowała rzeka.

Most wzmocnił tę szczególną więź.

W miejscu, gdzie rzeka była najwęższa, stało bardzo stare drzewo. W milczącej zgodzie przesunęli się nieco dalej, wybierając na budowę miejsce mniej dostępne. Ich decyzja pozostawienia nie ściętego drzewa była nielogicznym i sentymentalnym gestem, świadczącym o pewnej słabości. I dodała ciepła ich związkowi.

Kiedy most był już zbudowany, Travis znowu poruszył temat przekraczający problemy dnia codziennego.

— Nawet tutaj nie da się żyć tak po wsze czasy, uprawiając niczyją ziemię. Samowolni gospodarze muszą wiedzieć, do czego mają prawo.

— Samowolni? — wyrwało się Colebrookowi. W tej samej chwili pochylił głowę jakby pochłonięty pracą.

— W październiku dwudziestego dziewiątego roku ogłoszono proklamację, w której ograniczono terytorium Kolonii — powiedział mu Travis. — Prawdopodobnie chodziło o łatwiejsze zapanowanie nad porządkiem publicznym, zwłaszcza gdy idzie o skazańców. Każdy, kto przekroczy granice, zajmuje samowolnie ziemię Korony. Znajduje się poza prawem. Takich właśnie nazywa się samowolnymi osadnikami.

Colebrook nic nie mówił, ale widać było, że słucha uważnie.

Travis obojętnie ciągnął dalej.

— Wreszcie jednak praworządni osadnicy zmuszeni byli zajmować tereny poza oficjalnymi granicami, inaczej nie mieliby wystarczająco dużo miejsca do wypasu bydła. Oni więc również stali się ludźmi wyjętymi spod prawa. A bez nich Kolonia umarłaby z głodu. Więc gubernatorzy musieli znaleźć wyjście z sytuacji, którą sami stworzyli. Tuż przed moim wyjazdem

zmienili zasady, pozwalając osadnikom przenosić się poza granice za roczną opłatą wynoszącą dziesięć funtów. Teraz być samowolnym osadnikiem to powód do dumy.

Colebrook spojrział na niego wyzywająco.

— Wygląda na to, że obaj jesteśmy samowolnymi gospodarzami. Travis zignorował wyzwanie.

— To nieważne. Jakies pięćdziesiąt kilometrów stąd natknąłem się na człowieka, który zajął olbrzymi teren. Nazwał to miejsce Gedzederick Run.

— Nie miałem pojęcia, że mamy tak blisko sąsiada.

— Nie jest sam. Są jeszcze inni. Pozajmowali ogromne pastwiska niżej na równinie, a nawet na płaskich miejscach pomiędzy pagórkami. Ale każdy teraz może dostać dobry kawał ziemi, jeśli przydział kosztuje dziesięć funtów.

Colebrook znowu podniósł wzrok.

— Ile ziemi ludzie sobie biorą?

— Facet nazwiskiem Moore hoduje bydło na tysiącu akrów w Queanbeyan — odparł Travis. — I ma jeszcze następne tysiąc trochę dalej na północ, połączone z innymi farmami, gdzie hoduje owce. Ważne jest właśnie to, co ze swoją ziemią robią obszarnicy.

— Całkiem sporo pan wie na temat tych stron. Ja myślałem, że dalej jest jeszcze zupełnie dziko. Zna się pan na wielu sprawach. Na ludziach też.

— Kiedy jechałem tutaj, zbierałem informacje. Ludzie w tym kraju czują się samotni, zawsze znajdzie się ktoś chętny do rozmowy.

— Tak właśnie jak my teraz rozmawiamy? — zapytał Colebrook. — Przyjacielska pogawędka o niczym?

— Nie, nie o niczym. Jeśli osadnicy i obszarnicy pchają się na zachód i południe, któryś z nich może odkryć drogę do tej doliny.

— Tak jak pan.

— Jeśli ja ją znalazłem, inni potrafią również.

— Nie mogą zabrać ziemi, na której pracuje już inny człowiek.

— To zależy od tego, co on robi ze swoją ziemią.

— Do czego pan zmierza?

— Ta dolina ma jakies czterdzieści tysięcy akrów i w lecie da się tu wypasać dobre stado bydła. Mały farmer może zostać zgnieciony przez wielkiego.

— Nie ma takiego miejsca na ziemi, gdzie człowiek mógłby czuć się bezpiecznie — stwierdził ponuro Colebrook.

Później, kiedy zrobili sobie przerwę w pracy, Travis podjął wcześniejszą rozmowę.

— Kiedy w trzydziestym pierwszym wycofano przydziały na ziemię, zaczęto sprzedawać grunty na publicznych aukcjach — powiedział Colebrookowi. — W tych stronach mogło się to nigdy nie zdarzyć. Ale jeśli człowiek ma na coś papier, prawnie należy to do niego.

Colebrook nigdy nie żył z ziemi i mało prawdopodobne, by mógł się kiedyś stać właścicielem ziemskim, myślał Travis, przyglądając się zachmurzonej niepewnością twarzy sąsiada, który usiłował coś z tego zrozumieć.

— Prawo wypasu i stado praktycznie człowieka zabezpiecza — podsunął mu Travis.

— Pan tak jak i ja nie ma stada, ale skoro wie pan wszystko o wszystkim, to niewątpliwie posiada pan prawo wypasu — odburknął Colebrook, stawiając sprawę jasno.

Travis uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział. Colebrook przez chwilę pracował w ciszy.

— Teraz mamy marzec — odezwał się po chwili — przed następną zimą będę musiał pojechać gdzieś po zapasy. Kiedy spadnie śnieg, nie da się już wyjechać z doliny. Może mnie nie być przez parę miesięcy. Pan też potrzebuje zapasów.

— Będę miał oko na pańską ziemię — Travis kiwnął głową. — Lepiej, żeby tylko jeden z nas jechał, a drugi został pilnować doliny.

— Muszę zabrać wóz.

— Proszę wziąć mego konia. Tak będzie szybciej. Jest wystarczająco silny, by przywieźć co trzeba. I niech pan kupi dla mnie dwukółkę, przyda się do przywiezienia zapasów. — Nie patrząc na Colebrooka dodał. — Nie ma potrzeby jechać do Sydney. Narysuję panu mapę, gdzie zaznaczę bliższe osiedla. Wtedy droga zabierze mniej czasu. Mają wszystko, co niezbędne.

Colebrook odpowiedział mu jednym ze swych rzadkich uśmiechów.

— Kiedy już tam pan pojedzie, mógłby mi pan oddać przysługę — powiedział Travis. — Zapłacić za mnie dziesięć funtów i wziąć licencję także na moje nazwisko. — I spokojnie dodał. — Na wiosnę możemy zacząć przywozić bydło.

W tydzień po wyjeździe Samuela Colebrooka, Mary Colebrook przeszła przez dolinę i wdrapała się po zboczu do chaty na wschodnim stoku.

Przez dłuższy czas stała przed drzwiami, zanim zdecydowała się zapukać.

— Jakiś kłopot? — zapytał Travis na jej widok. — Co się stało? — przeniósł wzrok ponad nią w stronę doliny.

Kiedy spojrział na nią znowu, potrząsnęła głową i mijając go, weszła do środka.

Mebli nie było tu prawie wcale. Deska oparta na dwóch belkach służyła za stół. Niewielki, przykryty skórą pniak — za krzesło. Na kupie suchych liści umieszczono posłanie. Obrzuciła to wszystko szybkim spojrzeniem, a potem usiadła na pieńku przy stole.

— Pani mąż i ja powinniśmy byli ustalić jakiś system znaków, w przypadku gdyby potrzebowała pani pomocy — powiedział przyglądając się jej Travis.

— Bywałam w tej dolinie sama już przedtem. On wie, że poradzę sobie równie dobrze jak każdy mężczyzna.

— Chodzi więc o... — Travis nie dokończył pytania.

— Czy chodzi o czarnych? O to chciał pan zapytać? — Potrząsnęła głową nie czekając na jego odpowiedź. — W zimie będą się jak zwykle pojawiać tu i ówdzie, ale nie ma właściwie o czym mówić, póki nie przyjdzie lato. Wtedy zaczną się włóczyć po wzgórzach, zapalać ogniska. Zobaczy ich pan w lecie. Nie lubią gór w zimie, a już mamy jesień. Zawsze myśli pan o czarnych, prawda? — I nie pozwalając mu wtrącić, ciągnęła dalej. — Nie przywiodły mnie do pana żadne kłopoty, przynajmniej ja tego nie nazwałabym kłopotem.

— Czy jest coś, co mógłbym dla pani zrobić, pani Colebrook?

— Tak — odpowiedziała przyglądając mu się uważnie. — Ale nie mogę powiedzieć panu wszystkiego od razu. Najpierw muszę pana o coś zapytać. Czy jest w panu zło, panie Travis?

— Przypuszczam, że w każdym mężczyźnie jest zło — uśmiechnął się lekko.

— Tak, i w każdej kobiecie. Złe jest to, co zło czyni, jak powiadają starzy i mądrzy ludzie. Ale może nie dość mądrzy. Czasami zło jest tylko strachem, panie Travis. Takim strachem, jaki czuję w panu. Niekiedy trudno to dokładnie nazwać.

— Prawda — powiedział Travis spokojnie, przyglądając się jej bladej, owalnej twarzy, nie unikając spojrzenia badawczych, szarych oczu. — Czasami trudno jest to nazwać.

— Ale zostańmy przy faktach. Niekiedy fakty pozwalają na sprawiedliwy osąd. Tak więc chciałam zapytać pana właśnie o nie. Czy będzie pan tak uprzejmy i opowie mi o swojej przeszłości, panie Travis? Nie pytałabym, gdyby nie było to dla mnie ważne.

— Co chciałaby pani wiedzieć?

— Cóż takiego pan zrobił, że przywiodło pana aż tutaj? Wiem, że coś takiego było. W przeciwnym razie, dlaczego taki wykształcony człowiek jak pan chowałby się w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc?

— Zostawiłem moją przeszłość poza tą doliną, pani Colebrook — odparł zimno Travis.
— Podobnie jak pani mąż. Nie rozmawiamy o przeszłości.

— Ze mną też już nigdy więcej nie będzie pan o niej rozmawiał, panie Travis. I nie pytałabym o prawdę, gdybym nie chciała odpłacić tym samym.

— Przedstawiłem się pani mężowi prawdziwym nazwiskiem i powiedziałem mu, że pochodzę z Surrey — oświadczył Travis.

— Uważałem, że ma prawo wiedzieć przynajmniej tyle. To wystarczająco wiele, by mógł odkryć resztę, jeśliby tego chciał.

— Ale pan przecież nie chce, by Sam próbował. I pańska znajomość ludzi podpowiada, że on tego nie zrobi.

— Być może.

Spojrzała na niego przebiegle.

— Ale zdaje się — mówił dalej — że pani nie oceniłem należycie.

— Wielu mężczyzn popełnia taki błąd, jeśli chodzi o kobiety — powiedziała i po raz pierwszy uśmiechnęła się. — Ale może pan odetchnąć spokojnie. Nie będę dociekać pańskiej przeszłości inaczej, niż pytając o nią wprost.

Milczał przez długą chwilę. Ona również siedziała w ciszy, czekając, co jej powie.

— To bardzo prosta historia — odezwał się wreszcie. — Jestem drugim synem zamożnego człowieka i to mój starszy brat dziedziczy majątek, a nie ja. Pewnego dnia wybraliśmy się z bratem na polowanie. I zdarzył się wypadek. Mój brat zginął. Ojciec już od pewnego czasu niedomagał, osłabiony organizm nie wytrzymał tragedii. Umarł tej samej nocy. Brat był człowiekiem żonatym i miał syna. Gdyby ojciec umarł przed wypadkiem na polowaniu, majątek dziedziczyłby brat, a po nim jego syn. Ponieważ stało się odwrotnie, teraz ja zostałem spadkobiercą. Zabiłem brata, ojca i pozbawiłem dziedzictwa swego bratanka, wszystko jednym strzałem. — Nawet dla niego słowa te zabrzmiały melodramatycznie.

Mary Colebrook siedziała przez chwilę cicho, a potem szepnęła:

— Daleko pan odjechał od odziedziczonego majątku.

— Tak daleko, jak to możliwe.

— W czym problem? Czyżby ktoś uważał, że nie był to tylko wypadek?

— Jeden człowiek — odparł Travis, nie patrząc na nią. — Kilkunastu świadków przysięgało, że było inaczej. Ale jeden nie był tego pewny. Po jakimś czasie nie pozostawało mi nic innego, jak opuścić własną ziemię i nigdy więcej do niej nie wrócić.

— Mógł pan zaprzeczyć oskarżeniom tego człowieka.

— Nie był z tych, co łatwo zmieniają zdanie — Travis uśmiechnął się gorzko.

Podszedł do niewielkiego okna w ścianie chaty i wyjrzał na zewnątrz.

— W takim razie powiedziałabym, że tym człowiekiem był pan — zawyrokowała Mary Colebrook. — W Sydney Sam być może zabił człowieka — odezwała się po chwili. — Nie chciałabym mieć pewności. Brałam w tym udział i skorzystaliśmy z przestępstwa. — Uniosła w górę brodę. — Obiecałam prawdę za prawdę. I teraz, kiedy każde odsłoniło swoją część, już nigdy do tego nie wrócimy. — Odetchnęła głęboko. — Bardzo wątpię, by w panu było prawdziwe zło, panie Travis. Myślę, że mogę pana cenić. Jest pan gwałtownym człowiekiem. Tego domyślałam się od pierwszej chwili. Surowym dla innych, ale i dla siebie. Lecz żeby przeżyć w tym kraju, człowiek musi być bezwzględny. I każde dziecko urodzone tutaj potrzebuje mocnej krwi płynącej w żyłach.

Travis odwrócił się od okna i spojrzał na nią.

— Przywoływanie bolesnych wspomnień nie ma sensu, pani Colebrook. Ale mam nadzieję, że to oczyściło atmosferę między nami. Możemy teraz żyć wspólnie w tej dolinie i zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło w przeszłości.

Siedziała przyglądając mu się ze spokojem.

— Nie jestem kobietą, na widok której krew wrze w mężczyznach, to pewne. I wolę, że tak jest. Życie w dolinie nie byłoby łatwe, gdyby mieszkała tu tylko jedna, i do tego takiego rodzaju kobieta. Ale jest pan tutaj już dwa miesiące. A z tego, co wiem, wcześniej szwendał się pan kawał czasu po dzikich ostępach. Trudno mężczyźnie wytrzymać tak długo bez kobiety.

Travis parsknął śmiechem.

— Bardzo jest pani bezpośrednia w swoich uwagach, pani Colebrook. Czy ostrzega mnie pani, bym uważał na swoje maniery? Naprawdę, nie ma potrzeby.

— Tak, jestem szczerą i nie zamierzam się zmienić — powiedziała nie zwracając uwagi na jego ostatnią uwagę. — Jestem porządną kobietą, panie Travis, ale wiem co nieco o życiu. Potrafię być bezwzględna, jeśli uważam, że tak trzeba. Od kiedy sprowadziliśmy się do doliny, urodziłam Samowi trzech synów, ale nie mieli sił, by przeżyć. Z każdym nowo narodzonym widziałam nadzieję wstępującą w mojego męża, a po każdym zgonie jakaś część Sama umiera-

ła również. On nie jest człowiekiem pewnym siebie, ale gdyby miał syna u swego boku, poczułby się bezpieczniejszy. Przyszłam tutaj po syna dla mego męża, panie Travis. Chcę, by poszedł pan ze mną do łóżka.

Travis wpatrywał się w kobietę.

— Czy pani wie, co mówi? Chce pani dać mężowi dziecko innego mężczyzny. Co z pani za kobieta?

— Zdesperowana i bezwzględna, już to panu powiedziałam. Tak, doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co mówię. I wiem jeszcze coś. Dziecko staje się synem mężczyzny, wzrastając u jego boku i wołając na niego tato. Nie jest nim jeszcze, gdy wychodzi małe i pomarszczone z łona kobiety, gdzie nie wiadomo, jak się dostało.

— Ja bym wiedział.

— Nigdy nie byłby pan tego pewny, prawda?

Travis przyglądał się jej w milczeniu.

— Czy to taka trudna decyzja, panie Travis?

— Rzeczywiście, niełatwo jest mi się zdecydować, lecz czy jest pani tylko głupią kobietą, czy sprytną dziwką. Ale ani jedno, ani drugie nie potrafią ukryć swej natury. Mają ją wypisaną na twarzach, zanim dojdą do pani wieku.

— To prawda, że nie jestem już taka młoda — zgodziła się spokojnie. — Właśnie dlatego tutaj przyszłam. Nie mogę czekać w nieskończoność na upragnionego syna. Przekroczyłam trzydzieści pięć lat, co zresztą sam pan widzi. Jestem dużo starsza od Sama, chociaż wątpię, czy mu to kiedykolwiek przyszło do głowy. Ale nie przypuszczam, żebym z kolei była starsza od pana, panie Travis, więc musiał już mieć pan do czynienia z kobietami w moim wieku, i na pewno nie zawsze interesował pana wygląd kobiety.

— Traktuję pani męża jako przyjaciela — powiedział zimno, odwracając wzrok. Jej widok dziwnie go rozpraszał. — Ale dla pani lojalność ma niewielkie znaczenie.

— Są rzeczy, które znaczą dla mnie więcej. A jeśli tak ceni pan męską przyjaźń, radziłabym, by pan nie sztychował ze mnie. Sam jest słabym człowiekiem i dość nerwowym, miał niełatwe życie, ale jeśli będzie musiał, to stanie do bójki z każdym — podniosła wzrok na Travisa. — Przypuśćmy tylko, że powiedziałabym, jak próbował mnie pan pod jego nieobecność zmusić do uległości. A sam go pan przecież wysyłał, i to z pośpiechem. Jeśli nie zgodzi się pan zrobić dla mnie tego, o co proszę, a co przecież jest drobnostką dla mężczyzny, to właśnie mu opowiem. Nie musi się pan obawiać Sama. Lecz wtedy na pewno zakończy się wasza piękna mę-

ska przyjaźń, na której chce pan zbudować pomyślną przyszłość w dolinie. Już drugi raz ostrzegam pana, że potrafię być bezwzględna i pokazać pazury, jeśli to konieczne.

Stał odwrócony, nie chcąc na nią patrzeć.

— Jeśli moja twarz się panu nie podoba, nie szkodzi — powiedziała stwardniałym nagle głosem. — Niech pan zamknie oczy.

— Problem nie z pani twarzą, tylko z panią. Ma pani oblicze anioła, ale serce diabła.

— Cóż za poetyczne słowa, panie Travis, tyle tylko że niewiele znaczą. Podobnie jak ta cała gadka o lojalności i przyjaźni. Sam służy tylko pańskim planom, tak samo jak pan służy moim.

— Mało się pani zna na mężczyznach, pani Colebrook. Gdyby się pani znała, nie byłoby pani tutaj. — Ale mówił to już innym tonem.

— Znam mężczyzn wystarczająco dobrze — uśmiechnęła się lekko. — Czy nie narusza się przyjaźni od czasu do czasu? Nawet dobry Bóg pozwala na to, jeśli tylko po grzechu odmówi się odpowiednie modlitwy.

Wstała i podeszła do posłania rozścielonego na materacu z suchych liści. Obejrzała się na Trávisa zdejmując z siebie ubranie.

— Niech pan myśli o tym, jak długo nie miał pan kobiety, panie Travis, będzie panu lżej.

Jonathan Travis trzymał się z daleka od zagrody Colebrooków od jesieni do wiosny, a potem do następnej zimy, kiedy urodziło się dziecko. Gwiazdkę spędził w samotności. Ale wreszcie na Nowy Rok ciekawość przywiodła go na drugi brzeg rzeki.

— Silny dzieciak — powiedział odwracając wzrok od swego syna.

Spojrzał przez okno na mały cmentarz.

Ten widok mówił więcej niż jakiegokolwiek słowa. Wrócił wzrokiem do niemowlęcia, które miało dość siły, by przeżyć.

Żona Colebrooka nie odzywała się ani słowem, nie spoglądała też na niego, tak jakby ta noc, którą spędzili razem, gdy spłodzili jej syna, nigdy się nie zdarzyła. Po jakimś czasie Travis uświadomił sobie, że kobieta nawet sama przed sobą nie przyznaje, że syn nie jest dzieckiem jej męża. Przyglądał się nieraz Colebrookom — Mary uśmiechała się widząc, jak mąż dba o niemowlę, a potem nosi malca na barana i jeszcze później bawi się z podrastającym dzieckiem.

Dla Colebrooków były to szczęśliwe lata. Lata zwycięstwa kobiety, która sama uczyniła cud. Lata odzyskiwania siły przez mężczyznę, u którego boku rósł jego syn. Ale nim chłopak, któremu nadano imię Chris, skończył cztery lata, zaczął być podobny do własnego ojca. Samu-

el Colebrook stracił nabytą pewność siebie, wątpliwość pojawiała się czasem w jego oczach. Często popadał w milczenie.

Przez te cztery lata Jonathan Travis godził się na wyparcie się samego siebie, na wygnanie, które sam sobie wyznaczył. Ale na początku czterdziestego drugiego, kiedy wyjechał z doliny po zapasy, natrafił na gazetę z czterdziestego pierwszego, z opisem bitwy między Brytyjczykami a Afgańczykami. Obok relacji wydrukowano listę poległych, gdzie znalazł nazwisko swego bratanka. Otworzyło to drzwi do przeszłości.

Chris Colebrook, syn, który nie był jego synem, stał się ciężarem nie do zniesienia, ale zmuszał do myślenia o synu, od którego nikt by go nie rozdzielał. Po raz pierwszy od czternastu lat, od chwili gdy skończył dwadzieścia osiem lat, Travis uwierzył, że przyszłość może przynieść spełnienie marzenia. A do tego potrzebował syna, który nosiłby jego własne nazwisko.

W styczniu czterdziestego trzeciego, w dwa tygodnie po piątych urodzinach Chrisa Colebrooka, Travis osiodłał ogiera araba i odjechał w poszukiwaniu kobyły dla swego wierzchowca, a dla siebie — żony.

2.

Travis unikał szerokich ulic Sydney, pozostając z daleka od światka żołnierzy i ich dam spacerujących po ogrodach i parkach wzdłuż Governor Mall. Wolał peryferie niedaleko wysokiego brzegu, gdzie w pobliżu poczty głównej i pierwszego banku Kolonii usytuowały się bogate posiadłości. Tam też znajdowały się magazyny Goliatha Jonesa z artykułami żywnościowymi.

Jechał wzdłuż gwarnej i ruchliwej ulicy zachodnim zboczem wzgórza, potem skierował się na północ brzegiem zatoki, gdzie robotnicy portowi ciągnęli na wózkach towary z przybrzeżnych kutrów i rzecznych barek, które stały zacumowane w dokach. Szukał kupca handlującego uprzężą i siodłami. Znalazł wreszcie takiego na końcu ulicy.

— Dobra skóra, porządnie wyprawiona i wytrymowana — oznajmił sprzedawca, który wyłonił się z ciemnego wnętrza długiego budynku, gdy tylko Travis sięgnął ręką po popręg. — Nie znajdzie pan lepszych siodła w całej Kolonii.

— Naprawdę? — zapytał Travis. — Najlepsze w Kolonii?

— Nigdzie nie ma lepszych — zachwalał gorąco swój towar kupiec.

— Nie są najtańsze, to zrozumiałe samo przez się, że trudno oczekiwać dobrej jakości za małe pieniądze.

— W takim razie mam złe wieści dla nas obu — stwierdził Travis — ponieważ to siodło nie jest wiele warte. Jeśli rzeczywiście w Kolonii nie da się znaleźć nic lepszego, będę musiał wyruszyć w długą podróż do Europy, po zakup czegoś, co nada się na grzbiet mojego konia.

Mężczyzna przyjrzał się zniszczonemu ubraniu Trávisa.

— Proszę wybaczyć. W pierwszej chwili wziąłem pana za człowieka, który uciekł z Anglii. Bóg mi świadkiem, ostatnio sporo się ich tu kręci. Płacą słono, by wyrwać się ze starego kraju, więc potem zostaje im niewiele. Zbyt mało, żebym miał tracić dla nich swój cenny czas. Kiedy się panu przyjrzałem, widzę swoją pomyłkę. Pan należy do tych, co mają dużo ziemi, za to niewiele czasu. W takim razie przejdźmy poważnie do interesów. Skoro szuka pan prawdziwego angielskiego siodła, to musimy pójść na zaplecze, bo ja ich nie wiem tutaj. Za dużo jest tu takich, którym się lepią ręce. — Wszedł do budynku, rzucając przez ramię ostrzeżenie. — Niech pan idzie za mną i uważa, bo inaczej wpadnie pan w jakąś dziurę lub pułapkę, które przygotowałem dla nieproszonych klientów, co sami chcieliby obejrzyć mój towar. W tym mieście człowiek nie może być zbyt ostrożny, a ja nie mam zamiaru dać się zaskoczyć.

W pokoju na zapleczu, przy naftowej lampie okrętowej, rozwinął siodło umoszczone w ścinkach bawełny. Obchodził się z nim delikatnie jak z dzieckiem.

Travis przyglądał się twarzy i dłoniom sprzedawcy, oceniając człowieka, zanim zwrócił swą uwagę na siodło. W świetle lampy wyprawiona skóra aż lśniła przypalonym brązem. Wziął siodło od sprzedawcy i trzymając je z tą samą uwagą, sprawdzał ciężar i wyważenie. Nie prze-gapił żadnego szczegółu.

Kupiec uśmiechnął się.

— Dopóki jest w moich rękach, nie będzie na nim nawet draśnięcia.

— To może nie potrwać zbyt długo, ale ja okażę równy szacunek — powiedział Travis. — To dobre siodło, ale potrzebuję jeszcze pod nie dobrego konia — dodał dochodząc do prawdziwego celu swojej wizyty. — Gdyby podał mi pan nazwisko człowieka, który sprzedaje najlepsze konie w całej Kolonii, wrócę po to siodło. Lub podobne do niego, ale myślę, że to nada się najlepiej. Wiem, jakiej wielkości i wagi konia potrzebuję.

Kiedy omówili do końca warunki sprzedaży, kupiec podał mu potrzebne nazwisko i obdarował jeszcze na koniec przemową.

— Jestem dumny, że pana do niego posyłam, a pan może mu powiedzieć, od kogo otrzymał jego nazwisko. A tego zawsze nie mówię. Przybyłem do Kolonii jeszcze jako mały szczeniak, wysłany przez matkę i ojca, i to wcale nie dla zdrowia, sam pan rozumie. No więc wtedy nie chciałem, by ktoś kojarzył moje nazwisko z jakimkolwiek sprzedawcą koni. Takiej znajomości z pewnością nie uważałbym za zaszczytną. W tamtych czasach musiałby się pan ugadywać z jakimś sprytnym oficerem kawalerii, który najprawdopodobniej sprzedałby panu kradzionego konia i siodło z tego samego źródła. Nic nie jest bardziej znieawidzone w tej Kolonii od wojska. Nawet upał i pchły.

Travis otworzył usta, jakby chcąc coś odpowiedzieć, ale skrzywił tylko twarz w uśmiechu, który zniknął w momencie, kiedy się tylko odwrócił.

— Widzę, że straciłem właśnie zarobek — mruknął kupiec. — Nigdy się nie nauczę trzymać gęby na kłódkę. Jeśli ma pan teraz ziemię, to dziesięć do dwudziestu, że był pan niegdyś w wojsku. Gadaniem zaskarbiłem sobie wroga zamiast nabywcy.

W tej chwili Travis spojrzał na kupca.

— Niech pan zapakuje siodło, wrócę po nie.

Jechał wzdłuż ruchliwego nabrzeża do miejsca, gdzie wody zatoki schowały się za wzgórze. Brukowane uliczki prowadziły do trzech rzędów zamożnych domów górujących nad miastem. Wzniesienie nazywało się High Rocks. Powietrze było tam bardziej rześkie i czyste.

Objechał wzgórze szerokim łukiem, w dół, naokoło królikarni przy Argyle Cut, a potem schodami jeszcze bardziej w dół do Sydney Cove. Zatrzymał się na chwilę i przyjrzał swemu koniowi, potem przeniósł wzrok na Cut i stopnie wyciosane w piaskowcu przez zakutych w żelazo skazańców. W tej chwili zmienił się wiatr i dopadł go zapach stęchlizny z Lower Rocks. Zmusił więc konia do cwału drogą ku stajniom sprzedawcy koni.

Każdego popołudnia o tej porze Jenny Garnett wychodziła z tawerny, gdzie pracowała, i wdrapywała się po schodach Cut w stronę piekarni. W sąsiednim sklepie, który obsługiwał zamożnych mieszkańców High Rocks, dzień handlu właśnie się kończył. Pracujący w nim skazańcy wrócą dopiero wtedy, gdy nocna zmiana upiecze świeży chleb na następny dzień. To, co pozostało, wymieniano na alkohol i zabierano do tawern dla wieczornych stołowników.

Jak zwykle Jenny zatrzymała się po dojściu do skrzyżowania za Cut. Brukowana kocimi łbami ulica przechodziła w alejkę, którą nocne brudy spływały rynnami między pęknięciem skalnym. Nie opodal zebrała się gromadka dzieci. Czekały na człowieka, który wkrótce powinien się zjawić, obejrzeć je, wybrać i zapłacić za ich usługi.

Szukała wzrokiem jakiejś znajomej twarzy. Była kiedyś jedną z nich. Ale jej grupa już wystarczająco dorosła, by przenieść się do kwatery prostytutek, których pracę opłacano lepiej. Poczula samotność osoby nigdzie nie przynależącej. Nie umiałaby tego uczucia wyrazić w słowach, więc tylko szukała nadal znajomych twarzy.

Odgłosy rozlegające się w całej okolicy były tak znajome, że właściwie ich nie słyszała: szepty i krzyki kobiet w zatłoczonych ruderach, przekleństwa żeglarzy i słowa zachęty dziewczek czekających na nich wzdłuż alei, a ponad owymi dźwiękami mrowiska ludzkiego przebijający się turkot metalowych obręczy na kołach i klip klip podków końskich popędzanych przez tych, którzy pragnęli jak najspieszniej przejechać przez tę dzielnicę ludzkich szcurów, zwaną Lower Rocks.

Jednak w tej chwili doszedł ją głos, na dźwięk którego natychmiast odwróciła głowę.

Starszy, zamożnie ubrany mężczyzna zatrzymał się tuż przy wjeździe do alei, by wyjąć kamień z podkowy konia. Przeklinał dzieciaki, obrzucając je ordynarnymi wyrazami.

Jakiś ośmiolatek odkrzyknął mu:

— Pensa za przejażdżkę, panie. Jednego pensa. Spróbuj nas, panie, zamiast konia.

Reszta niedorostków, stłoczona w gromadkę, wybuchnęła nerwowym śmiechem, zachęcona przez chłopca.

— No, panie! Trzy jazdy za trzypensówkę.

— Wynocha stąd, wy małe szumowiny. Dalej, znikajcie z oczu szanownego pana — wykrzyknął jakiś mężczyzna, obejmując zarówno dzieci, jak i Jenny jednym potępiającym spojrzeniem.

Dziewczyna ruszyła powoli w stronę piekarni.

Nigdy nie biegła. Nigdy od swego pierwszego razu. Stała wtedy z innymi dziećmi, ośmio- i dziewięciolatkami, czekając, by ktoś zatrzymał się, spojrzął i zapłacił właśnie za nią. A potem szła do domu, niosąc pieniądze swojej Millie. Nigdy nie biegła. Nie było im łatwo biegać. Nie po tym, co robili im mężczyźni.

Kiedy wracała pewnego wieczoru do domu, spotkała księdza, który nazwał ją nieszczęśliwym dzieckiem sodomii. Połowa pieniędzy, które niosła do domu dla swej matki, zginęła w jego woreczku. Ale modlitwy księdza o jej zbawienie zostały wysłuchane.

Dwa lata później jej matka umarła od rany w brzuchu zadanej hakiem przez jednego z kupców handlujących w tych ogromnych magazynach, gdzie składowano dobra przywiezione na statkach. Patrzyła, jak matka powoli oddaje ducha, i nie płakała. Przez wiele dni nie potrafiła zapłakać. I nigdy potem również nie.

Ale ksiądz, powtarzając raz po raz wieczne odpoczywanie, płakał. Łkał nad Millie Garnett, gładził ją i pieścił. A potem przyłożył rękę do haka, który ciągle jeszcze sterczał jej z brzucha, przyciskał coraz mocniej, aż przebił dłoń. I kiedy wreszcie Millie Garnett umarła, biegł wszędzie, pokazując krwawiącą rękę i krzyczał:

— Stygmat, stygmat, zbawienie, zbawienie — dopóki wreszcie jakieś dziwki nie odciągnęły go gdzieś dalej.

Wtedy zauważyła, że ptaki latające nad portem są białe. Nic nie było tak białe jak te ptaki. Patrząc na nie, zdała sobie sprawę, że jest wolna. Wolna jak one. Ruszyła tak jak każdego dnia, by dołączyć do grupy dzieci czekających na ścieżce biegnącej pomiędzy barakami, ale nagle zatrzymała się, by popatrzeć na ptaki. I wtedy zrozumiała, że nie będzie już nigdy taka jak te dzieci — ponieważ Millie Garnett nie żyła i nie było już nikogo, kto mówiłby Jenny, co ma robić. Od tego czasu po prostu kradła jedzenie i spała w rozpadlinach skalnych jak te ptaki, które latały, takie białe i swobodne. Tak było aż do wiosennych dni ostatniego września — za-

nim jeszcze skończyła jedenaście lat. Miała już kobiece kształty, była wysoka i ładna — wtedy znalazła sobie pracę. Usługiwała w tawernie.

Pewnego dnia przyszedł tam ten ksiądz. Był brudny i głodny i nic nie wskazywało na jego świętobliwość poza blizną na ręce, ale i tak podała mu podwójną porcję z wdzięczności, że nauczył ją czytać i pisać, ale najbardziej dlatego, że modlił się za nią i ją uratował.

Przed piekarnią koło High Rocks Jenny zatrzymała się jeszcze raz, chciała popatrzeć na ptaki. Białe mewy zataczały koła w powietrzu, zawracały w stronę morza, gdzie przyływ niósł ku brzegowi ryby.

— Twój chleb czeka — zawołała kobieta z piekarni. — Spóźniłaś się. I powiedz jego dostojności, że przyjmujemy zapłatę w dobrym portrze, a nie sikaczu, którym uraczył nas ostatnim razem.

— Skąd się biorą ptaki? — zapytała Jenny, pakując bułki do kosza.

— Oczywiście z jajek. Czyś ty się niczego nie uczyła? Ile masz lat, dziecko?

— Nie jestem dzieckiem, tylko dorosłą kobietą — odcięła się Jenny. — Skończyłam dwanaście.

Kobieta roześmiała się.

— Najlepiej byś zrobiła, wracając jak najszybciej na schody w Cut. Lower Rocks wieczorem to nie miejsce dla porządnej, dorosłej kobiety. A ty na dodatek jesteś spóźniona i jego dostojność nie podziękuje ci za opieszałość.

Jenny ruszyła biegiem w stronę Cut, ale jej oczy podążały wciąż za ptakami pikującymi w morze.

Travis nie śpieszył się, wybierając kobyłę, angielską klacz czystej krwi, wysoką na szesnaście dłoni i z niedowagą. Ale wiedział, że to dobry zakup.

— Zna się pan na koniach — stwierdził sprzedawca, wręczając mu papier, na którym opisana była szczegółowo linia przodków z *pie de grue* każdego parzenia wstecz do osiemnastego wieku. — Pochodzi z krzyżówki konia angielskiego z arabskim darleyem dokonanej w 1706. Długa, czysta linia. Jeśli szuka pan szybkiego konia, nie znajdzie pan lepszej rasy.

— Chcę, by jej żrebaki były wytrzymałe na głód i zmęczenie. Mam zamiar skrzyżować ją z moim arabem, który najprawdopodobniej też jest darleyem, choć o czystości jego linii wolalbyśmy nie dyskutować. — Sprzedający taką kobyłę miał prawo wiedzieć, co się z nią stanie. — I chcę ją zabrać w głąb kraju.

Handlarz przyglądał mu się uważnie.

— Robi pan wszystko, żebym jej panu nie sprzedawał? Gdybyśmy byli w Anglii, pewnie udałoby się panu mnie zniechęcić. Szukałbym kogoś, kto by ją kupił na polowania, ale myśliwi z Kolonii kiepsko się znają na koniach. Lepszy dziki kraj niż nieokrzesany właściciel. A i tak mała szansa, by dostała partnera dorównującego jej pochodzeniem. Musi tej klaczy wystarczyć pański arab.

Swoją żonę Travis wybrał w tawernie w pobliżu zatoki.

Była młoda, nie miała nawet jeszcze połowy jego lat, tak przynajmniej ją oceniał. Podawała do stołu. Ostre brzmienie jej głosu zdradzało pochodzenie, ale przyjmowała zamówienia z pogodą. Skóra na jej dłoniach zdążyła już zniszczyć od ciężkiej pracy, jednak kiedy podawała zupę, nie uroniła ani kropli.

Drobna, ale ma szerokie biodra, dobre do rodzenia dzieci, pomyślał.

Przyglądał się jej ruchom, kiedy zbierała zamówienia i podawała jedzenie.

Do tawerny wszedł brudny, poszargany mężczyzna. Podeszedł do najbliższego stołu i opadł na ławę. Zamarł wpatrując się w blat.

Na jego widok dziewczyna pośpieszyła do kuchni, wróciła z talerzem pełnym jedzenia, który postawiła przed przybyszem.

Travis przyglądał się tej scenie z zainteresowaniem. Kiedy odwracał się, by mieć lepszy widok, krzesło zgrzytnęło po podłodze.

Na ten dźwięk mężczyzna podniósł głowę. Wpatrywał się w górę jedzenia. Potem przeniósł wzrok na dziewczynę. Nagle zaczął krzyczeć: „Millie, Millie”. Nie przestawał do chwili, kiedy na salę wpadł Szkot, właściciel tego przybytku. Gdy zobaczył ilość jedzenia na talerzu, zaczął wydzierać się na dziewczynę.

— To ksiądz i jest głodny — starała się tłumaczyć.

— Nie prowadzę darmowej garkuchni dla jakichś katolickich Irlandczyków z przeklętego Rzymu — darł się Szkot.

— Może pomyliłam się i on wcale nie jest księdzem — powiedziała szybko dziewczyna. Twarz miała bladą, głos jej drżał. — Niemożliwe przecież, żeby ksiądz wyglądał tak jak on.

Travis miał się właśnie odwrócić, cała ta historia przestała go interesować, kiedy dziewczyna odezwała się znowu:

— To jest po prostu głodny człowiek i sama zapłacę za jego posiłek. — W jej głosie zabrzmiał gniew. Travis uśmiechnął się. A więc jednak nie brak jej było charakteru.

— A pewnie, że zapłacisz — wrzasnął Szkot — bo ja nie mam tu jedzenia dla żebraków.

Travis podniósł się nagle. Wcisnął pieniądze w rękę karczmarza.

— Wystarczy na zapłatę za posiłek tego człowieka i za chwilę spokoju, bym sam mógł zjeść co nieco — powiedział zmuszając się do uśmiechu dla złagodzenia ostrych słów.

Właściciel skinął głową, ale odchodząc mamrotał na tyle głośno, że Travis mógł go usłyszeć.

— Moja gospoda nie jest też dla żadnych angielskich arystokratów. Przyjechałem do tego zapomnianego przez Boga kraju, żebym nie musiał ich widywać.

Dziewczyna stała wciąż koło stołu.

— Jak się nazywasz? — zapytał Travis. Nie odpowiedziała, więc zapytał znowu. — Czy masz na imię Millie?

Dziewczyna obrzuciła szybkim spojrzeniem zszarganego księdza, ale ten zwracał uwagę tylko na jedzenie. Potrząsnęła głową.

— Nie, nazywam się Jenny Garnett.

Travis czekał, aż Jenny wyjdzie z tawerny. Spojrzała na niego spod przymkniętych oczu i biegiem ruszyła w stronę nadwodnych baraków, gdzie mieszkały posługaczki.

— Poczekaj! — krzyknął do niej. — Nie musisz uciekać. Chciałbym tylko porozmawiać. Zatrzymała się i odwróciła głowę, czekając aż podejdzie.

— O czym chce pan ze mną rozmawiać?

Kiedy poprosił, żeby wyszła za niego, wzrok dziewczyny stał się znowu nieufny.

— Nie wierzysz mi? — zapytał przyglądając się jej w świetle naftowych lamp stojących wzdłuż nabrzeża.

— Jest pan szalony — powiedziała powoli, wciąż przyglądając mu się z uwagą. Zacisnęła dłonie w pięści, jakby szykując się do obrony.

— Czy ja wyglądam na szalonego?

— Nie. Ale mówi pan jak szalony.

— Dlatego, że zaproponowałem ci małżeństwo? — Tłumaczył dalej cierpliwie. — Przyjechałem do Sydney, żeby znaleźć żonę. Kiedy cię zobaczyłem, uznałem, że akurat pasujesz do tej roli. Chodzi mi o to, że się nadajesz. Czy rozumiesz mnie?

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, po czym skinęła głową.

— No dobrze. To już jakiś postęp — powiedział Travis. — Chyba dość często mężczyźni przyjeżdżają do Sydney znaleźć sobie żonę?

— Nie wiem.

— Od jak dawna jesteś w Kolonii?

— Od zawsze.

— W takim razie musisz to wiedzieć — w jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie — ponieważ to jest tutaj normalna praktyka.

— Ja się z tym nie spotkałam — sprzeciwiła się Jenny, wyczuwając zmianę jego tonu.

— Nie jesteś jeszcze mężatką, prawda? — zapytał.

Roześmiała się i potrząsnęła głową.

— Czy masz rodziców, z którymi mógłbym porozmawiać? Matkę albo ojca?

— Matka nie żyje. — Zmarszczyła brwi i dodała. — A ojciec odszedł także.

Nagle jakaś myśl zaświtała Travisowi.

— Odrabiasz karę w tawernie? Byłaś skazana?

Znowu potrząsnęła głową przecząco.

— W takim razie jesteś całkowicie wolna?

Skinęła głową. Jego słowa przypomniały jej o ptakach. Uśmiechnęła się do niego pierwszy raz.

— Tak lepiej. Nie jesteś szczególnie gadatliwa... to zaleta u żony.

— Naprawdę pan mnie wybrał? — zapytała. — To nie jest tylko takie szalone gadanie? A może stroi pan sobie żarty ze mnie?

— Nie mam czasu, żeby bawić się w zaloty — odparł krótko. — Chcę wyjechać jutro z miasta. Muszę wracać do domu. — Zamilkł na chwilę, wpatrując się w przestworza oceanu. — Czeka nas długa droga na południe, a musimy dojechać na miejsce, zanim spadnie pierwszy śnieg.

— Śnieg? — Jenny spojrzała na niego zdumionymi oczyma. — Nigdy nie widziałam śniegu. Ale wiem, co to jest. — Znowu uśmiechnęła się do niego. — Umiem czytać i pisać — dodała z dumą, którą zauważył u niej już wcześniej. — Teraz zamierzam przeczytać książkę. Całą książkę. Dzięki czytaniu dowiedziałam się o śniegu.

— Tam gdzie będziesz, dowiesz się o nim więcej.

— Gdzie mnie pan zabiera?

— To długa droga. W australijskie Alpy. Do pewnej doliny.

— Czy tam są ptaki?

— Dużo ptaków. I dużo zwierząt.

— Jeśli tam są ptaki, to mogę z panem jechać.

— W takim razie wszystko ustalone. Dziś wieczorem weźmiemy ślub — oznajmił. — Już wszystko przygotowane.

Każda rzecz we właściwej kolejności, pomyślał. Tył na przód i do góry nogami, zupełnie jak kraj, który nazywał teraz swoim domem. Najpierw zamówienie siodła, potem zakup klaczy. Wpierw przygotowanie ślubu, później wybór żony.

Przez chwilę spoglądał na port, a następnie przeniósł wzrok na otwarty ocean.

Dziewczyna przyglądała mu się, jej twarz stała się nagle dziwnie dorosła i poważna.

— Pan jest angielskim dżentelmenem — powiedziała wreszcie. — Poznają to po sposobie, w jaki pan mówi. Nie z tego, co pan mówi, ale jak. — Usłyszał w jej głosie chęć ucieczki, na twarzy dziewczyny pojawił się żal. — Wybrał mnie pan, uważając że jestem porządną służącą. Ale we mnie płynie krew zesłańców, zarówno ze strony matki, jak i ojca. Pytał mnie pan o nich, ale nie odpowiedziałam uczciwie. Powinam zacząć od tego, że moją matkę jako dziecko porzucili rodzice, potem całe życie była złodziejką i dziwką. Nawet nie umiała mi powiedzieć, kim był mój ojciec, chociaż wydawało jej się, że najprawdopodobniej jeden z dwóch. Albo rodowity londyński podrzynacz gardeł, który powiesił się jeszcze przed moim urodzeniem, albo irlandzki rebeliant, z którym mieszkała przez jakiś czas. Mnie się raczej wydaje, że mam w sobie krew zesłańca irlandzkiego, nie tego drugiego.

Jenny przez cały czas przyglądała mu się. Kiedy spojrzał na nią, jej determinacja przygasła.

— Jednak potrafisz być gadatliwa — powiedział.

— Chociaż mam złą krew, jestem porządną dziewczyną — odpowiedziała mu wtedy. — Ale lepiej, żeby pan to wszystko wiedział i dobrze się zastanowił.

Czekała, żeby się odezwał — samotne dziecko o brązowych włosach i wesołych zielonych oczach, które nagle stały się bardzo poważne. Nie prosiła o nic ani nie oczekiwała niczego.

— Pewnego dnia, kiedy już będziemy jakiś czas małżeństwem i poznamy się lepiej, może i ja opowiem ci o sobie — powiedział Travis.

Pewnego dnia. Ale wiedział, że ten dzień nigdy nie nadejdzie. I był pewien, że Jenny Garnett nigdy nie będzie mu zadawać pytań.

On już siebie nimi nie dręczył. Nadchodzi taka chwila, kiedy człowiek sam nie jest w stanie znieść półprawd, którymi karmi innych. A to nawet mniej niż półprawdy, pomyślał.

Więc zatrzasnął drzwi przed pytaniami i odpowiedziami, i starał się zbudować przyszłość z tego, co mu pozostało.

— Jest tylko jedna rzecz, którą chyba powinien mi pan powiedzieć o sobie — powiedziała Jenny.

Te słowa wdarły się w jego myśli.

— A cóż takiego według ciebie masz prawo wiedzieć? — zapytał ostrym tonem.

— Tylko jedną rzecz, proszę pana. Jakie jest pańskie nazwisko.

Travis wybuchnął śmiechem, który zabrzmiał nieprzyjemnie nawet dla jego uszu.

— Jonathan Travis — powiedział jej i roześmiał się znowu, ponieważ nawet i to było tylko w połowie prawdą.

Mile przepływały powoli pod kopytami koni, Travis uważał, by nic nie stało się kobyle, która niosła na siodle Jenny.

— Miasto Sydney zupełnie już znikło z widoku — powiedziała Jenny, odwracając się z trudem za siebie. — Tak jakby w ogóle przestało istnieć. Albo zsunęło się do morza. Pewnie dlatego, że odjechaliśmy już szmat drogi.

— Nasza podróż ledwie się zaczęła — odparł Travis.

Spojrzał na dziewczynę, która z wyraźnym trudem utrzymywała się na koniu, wiedział, że czeka ją jeszcze wiele ciężkich chwil.

— Obawiam się, że wycierpisz się znacznie bardziej od obtarć, zanim dojedziemy na miejsce.

Jenny spojrzała na niego z podziwem. Miał taki elegancki sposób wyrażania się i był miły.

Travis ściągnął cugle swego konia, złapał też wodze kobyły.

— Przykro mi, że masz tak marne siodło.

— Trochę boli — Jenny uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Ale tylko od siodła, a nie od małżeństwa — dodała szybko. — A najbardziej chyba od konia. RzUCA mnie w górę i w dół przez cały czas.

— Jazda okrakiem nie jest odpowiednia dla kobiet. Byłoby ci znacznie wygodniej i podróżowalibyśmy szybciej, gdybyś miała damskie siodło.

— Tak jak damy w Kolonii, które siedzą na jednym boku? Na pewno bym spadła.

Travis przyjrzał się jej ubraniu: miała płócienne buty i długie reformy wystające spod podciągniętej wysoko kretonowej spódnicy.

— Gdybyś była jedną z tych dam z Kolonii, prawdopodobnie nosiłabyś również krynolinę — stwierdził zjadliwie. — Na pewno nie idzie ci lepiej na koniu niż większości z nich.

— Ale mogę się nauczyć! Nie spadłam ani razu, a przecież nigdy wcześniej nie siedziałam na koniu.

— Ależ ze mnie głupiec — mruknął Travis — coś takiego wcale nie przyszło mi do głowy.

Jenny zerknęła na niego nerwowo. Teraz on prowadził kobyłę. Jego ostatnie słowa zabrzmiały złowieszczo.

Przypomniała sobie, co powiedział właściciel tawerny.

„Jasne jak słońce, że to jest angielski dżentelmen. Wystarczy zobaczyć, jak się nosi, jak zachowuje, i posłuchać, ile autorytetu jest w jego głosie. Tacy jak on oczekują zawsze, że wszyscy będą skakać na dwóch łapkach, byle tylko im zrobić przyjemność.”

Sama widziała, że jest dżentelmenem. I wcale nie z tych, których Millie Garnett nazywała elegancikami. Prawdziwy dżentelmen. Może domyślał się, że właściciel tawerny wyrzuci ją za kłopoty, jakie sprawiła, i tylko dlatego na nią czekał. Nie chciał jej wykorzystać. Po prostu pomóc. Ale teraz pewnie żałuje, nawet uważa się za głupca, a wszystko dlatego, że ona nie potrafi robić rzeczy, które powinna umieć żona dżentelmena.

Jego żona. Uśmiechnęła się na samą myśl o tym, a potem poczuła, że małżeństwo może być także ciężarem.

Musiała stać się dla niego odpowiednią żoną, tego właśnie oczekują dżentelmeni, powiedział gospodarz.

Pod cienką bawełną pantalonów jej uda były starte do krwi. Ale siedziała w siodle na zbyt wielkim koniu, wczepiona stopami w strzemiona, przytrzymując się ich nawet palcami i nie skarżyła się ani słowem. Przyglądała się, jak Travis siedzi w siodle, i starała naśladować każdy ruch jego nóg i ciała. Spojrzała na ubranie, jakie nosił, a potem na swoje. Po długim wahaniu ośmieliła się wreszcie powiedzieć, co myśli. Obawiała się, że on uzna to za nieprzystojne. Kiedy jednak na jej udach przybyło obtarć, słowa jakoś się znalazły.

— Czy nie mogłabym mieć takiego ubrania jak ty? — zapytała.

Travis odwrócił się i spojrzał na nią.

— To męski strój, ty jesteś kobietą.

— Nie sądzę, żeby koń o tym wiedział.

Travis roześmiał się, co nie zdarzało się często, więc ten dźwięk zaniepokoił ją.

— Byłoby mi wygodniej — upierała się. — I moglibyśmy jechać szybciej.

Zatrzymał konia i wyciągnął z torby przy siodle zapasową parę bryczesów i buszmeńską bluzę.

Jenny wzięła ubranie i schroniła się za jakimiś drzewami. Podarła halkę na pasy, którymi zabandażowała poobcierane uda. Potem odrzuciła zakrwawione pantalony i wciągnęła za duże i za długie bryczesy, zawijając na dole nogawki tak, by opierały się na jej płóciennych butach, a w pasie związała je własną szarfą. Złożyła swoją jedyną sukienkę i starannie zawinęła ją w pozostałość halki.

— Wyglądasz jak dziesięcioletni chłopiec, który założył ubranie swego ojca — stwierdził Travis.

Tyle tylko, że nie jestem chłopcem, ot cała różnica — chciała powiedzieć Jenny, ale w porę ugryzła się w język, gdyż przypomniała sobie, że nie zapytał jej jeszcze o wiek. Było bardzo wiele spraw, o które nie zapytał, jakby nie obchodziły go odpowiedzi, których mogła udzielić. Ta myśl poprawiła jej humor.

Przez całą ich długą podróż Jenny uważnie obserwowała Travisa i uczyła się. Kiedy jej ruch zgrał się wreszcie z ruchem konia, ból w nogach i ciele ustąpił. Mężczyzna odzywał się rzadko. Kiedy jednak coś mówił, słuchała uważnie, choć rozumiała bardzo niewiele. Po prostu wsłuchiwała się w słowa i sposób, w jaki je wymawiał, a potem ćwiczyła, mamrocząc pod nosem.

Gdy dojeżdżali już do doliny, jesień zmieniała kolor liści i strącała je z drzew.

Travis od wielu mil nie odezwał się ani słowem, na jego twarzy malował się dziwnie potępińczy wyraz, jakby każda mila zwałała się na niego kolejnym ciężarem. Jest zmęczony, pomyślała Jenny, i poczuła kobiecą troskę o tego mężczyznę. Z zadowoleniem pomyślała, że to bardzo po żoninemu tak martwić się o męża.

I nagle równiny były już za nimi, a ukazały się góry wyrastające aż po niebo. Jenny w jednej chwili zapomniała o milczeniu Travisa i jego zmiennych nastrojach. W zachwycie spoglądała na pokryte już śniegiem góry, na złoto-zielone hale, na świat bez jednego człowieka. Od widoku tych srebrzystych szczytów czuła jakby ból tkwiący gdzieś głęboko.

— Jakie to piękne — wyrzuciła z siebie bez tchu. — I takie czyste.

Travis odwrócił się, by na nią spojrzeć, na jego twarzy malował się zagadkowy wyraz.

— Spójrz — wykrzyknęła wskazując ręką. — Czy to ptak?

— To lirogon — odpowiedział.

— Najpiękniejszy ptak, jakiego w życiu widziałam! — wpatrywała się w głowę z koroną i kolorowe pióra szeroko rozpostartego, jakby to był czas zalotów, ogona.

Kiedy wjechali w dolinę, Travis zatrzymał się, a koń uderzył kopytem w ziemię.

— Przybyliśmy do domu — powiedział Travis. — Tutaj mieszkamy.

— Dom! — Jenny westchnęła.

— Dom — powtórzył Travis, wspominając inne miejsce w innym czasie.

Jenny wpatrywała się w dolinę szeroko otwartymi oczyma, jej wielkość oszołomiła ją.

— Kocham tę dolinę — szepnęła wreszcie. — I zawsze będę ją kochać.

Tuż przed Gwiazdką czterdziestego trzeciego, w czasie największych upałów i plagi pcheł, Jenny powiła swoje pierwsze dziecko. Połóg był długi i ciężki. Momentami czuła strach równie wielki jak ból, ale wtedy właśnie zrozumiała, że ma w sobie siłę, którą Travis rozpoznał już wcześniej.

— Czy zawołać Mary Colebrook? — zapytał.

— Nie — szepnęła Jenny, która zrozumiała inne sprawy również. Fala bólu odpłynęła i wtedy udało jej się powiedzieć: — Odbierałeś żrebaka od kobyły. U ludzi odbywa się to tak samo. Zrobisz wszystko, co trzeba. Naszykowałam to, co będzie ci potrzebne. Ty odbierzesz dziecko.

— Moja wiedza na temat koni nie przygotowała mnie do radzenia sobie z kobietami — mruknął Travis.

A kiedyś myślał, że tak — i teraz musiał płacić za swą arogancję.

Krągłość Jenny wynikała z dziecięcych jeszcze kształtów, kiedy wydoroślała, okazała się szczuplejsza, niż oczekiwał. Nie była wcale obdarzona szerokimi biodrami, czego spodziewał się u wieśniaczki mieszanego pochodzenia, nadającej się do życia w twardych warunkach.

Poród był wolny i bolesny.

Jenny zaciskała szczęki, ścisnęła w pięści zwinięty kawał prześcieradła przyczepionego do słupków łóżka, które zrobił Travis. Nie wydała jednego dźwięku, tylko parła pośpieszając dziecko, by wyszło z jej ciała.

Wreszcie Travis wykrzyknął w lęku:

— Dobry Boże, nie mogę stracić mego syna.

Kiedy dziecko się urodziło, zobaczyli, że to dziewczynka. Jenny odwróciła twarz do ściany, by nie patrzeć na Trávisa. Łzy popłynęły jej po twarzy.

Czternaście miesięcy później, na początku czterdziestego piątego, urodziła następne dziecko, znowu dziewczynkę. Pierwszej nadała imię Jen. Drugiej Jody. Ale Travis nazywał najmniejszą Jo i Jenny wiedziała, że już przestał oczekiwać syna.

Coraz częściej spoglądał na Chrisa Colebrooka i niekiedy można było poznać, co czuje.

Jenny w takich chwilach starała się odwracać wzrok od męża, podobnie jak usiłowała nie patrzeć na Chrisa. W wieku siedmiu lat chłopiec był miniaturą ojca.

Travis rzucał się w wir zajęć, jakby ziemia, którą uprawiał, była tą, którą kochał i cenił w innym kraju. Czasami udawało mu się zająć pracą i ręce, i myśli.

Z biegiem lat w dolinie pojawiali się inni osadnicy, chętni do wypasania swojego bydła. Niektórzy płacili za możliwość wypasu, inni wdrapywali się wysoko na góry, by tego uniknąć. A niektórzy, tak podejrzewał Travis, swoje stada tworzyli z ukradzionych sztuk. Żaden z nich nie pozostawał na długo w dolinie. Albo zawracali, albo ruszali dalej w jeszcze dzikszy kraj.

Niektórym zbliżająca się jesień, z zimą depczącą jej już po piętach, wydawała się zbyt ciężka. Inni z kolei traktowali ją za zbyt małe odstraszenie, zwłaszcza jeśli groziło im coś gorszego.

Travis, kiedy chciał, potrafił być zręczny w słowach. Przedstawiał przybyszom wszystkie czekające ich kłopoty. Rozmawiał z ludźmi grzecznie, opowiadał o nadchodzących mrozach i stratach bydła, z jakimi trzeba się było liczyć. Niektórym mówił też o policjantach konnych, którzy pojawiali się niekiedy w odległości jakichś dwudziestu mil od doliny — chociaż sam nie opuszczał jej od czasu, gdy pojawili się przybysze, i oni dobrze to wiedzieli. Najbardziej wymowne były jego oczy i pistolet.

Travis i Colebrook pracowali razem, wspomagali się we wspólnej walce o przetrwanie, która łączyła ich tak, jak innych mężczyzn łączy przyjaźń.

— Myślisz, że uda nam się na długo zachować tę dolinę tylko dla nas? — zapytał Samuel Colebrook, unosząc w górę siekiere. Wycinali drzewa wzdłuż brzegu rzeki. — Nawet w Kumie, a to tylko pięćdziesiąt mil na wschód, osadnikom nie udało się zatrzymać całej ziemi. Teraz nazywają to Cooma Village. — Zamilkł i zamachnął się znowu siekiere. — Osadnicy rozprzestrzeniają się. Sam to kiedyś powiedziałeś.

— Będą szukać lepszej ziemi — Travis odsunął się na bok, aby podostrzyć siekiere.

— Ale wreszcie ruszą w naszą stronę — powiedział Colebrook, drażąc dalej temat. — Niektórzy osiedlą się wokół Gedzederick. A potem pójdą dalej.

Travis spojrział na niego. Trzy, cztery zdania, parę krótkich odpowiedzi, na tym zazwyczaj kończyła się ich rozmowa. Colebrook rzadko mówił więcej.

— Wszystko wokół ma już jakieś nazwy — ciągnął Colebrook. — Góry, rzeki, miejsca. Nawet Gedzederick jest na mapie, a to tylko o dwadzieścia mil stąd. Wreszcie dojdą i tu.

Travis uderzył siekierą w drzewo gumowe. Czuł, że za tymi słowami kryje się coś więcej.

— Nie dojdą — powiedział wreszcie. — Lato może ich przyciągnąć, ale zima odpędzi.

— A może ty? — Samuel Colebrook rzadko odzywał się tak bezpośrednio.

— O co ci chodzi?

— Przypominam sobie, jak sprawdzałeś ślady poza doliną, kiedy susza zagnała hodowców na wzgórza w poszukiwaniu pastwisk dla ich bydła. A trochę wcześniej, gdy osadnicy zjawili się w samej dolinie i rozłożyli obozem na południowym zboczu... — Colebrook przerwał, nie kończąc zdania.

— Czy chcesz, żeby tu przyszli? — zapytał Travis. — I zostali?

— Nikt mnie nie pytał o zdanie, prawda?

— Więc pytam cię teraz.

— Powiedzmy, że niektórzy. Nie wszyscy. Widać było, co to za jedni. Ale kilku, których można było przywitać przyjaźnie, odjechało, zanim jeszcze ich zima przestraszyła.

— To jest nasza ziemia — powiedział Travis, wbijając głęboko siekierę w drzewo. — Twoja po jednej stronie rzeki, moja po drugiej. Utrzymanie jej powinno obchodzić cię równie mocno jak mnie.

— Obchodzi mnie. Teraz już tak, choć kiedyś nie myślałem o tym w ten sposób. Nauczyłem się patrzeć na niektóre sprawy inaczej. — Samuel Colebrook oparł się na siekierze i palcami gładził świeże cięcie. — Chciałbym widzieć tę dolinę jako uznane przez władze osiedle.

— Wystarczy, kiedy dzieli się ją z jednym człowiekiem — odparł Travis, biorąc się do następnego drzewa.

Samuel Colebrook uśmiechnął się lekko i nieco enigmatycznie.

— Nie jestem człowiekiem, który chciałby się wszystkim dzielić — dodał Travis. Nie mógł powstrzymać uśmiechu, więc musiał mówić dalej. — A dwóch mężczyzn to za mało.

— Za mało do czego? — zapytał Samuel Colebrook.

Travis, zaskoczony, źle naciął drzewo, siekiera obsunęła się w dół po pniu. Oczyszczył ostrze z kory zastanawiając się, czy Colebrook nie wychował zdolności do czarnego humoru w zakamarkach swego umysłu.

— Do uznania przez władze osiedla. O tym chyba mówimy. A w ogóle, na miłość Boską, po co w ogóle o tym rozmawiamy? Nigdy wcześniej nie poruszałeś tego tematu.

Colebrook powrócił do pracy, jego uderzenia były słabsze niż Trávisa, jakby coś stawiało mu opór.

— Nie opuszczam często doliny i rzadko rozmawiam z ludźmi — powiedział. — Ale niedawno pojechałem rzucić okiem na Cooma Village i uciąłem sobie pogawędkę z tamtejszym osadnikiem. Sporo mi opowiedział o tym, co się dzieje na równinie. Monaro, tak ją nazwał. Dowiedziałem się o wielu rzeczach, o których nie miałem pojęcia. Ty też mi wiele mówiłeś, kiedy zjawileś się pierwszy raz w dolinie. — Uderzał siekierą, jakby rozłupując słowa. — Wtedy pasowało ci to do twoich własnych celów.

Travis rzucił mu krótkie spojrzenie, ale nic nie powiedział.

— Dowiedziałem się od tego człowieka — ciągnął dalej Samuel Colebrook — że jeśli nie mamy oficjalnej zgody na założenie osiedla, rząd może twierdzić, że ten teren należy do niego.

— Rządowe twierdzenia nie zawsze się liczą — powiedział Travis.

Po tych słowach zapadła cisza, długa cisza przerywana tylko uderzeniami siekier.

Kiedy Samuel wreszcie odpowiedział, jego głos był silniejszy niż zazwyczaj, słychać było w nim jakby godność.

— Może ja więcej myślę na temat przyszłości niż ty. Może mężczyzna nie dba tak o przyszłość, jeśli ma tylko córki. To różni nas od siebie. Ty byś chciał, żeby dolina pozostała taka jak teraz. Ja pragnę, by powstała tutaj osada. Jeśli rząd uzna oficjalnie to miejsce, będę się czuł bezpieczniej. Chciałbym, aby nazwisko Colebrook stało się częścią tej doliny, nawet wiele lat po tym, jak ja już zejdem z tego świata.

Wiele lat po tym, jak wszyscy zapomną nazwisko Travis. O to mu chodziło.

— Mnie obchodzi to, co jest tu i teraz — odparł Jonathan gwałtownie. Umilkł i rozejrzał się wokół, na jego twarzy pojawił się gorzki wyraz. — Cokolwiek ta ziemia jest warta, ale jest nasza. Mogę walczyć nawet z rządem, jeśli będzie chciał ją zabrać.

— Powiedziałeś kiedyś, że lubisz postępować zgodnie z własnym osądem. Ale jeśli chodzi o ziemię, wolałeś wszystko załatwić oficjalnie.

— Moje prawo do tej ziemi jest odpowiednio ostemplowane, podpisane i opłacone. To oficjalne załatwienie sprawy. Wiem, co mówią na ten temat przepisy — powiedział Travis. — Człowiek lubi wiedzieć, że nikt nie może tknąć jego własności.

— Jeśli człowiek nada czemuś swoje nazwisko, to coś należy do niego — zgodził się Colebrook.

Travis wiedział, że teraz chodzi mu o chłopca, nie o ziemię. Na tym skończyła się najdłuższa rozmowa, jaką kiedykolwiek prowadzili.

Samuel nie wspominał już o osadzie, jak zwykle ugiął się przed uporem Jonathana. Ale przynajmniej raz małe zwycięstwo Trávisa nie pozostawiło mu uczucia gorzkiej porażki.

Jak każdego lata przyleciały ćmy. Migrowały z północy, szukając schronienia w wysokich górach, w szczelinach i pęknięciach granitowych skał. Potem czarni pokazali się pod szczytami. Ich ogniska zapłonęły na halach, dym zakrył niebo. Ćmy wygnane ze szczelin dymem wznosiły się na osłabłych skrzydłach, a potem spadały do ognisk, gdzie piekły się, a w końcu były zjadane.

Travis i Colebrook pracowali razem, przygotowując się do walki z ogniem, na wypadek gdyby się rozprzestrzenił. Przy wietrze wiejącym w stronę wylotu z doliny płomienie mogły ich dopaść niby rwąca rzeka, spływająca w dół po skałach. Jenny Travis pomyślała, że Jonathan z ulgą przyjął zmianę kierunku wiatru na niebezpieczny, teraz mógł szykować się do walki z ogniem, a nie z samym sobą.

Kiedyś weszła na wóz, z którym jej mąż przyjechał do doliny, by poszukać jakichś przedmiotów, które mogłyby się jej przydać. Starła się zmienić prostą chatę w dom. Ale w kufrze znalazła tylko ubranie i dziennik.

Przeczytała dziennik, po czym odłożyła go na miejsce i zamknęła kufer. Nigdy nawet nie wspomniała o tym, co znalazła, ale całe zdania zapadły jej w pamięć.

„...Ziemia Van Diemena w zimie wygląda jak Anglia... w pobliżu Port Arthur jest nieco cieplej niż w głębi lądu i burzyki zbierają się na brzegu. Przychodzą aborygeni i polują na nie. Aborygeni są kłopotliwi, ale nieszkodliwi...”

„...dowiedzieliśmy się, że mają zwyczaj spędzać zimy w pobliżu miejsca, gdzie powstaje teraz fort. Może dlatego wciąż tu wracają...”

„...zanieśliśmy kosze jedzenia, dla uspokojenia aborygenów. Tak wielu ich zebrało się wokół fortu. Mój Boże! Nie miałem pojęcia, że jedzenie jest naszpikowane arsenikiem. Umarli tak straszliwie...”

„...łatwiej jest, jeśli człowiek nauczy się nienawidzić czarnych...”

„...właściciel majątku twierdzi, że w okolicy Van Diemen mieszka kilka tysięcy aborygenów, to jest jakieś szesnaście szczepów, i jeśli biały człowiek chce zaludnić te ziemie, wszyscy miejscowi muszą albo odejść, albo zginąć. Są nazbyt uparci i nie dają się wygonić...”

„...powiedział, że jeszcze nigdy nie dało się zdobyć ziemi bez rozlewu krwi. Słyszę wciąż te słowa, ale nie przynoszą mi ulgi. Przenoszą moje myśli w inne miejsca, w inny czas...”

Jenny rozważała to ostatnie zdanie, czując, że może zawierać klucz, który odkryłby przed nią sekrety, odpowiedział na pytania, których nigdy nie zadała swemu mężowi.

W dzienniku nie znalazła nic więcej na temat przeszłości.

„...dlaczego mówi o rozlewie krwi? Przy truciźnie nie polała się ani kropla. Ale smród rozkładających się ciał jest nie do zniesienia. Nie sposób się go pozbyć, jak wspomnień...”

„...zdecydowałem się opuścić to miejsce następnym statkiem i tak też zrobiłem...”

„...czarni, którzy mieszkają wokół Sydney, należą do innej rasy, wyglądają na bardziej prymitywnych, mniej negroidalnych...”

„...mądrzej jest myśleć o czarnych po prostu jako o grupie. Nierozsądnie jest pozwolić sobie na zapamiętanie jakiejś twarzy. Ostatnio przypominają mi się te twarze i nie mogę znieść wspomnień. Postanowiłem jechać dalej...”

„...przed opuszczeniem Sydney rozmawiałem z polskim lekarzem. Nazywa się Lhotsky. Właśnie wrócił z podróży po pokrytych śniegiem górach na południu. Mówił, że tam wysoko nie napotkał ani jednego aborygena...”

Jenny powiedziała sobie, że musi uważać na chmury ciem, które nadlatywały z gór. Będą ją ostrzegały o letnich chandrach Jonathana. Nie musiała już za nie obwiniać samej siebie.

Na początku sądziła, że Jonathan jest zły na nią, gdyż uważa, iż go zawiodła, i żałuje zawartego małżeństwa. Jeszcze bardziej starała się stać kimś lepszym, by mógł bardziej zaakceptować ją jako część swego życia. Powoli osiągnęła pozorne podobieństwo, używała tych samych słów co on, naśladowała jego maniery i manieryzmy, przyjmowała jego postawy, jeśli tylko zdołała je zrozumieć.

Kiedy Jonathan do niej mówił, słuchała z wielką uwagą, nigdy nie robiła uwag, które mogły go zniechęcić. Takie rozmowy nie były częste i zazwyczaj dotyczyły życia w dolinie, codziennej pracy i mglistych planów. Rzadko poruszał sprawy rodziny. A nigdy nie mówił o sobie ani nie zdradzał swych myśli.

Przyglądała mu się, jak poprawia trakt prowadzący do stajen, które były większe i porządniej zbudowane niż chata, w której sami mieszkali.

— Czymkolwiek stanie się ta dolina, nie będzie należała do Travisa. W każdym razie dopóki nie zacznie on traktować członków własnej rodziny równie dobrze jak swoje konie — powiedziała głośno. Ostatnimi czasy coraz częściej zwracała się do siebie.

Poczuła gniew.

— Czasami wydaje mi się, że wyżej ceni kobyłę niż mnie. Ona urodziła dwa źrebaki, ja dwie córki. Więc jest lepsza ode mnie. Jezu!

Dwie małe dziewczynki bawiące się na podłodze chaty zaczęły popłakiwać, słysząc złość w głosie matki.

Odwróciła się do nich, ukołysa je i zabrała się z powrotem do czytania, do swej nauki, odrabiania lekcji, poprawiania siebie dla Jonathana. Pracowała nad książką z pieczęcią Oriel College, Oxford, wykorzystując to, czego się wcześniej nauczyła na Biblii.

W 1846, kiedy zbliżały się jej piętnaste urodziny, Jenny była żoną i matką, która stała się jednocześnie uczennicą, walczącą o poprawienie swojej przeszłości. Ale jej głębokie zrozumienie mężczyzny, którego poślubiła, zawdzięczała właśnie tej przeszłości, czasom, kiedy mieszkała między dziwkami.

Wiedziała, że przeraźliwe nocne koszmary Jonathana, gdy budził się z krzykiem, a potem leżał godzinami, nie potrafiąc już zasnąć, odsuwają go od niej.

Lata spędzone w dolinie umocniły w niej zmiany, stała się jakby posągami oczekiwania, nieprzemijającym, niby śnieg na szczytach.

Ale ja jestem wciąż sobą, powtarzała, z upływem czasu coraz częściej.

Ta myśl uporczywie przypominała o żywej dziewczynie ukrytej pod maską spokoju, jaką przywlekła dla wygody Jonathana. Bywały dni i noce, kiedy na gładkiej, grzecznej powłoce pojawiały się rysy.

— Nie da się zrobić jedwabnego sączka z sowiego ucha — powtarzała wtedy sobie.

Kiedy Jonathan budził się lub skądś wracał, ukrywała te pęknięcia, kontrolowała swe myśli i starała się być żoną, na jaką, jej zdaniem, zasługiwał.

Jonathan patrolował górskie szlaki, a nieraz zapędzał się aż na równinę.

Tam hodowcy przepędzali tylekroć swoje stada, aż nie zostawało nawet źdźbło trawy. Wtedy palili ściernisko, by w następnym sezonie lepiej porosło i ogień niszczył las. Kiedy przychodziła susza, trawy rosło zbyt mało, by nawet płomienie miały się czym pożywić. Wtedy

większość hodowców gnała stada na południe do Gippsland, ale niektórzy ruszali w góry — i czasami Travis nie był jedynym, który bronił szczytów.

Podczas letniego patrolu na początku stycznia czterdziestego siódmego roku spotkał hodowcę wracającego na równiny ze swym stadem.

— Nie idę wyżej — powiedział on Travisowi — lepsze kiepskie pastwisko niż strata całego stada. — Rzucił tylko wzrokiem w stronę gór i nie mówiąc nic więcej ruszył przed siebie.

Blżej doliny Travis spotkał kolejnego wracającego, a właściwie uciekającego w pełnym galopie, z rozproszonym stadem.

— Aborygeni! — krzyknął tylko wolarz, mijając Trávisa.

Wtedy Jonathan zauważył czarnych, całą ich grupę przy wjeździe do doliny. Kiedy podjechał bliżej, jeden z nich uniósł głowę, a w oczach błysnęło mu rozpoznanie.

Travis zrozumiał, że widział już wcześniej tego aborygena — w tym samym miejscu, w dniu, kiedy się tu po raz pierwszy zjawił, i później, gdy chodził po buszu. Twarz czarnego człowieka wydawała się taka sama jak innych aborygenów, a jednak była inna — inna dlatego, że go rozpoznał. Jakby posiadali wspólnie jakąś wiedzę lub coś innego, co czekało na właściwe miejsce i czas. Coś, co on widzi w mojej twarzy, w moich oczach, pomyślał Travis. Jechał na koniu i nie był zdolny nawet, by sięgnąć po strzelbę przy siodle.

Buszmen odwrócił się i odszedł, ignorując go, reszta grupy podążyła za nim. Travis odjechał jeszcze kawałek, wreszcie zatrzymał konia i siedział tak, patrząc na dolinę.

Zajmowała taki sam obszar jak Langley w Surrey. Cała dolina, ani mniej, ani więcej.

Nienawidził jej. To nie było Surrey, to nie było Langley z farmami, których pola otaczały żywopłoty, z szerokimi alejami o pięknej perspektywie i ogrodami, za którymi wznosił się wielki dom. To nie było Langley. To było odbicie drugiej strony jego natury. Gwałtownej i złej. Ciemnej strony, zabranej tu ze sobą. Była ona wszystkim, co pozostało, kiedy podniósł strzelbę, by oddać strzał, który wypłoszył z gniazd ptaki, wyganiając je w angielskie niebo.

Opadły go stare wspomnienia.

„Wierzę, że ty przywrócisz imieniu Travis honor, stracony przez naszych przodków — powiedział kiedyś do niego ojciec. — Nie nadałem tego imienia memu najstarszemu synowi, zrozumiesz dlaczego. Ale twoje imię jest częścią naszej tradycji. Związana jest z nim nasza hańba i mam nadzieję, że dożyję dnia, kiedy ją zmyjesz lub przynajmniej umrę, nim stanie się przeciwnie”.

Ale żył zbyt długo.

Honor, który stracili jego przodkowie... Jeden Travis dał się zabić w pojedynku po tym, jak przyłapano go na oszukiwaniu w grze, gdzie stawką była jego ziemia. Drugi starał się o łaski zarówno Karola Pierwszego, jak i Cromwella, przy czym stawka była ta sama. Takie momenty rodzinnej historii były archaiczne, absurdalne i ważne tylko dla jego ojca. Ten prawdziwy dwulicowy Travis, starający się zawładnąć ziemią, urodził się dopiero w 1802 roku. Jego ojciec spłodził o jednego syna za dużo. A potem żył zbyt długo.

Na Farmie Colebrooka Mary wychodziła właśnie z chaty, tuż za nią szedł mały Chris. Travis widział ich z wylotu doliny. Mary Colebrook i jej syn. Cała dolina, ani piędzi ziemi mniej. A połowę zdobyła ta kobieta swoim ciałem.

Tej nocy po raz pierwszy odsunął się od Jenny, ułożył się na szorstkich bawełnianych prześcieradłach i znalazł dziwny spokój, karząc się odmową syna, którego mogła mu dać. Ale noc nie potrafiła uwolnić się od dnia. Przyśnił mu się jego brat i miał on twarz czarnego człowieka, który patrzył na niego i znał jego myśli, a potem odwrócił się od niego i jego strzelby.

Przez całe lato Jonathan nosił ciężar, który ustąpił dopiero, gdy skończyło się palenie ciem i zniknęły ślady pobytu czarnych współmieszkańców.

Jenny z ulgą powitała jesień, ale nie na długo, bo zimą ciężar przygniatający jej męża stał się jeszcze trudniejszy do zniesienia, ponieważ nie było ognisk, z którymi mógł się zmagać, żadnych zewnętrznych bojów dających ujście dla jego energii i gniewu.

Szukając słów, które potrafiłyby wyrazić to, co przeczuwała, Jenny wróciła myślami do Lower Rocks w mieście Sydney i usłyszała, jak Millie Garnett mówi: „On jest z tych nawiedzonych”.

Kiedy spadł głęboki śnieg, szczep Ngarigo przygotował się do zimowego rytuału, po którym wybierał się na wyższe szczyty, a potem w dół wąwozem do swych leży w dolinie Ngarin-ga.

Młodzi mężczyźni po inicjacji poznawali swoje nowe obowiązki mężczyzny, uczyli się tańców i pieśni Ngaringi, który patrzył, jak góra otwiera się i połyka jezioro.

Z głowami odrzuconymi do tyłu i rozpostartymi rękami, rycząc jak ranne byki, naśladowali okrzyk pękającej skały i widzieli swe czarne ręce rozrywające białe ciało. Następnie z rękami opuszczonymi i głowami zwieszonymi jęczeli, gdy czarna skała spotykała się z białym lodem, by wspólnie dać życie dolinie.

Przez całą noc słyhać było ich wołanie.

3.

Od późnego maja po wczesny październik szczyty gór wyglądały jak lodowata dłoń pływającego ciała wielkiej krainy. Kiedy spadł śnieg, palce sięgały przejść i ścieżek zamykając je, a potem zaciskały się niby twarda pięść, która rozluźniała uchwyt dopiero z wiosennymi deszczami.

Travis wiedział, że jest w stanie znieść mękę lata, ale nie wytrzyma kolejnej zimy. Jesienią czterdziestego szóstego poczuł przerażenie, że martwe miesiące są już tak blisko.

— Zima nie jest dobrym czasem dla mężczyzny — powiedziała Jenny, popatrując na Jonathana. Robiła z ziemniaków whisky metodą, której nauczyła się od irlandzkich kochanków swojej matki. — Mężczyzna od czasu do czasu musi się rozgrzać — stwierdziła. Whisky była słabo przedestylowana, ale nadawała się do picia. — O tej porze roku lepiej się napić, by wygnać zimno z kości.

Travis nie odpowiedział, ale przyjął trunek i zatracił się w jego oparach.

Kiedy Jenny zobaczyła, że usnął, podeszła do okna. Słysząc było krzyki czarnych odprawiających swe obrzędy w dalekim końcu doliny, tam gdzie przechodziła ona w wąwóz.

— Co roku o tej samej porze zjawia się tutaj kilku — ostrzegł ją Samuel Colebrook podczas pierwszej zimy, jaką spędziła w dolinie, jeszcze w czterdziestym trzecim. — Latem też nieraz zobaczysz któregoś z nich na szczytach. Ale zawsze w środku zimy przychodzą wąwozem do doliny. Wydają diabelskie dźwięki. Jakby wyli. Skaczą, wgapiają się w wąwóz i wyśpiewują raz po raz jedno słowo. Niggeringa, niggeringa. — Samuel Colebrook uśmiechnął się zadowolony z siebie. — Po tylu latach nauczyłem się rozróżniać słowa. Mówię ci to tylko po to, byś wiedziała, że nie ma się czego bać, jeśli ich zobaczysz czy usłyszysz. Nie przeszkadzają nam.

Przeszkadzają Jonathanowi, pomyślała Jenny. Wyraz jego twarzy przypominał jej innych mężczyzn. A to z kolei zwracało myśli ku matce.

Mężczyzna, którego Millie przyprowadziła pewnego dnia do domu, miał tak samo szarą skórę, jak nieboszczyk, którego przyniesiono innego dnia z portu. Millie wprowadziła go do swego baraku, trzymając za rękę, jakby nie miał własnej woli. Nie wzięła go do łóżka, jak to robiła z innymi. Po prostu usiadła koło niego, trzymała za dłoń i poklepywała ją. I nuciła cicho, jak wtedy, gdy Jenny była mała. Teraz dopiero jej się to przypomniało. Millie śpiewała, gdy Jenny była dzieckiem. Tuląc córeczkę nuciła cicho.

Tamtego razu Millie tuliła mężczyznę i nuciła mu. A on płakał. Łzy spływały po szarej twarzy, zostawiając długie, brudne ślady. Jak pręty w celi twierdzy koło doków. Więzienia, z którego odsyłano mężczyzn na wyspy. Kawalerzyści nazywali je diabelskim miejscem. Diabelską gnojówką, do której wrzucano człowieka. Z wysp nikt nie wracał, tak przynajmniej twierdzili strażnicy, ale niektórzy jednak wracali.

Millie trzymała go, śpiewała, a potem przyszli strażnicy, wyłamali drzwi i odciągnęli mężczyznę od Millie. Działo się to w nocy. Przez wyłamane drzwi wpadł wiatr i zdmuchnął świece. Lampy rzucały pasma światła. Oświetliły łóżko, na którym leżała na wpół rozespana Jenny. Świecili jej w oczy.

To następne wydarzenie również miało miejsce w nocy. Wtedy, gdy zobaczyła nieboszczyka przyniesionego z portu. Był prawie nagi, przynajmniej to, co zostało z niego. Kilka szmat wisiało w strzępach, ale materiał w pasy wyraźnie świadczył, że był to zesłaniec z wysp. Oczy miał otwarte, jakby wciąż jeszcze patrzył, usta też, jakby chciał coś powiedzieć. Szara, martwa twarz mówiła i patrzyła. Szara jak zimowe niebo, ponieważ nie było już w nim krwi, tak ktoś tłumaczył, kiedy zebrał się tłum, by popatrzeć na szarego człowieka. Rekiny odgryzły mu rękę i nogi, i krew po prostu wypłynęła z niego.

Jenny odwróciła się od okna i zajęła sortowaniem gliniastych kartofli do fermentacji z drożdżami na zacier do whisky.

Śpiewanie ani uzalanie nie pomogło szaremu mężczyźnie. Millie już nigdy w życiu nie uzalała się nad żadnym mężczyzną. Nad nikim.

Rankiem po rytualnej nocy, kiedy czarni odeszli, Travis rozłożył żywność dla swego niewielkiego stada bydła, a potem ruszył brnąc w głębokim śniegu w stronę wąwozu.

Stanął na skraju, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Nie zauważył Mary Colebrook do chwili, kiedy odezwała się. Wtedy zrozumiał, że musiała iść za nim.

— Nawet śladu po sobie nie zostawili — powiedziała, a on miał wrażenie, że naśmiewa się z niego.

Milczał próbując ją ignorować. Widział przed sobą jej nagie ciało, tak jak wtedy gdy go odwiedziła. Była kobietą, która odkryła namiętność, a potem zrzuciła swe problemy na głowę Boga.

— Uginasz się pod brzemieniem diabła, Jonathanie Travis. — Jej głos był łagodny i cichy, ale w jego uszach brzmiał ostro i drażniąco. — Uginasz się pod brzemieniem wszystkich diabłów, jakich sprowadziły do ciebie twoje grzechy.

— Dziwaczna koncepcja — odparł Travis, spoglądając na nią i pozwalając oczom wyrazić więcej. — Tylko Bóg wie, co się dzieje w twojej głowie.

— Powinien. Są w niej jego własne myśli.

Zwariowała z poczucia winy, pomyślał Travis, czując w tej chwili wspólnotę z tą kobietą.

— Jesteś złym człowiekiem, Jonathanie Travis. Gorszym, niż się do tego kiedykolwiek przyznałeś — upierała się. — To nie przypadek, że nosisz znak kainowy.

Odwrócił się i odszedł od niej, a ona stała i mówiła dalej. Travis poczuł przenikający go chłód, wiatr wiał doliną, a potem uchodził dalej wąwozem.

Wdrapał się na płaskowyż wysoko w górach. Stał znużony, jakby stracił siły, by zrobić choćby jeden krok. Nie miał już dokąd iść. W tym obcym świecie nie było powodu, by przychodzić, ani nadziei na odejście. Wygnańcy nie mają domu.

Od dziesięciu lat egzystował w tej dolinie, a lata zesłania rozciągały się na czas pobytu w Sydney i na ziemi Van Diemena, którą znowu zamierzano oczyścić i nadać jej nową nazwę: Tasmania. Jakby zmiana imienia mogła naprawić lub pogrzebać przeszłość.

Przeszłość nie mogła być pogrzebana ani na najdalszych lądach, ani w najgłębszych oceanach, pomyślał Travis. Spoglądał w kierunku wschodu na ścianę gór, za którymi leżało morze. W myślach wciąż przemierzał drogę, która przywiodła go na zesłanie.

Zesłanie, które zaczęło się w chwili, gdy sam uznał się winnym. Przypadkowy ruch ręki mógł odpowiadać intencji umysłu — tak jak powiedziała Mary Colebrook. Nigdy nie będzie tego pewny. Wrócił myślami do dnia, który przypieczętował wszystko, co się później przydarzyło; dnia, którego nie potrafił zapomnieć...

Kiedy siedzieli jeszcze w gabinecie ojca, oczy brata spoglądały na niego wyzywająco. Jego wzrok mówił: nie możesz ze mną współzawodniczyć, ponieważ nic nie zmieni naturalnego porządku rzeczy. Travis stał i słuchał ojca, który opowiadał, co zgodnie z tradycją przynależy młodszemu synowi. Père et fils aîné. Frère aîné. Frère cadet. L'ordre traditionnel.

Najstarszemu synowi przypadał tytuł i włości po ojcu. Drugi z kolei potomek powinien zrobić karierę w wojsku. Trzeci zająć się polityką, a na czwartego czekał stan duchowny. Ale ich ojciec nie miał trzeciego ani czwartego syna. Może Travisowi byłoby łatwiej, gdyby byli też inni synowie, inni bracia, inne życia odrzucone z powodu naturalnej kolei rzeczy. Z powodu tego, że urodził się drugi w kolejności.

— Oczywiście dołączysz do mego starego pułku, dziewięćdziesiątego piątego — powiedział ojciec, kiedy tylko powitał młodszego syna, który wrócił do domu po sześcioletnim pobycie w Oriel College w Oksfordzie. — Nauczysz się dyscypliny i odnajdziesz swoją rolę w uporządkowanym społeczeństwie.

Ale tak się nie stało. Jeden strzał i porządek rzeczy zmienił się.

Teraz już nawet nie potrafił sobie przypomnieć twarzy brata. Pamiętał tylko oczy. Ciemne oczy, które patrzyły na niego, zanim głowa odwróciła się.

Ptak przeleciał tak nisko, dokładnie na linii strzału, to było jak wyzwanie...

— Oczywiście przyłączysz do mego pułku.

— Nie mam inklinacji do kariery wojskowej, ojcze. — Mundur z czerwoną kurtą, by nie widać było krwi od rany bitewnej, która mogłaby zniechęcić następnych morderców na komendę. — Nie chcę zabijać ludzi.

Specjalne oddziały gubernatora Arthura nosiły ciemne mundury. George Arthur, gubernator Ziemi Van Diemena w stopniu porucznika, który najpierw stłumił bunt niewolników w Hondurasie, a potem bunt zesłańców na antypodach. I wybił całą miejscową ludność. Znajomość z takim człowiekiem byłaby powodem dumy dla ojca Trávisa. Tylko sześć czy osiem lat młodszy od niego, żołnierz pułku walczącego w czasie wojen napoleońskich we Włoszech, w Egipcie, Sycylii, Niderlandach. Ojciec pewnie byłby także dumny ze swego syna, policjanta.

Travis Jonathan... Jonathan Travis nieznanego pochodzenia, bez stopnia i dokumentów, jeden z morderców... w pobliżu portu na południe od Eaglehawk Neck i w głębi kraju koło wielkiego jeziora. Wreszcie stał się częścią naturalnego porządku rzeczy, bez sprzeciwu wypełniając najgorsze ze wszystkich nienaturalnych rozkazów. Ludobójstwo, nazywane inaczej: pozbywaniem się z wyspy zarazy, usuwaniem kłopotów, oczyszczaniem ziemi dla osiedleńców.

Osadnicy nosili ciemne, grubo tkane spodnie i ciemne flanelowe koszule. Ciemne jak mundury policjantów. Ciemne jak trucizna. Ciemne jak ich ofiary. Ciemne jak oczy brata.

Właśnie wtedy nie potrafił już sobie przypomnieć jego twarzy — tylko ciemne oczy patrzące na niego, ciemne oczy w ciemnej twarzy.

Patrzyły na niego, a potem głowa odwracała się. Ciemny człowiek odwracał się też.

Wypłoszone z ukrycia przez naganiaczy kuropatwy dobiegały do żywopłotu i za chwilę mogły zniknąć. Nagonka ze strzelbami i flintami ruszyła do przodu, ustawiając się w półksiężyc, odległości między myśliwymi zmniejszyły się, tak że byli teraz jeden od drugiego w zasięgu strzału. W grupie sześciu mężczyzn widzieli się wszyscy, celowali do ptaków lecących mię-

dzy dwoma szpalerami drzew. Naganiacze znajdowali się dobry kawałek z przodu przed strzelcami, płoszyli ptaki dla czekających w ukryciu.

Od stada oderwała się samotna kuropatwa, zwabiona cichym gwizdem wabika. Wznosiła się i opadała, przecięła linię strzału Trávisa, potem uniosła się znowu w górę, ledwie widoczna nad żywopłotem.

Jego strzelba sunęła za nią, zeszła z linii, z obszaru bezpiecznego, z wyznaczonego mu obszaru, podążała za ptakiem, zwabiona ptakiem, tak jak ptak wabiony był piszczałką.

Patrząc wzdłuż lufy strzelby, zobaczył, jak ptak chyboce się, jakby zaczepiony na jej końcu.

A potem nie było już ptaka, tylko twarz brata i patrzące na niego oczy, odwracająca się głowa, odwracające się ciało.

Nabój uderzył go między łopatkami — metalowa kula wbiła się w ciało i eksplodowała. Dokończył obrotu i dopiero wtedy upadł na bok.

Odgłos wystrzału wystraszył ptaki. Samotna kuropatwa wleciała nad żywopłotem, podążając za resztą stada w kluczu, które przecinało angielskie niebo.

Nigdy nie myślałam, że posłucham nauk dziwki, myślała Jenny przyglądając się tej nocy mężowi i znowu wracając pamięcią do swej matki.

Millie Garnett nauczyła się rozumieć mężczyzn, szczególnie tych nawiedzonych.

— Wszystkie te piękne panie, które jeżdżą w powozach i patrzą z góry na takie jak ja, nic nie są warte. Nawet nie oplaca się zdejmować z nich tych całych jedwabi i koronek. Kiedy mąż takiej potrzebuje prawdziwej kobiety, przychodzi do mnie, bo dobrze wie, że od niej nic nie dostanie, najwyżej nagniotki na kutasie. Są tak samo twarde i suche w środku jak na zewnątrz. Wiesz, co powiedział do mnie pewien dżentelmen ostatniej nocy? Millie, powiedział, założę się, że gdybym włożył ci w dziurę miedziaka, zamieniłby się on w złotego suwerena. Ci dżentelmeni z damami niby sosnowe deski, co je mają za żony, potrafią docenić prawdziwą kobietę. Ale to ci inni... — Millie zamilkła, kąciki jej ust opadły, ręka powędrowała do oczu, by wytrzeć nagłą łzę.

Wszystkie one są takie same, pomyślała dziewięcioletnia Jenny. Wszystkie te dziwki na Row. Gotowe posikać się ze wzruszenia, powiedziała na głos, cytując jednego ze swych irlandzkich dziadków.

Ci inni. Mężczyźni, którzy opowiadali, że złączą życie na nowej ziemi, ponieważ mężczyźni zawsze tak mówią, nawet jeśli w to nie wierzą. Mężczyźni nienawidzący tej nowej zie-

mi, bo dotarli do niej popędzani pejcem, ciągnący łańcuchy lub wpatrzeni w kraty więzienne. Mężczyźni z przeszłością, która na zawsze zamykała przed nimi przyszłość. Nawiedzeni. Mężczyźni o tym samym spojrzeniu co Jonathan.

Prawdziwa kobieta potrafi swoim łóżkiem i swoim ciałem stworzyć inny świat dla takiego mężczyzny. Świat, w którym on będzie mógł się ukryć.

Matka wyłożyła jej to inaczej.

— Ich życie nie byłoby warte złamanego szeląga, gdyby nie kobiety takie jak ja — mówiła Millie. — Wlewamy w nich grog, by ożywić krew, i wtedy dajemy im miłość. Nie taką tam miłość za pół korony godzina, jak innym. Prawdziwą miłość. A jeśli już nawet tego nie potrafią pragnąć, dajemy im to, co przynosi zapomnienie. Nawet pozwalamy im mścić się na nas.

Głos jej matki zabrzmiał jakoś inaczej, stał się gorzki.

— Wiele razy dostałam od nich. Wybili mi dwa zęby. Jeden usiłował oderwać mi cycek. Kiedy zaczynają tak się zachowywać, trzeba im oddać. Ale nie można udawać, że się nie wie, czemu tacy są. Potrzebują odegrać się na kimś. A w łóżku wychodzi na wierzch wszystko. Wszystko, co w nich jest. Każda rzecz. Kiedy kobieta idzie do łóżka z mężczyzną i nie wie, czy wyjdzie z niego ze wszystkimi zębami i oboma cyckami, to jest miłość. Szczególny rodzaj miłości.

Na twarzy Millie, kiedy to mówiła, pojawiła się melancholia.

— Wybił mi dwa zęby, a rano wetknął je w mój kapelusz. Teraz jesteś moją perłową królową, powiedział.

I znowu rozplakała się, a Jenny przypomniała sobie londyńczyka, który innym podrzynał gardła, ale sam się powiesił, zanim ona się urodziła.

Wspominając matkę, Jenny przyglądała się mężowi i zastanawiała się, czy jej chętnie spełnianie wszystkich życzeń w łóżku wystarczy, by zapomniał.

Nie, odpowiedziała sama sobie. Otwieram się dla niego, to wszystko, co potrafię zrobić. Otwieram moje usta, ramiona, nogi i pozwalam mu robić, co chce. A to nie wystarcza.

Skupiła się, starając przypomnieć wszystko, co wcześniej tak bardzo pragnęła zapomnieć. Wszystko co działo się w ruderze, którą jej matka dzieliła z dwiema innymi dziewczynami. I rady, które powtarzały sobie dziwki, rozmawiając o swym zajęciu jako o sztuce i rzemiośle. Tak jak wielkie damy dyskutujące o robieniu koronek i haftach. Widywała te panie pograżone w rozmowie, kiedy ona w ich domach starała się coś zwinąć. Ale pamiętała tylko słowa dziwek.

Tego wieczora Jenny dodała do whisky mieszankę ziół, które stosowała jej matka. A potem w łóżku użyła swych ust i dłoni, tak jak używała ich jej matka.

Jonathan usnął w jej ramionach. Leżała rozbudzona do samego rana, trzymając go, nasłuchując czy powtórzy się nocna litania koszmarów, które mówiły jej więcej, niż on kiedykolwiek jej powiedział. Ale tej nocy spał spokojnie.

Minęła zima czterdziestego siódmego roku i wiosenne roztopy napelniły dolinę, by potem przelać się w dół wąwozem. Od morza wiały ciepłe wiatry. Nad głowami przetaczały się ciężkie od deszczu chmury, docierały na równinę i tam uwalniały się od swego ciężaru. Im bliżej było do lata, tym robiło się bardziej sucho, wreszcie z północy przybyły ćmy w ciemnych rojach.

Grudniowy letni upał zdawał się kpić z Gwiazdki.

Na wzgórzach pojawiły się ogniska, a ich dym przesłonił nawet białe czapy lodowca na najwyższych szczytach.

— Gwiazdka w czerwcu ma znacznie więcej sensu niż w grudniu — mówiła Jenny zлана potem nad gorącym piecem, gdzie piekła ptactwo i przygotowywała sos do gorącego puddingu z owocami. Gwiazdkowy pudding, nasączony rumem, odwieszala potem w płótnie na krokwi, jak oscypek.

Ale wiedziała, że w całej Kolonii, nawet tam gdzie było znacznie goręcej, tradycja zostanie utrzymana. Brzuchy wygłodniałe od oczekiwania na ucztę gwiazdkową wypełnią się w chwili największego upału. O trzeciej po południu połowa populacji będzie leżała pod umiarkującymi gałęziami gumowców przybranych kawałkami papieru i waty naśladującymi płatki śniegu, imitacjami choinek.

Taki był zwyczaj.

Ziemia ojczysta stawała się wtedy mniej odległa, mniej nierealna dla tych, którzy urodzili się w Kolonii i nie bardzo potrafili wyobrazić sobie takie miejsce jak Anglia.

Tak naprawdę to wcale nie przybliży Anglii — myślała Jenny patrząc na Jonathana. Świadomość, że tam jest zimno, kiedy tu jest gorąco. To musi ją jeszcze bardziej oddalać, jakby była po innej stronie czasu.

Podobało jej się brzmienie tych słów. Powtarzała je i zmuszała się, by nie myśleć o Jonathanie i tym, co dostrzegala w jego twarzy. Ale nie potrafiła nie widzieć, jak stoi przy oknie, wpatrując się w farmę Colebrooka.

— W cholernym czerwcu miałyby to większy sens — wyszeptała, przypominając sobie sposób mówienia matki; lepiej się czuła w towarzystwie zapamiętanych głosów.

„Nalej mi jeszcze drinka, Paddy. Jestem tak wysuszona, że aż pękam w szwach. Masz, Millie, moja kochana. Dziewczyna taka jak ty nie potrzebuje innych pęknięć poza tymi, które jej dała natura. Trzymaj swoje brudne łapska przy sobie, Paddy, póki nie skończę obiadu.”

Millie Garnett wiedziała, jak zrobić, żeby Gwiazdka była pogodna, sprośna i hałaśliwa, ale wesoła, pomyślała Jenny. Nagle zatęskniła za matką, którą nauczyła się pogardzać, i za życiem, którego tak nienawidziła.

Odwróciła się do Jonathana, jakby już dłużej nie potrafiła znieść świadomości, że on wpatruje się poprzez dolinę i myśli o Chrisie Colebrook, swoim synu, który obchodził w świątecznym tygodniu swoje dziesiąte urodziny.

— W następnym roku zrobimy Gwiazdkę w czerwcu — oświadczyła.

Wydawało się, że Jonathan jej nie słyszy.

— Urodziny nie powinny być urządzone w święta — krzyknęła.

Odwrócił się od okna i spojrzał na nią.

— Co powiedziałaś?

Wpatrywała się w niego, zbyt rozgniewana, by wydusić z siebie choć słowo. Wściekłość skwierczała w niej jak tłuszcz na patelni.

— Zadałem ci pytanie — powiedział zimno Jonathan.

— Powiedziałam, że urodziny nie powinny być obchodzone w święta — odparła, jeszcze tłumiąc w sobie gniew i nagłe pragnienie, by i jego rozzłościć, zobaczyć go w pełnym gniewie, zmusić, by krzyczał na nią i przeklinał jak inni mężczyźni, ci, co żyją naprawdę, a nie tylko udają.

Im dłużej milczał, tym bardziej to pragnienie się nasilało.

— Nie sądzisz, że powinniśmy obchodzić Gwiazdkę w czerwcu? — zapytała wyzywająco. — Żadne urodziny nie będą wtedy wchodziły w paradę.

— Ta uwaga nie ma w ogóle sensu — odparł jeszcze zimniej.

— Czwarte urodziny Jen były zaledwie tydzień temu — powiedziała Jenny.

Patrzyła, jak odwraca się od niej, traciła go znowu dla okna i chłopca.

Przez chwilę spoglądała na jego plecy, a potem zajęła się ponownie mięsem. Jej oczy wypełniły łzy, równie chybione jak słowa rzucone w niego, które nigdzie nie trafiły.

— Jonathanie, czy nie pragniesz nieraz, bym była kimś innym?

Odwrócił się od okna.

— O czym ty mówisz?

— Niezbyt często ze mną rozmawiasz. Nigdy nie rozmawiałeś. Przez te wszystkie lata. Więc czasami zastanawiam się... — słysząc samą siebie mówiącą o tym, o czym nigdy nie ośmieliła się napomknąć przez wszystkie lata, Jenny przestraszyła się. — Zastanawiam się, czy nie wolałbyś, żebym była inna. Jako kobieta, którą poślubiłeś. Potrzebujesz damy. Kogoś zupełnie różnego ode mnie.

Jonathan roześmiał się. Choć nie była pewna, czy to naprawdę śmiech.

— A co dama robiłaby w takiej chacie?

— Nikt nie lubi mieszkać w chacie dłużej, niż musi. — Uznała, że rozmowa przeniosła się na pewniejszy grunt. Tyle tylko, że tak wcale nie było.

Głos Jonathana stał się głuchy i twardy, kiedy odpowiedział:

— Słyszałaś pewnie, że Colebrookowie mają zamiar stawiać porządne zabudowania.

Nie słyszała o tym, ale skinęła głową. Milczała. Rozpoznała napięcie, które brzmiało w jego głosie.

Jonathan znowu odwrócił się w stronę okna i spojrzał na ziemię, gdzie miało stanąć gospodarstwo. Solidne, obliczone na przetrwanie co najmniej pięciu pokoleń Colebrooków, to były słowa Samuela, który wiedział teraz, z czego czerpać siłę i poczucie godności.

— Chciałabym, żebyś częściej ze mną rozmawiał — powiedziała Jenny, nie zdając sobie sprawy, że nadal jest zła, do chwili gdy usłyszała gniew we własnym głosie.

Jonathan spojrzał na nią.

— O czym? — zapytał. — Czy coś cię kłopotuje?

— Nie — potrząsnęła głową.

— Ja też zbuduję porządne gospodarstwo, tak szybko jak tylko mi się uda. Obiecuję.

— Po prostu chciałabym, żebyś więcej do mnie mówił. Czasami czuję się taka samotna.

— To jest samotny kraj dla kobiety — odrzekł Jonathan. — Ale będziesz miała towarzystwo dziewcząt, kiedy podrosną.

— Może znowu niedługo będę miała dziecko.

— Jesteś w ciąży?

Jenny wyjęła łyżkę z tłuszczem i podlała nim piekącego się ptaka.

— Nie — przyznała niechętnie. — Ale może niedługo będę. A po dwóch dziewczynkach następny na pewno będzie chłopiec.

Jonathan nie odpowiedział. Zawsze milczał, kiedy mówiła mu coś takiego.

— Chciałabym mieć jeszcze jednego ptaka — mruknęła Jenny. — Zrobiłabym go ze specjalnym nadzieniem Millie i wysłałabym Mary Colebrook.

— Coś mówiłaś?

— Tak tylko do siebie.

Jonathan zasiadł do świątecznego stołu w dobrym nastroju, jakby specjalnie przywdzianym na tę okazję. Jenny zmęczona upałem nie kryła irytacji.

Travis źle ocenił powody jej złego nastroju, jak zawsze zresztą. Po pięciu latach małżeństwa była dla niego niemal tak samo obca jak jej kraj. Tolerował ich, ale zupełnie nie rozumiał.

Kiedy spożyli posiłek i wysuszyli kości ptaka do tradycyjnego ciągnięcia, uparła się, by ciągnęli równo, bez gestów uprzejmości dla niej jako dla kobiety.

— Damy — poprawił ją Jonathan. Teraz już wiedział, że źle ocenił powód jej złego humoru. — Nie powinienem był mówić tego, co powiedziałem — dodał.

Jenny zaskoczona zapytała:

— Chodzi ci o to, jak zapytałeś, co dama miałaby robić w chacie? — wcześniej uwaga nie obeszła jej wcale. Teraz nagle zabolęła.

Więc potem, gdy ciągnęła kość, jej życzenie zrodziło się z bólu. Szarpnęła mocno i dostała jej się większa.

— Czego sobie życzyłeś? — zapytała Jonathana.

Dzieci patrzyły i słuchały, przynajmniej raz spokojne.

Jonathan uśmiechnął się, wciąż udając pogodny nastrój.

— Życzenia nie sprawdzają się, kiedy wymówi się je na głos. A poza tym ja i tak przegrałem.

A ja wygrałam, pomyślała. Nagle zabobonnie pożałowała, że zmarnowała życzenie pragnąc niemożliwego.

— Ja ci powiem — powiedziała — bo to i tak nie ma znaczenia. Chciałabym, żebyśmy oboje mogli zacząć życie od nowa. Ty ze wszystkim, co cię uszczęśliwiało, a ja wychowana jak dama, a nie bękart skazańca. Wychowana jak prawdziwa dama ze wszystkimi korzyściami wynikającymi z tej pozycji, tak by wydobyło się ze mnie wszystko co najlepsze, a nie to, co wyszło.

Jonathan w jednej chwili zrzucił maskę sztucznej wesołości. Stał się poważny i delikatny. Patrzył na nią, jakby ją widział po raz pierwszy.

— Moja biedna Jenny — powiedział. — Dwadzieścia cztery lata i wciąż pełna marzeń.

— Skończyłam właśnie szesnaście — oznajmiła mu. — Nigdy wcześniej nie mówiłeś o moim wieku. — Spoglądała zdziwiona, przeliczając szybko w myślach. — Jeślibym miała teraz dwadzieścia cztery, to znaczy, że gdy braliśmy ślub, miałabym dziewiętnaście. Na tyle mnie oceniałeś? A ja dopiero co skończyłam jedenaście. Będę miała tyle lat, ile sobie życzysz, ale nie postarżaj mnie przedwcześnie.

— Moja biedna Jenny — powiedział znowu po długim milczeniu, patrząc teraz bardziej z ciekawością niż z uwagą. Wolałaby, żeby tego nie powtarzał. Chciałaby, żeby powiedział jej co innego. Czy mnie kochasz? — zapragnęła zapytać. Ale nie można żądać zbyt wiele. Teraz jego uściski stały się czulsze i mocniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

Lato czterdziestego siódmego i czterdziestego ósmego roku przeszły w jesień, jesień w zimę, zima w wiosnę — i znowu wiosna w lato. I za każdym razem Jenny drżała, kiedy przylot ciem zwiastował pojawienie się aborygenów bliżej doliny.

A następny rok zbliżył Jonathana do jego syna Chrisa.

Ale od wiosny Jenny poczuła nową nadzieję. Była w ciąży.

Jonathan wyjechał z doliny na początku grudnia. Urodziny i Gwiazdka minęły bez niego. Wrócił dopiero pod koniec stycznia czterdziestego dziewiątego.

Kiedy dziecko zaczęło się w niej wiercić, Jenny liczyła dni do zimy, przynoszącej zawsze ciężkie śniegi i czarną melancholię. Tym razem narodziny dziecka powinny odwrócić uwagę Jonathana. Może na zawsze, jeśli tym razem będzie to chłopiec. Dziecko było cięższe, brzuch opuścił się jej niżej, ale gdy opowiadała Jonathanowi o synu, którego być może nosi dla niego, łagodność w jego głosie zaprzeczała nadziei.

W tym roku Jonathan często spoglądał na szczyty Snowy Mountains lub wdrapywał się na zbocza, by patrzeć na wschód ku Wielkim Góróm Wododziałowym, które oddzielały kraj od morza.

— Tęsknisz za Anglią? — ośmieliła się zapytać Jenny.

— Człowiek tylko raz może znaleźć dla siebie ziemię — odpowiedział. — W miejscu stworzonym dla niego lub w miejscu, które on stworzył dla siebie.

Nie zapytała, które z nich było jego. Kiedy następnym razem zobaczyła, jak Jonathan spogląda ku odgrodzonemu górami morzu, nie odezwała się. A gdy przeniósł wzrok na Snowy Mountains, starała się być zadowolona, wiedząc, że będzie w lepszym nastroju. Ale te góry na-

leżały po równi do niego i do Chrisa Colebrooka, i wcale jej nie cieszyło, że ojciec i syn znaleźli coś wspólnego.

Góry ciągnęły Jonathana coraz wyżej i wyżej. Kiedy po raz pierwszy przyjechał do doliny, wybrał się tam z linami i hakami, wdrapując się jak w czasach swej młodości, gdy wraz z ojcem, bratem i miejscowymi przewodnikami wspinał się na Mont Blanc, kiedy ten sport stał się popularny we Francji.

Samuel Colebrook, który pozostał człowiekiem z Plymouth, spoglądał na szczyty z zainteresowaniem, ale wolał płaską ziemię w pobliżu rzeki. Nad morze jednak nie miał ochoty wracać. Natomiast Chris uwielbiał wspinaczkę i w dwa miesiące po jego jedenastych urodzinach, latem 1849, Jonathan zaczął uczyć go tego sportu, czując łączność z chłopcem, jakiej nie dzielił z nikim innym.

Cztery miesiące później, w czerwcu, gdy do dwunastu lat brakowało chłopcu zaledwie pół roku, poczuł się prawie jak dorosły mężczyzna i wybrał na samodzielną wycieczkę szczelinami we wschodniej ścianie wąwozu. Zimowy dzień był rześki i słoneczny, góry lśniły błękitem i bielą, wieczny lodowiec spotykał się ze świeżym zimowym śniegiem, który okrywał szczyty i niższe stoki.

Jonathan Travis siedział w chałupie, mając nadzieję, że dziecko urodzi się przed nocą, bo wtedy zdążyłby się upić, tak jak to robił poprzednio, twierdząc, że świętuje. Ale dziecko nie śpieszyło się na świat. Jenny twierdziła, że nie chce wychodzić z ciepłego domku na zimno.

— Czy dziewczęta są tu jeszcze, czy poszły na Farmę Colebrooków, tak jak im powiedziałam? — zapytała Jenny.

— Poszły. Nie trzeba im było dwa razy powtarzać.

— Są za małe, żeby oglądać poród — wyszeptała Jenny. — Jo ledwie skończyła cztery lata, a Jen też ma przecież dopiero pięć i pół.

— Gdyby tylko mogły, wróciłyby tu zaraz — powiedział Jonathan, patrząc przez okno w stronę Farmy Colebrooka i chałupy, która powoli zamieniała się w porządne zabudowania. — Może je interesuje budowa. To jest dla nich coś nowego.

Jenny nic nie odpowiedziała. Leżała i czekała. Jonathan odwrócił się i spojrzał na nią z uśmiechem.

— Dotrzymam obietnicy. Też zbuduję dla nas porządny dom. Tutaj w piątkę ledwo się pomieścimy. A poza tym trudno chować trzy córki w takiej chatce.

— Dwie córki i syna — poprawiła go Jenny. — Zobaczysz, Jonathanie — jęknęła z bólu. Po paru chwilach wytarła pot z czoła i wyszeptała. — Zobaczysz. Tym razem będziesz miał syna.

Jonathan spoglądał cały czas przez okno. Zobaczył Mary Colebrook schodzącą po zboczu, na którym stała jej farma, a potem przebiegającą przez most. Na chwilę zniknęła pomiędzy obsypanymi śniegiem drzewami na wschodnim stoku prowadzącym do zabudowań Travisów.

— Mary Colebrook idzie tutaj — powiedział.

— Odeślij ją — wyszeptała Jenny. — Nie potrzebuję pomocy.

— Ona wcale nie ma zamiaru tutaj wejść — powiedział Jonathan dziwnie nieobecny głosem. — Pójdę i zobaczę, czego chce. — W tej chwili poczuł skurcz niepokoju. — Może coś z dziewczynkami... — ale otworzył drzwi i wyszedł nie skończywszy zdania.

Wiedział, co się stało, zanim jeszcze Mary Colebrook powiedziała mu. Poczuł to głęboko w sobie.

— Chris! — krzyknęła. — Mówił waszej Jen, że zamierza wspiąć się na południowy szczyt.

Jej słowa gonily go, wrzeszczała, o Bogu i sądzie, oskarżała, ale Jonathan już wpadł do chaty, złapał linę i ruszył, przedzierając się przez zwały śniegu zamykające wejście do doliny. Potem wdrapywał się na granitowe ściany, wciąż na południe i w górę do wschodniej ściany wąwozu, nie zważając na ryzyko, wiedział tylko, że musi się śpieszyć.

Nie był pewien, w którym momencie wyczuł obecność czarnego człowieka. Prawie w tej samej chwili ujrzał go, stojącego kilka metrów dalej, na ścieżce przed sobą. Poznał go.

To był ten sam czarny, którego widział już tyle razy wcześniej: podpatrującego go zza drzew, śledzącego w gęstym buszu, prześladowającego przez te wszystkie lata.

Jego twarz rozpoznałby wśród wszystkich innych. Travis pamiętał go stojącego przy wjeździe do doliny, kiedy pojawił się w niej po raz pierwszy. A może widział go jeszcze wcześniej, w Sydney, gdzie wszystkie ciemne twarze wydawały mu się takie same. A przedtem jeszcze na Ziemi Van Diemena... Ale to było przecież niemożliwe. Na chwilę powrócił mu rozsądek. Tamci należeli do innej rasy — mordowanej, martwej, umierającej. A jednak mieli twarze tego człowieka. Nawet w twarzy własnego brata widział rysy buszmena. Czarny lęk, który prześladował Trávisa latem i zimą, stawał się coraz ostrzejszy i silniejszy.

— Nemezis. On jest moją Nemezis — wyszeptał oszalały ze strachu, na myśl, co mogło przydarzyć się chłopcu.

— Benong — powiedział czarny, nagi mężczyzna wskazując na siebie. — Benong. — Następnie gestem wskazał kopiec pogrzebowy i zwrócił się w stronę Trávisa, wyciągnął do niego ręce, dłońmi w górę, co oznaczało w języku aborygenów ofiarowanie pomocy.

— Zejdź mi z drogi — krzyknął Travis trzęsącym się głosem i uderzył czarnego człowieka z siłą, od której tamten potoczył się w dół po zboczu.

Wokół kopca pogrzebowego Travis znalazł ślady chłopca. Widać było, że brnął tu przez zamarznięty śnieg. W jednym miejscu ślady były głębsze, musiał tam stać dłużej. Na szczycie kopca leżała kłoda drewna, a otaczał go pierścień przygotowanych do palenia gałęzi. Travis widział ślady rąk, które odgarniały śnieg, a potem chłopak najwyraźniej musiał upaść, podnosił się, odskakiwał w bok, prawdopodobnie stracił wyczucie kierunku. Dalsze ślady wskazywały, że uciekał.

Jonathan maszerował szybko, wyobraźnia podpowiadała mu, jak to się działo: przerażony chłopiec złapany na bezczeszczeniu kopca, umykał przed czarnym człowiekiem, odwracając się za siebie, by sprawdzić, czy jeszcze ktoś go goni.

Lęk o syna wdarł się głęboko w serce Jonathana, stworzył wewnętrzną pustkę, bolesne nic, które pozbawiło go głosu. Nie był w stanie wykrzyczeć imienia chłopca. Ślad szalonej ucieczki prowadził do skraju wąwozu i znikał w masie śniegu, który spadł lawiną.

Wtedy właśnie zobaczył Chrisa: kawałek ciemnobrązowej wełny leżał koło granitowej skały, na pół skryty za drzewem i krzakami.

Brązowa plama poruszyła się. Chłopak podnosił się, machając ręką i wołając.

Jonathan wpatrywał się w niego nadal niezdolny do wydobycia z siebie głosu, wreszcie przełamał się, zawiązując linę.

— Nie ruszaj się! Zejdę i wyciągnę cię stamtąd. Teraz już nie ma się czego bać.

— Nie boję się — odkrzyknął Chris głosem wysokim z oburzenia. — Tylko ugrzęzłem. Noga mi się zaklinowała.

— Nie powinieneś być tu sam przychodzić.

Chris przyglądał się spuszczającemu się na linie Jonathanowi i milczał obrażony. Kiedy mężczyzna dotarł do niego, powiedział:

— Dziewczyny łąziły za mną. Nie będę zajmował się małymi dziećmi, jestem już na to za duży.

— I nie staniesz się starszy, jeżeli będziesz się włóczył po górach w zimie. A także w innym czasie, gdy zaryzykujesz samotne wyprawy. — Jonathan zwiślał na linie przyczepionej do

górnego klifu, ze stopą opartą na pętli. Pomógł chłopcu wyciągnąć nogę z zaklinowanego między skałami buta, obejrzał ją, potem wyciągnął sam but.

— Nic się nie stało, tylko but zniszczony. Zawiąż go starannie, a ja naszykuję linę.

Poluzował drugi koniec liny, obwiązując ją wokół talii chłopca, a potem jeszcze raz wokół swojego pasa, zostawiając na tyle luzu, by wygodnie im się obu wspinało.

— Z nogą wszystko w porządku? — Chłopiec skinął głową, więc Travis powiedział: — W takim razie ruszajmy w górę, zgodnie z zasadami sztuki, przywiązani do jednej liny. Uczyłem cię tego, pamiętasz?

Postanowili wdrapać się na klif. Byli już na zboczu, gdy Jonathan poślizgnął się na grubej warstwie lodu, zakrytej śniegiem. Złapał za gałąź gumowca, jeszcze zupełnie nie zaniepokojony, ale nim zdołał odzyskać równowagę, zmrożone drewno pękło i nagle zaczął zjeżdżać w dół siłą bezwładu własnego ciała.

Chris odwrócił się, by spojrzeć, co się dzieje, mocno uczepliwszy się pnia drzewa. Jonathan chwycił się gałęzi, kęp trawy wystających spod śniegu i skał, próbował wyhamować nogami, ale nagle nie było już stoku i nie miał się czego łapać poza liną, na której wisiał.

Usłyszał ostry krzyk Chrisa, kiedy lina szarpnęła nagle chłopcem zwalając go z nóg. Poczul, jak się rozluźnia na moment, a potem znowu napina.

— Trzymam się rękami drzewa, panie Travis — krzyknął chłopiec, głosem zmienionym od wysiłku, zbyt wielkiego dla dwunastolatka.

Jonathan Travis rozejrzał się szybko wokół, potem sięgnął po nóż, który wisiał w futerale u jego pasa.

Kiedy uniósł w górę rękę, zobaczył Chrisa. Jasne włosy chłopca lśniły w zimowym słońcu. Chciałby, żeby twarzy nie skrywał cień, ale jego życzenie pozostało nie spełnione. Ciął linę jednym mocnym ruchem, a potem runął w dół w stronę granitowej skały dna wąwozu.

Ciepłe i wilgotne dziecko leżało na ciele Jenny. Kwiliło cichutko.

Jenny udało się uśmiechnąć, kiedy zobaczyła Jonathana, wysoki cień stojący niepewnie w otwartych drzwiach. Oblizwała suche wargi i wyszeptała głosem tak słabym, jak całe jej ciało.

— Wszystko dobrze, Jonathanie. To nieważne, że nie było cię ze mną. Ale teraz musisz się pośpieszyć. Przetnij pępowinę między dwoma supłami. Zajmij się swoim synem.

I zamknęła oczy, nie mogąc już dłużej walczyć z wycieńczeniem.

Poczowała dotyk dłoni, kiedy pępowina została przecięta, ktoś zdjął dziecko z jej ciała, słyszała plusk wody, krzyk malca. Później ją też ktoś umył i wytarł. Zapadła w drzemkę, a obudził

ją świeży zapach czystej, suchej bielizny i przewinięte niemowlę w ramionach. Potem usnęła znowu, tym razem zapadając w głęboki, zdrowy sen.

Gdy obudziła się ponownie, koło łóżka siedział Samuel Colebrook.

Zdziwiona jego obecnością rozejrzała się po chacie.

— Gdzie jest Jonathan?

— Miał wypadek — odparł Samuel głosem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu.

Jenny próbowała się podnieść.

— Dziewczynki? Coś się stało dziewczynkom? Słyszałam, jak Jonathan mówił coś o...

— Z dziewczynkami wszystko w porządku. To nie o nie chodzi.

— Chris? — Spojrzała na Samuela, a potem szybko przeniosła wzrok na dziecko, które trzymała w ramionach.

— Chris poszedł wspinać się w góry. Gdybym wiedział... — Samuel przesunął dłonią po swych siwiejących włosach. — Ale nie było mnie w dolinie, więc Travis... Jonathan. Poszedł sprowadzić go z powrotem.

— Chris nie żyje — powiedziała Jenny z pewnością w głosie, nadal wpatrując się w swego syna.

— To nie Chris — powiedział Samuel Colebrook. — Chris jest bezpieczny. Czarny człowiek doprowadził go aż do wejścia w dolinę. Z tego, co powiedział Chris, gdyby czarny człowiek przybył wcześniej, uratowałby też...

— Muszę się przespać — przerwała mu Jenny ostrym głosem. — Jestem bardzo zmęczona. — I zamknęła oczy.

— Sprowadzę Mary — powiedział Samuel. — Potrzebujesz towarzystwa kobiety.

— Nie! — krzyknęła Jenny. — Nie! Tylko się chwilę prześpię, czekając na Jonathana.

— Próbowałem ci powiedzieć... — Samuel zamilkł. — To nie jest łatwe.

— Nie chcę tego słyszeć — powiedziała Jenny. Znowu zamknęła oczy i leżała nieporuszona. — Nigdy nie chcę o tym słyszeć.

Samuel Colebrook przyniósł ciało Jonathana z dna wąwozu, gdzie leżało między zlodowaciałymi głazami. Złożył je na wieczny odpoczynek na wschodnim stoku. Przytoczył wielki kawał skały, który postawił na grobie, i wyrył na nim słowa: Jonathan Travis 1802—1849. Potem schował dłuto.

— Każdy człowiek powinien mieć jakieś epitafium — oświadczyła Mary Colebrook.

Od czasu śmierci Jonathana zmieniła się, przycichła, stała się spokojniejsza, jakby kamień, który przygniatał teraz grób Jonathana, odebrał część ciężaru dźwiganego przez nią od lat. Bóg podejmuje decyzje, karze złych, darowuje tym, którzy wybrali słuszną drogę. Słuszność nie leży w samych czynach, tylko w ich motywach. Sam Bóg to potwierdził. Ale boskie miłosierdzie ciążyło jej.

— Powinno tu być epitafium — powiedziała znowu. — Słowa, które zaświadczą za niego, kiedy stanie przed obliczem Boga w dniu sądu. Z tego, co powiedział Chris, odciął linę, by go ratować. Byli związani razem, więc musiał ją odciąć.

— Nie wryję słów, które połączyłyby ich znowu — odparł Samuel. — Nie wryję też „Niech odpoczywa w spokoju”, bo wątpię, by w tym miejscu zaznał spokoju.

Ale następnego dnia rano Samuel wrócił do kamienia ze swym dłutem. Przypomniał sobie to, co powiedział mu Jonathan Travis, kiedy po raz pierwszy zjawił się w dolinie. Przypomniał sobie też inne słowa i starannie wrył epitafium: „Człowiek sam zdobywa swoje szczęście”, a potem szepnął: niech Bóg mu dopomoże.

Jenny Travis czuła w sobie ogromny gniew i znajdowała ulgę wyrzucając go wraz ze słowami. Słowa, które próbowała zapomnieć przez wszystkie lata przeżyte z Jonathanem, wykrzykiwała teraz znowu. Brzmiały dziwacznie wymawiane z zaśpiewem, którego nauczyła się od męża.

— Zrzuciłabym ten cholerny kamień ze zbocza wprost na ich nowy dom, gdybym tylko miała siłę — wykrzyknęła, pierwszy raz widząc nagrobek. — Nie chcę przez całe życie, kiedy tylko spojrzę przez cholerne okno, spoglądać na ten piekielny kawał skały.

Lecz kamień został.

Jego widok karmił gniew Jenny do czasu, aż wypalił go do cna jak ogień na tyglu, pozostawiając ją z nową energią i siłą do kolejnych zadań.

Kiedy patrzyła na troje dzieci, które musiała wyżywić, na jednoizbową chatę, która już nigdy nie miała się stać domostwem z prawdziwego zdarzenia, obiecany jej przez Jonathana, na kilka sztuk bydła i znakomicie utrzymane konie w eleganckiej stajni oraz ziemię, stanowiące jedyny majątek zostawiony jej przez męża, wiedziała, że nadszedł czas, by wypróbować nagle zwróconą wolność.

Z lodowatą obojętnością przyjrzała się jeszcze raz ziemi i znowu poczuła przypływ nadziei, jak wtedy gdy jako jedenastoletnia młoda mężatka wjeżdżała na nią po raz pierwszy. Po-

tem spojrzała na syna śpiącego w kołysce, którą Jonathan zrobił dla swej pierwszej córki z kawałków drewna pozostałych po budowie ukochanej stajni.

Podeszła do okna i popatrzyła na kamień spoczywający na grobie śpiącego snem wiecznym człowieka, który mógł teraz już na zawsze śnić o ziemi przynależnej pierworodnemu synowi.

— Mam prawie osiemnaście lat i jestem silna! — wykrzyczała w stronę skały. — Czy słyszysz mnie, Jonathanie? Teraz jestem silna. — Ale nie знаła słów, które wyraziłyby to, co czuła w swym sercu, nie umiała mu powiedzieć, że jego koszmary stały się jej marzeniami.

* * *

Kilka razy podczas zimy czterdziestego dziewiątego roku Samuel Colebrook wdrapywał się na wzgórze i proponował pomoc, ale za każdym razem Jenny ją odrzucała.

— To jest ziemia Travisów i Travisowie będą na niej pracować — powiedziała mu. — Gdybyś chciał kupić któregoś z moich koni, możemy porozmawiać o interesach, ale pomocy nie chcę od nikogo.

Samuel spojrzał na nią z wahaniem.

— Jeśli rzeczywiście chcesz sprzedać kilka koni...

— Chcę. Postanowiłam zająć się bydłem, nie hodowlą koni. Mam ich za dużo, chociaż nie zamierzam się pozbywać tych, co dobrze pracują na roli, ani starego araba. Kiedy byłam małą dziewczynką przezywano mnie arabem ulicy. Więc wydaje mi się, że ten koń i ja mamy ze sobą coś wspólnego.

Samuel wybrał dwie kobyły i jednego ogiera.

— Równie dobrze sam mogę zacząć hodować konie — powiedział i siedział spokojnie, kiedy ona przygotowywała papiery. Szczegółowo wymieniła w nich przodków ogiera, który był wynikiem krzyżówki mieszanego araba i czystej krwi angielki.

Samuel nie zadał ani jednego pytania na temat dziwnej aparatury, która ustawiona była pod ścianami pokoju. Ale Jenny dostrzegła jego zaciekawione spojrzenie i uśmiechnęła się do niego.

— Do produkcji whisky — powiedziała wskazując ręką powyginane rurki. — Dopiero zaczęłam robotę, ale kiedy skończę, będę miała za co kupić bydło.

— To nieodpowiednie zajęcie dla kobiety — stwierdził Samuel, spoglądając na Jenny wzrokiem, w którym mieszała się troska z rodzajem głodu, który młodsza Jenny rozumiała, a starsza próbowała nie dostrzegać.

— Dla mnie odpowiednie!

Uciekł wzrokiem w stronę kołyski.

— Jeszcze nie dałam mu imienia — powiedziała. — Chciałam, żeby Jonathan wybrał imię dla syna. Ale to ty pomogłeś mu się urodzić, nie Jonathan. Proszę, żebyś nadał mu imię.

Głos Samuela trząś się lekko, kiedy odpowiedział:

— Może powinnaś nazwać go Jonathan po ojcu.

— Nie! — Jenny pokręciła głową. — To nie byłoby szczęśliwe imię dla dziecka. Ale chciałabym, żeby jego imię zaczynało się na J. Tak jak nas wszystkich. — Przez chwilę szukała słowa, które oddałoby jej uczucia. — To byłoby bardziej rodzinne, jakby mocniej do nas należał.

— Trudno wiedzieć, które imiona są szczęśliwe — powiedział niepewnie Samuel. — Może Jazon. Kiedyś Jonathan wymienił to imię. Czasami, gdy pracowaliśmy razem, opowiadał różne rzeczy. Czytał mnóstwo książek i mówił, co w nich przeczytał. Opowiadał mi historię o Jazonie, który chciał zdobyć złote runo. Zapamiętałem to imię, bo Jonathan powiedział, że Jazon przypomina mu jego samego.

— Mnie nigdy nie mówił, że lubi owce.

— To było bardziej pokręcone, ale ja się nie znam na tym, co piszą w książkach. Jedyna książka, jaką mieliśmy w domu, gdy byłem mały, to Biblia. Mój ojciec zawsze wybierał z niej imiona dzieci.

Jenny milczała, patrząc uporczywie w bok. Samuel nigdy dotąd nie wspominał swych lat dziecięcych ani rodziny.

— Jafet jest imieniem z Biblii i zaczyna się na J — powiedział wreszcie.

Jenny spojrzała na niego ostro.

— Uczyłam się czytać z Biblii — powiedziała mu. — Jafet był drugim synem Noego.

Twarz Samuela nagle pobladła.

— Nie chcę, by dziecko rosło, budując arkę, podczas gdy powinno uprawiać ziemię — Jenny udawała, że traktuje sprawę lekko. — Chyba Jazon podoba mi się bardziej niż Jafet. Niech więc dostanie to pierwsze imię. Od dziś będzie Jazonem.

Kiedy zimę zmyły wiosenne roztopy, Samuel Colebrook ciągle znajdował coś do roboty na wschodnim zboczu, na wspólnym terenie. Widział Jenny pracującą przy kłatkach dla bydła czy w stajniach, często z małym Jazonem przytroczonym na plecach, ale nie odzywał się. Jeśli nawet uważał, że taka praca się dla niej nie nadaje, nigdy nie wszedł na wzgórze, by to powiedzieć.

Jenny zajęta była dniem i nocą, wykorzystując nielegalne umiejętności swych irlandzkich przodków. Urządzenie do destylacji, które zmagistrowała, było prymitywne i w dużej mierze przez nią wymyślone. Zamiast retort destylacyjnych wyklepała miedziane naczynia i rurki oraz komin nad piecem w kształcie gruszki, z zamykanym wylotem. Zbiornik na sól ulepiła z gliny, tak samo jak butelki i wypaliła je na palenisku we własnym kuchennym piecu. Połączyła kominy pieca i w ten sposób otrzymała rurę skraplacza, która ciągnęła się wzdłuż chaty od retort do zbiorników.

Wszystko to skonstruowała jeszcze przed śmiercią Jonathana, pędząc dla niego whisky, teraz tylko powiększała instalację, bo produkcja alkoholu stała się jej głównym zajęciem, które miało szybko przynieść pieniądze na zakup bydła.

Posiadanie stada umacniało własność ziemi i zabezpieczało przyszłość. Ta przyszłość na razie zależała od urządzenia do produkcji whisky.

W retortach bez przerwy wrzał sfermentowany zacier. Połączone były one z rurkami do kondensacji, które obmywała zimna woda. W ochłodzonych rurkach pary surowego spirytusu skraplały się i spływały do butelek. Jenny zastępowała pełne butelki pustymi, jak tylko któraś się napełniła, a potem przelewała whisky do beczulek — przeliczając każdą na kolejną krowę lub byka.

Beczulek odpowiednich do przechowywania alkoholu w Kolonii nie brakowało. Były wykonywane przez zesłańców bednarzy i przywożone na statkach, które dostarczały produkty żywnościowe. Jenny umiała ciąć i wyginać klepki, a także obręcze, jak niezły dekarz, ale alkohol wymagał lekkich beczek z dębowych klepek. Musiała je kupować. Na szczęście do jej celu nadawały się beczułki ze statków napełnione jęczmieniem.

— Jęczmień zasieję i będę miała paszę dla bydła — powiedziała sprzedawcy.

Uśmiechnął się, skinął głową i nie pytał o nic. Będzie chętnie kupował jej whisky.

Dzięki wprawie, Jenny stała się równie biegła w tym fachu jak bimbrownicy w Kolonii.

W lecie otrzymała zacier z jęczmienia. Namoczyła go w wodzie, potem odstawiła do wysuszenia, codziennie mieszając. Kiedy zaczęła się fermentacja, wypaliła jęczmień w piecu tak, by zyskał zapach słodkiego ciasta, i odymiła go, dodając do ognia torfowy mech, który znalazła w lesie.

Zimą ustawiła swoje retorty. Używała drożdży dla przyspieszenia fermentacji kartofli, które od długiego składowania w wilgotnym miejscu stały się miękkie. Czasami dodawała

słodkich miejscowych ziemniaków, zwiększających własną słodyczą słodycz jęczmiennego zacieru.

Woda, którą wlewała, by rozwodnić zacier, pochodziła ze źródła w górach i była równie czysta jak płynąca z górzystej Szkocji.

Wiosną 1850 roku, kiedy drogi obeschły, zaprzęła konia do wozu, załadowała beczki i dzieci, i wyjechała z doliny, by sprzedać swą whisky osadnikom i kupcom.

Kiedy pytali ją, co wydestylowała, odpowiadała, że whisky-bae lub bimber.

Celtycka *uisge beatha*, woda życia, wieki temu przekształciła się w usquebaugh, a usquebaugh stała się whisky-bae. Ale samogon Jenny miał celtycką siłę. Alkohol, który sprzedawała, miał 99 procent. Szkoda jej było czasu, by czekać, aż dojrzeje i straci nieco mocy.

Co dwa tygodnie wyjeżdżała z doliny. Wreszcie Samuel Colebrook nie wytrzymał i wiedziony ciekawością pojechał za nią. Śledził ją przez całą drogę na równiny, gdzie rzeka rozlewała się szerzej, przyjmując wpływające do niej strumienie. Trzymał się cały czas z daleka. Jenny jechała na północ wzdłuż rzeki, potem przeprowała się brodem, przejechała jakąś milę na wschód, następnie skrzyła trochę na północ i znowu na wschód, pilnując szlaku, który prowadził ją południowym brzegiem rancz aż do Cooma Village.

Zatrzymała konia przed Cooma i czekała, aż Samuel Colebrook podjedzie do niej.

— Gdybym wiedziała, że tu się wybierasz, mogliśmy pojechać razem — powiedziała. — A może po prostu jedziesz za mną, żeby się dowiedzieć, co ja takiego robię?

Samuel zawstydzony spoglądał na nią bez słowa.

— No cóż, teraz już widzisz, co zamierzam zrobić. Jadę sprzedać moją whisky każdemu osadnikowi lub kupcowi, który będzie chciał mi za nią zapłacić.

Samuel wciąż siedział na koniu, przyglądając się jej w milczeniu.

Dwie dziewczynki spały pomiędzy baryłkami. Na głos matki zaczęły się kręcić. W koszyku leżącym pomiędzy nimi zakwilił Jazon. Po chwili obudził się i zapłakał.

Jenny rozpięła stanik i przyłożyła dziecko do piersi.

Samuel odwrócił wzrok od matki i dziecka.

— Już dawno chciałem ci coś powiedzieć — jego głos drżał równie mocno jak dłonie.

Świadomy tego, złapał się mocno łęku siodła. Twarz mu pobladła, aż wyraźnie pokazały się wszystkie piegi.

Jenny spoglądała na półtorarocznego Jazona, który cmokał z zapalem. Jak prosiaczek, pomyślała. Delikatnie pogłaskała złoty puch na głowie syna.

Podniosła wzrok na Samuela w chwili, gdy zwilżał wargi, szykując się do przemowy.

— Jeśli coś ma być powiedziane — odezwała się szybko — zazwyczaj lepiej to zrobić od razu, niż czekać. Ale z nami tak nie jest, Samuelu. Z nami im później będzie to powiedziane, tym lepiej. A może najlepiej, aby nie zostało powiedziane nigdy.

Odsunęła Jazona od piersi, nie zwracając uwagi na protesty dziecka.

— Praca, którą się zajmujesz — Samuel nie zrezygnował — nie przystoi kobiecie.

— Przystoi — odparła mu Jenny. — Pasuje do mnie jak rękawiczka. — Roześmiała się triumfalnie. — Zaczynam nowe życie — powiedziała i dodała — życie, w którym nie ma miejsca dla mężczyzn. Mój nieżywy mąż jest dla mnie wystarczającym towarzystwem, ponieważ nie uznaję go za martwego i nigdy nie uznam, przynajmniej póki jest potrzebny dla moich planów. Nie występuj przeciwko mnie, Samuelu, ponieważ ja traktuję cię jak przyjaciela. Nie mów nikomu, że Jonathan Travis nie żyje, jeśli zależy ci na naszej przyjaźni. — Spojrzała na niego mądrym wzrokiem dziecka ulicy. — Jonathan mówił, że ty zawsze chciałeś, by dolina przekształciła się w osadę. Możemy to osiągnąć, ty i ja, jako przyjaciele.

— Kobieta potrzebuje mężczyzny u swego boku — powiedział, ale już nie tak pewnie.

— Nie ja! — Jenny usłyszała echo głosu Jonathana we własnych słowach. — Nie ja — powtórzyła, ale słowa zabrzmiały dla niej dziwnie obco. — Jestem samotna — wyznała, jakby kosztując słów, po czym stwierdziła, że jej odpowiadają.

4.

Stojący na dziobie brygantyny Mike Donohue poczuł zapach Australii znacznie wcześniej, zanim zobaczył zarys lądu. Było późne lato pięćdziesiątego pierwszego roku i cierpka woń ziemi — kurzu i ognia w buszu, spalonych drzew gumowych i eukaliptusa, i jeszcze czegoś, co z pochodziło z odmienności tego kraju — z całą siłą uderzyła w jego nozdrza.

Nawet światło było tutaj inne. Jaśniejsze i ostrzejsze.

Spojrzał w niebo, zasłaniając oczy przed słońcem.

Kiedy płynął tu pierwszy raz, nie zauważał ani odmienności zapachu, ani światła. Statek więzienny z zesłańcami z Anglii śmierdział nie umyтыми ciałami, a światło wciskało się tylko przez szpary w belkach.

Osiem lat później stał na pokładzie brygantyny, wystawiając twarz pod wiatr i wiedząc, że wiele rzeczy się zmieniło, a woń lądu stała się zapachem domu.

Za nim dwóch żeglarzy pracowało przy takielunku, przerzucając żagle na drugą burtę. Przystawione, łapały przedni wiatr, kiedy sternik zmieniał kurs, kręcąc kołem sterowym, by odpowiednio ustawić statek. Mike poczuł nagły zryw, żaglowiec pruł szybko fale.

— Nigdy nie czuję się dobrze, kiedy płynę jako pasażer — odezwał się koło niego jakiś głos.

Mike odwrócił się i ujrzał grubego mężczyznę, który podniósł się ze stosu lin i stanął obok niego na dziobie.

— Przyglądałem się panu od chwili wypłynięcia z Kalifornii. Słucha pan, ale sam niewiele mówi. I jeszcze coś. Wydaje mi się, że gdzieś widziałem już pana wcześniej. — Mike Donohue nie odpowiedział, więc grubas ciągnął dalej. — Na tym polega różnica między nami. Ja jestem gadułą. Pan nie. A to dziwne, ponieważ Irlandczycy zazwyczaj są wielkimi gawędziarzami. Ale nie pan. Pan w czasie całej podróży trzyma się z daleka od innych.

— Człowiek więcej się uczy, gdy słucha. Odzywałem się od czasu do czasu.

— Od czasu do czasu — mężczyzna opadł na zwinięte liny. — Nie mówię o prawdziwej rozmowie. Mam mocne przeświadczenie, że straciliśmy parę dobrych pogawędek.

Irlandczyk odwrócił wzrok, wpatrując się znowu w ocean.

— Również z milczenia drugiego człowieka można się o nim sporo dowiedzieć — powiedział grubas. — I na podstawie obserwacji. Dla pana zapach tej ziemi jest znajomy tak samo jak i dla mnie. Tego się nie da ukryć pod milczeniem. Był pan tu już wcześniej, i nie były to

łatwe czasy, a przecież nie może mieć pan za sobą pełnego wyroku, skoro na kark weszło panu nie więcej niż dwadzieścia lat.

— Jeśli chce pan porównać nasz wiek, to mogę powiedzieć, że skończyłem dwadzieścia trzy.

— A ja mam trzydzieści dwa, to oznacza, że jestem o połowę starszy, a mam też dwa razy tyle w pasie, co nie przysparza mi kłopotu, bo posiadam wystarczająco wiele rozumu, żeby inni schylali się za mnie. Edward Hargraves nie jest głupcem, to może pan sobie zapamiętać. Jestem człowiekiem morza, to po pierwsze, dlatego nie lubię pływać jako pasażer. I pośrednikiem w handlu. I właścicielem hotelu. I jeszcze kilku innych rzeczy na dokładkę. O nie, głupcem nie byłem nigdy. — Zamilkł. — Nie byłem też zesłańcem.

Odczekał chwilę, a potem wzruszył ramionami.

— Pan nie urodził się w Kolonii. Od razu można poznać. Jest pan z Irlandii. To wciąż jeszcze widać po oczach i słycać w mowie. Buntownik. Ile miał pan lat, kiedy Anglicy pana tu przysłali?

— Piętnaście — odpowiedział Irlandczyk. — A za co, jeśli można spytać?

— Za straszną zbrodnię powiedzenia zbyt wielu słów. — Mike Donohue spojrzał na grubasa. — Milczenie lepiej służy człowiekowi.

— A więc nie pomyliłem się — Hargraves skinął głową. — Rebeliant. A gadanie może być straszną zbrodnią, jeśli prowadzi w kajdanach na statek zesłańców. Ja nie w taki sposób używam słów. Staram się, by pracowały dla mnie. A czy mogę zapytać, co przywiodło pana na złote pola Kalifornii?

— Gorączka złota. Popłynąłem tam na hinduskiej barce przewożącej żywność — odparł Mike.

— Barka płynęła z Sydney do Kalifornii i bez wątpienia nikt nie zauważył, jak się pan na nią dostał. Spotykałem już takich irlandzkich uciekinierów na polach. Ale kiedy wydarli ziemi to, czego potrzebowali, nie spoglądali z powrotem w tę stronę. Kierowali się na wschodnie wybrzeże Ameryki. A nieraz jeszcze dalej. Z powrotem do Irlandii. Więc co pan tu robi? Chce pan odbyć do końca wyrok?

— Wyrok mam już za sobą.

— A przed sobą? Cóż to za możliwości czekają na pana w Kolonii?

Mike Donohue uśmiechnął się swobodnie.

— Ja wracam z możliwościami, panie Hargraves. Słuchałem pana na złotych polach i powiedziałem sobie, co to byłaby za straszliwa strata, gdybym pozwolił temu wspaniałemu gadule wrócić do Kolonii beze mnie. Ponieważ odgadłem, co pan planuje.

Edward Hargraves wpatrywał się w niego przez chwilę.

— Moja matka powtarzała, że milczenie jest złotem — stwierdził wreszcie. — Zaczynam rozumieć, że miała rację. Do czego pan zmierza?

— Nie chodzi mi o pańskie złoto, panie Hargraves. Ani niczyje złoto, jeśli już o to chodzi, sam zarabiam własne pieniądze. Co nie znaczy, że mam coś przeciwko ruszeniu głową. Człowiek byłby głupcem, gdyby nie skorzystał z bezmyślności innych. Domyślam się, co pan planuje, i chciałbym dołożyć się do tego. Pan ma kontakty. Ja nie. Jeszcze nie.

— Kiedy chciał mi pan to wszystko powiedzieć? Mike uśmiechnął się szeroko.

— Wtedy gdy pan by uznał, że nadszedł czas. Tak jak się stało.

— A gdybym nie zagadał do pana?

— Deptałbym panu tak długo po piętach, aż by pan odezwał się wreszcie.

— W takim razie dobrze, że mamy to już za sobą. — Hargraves zmarszczył brwi. Przyglądał się niepewnie młodemu Irlandczykowi. Wreszcie powiedział. — Zejdę na ląd w Sydney Cove, ale pan zostanie na pokładzie. Ten statek płynie dalej wzdłuż wybrzeża do zatoki Port Phillip. Poczekaj pan na mnie w Melbourne. Usłyszysz pan o mnie. Myślę, że sporo pan o mnie usłyszysz. Ale zaczeka pan, aż ja osobiście się z panem skontaktuję.

— Nie rzuca pan czasem ochłapu głodnemu psu, panie Hargraves?

— Daję panu to, czego pan potrzebuje. To dobry powód, żeby wysłać pana do Melbourne. — Wzruszył potężnymi ramionami. — Dobrze panu zapłacę.

Mike spoglądał bez uśmiechu.

— Jeśli mam usłyszeć dużo o panu, panie Hargraves, to lepiej, bym to usłyszał teraz od pana, a nie później od innych.

Hargraves jeszcze raz przyjrzał się mu uważnie.

— Usłyszysz pan opowieści na temat gorączki złota, takie, jakich się można spodziewać. Czy był pan w Kolonii dziewięć lat temu? — Kiedy Mike potrząsnął głową, Hargraves skrzywił się. — Powiem panu coś, czego może pan nie wiedzieć. Kiedy w czterdziestym drugim przeszedł Akt Konstytucyjny, Kolonia otrzymała tak zwany wolny rząd, którego dwie trzecie wybrali mający prawo wyborcze posiadacze ziemi. A ziemianie nie lubią gorączki złota. Jednak pozostałych członków rządu, dwunastu, mianował sam gubernator. Kolonia straciła wielu

uczciwych osadników w czterdziestym dziewiątym. Wyjeżdżali do Kalifornii. I jeszcze wielu wybierze Amerykę, a rząd to dobrze wie. Czasy się zmieniają, panie Donohue, ale by je zmienić, potrzeba takich ludzi jak ja.

— Inni także planują i szykują zmiany, panie Hargraves. Szczególnie Irlandczycy.

Grubas zaniósł się śmiechem, jego brzuch trząsł się jak galareta, ale ten wybuch weselości skończył się westchnieniem.

— Przyglądałem się panu całą drogę i myślałem, że oceniłem pana właściwie, ale teraz już nie jestem tego pewien — powiedział. — Czy ma pan zamiar przeszkodzić w moich planach?

— Nie, nie chcę niszczyć nikogo ani niczych planów, jeśli nie ma w nich nic złego. Ale zamierzam sam zbić majątek, a nie zarabiać pieniądze, które popłyną do kieszeni drugiego. Nie jestem do wynajęcia, panie Hargraves.

— Więc czemu mam się wiązać z facetem, który chce na mnie zarobić?

— Ponieważ tylko w sobie pokłada pan zaufanie, a większość ludzi uważa za głupców. A skoro jest pan człowiekiem, którego interesują jedynie zyski, nie będzie pan szanował i ufał takiemu, który o nie mało dba.

Edward Hargraves roześmiał się znowu, tym razem tak szczerze, że zakończył swój taniec brzucha głośnym pierdnięciem.

— O Boże! Przecież jestem cywilizowanym człowiekiem. Szczęję się tym. Nienawidzę ludzi, którzy puszczają wiatry publicznie. — Przez chwilę siedział, patrząc na Irlandczyka. — Może i jest pan młody, ale to nie dotyczy pańskiej głowy.

Mike odwrócił się i spojrzał ponad burtą statku.

— Od chwili gdy ukończyłem piętnaście lat, wiele się nauczyłem, i to w bolesny sposób. — Powrócił spojrzeniem do Hargravesa. — Czy miał pan jakiś konkretny powód, by wysłać mnie do Port Phillip Bay? Poza tym, że chciał się pan mnie pozbyć?

— Nie miałem. Jednak powód może się znaleźć, i to cholernie dobry. Znam ziemie na południu. Lepiej niż pozostałe. I ludzi, którzy tam osiedli. Ale byłem poza krajem od lipca czterdziestego dziewiątego, tak więc wiem mniej, niż powinienem. Trochę tam znaleziono złota, ale za mało, żeby się podniosła gorączka. Tyle wiem. — Zamilkł zamyślony, lecz po chwili dodał: — Tak. To może być cholernie dobry powód — mieć tam człowieka gotowego w każdej chwili do działania.

Znowu zamilkł. I tym razem nie odzywał się przez dłuższy czas. Wpatrywał się w morze. Wreszcie spojrzął na Mike'a Donohue.

— Czy jest pan graczem?

— Nie mam nic do stracenia.

— Kolonia też przeżyje swoją gorączkę złota. W Nowej Południowej Walii, jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od Sydney. Może mi pan wierzyć na słowo. Zaplanowałem to posunięcie. Na południu też jest złoto, w Wiktorii. Melbourne zbudowali wolni ludzie, a mądrzy obywatele nie będą chcieli, by złoto zaważyło na równowadze władzy w Nowej Południowej Walii. — Skinął głową. — Idę o zakład, że tak. Jak tylko zacznie się gorączka złota na terenie starej Kolonii, rzuca się wygrzebywać własne złoża. Gdyby pan czekał w pogotowiu, byłbym o jeden krok do przodu. O to mi tylko chodzi. A potem użyję swoich talentów mówcy i człowieka potrafiącego zerować na chciwości innych. Może pan wbijać pierwsze słupki i zaznaczać działki według swego wyboru, na terenach zaznaczonych przeze mnie na mapie, którą dam panu. Czy zna pan słowo „złotodajny”? A wracając do tematu, czy wie pan, jak wygląda miejsce z taką opinią?

— Nie wiedziałem, dopóki nie pojechałem do Kalifornii i nie posłuchałem pana. Teraz już wiem.

— Dobrze. W takim razie wie pan, że złoto tam jest, ale wcześniejsze zajęcie kilku działek uczyni rzecz łatwiejszą i zaoszczędzi sporo czasu. Czy to łamie pańskie zasady?

— Nie, jeśli tam naprawdę jest złoto. Mogą mnie powiesić jako rebelianta, ale nigdy jako złodzieja.

Tego lata, podczas pierwszych tygodni grudnia, Jenny wybrała się w podróż, z której chciała wrócić do doliny dopiero w początkach nowego roku 1851. Upalna Gwiazdka, podczas której znowu miały nadlecieć ćmy wraz z bolesnymi wspomnieniami, wydawała się jeszcze odległą przyszłością.

Smutek i pustkę usiłowała zagłuszyć pracą: przygotowywała wodę i paszę dla bydła na czas kilkutygodniowej nieobecności, ładowała na wóz mniejsze baryłki i kosze wypełnione kamionkowymi butelkami. Planowała dotrzeć tym razem dalej ze swymi wyrobami niż kiedykolwiek wcześniej, poszukać klientów, którzy nie tylko zakupią jej produkty, ale też zamówią następną dostawę. Praca dodawała jej sił, determinacja popychała do przodu. Jenny żyła już w 1851 roku.

Miała teraz dziewiętnaście lat. Poprzysięgła sobie, że nim ukończy dwadzieścia, na działce Trávisa stanie porządne obejście, a na wszystkich jego pastwiskach będzie się pasło bydło.

Dojechała do Cooma, potem zatoczyła łuk z północy na południe. Po trzech tygodniach spędzonych na wozie była równie zmęczona i poirytowana jak dzieci. Obie dziewczynki kłóciły się. Ich krzyki obudziły dziewiętnastomiesięcznego Jazona, który dotąd spał w koszu kołysany ruchem wozu i teraz zapłakał z głodu.

Jenny zatrzymała konia i przyłożyła synka do piersi, przypominając sobie, że musi mu później utrzyć jakieś jarzyny.

— Ślini się — zauważyła Jen. — Jak świnka.

— Nie mów takich rzeczy o swoim braciszku — skarciła ją Jenny.

— Sama to mówisz. Słyszałam — upierała się Jen. — Nie lubię świń i nie lubię Jazona — oświadczyła. — Dlaczego nie moglibyśmy mieć zamiast niego kucyka.

— Ponieważ nie jestem kobyłą — odpaliła Jenny. — A czasami nie chciałabym być również kobietą.

Jody spuściła głowę i zaczęła pochlipywać.

— A czy ja zostanę kobietą, kiedy dorosnę? — zapytała Jen.

— Jeśli pożyjesz wystarczająco długo — powiedziała jej Jenny. — A teraz skończ natychmiast z tymi jękami, słyszysz mnie, Jo? Mam już was powyżej uszu.

Tego wieczora zatrzymały się w oberży, gdzie za whisky dostały dobry pokój i gorące, smaczne jedzenie. Noc umniejszyła zarobek Jenny, ale poprawiła jej samopoczucie, a dwie dziewczynki zamieniła z ciągłego utrapienia w żądne przygód pomocnice. Jen, która skończyła właśnie siedem lat, była kapryśna i lubiła prowokować kłótnie. Jody, prawie sześciolatka, ulegała nastrojom ludzi, w towarzystwie których przebywała. Noc w oberży obudziła w Jen zamiłowanie do przygód. Dziewczynka namawiała matkę, by częściej jeździły w takie miejsca, gdzie mogłyby zatrzymać się na nocleg.

— Zobaczymy — odparła Jenny, patrząc na swą najstarszą córkę i zastanawiając się, czy kiedykolwiek zrozumie dziecko tak niepodobne zarówno do niej, jak i do Jonathana.

— Musiałybyśmy pojechać znacznie dalej, niż planowałam. Może nawet do Gospody pod Smokiem w Tallaqueon — powiedziała, by sprawdzić, jak jej córki zareagują na perspektywę dalszej podróży.

— Nie byłam wcześniej w tamtych stronach, więc nie wiem, jak to daleko, ani czy droga jest ciężka.

— Czy tam mieszka smok? — zapytała Jody.

— To tylko nazwa — odpowiedziała Jenny.

— Wcale nie! — krzyknęła Jen. — Smoki istnieją i żyją w Chinach. Chris mi mówił. Są okropne.

— Smok to tylko chińska jaszczurka — tłumaczyła Jenny cierpliwie.

Jen nie chciała ustąpić.

— Chris opowiadał mi o Chińczyku, który zrobił smoka z papieru i ciągnął go po Co-oma, żeby przestraszyć ludzi. Chińczyk opowiadał, że obchodzi w ten sposób Nowy Rok, ale każdy wiedział, że kłamie, ponieważ Nowy Rok był całe tygodnie wcześniej. Więc powiesili Chińczyka na haku za ten jego koński ogon.

— Czy Chińczycy mają też grzywę jak konie? — głos Jody zadrżał.

— Kiedy zwiążuję ci włosy z tyłu, to się nazywa koński ogon — wyjaśniła jej Jenny.

— Czy mnie powiesz na haku?

Jen roześmiała się.

— Nie bądź głupia. Tak się robi tylko z Chińczykami.

— Ten nocy będziemy musiały spać w wozie, może zresztą jeszcze przez wiele nocy, zanim dotrzemy do gospody — powiedziała Jenny.

— Czy jesteście pewne, że nie wolicie wracać do domu, jak tylko odwiedzimy następną osadę? Nie chcę, byście były zmęczone i budziły znowu Jazona.

— Fajnie jest podróżować — powiedziała Jen. I chcę zobaczyć Gospodę pod Smokiem. Może jest tam papierowa jaszczurka i Chińczyk wiszący na haku.

— W takim razie ja też mogę nie jechać do domu — oświadczyła Jo. — Chcę pojechać do Gospody pod Smokiem. Ale nie zamierzam patrzeć na Chińczyka. Zamknę oczy.

Jenny skinęła głową. Wcale nie zamierzała wybierać się tak daleko, lecz perspektywa podróży ucieszyła Jen, a jej nastrój udzielił się Jo. Teraz w czasie jazdy dziewczynki przestały narzekać i zaczęły głośno śpiewać. Droga zapowiadała się przyjemniej.

Niekiedy Jenny spoglądała na wschód, w stronę Wielkich Gór Wododziałowych, które oddzielały resztę kraju od Oceanu Spokojnego. Świat Jonathana leżał gdzieś daleko za ich ścianą. Obcy świat, który sięgnął poprzez góry, by ją obrabować. Czowała w sobie pustkę, pragnienie

— głód, jakiego nie odczuwała nigdy przy Jonathanie ani przy żadnym innym mężczyźnie. A jednak...

Głos Jen, śledzącej spojrzenie matki, wdarł się w jej myśli.

— Co jest po tamtej stronie gór?

— Złodziej — odpowiedziała Jenny bez zastanowienia, powtarzając to, co wcześniej pomyślała. — Kiedy dorośniesz, musisz bardzo uważać, aby cię nie okradł.

W Sydney Cove na brzeg wysiadło ponad połowę pasażerów z przypadającą na nich częścią towaru. Brygantyna pożeglowała na południe, morze stało się bardziej wzburzone.

Wiał przeciw nim wiatr z południa, musieli więc halsować ze wschodu na zachód, żeglarze nie mieli chwili odpoczynku. Zanim pokonali połowę odległości pomiędzy portami, grotmaszt złamał się pod uderzeniem wiatru i spadł na pokład, zakrywając żaglem jednego z żeglarzy, zaplątanego w liny.

W chwili gdy Mike Donohue ruszył, by pochwycić marynarza, żagiel zaczął ześlizgiwać się do morza i bosman odepchnął Mike'a na bok.

— Nie zrobiłbyś mi żadnej przysługi — powiedział. — Uderzenie przetrąciło mu kark. Lepiej niech wyląduje nieprzytomny w morzu. Ja tak bym wolał.

Irlandczyk stał w milczeniu przy relingu, przyglądając się jak uszkodzony żagiel i człowiek odpływają od statku niesieni falą.

— Pomodlimy się za niego wieczorem — powiedział bosman.

— Tak to już jest. Podczas tej podróży zginęło tylko dwóch, tyle co nic. Więc kiedy będziemy się modlić, podziękujemy za łaskę bożą.

Bosman oparł rękę na biodrze i zapatrzył się w potrzaskane drzewce.

— Wczesnym rankiem przybijemy do lądu i zreperujemy maszt, zanim ruszymy dalej wzdłuż wybrzeża na południowy zachód — powiedział. — Te ostatnie mile do Port Phillip potrafią być gorsze niż okrążanie przylądka Horn w zimie. — Rzucił okiem na pasażera.

— Wy Irlandczycy macie w sobie dużo współczucia dla ludzi. Czasami potrzeba wiele innych uczuć, by zachować równowagę.

Kiedy statek stał na kotwicy w zatoce, Mike oparł się o reling sterburty, przyglądając się górom widocznym ponad linią brzegu.

Przypomniał sobie słowa Edwarda Hargravesa podczas ostatniej rozmowy już w Sydney Cove.

— Na pożegnanie chciałbym ci powiedzieć dwie rzeczy, Michaelu Donohue — oświadczył grubas. — Mniej więcej w połowie drogi do Port Phillip, gdzieś w pobliżu zatoki Twofold, przebiega granica między dwoma koloniami. Mój rozum podpowiada mi, że będzie ona prowadziła przez Snowy Mountains, wzdłuż rzeki Murray. Zapamiętaj te nazwy. To jest dziki, pusty kraj, gdzie przydaje się znajomość różnych nazw. Człowiek może leżeć przygnieciony skałą, umierać z pragnienia i od ukąszenia węża, ale jeśli zna nazwę tej skały, to przynajmniej nie jest zgubiony.

— Czy ta kraina ma jakąś nazwę? — zapytał teraz Mike bosmana, kiedy ten stanął przy nim.

— To zatoka Twofold.

— Co leży za tymi górami?

— Poza Wielkimi Górami Wododziałowymi? — bosman uśmiechnął się szeroko. — Sam nigdy tam nie byłem, ale słyszałem co nieco od człowieka, który handluje statkami na południu. — Zwolniony przynajmniej na godzinę od obowiązków, bosman miał ochotę pogadać. — Powiedział mi, że nadbrzeżne pasmo gór sięga daleko na zachód. Mówił o nich „maszty”. To nie są takie sobie zwykłe góry. Mają szczyty pokryte śniegiem i lodem przez okrągły rok, przynajmniej on tak twierdził. Nazywał je Snowy Mountains.

Bosman odwrócił się plecami do brzegu i gór i spojrzał na stojącego obok mężczyznę.

— Dlaczego pytasz o ziemie za górami? Czy ta część kraju cię interesuje?

Mike Donohue potrząsnął głową.

— Tam nie znajdzie się nic ciekawego.

— No, no, nie możesz być tego pewien, póki się sam nie przekonasz. Kiedyś mówiłem tak jak ty, ale zmieniłem zdanie. Ten facet, który handluje statkami, opowiadał, że powstało tam kilka osad i farm hodowlanych. Wymienił nawet jakieś nazwy, ale ich nie zapamiętałem. Poza jedną. Tallaqueon. Powiedział, że jeśli jakiś żeglarz jest w kłopotcie, powinien znaleźć konia, a w ostateczności użyć własnych nóg, gdy tylko statek nie jest przycumowany zbyt daleko od zatoki Twofold i udać się prosto do Tallaqueon. Mówił mi nawet, jak tam dotrzeć — bosman roześmiał się. — Niewiele jest nazw w głębi lądu na żeglarskiej mapie. Jeśli handlarz często rozmawiał z marynarzami, to pewnie Tallaqueon jest jedną z nich.

— Cóż takiego szczególnego jest w tym miejscu? — zapytał Mike. — Jak ty to nazwałeś?

— Tallaqueon, ale pisze się jakoś inaczej. W ten sposób się wymawia, to jest chińskie słowo. Może osiedle jest również chińskie. — Mężczyzna roześmiał się znowu. — I nie ma w nim nic specjalnego poza tym, że jest tutaj, a nie w San Francisco, gdzie mężczyzna może dużo łatwiej dostać to, czego potrzebuje. Jest tam chiński burdel. Gospoda pod Smokiem.

Zerknął na Irlandczyka.

— Na brzegu znajdziesz osiedle rybaków — mówił dalej bosman.

— Ledwie jedna czy dwie chaty. Może teraz trochę więcej. Kapitan mówi, że staniemy tam za parę dni. Musimy zatrzymać się na trochę, by zreperować co trzeba. Pomyślałem, że pożyczę konia od kogoś z miejscowych i sam wybiorę się do Tallaqueon, do tego chińskiego burdelu. Jeśli jesteś zainteresowany, mogę wynająć dwa konie. — Znowu zerknął na Mike'a Donohue. — Co ty na to?

Mike uśmiechnął się.

— Może. Zastanowię się.

Bosman skinął głową, zadowolony, a potem obejrzał się na góry.

— Śmieszna sprawa z tymi Chińczykami — powiedział — możesz ich spotkać w każdym miejscu na świecie. W każdym razie wszędzie w okolicach Pacyfiku. Nawet w tym kraju na końcu świata. Nawet tam — mówił — w dziczy zapomnianej przez wszystkich.

Jenny z wozem pełnym dzieci podróżowała od osady do osady, wciąż na południe — przez Rock Flat i Granny Flat, wzdłuż strumieni, które zasilają rzekę Umaralla, aż do Nimmity Belle, osady misjonarskiej zbudowanej czternaście lat wcześniej przez kwaków ze Stowarzyszenia Przyjaciół.

Przez tydzień panował męczący upał i pchły dokuczały tak bardzo, że nawet konie z trudem je znosiły. Teraz wreszcie grzmoty, błyskawice i ciemne chmury obiecywały deszcz.

— Szukam noclegu dla siebie i moich dzieci — powiedziała Jenny do kobiety w białym czepku, która otworzyła drzwi pierwszego małego domku.

Zanim kobieta zdążyła odpowiedzieć, Jen krzyknęła piskliwym głosem.

— Jesteśmy sprzedawcami whisky i jedziemy do Gospody pod Smokiem.

W tym momencie z domu wyłonił się mężczyzna ubrany na czarno i zatrasnął drzwi.

Jenny odjechała kilka mil za osiedle, gdzie wreszcie zatrzymała się i rozpałała ogień. W tej chwili przyszło załamanie pogody i z nieba popłynęły strumienie deszczu zalewając ziemię.

Schronili się na wozie pod płótnem, które przeciekało w każdym miejscu, którego się dotknęło.

Leżeli tam zziębnięci i zeszywniali. Jazon płakał, dziewczynki popiskiwały. Nagle Jenny usłyszała czyjeś wołanie.

Słowa były angielskie, ale głos brzmiał dziwnie: był wysoki i miał obcy akcent.

Jenny wyjrzała, unosząc róg płótna i zobaczyła mężczyznę, Chińczyka, pod jaskrawym parasolem i z latarnią w ręce. Trzymał ją wysoko, tak by rzucała światło na zakryty wóz, podczas gdy jego twarz pozostawała w cieniu.

— Czego chcesz? — zapytała Jenny.

Jen wysunęła głowę, wyglądając na zewnątrz i krzyknęła z przestachu.

— Wszystko w porządku — uspokoiła ją Jenny. — To po prostu Chińczyk.

Mężczyzna roześmiał się i machnął swym warkoczem w stronę dziewczynki, która krzyknęła znowu.

— Zamknij się, Jen — nakazała Jenny ostro, nie spuszczać wzroku z Chińczyka. — Czego chcesz? Nie mamy pieniędzy. — Może on chce whisky, pomyślała. Zamorduje nas, by ją dostać.

— Zostałem wysłany, by ci zaoferować schronienie — powiedział. — Nasz dom jest ubogi, ale dach ma szczelny.

— Jak on śmiesznie mówi — powiedziała Jen, której ciekawość przemogła lęk.

— Kto cię wysłał? — zapytała Jenny, ręką szukając jakiejś broni.

— Mój ojciec i moja matka. Matka usłyszała płacz dziecka.

Deszcz padał coraz mocniej. Przenikał przez płótno wszędzie tam, gdzie stykało się z beczułkami lub którymś z ciał. Spływał z parasola, tworząc zasłonę przesłaniającą Chińczyka, podobnie jak ledwie widoczne teraz drzewa i krzaki. Nigdzie nie było nawet śladu zabudowań.

— Prowadź — powiedziała Jenny, podejmując decyzję — pojedę za tobą.

— Poczekaj — powiedział Chińczyk, kiedy zaczęła sadowić się na koźle. — Ja będę powoził. — Wskoczył na miejsce woźnicy, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, i pogonił konie. Wyjechali spod osłony drzew, kierując się na trakt.

— Jak się nazywasz? — zapytała Jenny.

Przykucnęła tuż za nim, nie zwracając uwagi na lejący deszcz.

— Quong Lee.

Kręcąca się pod płótnem Jody szeptała, szarpiąc matkę za rękę.

— Czy to jest dobry człowiek? Mówi tak, jakby był dobry?

— Nie ma się czego bać — powiedziała Jenny, zastanawiając się, czemu tak łatwo jest okłamać dziecko.

— Czy on jest czarny? — Jody, bardziej wrażliwa, pochwyciła jakiś niepewny ton w głosie matki.

— To jest Chińczyk — odparła Jenny. — Bądź cicho. Nie ma się czym martwić. — Tym razem w jej słowach brzmiała większa pewność.

— Chińczycy są żółci, nie czarni — poinformowała je Jen. — Chris opowiadał mi o Chińczykach.

— Bądź cicho, Jen. Obie siedźcie cicho — poleciła Jenny. — Wydaje mi się, że coś słyszę. — Poza stukotem końskich kopyt i szumem deszczu dochodził ją teraz cichy dźwięk kołysanych wiatrem dzwoneczków.

W tej chwili poruszył się Jazon, zaniepokojony w swym ciepłym gniazdku i zaczął płakać, wyężdżając płuca ze wszystkich sił.

— Silny chłopaczek — powiedział z uznaniem Chińczyk. — Tylko mocny chłopak potrafi wydać z siebie taki głos.

— Czy on ma zamiar zjeść Jazona? — zapytała zaciekawiona Jen. — Chris mówił, że Chińczycy jedzą dzieci.

Chińczyk roześmiał się, oszczędzając w ten sposób Jenny konieczności odpowiedzi.

— Nie — zapewnił — zjadamy tylko małe świnki.

Jenny spojrzała na niego, czując przypływ niepokoju. Jego twarz była dobrze widoczna w świetle lampy, którą zawiesił na dyszlu. Nie potrafiła nic z niej odczytać.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedział Quong Lee. — Wybraliście na obóz miejsce bardzo blisko naszego domu.

Jenny spojrzała przed siebie i zobaczyła wysokie ogrodzenie zwieńczone strzechą, otaczające zabudowania wyłaniające się z zarośli biegnących wzdłuż drogi. Dotarli do przerwy w ogrodzeniu. Była to otwarta brama. Chińczyk wjechał na dziedziniec otoczony z trzech stron budynkami o płaskim dachu.

Dwóch chłopców zamknęło za nimi bramę, Jenny zobaczyła też starego Chińczyka. Uśmiechał się, rozkładając szeroko ręce.

Jenny skinęła głową w stronę starca i uśmiechnęła się niepewnie.

W tyle, w cieniu dachu wysuniętego poza centralny budynek, stała w cichym oczekiwaniu Chinka w średnim wieku. Miała złożone przed sobą dłonie i pochylała głowę w postawie powitania.

— Moja matka także was wita — powiedział Quong Lee. — Daj jej chłopca.

Jenny wciąż jeszcze siedziała na wozie. Nie odrywała wzroku od Quong Lee, podczas gdy jej ręce szukały pomiędzy mokrym płótnem i kocami koszyka. Kiedy znalazła dziecko, wyciągnęła je i przytuliła mocno do siebie. Jazon gwałtownie wyrwany ze swego ciepłego gniazdko, zapłakał. Jenny bała się odwrócić wzrok od Quong Lee. Była przemoknięta od deszczu, podobnie jak dziecko w jej ramionach, ale ciągle nie poruszała się.

Chińczyk wskazał na malca, uśmiechnął się i skłonił swojej matce.

— *Nan hai.*

— Co jej powiedziałaś? — zapytała Jenny głosem piskliwym od niepokoju.

— Powiedziałem jej, że to chłopiec — Quong Lee wciąż się uśmiechał. — Mali chłopcy są szczególnie cenni.

Jenny przytuliła Jazona jeszcze mocniej. Usłyszała za sobą szcęk zamykanej bramy.

— Wydaje mi się, że powinniśmy stąd odejść — powiedziała Jenny cicho, ale zdecydowanie. — Otwórzcie bramę.

W tej chwili spomiędzy płócien wydobyła się Jody. Złapała matkę i zaczęła popłakiwać. Jen przyłączyła się do lamentów siostry.

— Jestem mokra i głodna — skarżyła się. — Czy nie możemy wejść do tego domu?

Quong Lee patrzył na Jenny. Teraz już się nie uśmiechał.

— Czy ty się nas boisz? — zapytał. — Nie ma powodu. Moja rodzina ofiarowała wam schronienie. Matka zajmie się dzieckiem, żebyś mogła ogrzać się i osuszyć. — Uśmiechnął się znowu, jakby coś nagle go rozbawiło. — Chińczycy naprawdę nie jedzą dzieci. Matka osuszy i uspokoi dziecko. Zajmowała się wieloma dziećmi.

Jenny przyglądała mu się z uwagą. W ciemnych, dziwnych oczach nie znalazła potwierdzenia słów, ale rozpoznała rozbawienie malujące się na twarzy. Obudziła się w niej hardość.

Zsunęła się z wozu, przytulając mocniej Jazona. Kiedy ruszyła w stronę Chinki, dziewczynki pospieszyły za nią, trzymając się ubrania matki i dygocząc.

— Dziękuję za zaproszenie — powiedziała Jenny, czując się spokojniej w towarzystwie kobiety.

Ale ta nie odpowiedziała, tylko ukloniła się, a potem odwróciła, prowadząc do domu, gdzie czekał kolejny Chińczyk.

— To mój ojciec — oznajmił Quong Lee i dodał: — Mój ojciec i moja matka nie nauczyli się angielskiego.

W tej chwili odezwał się starszy mężczyzna. W jego głosie brzmiało pytanie.

— Mój ojciec pyta, dlaczego nie ma z tobą twojego męża — przetłumaczył Quong Lee.

— Jestem wdową — odparła Jenny.

Jen i Jody, wczepione w jej spódnicę, wpatrywały się w obu Chińczyków, zafascynowane dziwnym brzmieniem ich głosów.

Matka Quong Lee znikła, ale za chwilę pojawiła się z suchymi ubraniami i zakrytą miską. Spojrzała na Jenny i wskazała na dziewczynki i Jazona, który teraz znowu drzemał, nadal w swym wilgotnym ubraniu. Ściągnęła mokre rzeczy z chłopca, potem zaczęła nacierać jego ciało oliwą z misy.

— Co ona robi? — zapytała Jenny, odzyskując głos.

— To uchroni dziecko przed zaziębieniem — powiedział Quong Lee.

Jenny, która stała tuż koło koksownika, czuła, jak zaczyna się jej robić gorąco. Ubrania parowały. Poczowała się raźniej.

— Gdyby zrobiła to nieco wcześniej, pomyślałabym, że szykuje go na patelnię — powiedziała, po raz pierwszy uśmiechając się do Quong Lee. — Niełatwo jest zrozumieć obce zwyczaje.

— Nam także — odrzekł Quong Lee.

Jego matka odezwała się po raz pierwszy. W jej głosie najwyraźniej zabrzmiało pytanie. Znowu na chwilę wyszła, ale po chwili wróciła z miseczkami, pałeczkami, jedzeniem i łyżkami służącymi do nakładania potrawy.

— To skromny posiłek, ale uchroni was od głodu — powiedział Quong Lee.

— Nie ma żadnych noży ani widelców — poskarżyła się Jen — tylko patyczki i takie śmieszne łyżki.

— Po prostu jedz łyżką, którą dostałaś, i bądź cicho — powiedziała Jenny, spoglądając przy tym na Quong Lee.

Skinął głową i uśmiechnął się do niej.

— Mojej matce bardzo trudno jest zrozumieć obcych ludzi — powiedział i odwrócił głowę, potrząsając nią w odpowiedzi na niespokojne pytania Chinki. — Ona mówi, że nawet ja

stałem się tak dziwny, że nie potrafi mnie zrozumieć. Przez długi czas nie widziała mnie, a ja się zmieniłem. Stałem się bardziej podobny do obcych. Kiedy byłem małym chłopcem, rodzice musieli mnie sprzedać. Pracowałem dla człowieka, który handlował statkami, aż zarobiłem dość pieniędzy i mogłem się wykupić. Moim rodzicom nie jest łatwo mieć tak dziwnego syna.

Jenny podniosła wzrok znad jedzenia.

— Sprzedali cię?

— Musieli. Nie mieli już więcej córek na sprzedaż. Nie było im łatwo oddać jedynego syna, ale cóż mieli zrobić?

Jenny nadal patrzyła na niego. Jego twarz już nie wydawała się tak pozbawiona wyrazu i nieprzenikniona. Rozpoznała w niej smutek, a kiedy znowu się odezwał, dostrzegła na niej radość.

— Praca dla handlarza statkami była bardzo dobra. Zarobiłem wystarczająco, by wykupić siebie i sprowadzić moich rodziców do tego kraju. Tutaj szczęście się do nich uśmiechnęło. Kiedy matka była już prawie starą kobietą, urodziła ojcu dwóch kolejnych synów. To są moi bracia, ci, którzy otworzyli wam bramę.

Po długiej ciszy, która zapadła, Jen odzyskała nareszcie głos.

— Czy to jest Gospoda pod Smokiem?

Quong Lee roześmiał się znowu.

— Gospoda pod Smokiem jest w Tai li Kuan.

— Mówisz o Tallaqueon — powiedziała Jenny, używając wymowy, która była jej bardziej znajoma.

— Tak. Tai li Kuan. Po chińsku to znaczy: miejsce zastępujące gościom dom. Mężczyźni zatrzymują się w Tai li Kuan, w Gospodzie pod Smokiem, zamiast w zajeździe dla rodzin w jakimś innym miejscu. Rozumiesz? — Ściągnął brwi. — Czy wybieracie się do Gospody pod Smokiem?

Jenny przytaknęła.

— Ludzie idą do Tai li Kuan, kiedy chcą się spotkać ze statkiem, który przybił do zatoki Twofold. — Quong Lee przyglądał się Jenny uważnie. — Nie wydaje mi się, żebyś chciała odpłynąć statkiem. Nie przejedziesz przez góry, mając taki wóz i konia. Po co jedziesz do Tai li Kuan?

— Może wcale nie wybieram się do Tallaqueon tylko do Bibbenluke — powiedziała mu Jenny.

— Nie wiesz, dokąd zmierzasz?

— Ja po prostu... podróżuję — powiedziała Jenny. Nie chciała rozmawiać z nim na temat swoich interesów. Teraz już nie bała się, że mógłby ukraść jej whisky. Jej niechęć wynikała ze zmieszania. Wolą, by Chińczyk nie wiedział, że ona handluje whisky.

— Bardzo ciężka podróż — powiedział Quong Lee. — My też ciągle podróżujemy to tu, to tam. Sprzedajemy warzywa, jakie nam się uda wyhodować. Czasami jeździmy do Bibbenluke. A niekiedy aż do zatoki Twofold, bo tam możemy sprzedać jarzyny wprost na statki. Nie handlujemy w Tai li Kuan. Chińczycy sami tam hodują warzywa.

— My nie sprzedajemy warzyw — odezwała się Jen. Oczy jej lśniły, kiedy przysłuchiwała się uważnie rozmowie.

Jody, która spała na podłodze koło koksownika, poruszyła się i uniosła powieki.

— Sprzedajemy whisky — ogłosiła.

Twarz Jenny poczerwieniała. Patrzyła na swoje dłonie, niezdolna podnieść wzroku na Quong Lee.

— Bardzo dobry interes — stwierdził ponuro. — Znakomity interes. — Po chwili dodał łagodnie. — Kobiecie trudno prowadzić interes, który wymaga ciągłego podróżowania, nawet jeśli jest tak dobry.

Jenny milczała, w gardle coś ją ścisnęło, a oczy przesłoniły łzy smutku i zmęczenia.

Matka Quong Lee zebrała naczynia. Quong Lee rozmawiał przyciszonym głosem z ojcem.

Jenny patrzyła na swe śpiące dzieci — Jody wciąż kuliła się koło koksownika, Jen spała przytulona do siostry. Jenny nasłuchiwała szumu deszczu, uderzającego w dach i ściany domu. Wreszcie podniosła głowę i spojrzała na Quong Lee.

— Dziękuję za schronienie i posiłek — powiedziała. — Zapłacę, jeśli powiecie, ile jestem winna.

— Nie trzeba płacić — powiedział Quong Lee. — Jesteście gośćmi. Matka zaraz przyniesie dla was poślanie.

— Czy to znaczy, że możemy pozostać na noc?

Quong Lee zmarszczył czoło.

— Jesteście honorowymi gośćmi — powiedział jej. — Mój dom jest waszym domem. — Mężczyźni pokłonili się i wycofali z pokoju. Jenny wpatrywała się w nich oszołomiona. Quong

Lee zatrzymał się w drzwiach. — Rano porozmawiamy znowu. — Ukłonił się jeszcze raz i zniknął.

Nad ranem deszcz ustał i pokazało się słońce. Mokra ziemia parowała, biała mgła unosiła się pomiędzy drzewami i krzakami. Jenny pomyślała, że zapowiada się parny dzień, kiepski na podróż.

— Straszne błoto — oświadczył Quong Lee. — Nie najgorzej dla konia, ale bardzo źle dla wozu. Mój ojciec i ja chcemy sprzedać warzywa, zanim się zepsują, więc dzisiaj jedziemy do Bibbenluke. Może w przyszłym tygodniu dotrzemy aż do zatoki Twofold. Weźmiemy tylko konie objuczone koszami. Lepiej podróżować pod wierzch.

Jenny przytaknęła.

— Ja muszę mieć wóz — powiedziała. — Nie dla... mojej wygody. Dla moich dzieci.

— Skąd przyjechałaś? — zapytał Quong Lee. Jenny zawahała się.

— Mieszkam na południowy-zachód od Cooma — odparła wreszcie.

— Długa droga — Quong Lee przyglądał się jej swymi oczami bez wyrazu. — Nie powiedziałaś mi, jak się nazywasz — powiedział cicho.

Jenny zawahała się, spoglądając w stronę drzwi. Dziewczynki były na zewnątrz i nie mogły jej usłyszeć.

— Nazywam się Garnett — powiedziała mu. — Wdowa Garnett.

— Może moglibyśmy robić razem interesy — zaproponował Quong Lee. — Rozważałem to z ojcem, a on powiedział, że mam porozmawiać z tobą. Sprzedawalibyśmy twoją whisky tam, gdzie handlujemy warzywami. Nie w każdym miejscu, ale w niektórych. Pewne miejscowości nie są bezpieczne dla Chińczyka, który miałby ze sobą whisky, ale inne tak. Do Cooma nie jeździmy nawet z warzywami. Bywamy w Nimmity Belle, ale tam nie możemy handlować whisky. Za to na południe od Bibbenluke i za górami dla statków — na pewno tak. W wielu osadach, do których ty nie dotrzesz. Byłoby łatwiej, gdybyś jeździła tylko do Cooma i miejscowości na północy. Żydzi wszędzie pobudowali składy dla osadników. Ci chcą whisky, więc kupcy będą ją od ciebie kupować. Możesz sprzedawać bezpośrednio osadnikom i dużo zarabiać, ale też strasznie się najeździsz. Możesz prowadzić interesy z żydowskimi sklepikarzami, zarabiać znacznie mniej, ale mieć też mniej kłopotów. Albo też my będziemy sprzedawać za ciebie. Wtedy zarobisz więcej, niż gdybyś wstawiała swą whisky do składów.

— Nie oczekuję, by pieniądze przychodziły mi łatwo — powiedziała Jenny. Na swoim własnym gruncie poczuła się swobodniej, wiedziała, że nadszedł czas na przetargi. — Czasami

sprzedają oberżom i właścicielom składów, ale zazwyczaj głównemu gospodarzowi osady. Jednak... — zamilkła, jakby coś głęboko rozważała. Chciała zrobić z nimi interes, wdzięczna za nieoczekiwaną możliwość sprzedawania whisky na terenach, do których nie mogła dotrzeć. Ale musiała to dobrze rozegrać. Sztuki targowania zdążyła się już nauczyć.

— Chcecie ode mnie kupować, czy pracować dla mnie? — zapytała wreszcie.

— Za ile sprzedajesz?

Jenny obliczyła koszt produkcji jednej baryłki whisky i porównała z ceną, jaką otrzymywała w osiedlach, a potem zaproponowała niższą, dającą mu zarobek w wysokości jednej piątej jej profitu.

— Ile byś płaciła, gdybyśmy pracowali dla ciebie, sprzedając whisky? — zapytał wtedy Quong Lee.

Podawała mu cenę, jaką płacili jej osadnicy, i zaproponowała jedną szóstą.

Quong Lee zadumał się.

— Gdybyśmy pracowali dla ciebie, mielibyśmy zysk bez wkładania gotówki. Gdybyśmy zaś sami kupowali, musielibyśmy wyłożyć pieniądze, ale za to zarobilibyśmy więcej. Prawdopodobnie.

Podrapał się po policzku.

— Kupimy od ciebie towar za dwie trzecie ceny, jaką otrzymujesz od osadników.

Jenny ściągnęła usta. Tym razem to ona udawała, że musi głęboko się zastanowić.

— Jeśli będziecie dla mnie pracować, zapłacę wam jedną piątą tego, co otrzymacie za każdą sprzedaną baryłkę — złożyła swoją propozycję. Quong Lee znowu podrapał się w policzek i ponownie się zamyślił.

— Może kupimy od ciebie za trzy czwarte ceny, którą dostajesz od osadników — powiedział wreszcie.

Jenny uśmiechnęła się. Dotarli do tych warunków i ceny, o których myślała od samego początku. Sprzedając Quongowi Lee, straci jedną czwartą swego zysku. Sprzedając gospodom i właścicielom składów, czasami musiała zrezygnować nawet z połowy zarobków.

— Dobrze — powiedziała, przywołując na twarz wyraz wahania. — Sprzedam wam za trzy czwarte ceny, jaką oferuję osadnikom.

Quong Lee uśmiechnął się szeroko.

— Targujesz się jak Chińczyk. Jesteś pewna, że nie miałaś jakichś skośnookich przodków?

Jenny pomyślała o swej matce.

— Nie wydaje mi się.

— Lubisz żarty — Quong Lee roześmiał się głośno. — Wcale nie jesteś taka jak Angli-
cy.

— Jestem półkrwi Irlandką — powiedziała wtedy.

Wypakowała całą whisky. Teraz nie miała już żadnego powodu, by jechać dalej na połu-
dnie. Mogła zaraz zawrócić na północ, do domu.

Quong Lee policzył baryłki i butelki, spróbował whisky, skinął aprobowująco głową i wrę-
czył jej pieniądze, na które się wcześniej umówili.

— Co dwa tygodnie podróżujemy do Rock Flat Creek. Czeka tam na nas z dwoma koń-
mi załadowanymi whisky. A może niedługo będziemy już brać więcej.

— Co drugi poniedziałek w Rock Flat Creek — potwierdziła Jenny. Podniosła wzrok
znad pieniędzy. — Aż do późnej jesieni. Czy wtedy będziecie mogli wziąć dziesięciokrotny
ładunek?

— Za duży zakup na jeden raz — powiedział Quong Lee.

Jenny zawahała się.

— Może powinnam wam sprzedać połowę, a za drugie pół zapłacicie na wiosnę.

— Zaufasz nam, zostawiając niezapłaconą połowę?

— Zobaczymy, kiedy nadejdzie czas — powiedziała Jenny.

— Dlaczego nie dostarczasz towaru zimą? Mieszkasz w wysokich partiach gór, gdzie nie
można przedrzeć się przez zaspy śniegu?

Jenny nie odpowiedziała. Przyglądała mu się badawczo. Trzymała pieniądze w dłoni.
Czekała.

Quang Lee odwrócił się do niej tyłem i zajął układaniem baryłek. Jenny szybko ukryła
pieniądze w sakiewce pod spódnicą. Kiedy Quong Lee spojrział na nią, spoglądała w niebo.

— Jeśli wyruszysz teraz, znajdziesz bezpieczne schronienie przed nocą — powiedział.
Przyjrzał się jej z ciekawością. — Biali ludzie nie ufają takim jak my. — Dotknął własnej twa-
rzy. — Chińczykom. Ludziom o innym kolorze skóry. Dlaczego nam nie ufacie?

Jenny zmieszana usiłowała wymyślić jakieś kłamliwe zaprzeczenie. Wreszcie wzruszyła
ramionami. Prawda była prostsza. Uśmiechnęła się do Quong Lee.

— Biali nie ufa nawet drugiemu białemu.

Kiedy brygantyna rzuciła kotwicę w Port Phillip, od razu pojawiły się przy jej burcie dwie małe łodzie wiosłowe. Ich właściciele, starając się zdobyć klientów, wykrzykiwali głośno:

— Kto na Liardett Beach?

Mike przechylił się przez reling i zawołał do mężczyzny w łodzi.

— Dostanę tam konia?

— Chcesz kupić czy pożyczyć? — odkrzyknął mężczyzna.

— Odpowiem ci, kiedy go zobaczę.

Żeglarz odłożył wiosła i zatrzymał łódkę przy drabince sznurkowej zwisającej po jednej stronie statku.

Mike odwrócił się i machnął na pożegnanie bosmanowi, potem zszedł po trapie. Jego bagaż zwisał w dwóch workach przewieszonych przez ramię.

— Czy jest jakaś skrzynia do zniesienia? — zapytał mężczyzna z łodzi.

— Nie potrzebuję niczego, co nie dałoby się załadować na konia — uśmiechnął się.

— Jest tu tylko kilka młodych walerów, ale są wystarczająco szybkie dla mężczyzny twojej budowy, poniosą też bez trudu twoje bagaże.

Nie minęła godzina, a Mike płynął już w kierunku Melbourne zamuloną rzeką Yarra.

Kiedy dotarł do rozbudowującego się miasta, skierował się wzdłuż Great Burke Road koło poczty głównej w stronę końskiego bazaru. Tam od razu podszedł do handlarza, będącego także łowcą dzikich koni, którego polecił mu Edward Hargraves.

— Znasz się trochę na koniach? — spytał go Hargraves.

— Urodziłem się pomiędzy nimi na Connemarze — odparł, uważając, by ton nie zdradził jego myśli: — opiekowałem się nimi przez wszystkie moje chłopięce lata w angielskich stajniach tego opryszka, lorda Connacht.

Nie wymówione słowa tak mocno dźwięczały w jego głowie, że wydawało mu się niemożliwe, by Hargraves ich nie usłyszał. Może też zobaczył odbicie starych wspomnień w oczach Mike'a, ponieważ uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Zapomniałem, że jesteś Irlandczykiem — odezwał się po chwili — natomiast nie zapomniałem, że byłeś skazańcem, a wielu skazańców ucieka i ukrywa się gdzieś w buszu. Można wpaść w poważne kłopoty, jeśli nie poda się oddziałom policji rozsądnego wytłumaczenia celu wyprawy. Podam ci nazwisko znajomego handlarza. Łapie dzikie żrebaki. Powiedz mu, że przysłałem cię, bo masz nauczyć się posługiwać lassem. Nie mów mu ani słowa więcej. Nie

ufaj nikomu. W Buninyong Ranges znajdziesz wystarczająco dużo dzikich koni, że opłaci ci się tam zamieszkać.

Kiedy Mike znalazł poleconego handlarza na bazarze, dał mu kartkę od Hargravesa. Tamten przeczytał i skinął głową. Był to małomówny Szkot o bystrym spojrzeniu.

— Hargraves pisze, że nie trzeba cię wiele uczyć, więc niech tak będzie. Daję ci jeden tydzień na opanowanie sztuki posługiwania się lassem, a jeśli to ci się nie uda, więcej czasu nie dostaniesz. Ja nic nie daję za darmo! Konie, które złapiesz, przyprowadzisz do mnie, nie do żadnego innego handlarza na bazarze. Oto moja cena. Zgoda?

— Jeśli uda nam się tylko uzgodnić, ile zapłacisz za złapanego konia.

Kupiec roześmiał się.

— Nie wiesz jeszcze, że takie dzikie konie nazywamy uciekinierami, a już liczysz zyski z tych, których jeszcze nie złapałeś. Lubię takich jak ty. Lubię też równie narowiste konie. Poradzisz sobie.

W tydzień później Mike wyjechał z Melbourne konno, prowadząc luzaka. Kierował się w stronę oddalonej o siedemdziesiąt pięć mil od wybrzeża Bacchus Marsh osady Ballarat. Droga wiodła go przez Keilor Plains, rzekę Werribee w stronę pasma gór o nazwie Buninyong.

W ciągu miesiąca miał odkryć wszystko to, co obiecał Hargravesowi — i znacznie więcej niż wymarzył dla siebie. Ale by opowiedzieć o swych odkryciach, musiał czekać aż do sierpnia pięćdziesiątego pierwszego roku.

Zanim jednak lato dobiegło końca, odkrył też swoje naturalne powołanie. Łapanie uciekinierów, czyli dzikich koni.

5.

W połowie lutego pięćdziesiątego pierwszego roku Jenny wróciła do doliny z wozem i pociągowymi końmi obładowanymi towarami, które prowadził cichy człowiek o surowej twarzy.

— To jest mój nowy pomocnik — powiedziała Samuelowi Colebrookowi, który pod pierwszym lepszym pretekstem przeszedł na jej stronę doliny, aby zbadać sprawę.

— Gdzie będzie mieszkał? — zapytał Samuel.

Jenny zobaczyła pytanie w jego oczach, zanim jeszcze je zadał.

— Nie tam, gdzie myślisz. Jeśli nie wybuduje przybudówki przed wieczorem, pójdzie spać do stajni. — Roześmiała się. — A jeśli przyjdą mu do głowy jakieś inne pomysły, to będzie się musiał nimi najeść.

Odchyliła połą starego zakietu i poklepała pistolet Jonathana, który nosiła zatknięty za pasem.

— Jak się nazywa ten mężczyzna? — zapytał Samuel.

— Jeśli ma jakieś nazwisko, nie będzie chciał, żebyś je poznał — odparła Jenny. — Ja nazywam go Bimber, ponieważ to za moją whisky mogłam go wykupić. — Zamilkła, ale iskierki rozbawienia nadal tańczyły w jej oczach. — To skazaniec wysłany z Anglii. — Teraz już w głos się roześmiała na widok wyrazu twarzy Samuela.

— Ależ przecież nie nadchodziły żadne transporty ze skazańcami do Nowej Południowej Walii od czterdziestego roku. Osadnicy mówili mi o tym już dawno temu.

— Powrócili do starego zwyczaju w czterdziestym dziewiątym — wyjaśniła Jenny. — Różnica jest taka, że teraz nie nazywają ich już skazańcami, tylko zesłańcami. On ma papier, który to wszystko tłumaczy. Otrzymał list potwierdzający zwolnienie z więzienia w Anglii. Stary skazańcy nazywają ich jabłkami. Więźniów, którzy spadli tu z Matki Anglii. Bimber jest jednym z nich. Przypłynął na statku więziennym „Hashemy” zaledwie paręnaście miesięcy temu. W czerwcu czterdziestego dziewiątego.

Samuel nic nie powiedział, tylko patrzył na nią tak jak zawsze, kiedy wracała z długiej podróży poza dolinę. Jego oczy mówiły, choć usta milczały.

— Lepiej żebym się wzięła do roboty — stwierdziła Jenny. — Bimber opowie ci lepiej o jabłkach, jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej, chociaż będziesz musiał z niego wyciągać słowo po słowie, tak samo jak ja.

Twarz Samuela pociemniała, kiedy odwrócił się, by popatrzeć na zesłańca.

— Nie zostanie tutaj długo — uśmiechnęła się znowu Jenny.

— Oczywiście, ponieważ jest jabłkiem, zgodnie z prawem nie może odejść wtedy, kiedy chce. Ale ja go nie zamierzam zatrzymywać. Będzie wolny, jak tylko wykona swoją robotę.

Spojrzała w stronę rzeki.

— I mam nadzieję, że praca ta będzie już dobrze zaawansowana, nim skończy się lato — dodała. — Za osiem miesięcy będę miała dwadzieścia lat i obiecałam sobie coś osiągnąć do tego czasu.

Zmarszczyła brwi, słysząc w swoich słowach echo przemowy Jonathana. Ale mężczyzna, do którego mówiła, miał zupełnie inny wyraz twarzy i łzy w oczach. Odwróciła szybko wzrok.

— No cóż, tak jak powiedziałam, lepiej zabierać się szybko do roboty.

W czasie następnych tygodni praca i plany przyniosły Jenny radość, która wypełniała dręczącą ją pustkę.

Wytyczyła nowe granice posiadłości Trávisa, zaczynając sto metrów poniżej chaty i kamienia nagrobnego, w dół do wspólnej ziemi przy rzece, na południe od koryta rzeki i na północ do drogi, którą wyjeżdżało się z doliny. Górna granica znajdowała się na północno-wschodnim stoku wąwozu.

Na pierwszym uskoku ziemi, licząc od rzeki, wbiła kołki oznaczające położenie przyszłego domu, stodoły i pomieszczeń gospodarskich. Tam pracował Bimber. Ściągał ścięte drzewa, odcinał konary i korzenie, piłował pnie na kawałki nadające się do budowy.

— Masz zamiar postawić gospodarstwo? — zapytał Samuel, który szwendał się w pobliżu i przyglądał robocie.

— Mam dosyć chałupy z nie obrobionych pali i z klepiskiem zamiast podłogi — odparła Jenny. — Teraz stanie tu gospodarstwo z prawdziwego zdarzenia. Z porządnymi oknami, i to oszklonymi. Nie z żadnym tam kawałkiem skóry powiewającym w dziurze. Kiedy wyjdę z tego szalasu, nie wejdę do niego nigdy więcej. Zmieniłam granice terenu tak, by nawet się już na nim nie znajdował.

Samuel skinął głową, po części rozumiejąc, o co jej chodzi, ale nic nie powiedział.

Bimber, przyglądając się kamieniom zalegającym dolinę i skalistym szczytom wznoszącym się w górę, zdradził okrucieństwo informacji na swój temat. Zanim popadł w tarapaty w rodzinnym kraju, był tam kamieniarzem. Przez następne tygodnie codziennie wychodził z koniem i wozem po skalne odłamki.

Toczył bój z kamieniami przez kilka dni, aż wreszcie musiał się przyznać do porażki. Przyzwyczajony do wdzierania się w osadową skałę, rozpoczynając pracę był dobrej myśli, gdyż wiedział, że może zrobić coś, na czym się prawdziwie zna. Ale twarda, wulkaniczna skała nie przyjęła chętnie kamieniarza z Cotswolds. Zignorowała jego wiedzę i umiejętności równie bezlitośnie jak kraj, do którego go przywieziono.

Jenny, która wyszła z chaty, by sprawdzić postęp robót, znalazła zesłańca nad górą kamieni, wpatrującego się w nią z wyrazem twarzy, który nauczyła się rozpoznawać.

— Słyszałam, jak ludzie mówili, że największą karą jest odmienność tego kraju — powiedziała. — Chyba wiem, co mieli na myśli, mimo że sama się tutaj nie urodziłam.

— Jest za twarda — oświadczył. — Z takiej skały nie potrafię wyciosać bloków na dom.

— Na tych wzgórzach wszystko jest twardsze — powiedziała Jenny. — W mieście Sydney kamień daje się ciąć znacznie łatwiej. Widziałam, jak zakuci w kajdany więźniowie przebijali przez nie przejścia i wyrąbывali bloki na domy. Tam jest piaskowy kamień koloru kremu, zupełnie inny niż ten. Ale ludzie tam też są inni. Lepiej pracować wolnym nad twardym kamieniem niż w kajdanach nad miękkim.

Nie odpowiedział, a na jego twarzy wciąż malowała się gorycz porażki.

— Obiecałeś mi kamienne ściany i przynajmniej jedną będę miała — oświadczyła energicznie Jenny. — Spodobał mi się ten pomysł. Te odłamki skały są na tyle małe, że można je obrobić.

Mruknął coś na temat ociosywania skały.

— Chodzi ci o to, że mają być gładkie i ładne? — dopytywała się Jenny. — Daj spokój, nie zwracaj sobie tym głowy. Po prostu połącz nierówne kamienie dobrą zaprawą. Wystarczy jedna mocna ściana z dużym paleniskiem pośrodku, zwrócona na południe, niczego więcej nie oczekuję. Jeśli nie będzie groziła zawaleniem i ochroni od upału w lecie, a od chłodu w zimie, uznam, że zrobiłeś dobrą robotę. — Pokiwała głową jak stara kobieta pouczająca małego chłopca, a nie dziewczyna niespełna dwudziestoletnia rozmawiająca z mężczyzną dwa razy od niej starszym. — W tym kraju trzeba robić najlepiej, jak się da, tym co masz pod ręką. To jedyne sposob, by utrzymać się na nogach i nie uznać się za pokonanego.

Późnym latem i wczesną jesienią pięćdziesiątego pierwszego zabudowania rosły jak na drożdżach, drewniana konstrukcja wypełniała się i wkrótce powstały trzy zewnętrzne ściany, a potem ścianki wewnętrzne oraz szeroka weranda, która obiegała dom z trzech stron.

Jedna kamienna ściana dziwnie odbijała od reszty konstrukcji. Kiedy była już ukończona wraz z wysoko sterczącym kominem, Bimber odszedł parę kroków, by przyjrzeć się robocie, która urągała jego umiejętnościom. Dziwnego kształtu kamienie, połączone zaprawą, tworzyły zwariowane połączenie kształtów i rozmiarów, niepodobny do żadnej ściany, jaką kiedykolwiek widział czy sam zrobił.

Ale Jenny ta ściana podobała się. Miała coś wspólnego z wysokimi górami i nią samą.

— Ta ściana i ja pasujemy do siebie — powiedziała mu z uśmiechem. — Szorstka po wierzchu, ale silna w środku. Twoje dobrze obrobione ściany są dla dam i dżentelmenów w mieście, nie dla takich jak ja i inni mieszkańcy dolin.

Kiedy pierwsze pomieszczenia pokryte zostały dachem, na które Bimber nałożył stalowe płachty zakupione przez Jenny w składzie, ustawiła swój kocioł destylacyjny w jednym pokoju, a posłania dzieci w drugim, po czym samotnie wróciła do chaty.

Stała pośrodku i przyglądała się przez chwilę panującej tam pustce — ale jej dom był przecież pusty już od dwóch lat. Teraz wreszcie został opuszczony. Nie pozwalała sobie na wspomnienia. Zasłoniła okno, wyciągnęła skórzany kuferek Jonathana, a na koniec zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy odchodziła, poprzysięgła sobie, że nic i nikt nigdy nie skłoni jej, by wróciła do tego miejsca.

Pod koniec maja 1851 roku Bimber dostarczył ostatni ładunek whisky, zanim zima zatrzasnęła wrota do doliny. Zdążył już spaść pierwszy śnieg.

Zjawił się w Cooma wraz z nadciągającymi z północy wozami zaprzężonymi w woły. Zaczynała się gorączka złota.

Okrzyki tłumu potwierdził oficjalny biuletyn. Ogłoszono, że piętnastego maja odkryto złoto w Nowej Południowej Walii. Mówiło się, że odkrycia dokonał mężczyzna noszący nazwisko Hargraves w miejscu o nazwie Ophir, w pobliżu Bathurst.

— Ophir — mruknął Bimber. Dla niego była to wieść od samego Boga, wyszeptana głosem matki. Przypomniał sobie słowa, których nauczył się, siedząc na jej kolanach w Gloucestershire: słowa królów i Salomona o złocie Arabii, które wyznaczy drogę do królestwa obiecanego. Zabrał konia pod wierzch, whisky jako zapłatę i ruszył przed siebie, w stronę złotodajnych pól. Po drodze zostawił drugiego konia zaprzężonego do wozu, by znalazł sam drogę do doliny.

Jenny odczekała do wczesnej wiosny na kolejne spotkanie w Rock Flat z Quong Lee. Kiedy nadszedł czas, załadowała wóz baryłkami i butelkami, ale najpierw ruszyła do Cooma zdecydowana dowiedzieć się, co się stało.

Odpowiedzi wisiały na tablicy ogłoszeń. Pożółkły ze starości papier informował o gorączce złota w Nowej Południowej Walii, natomiast proklamacja datowana sześć tygodni później, pierwszego lipca, ogłaszała powstanie Niezależnej Kolonii Wiktorii — a szary i świeży jak ciało niesione na cmentarz anons Komitetu Obywatelskiego w Wiktorii oferował „znaczną nagrodę” za odkrycie złota w Kolonii.

Nowsze wieści przyniósł kurier, który zatrzymał się w Cooma, by zmienić tu konie podczas swej drogi na północ. Złoto zostało znalezione w sierpniu w górach Buninyong w pobliżu Ballarat, i była to największa bryłka, na jaką w ogóle gdziekolwiek natrafiono.

— Gdzie jest ta nowa Kolonia? — zapytała Jenny.

— Zobaczysz ją, jeśli się wdrapiesz na Snowy Mountains. Popatrz na północ, tam leży Nowa Południowa Walia. Spójrz na południe i zobaczysz Wiktorię. Ale Cooma należy jeszcze do Nowej Południowej Walii.

— A co z osiedlami w górach? — zapytała Jenny z niepokojem.

— Podaj mi oficjalną nazwę osiedla, to ci odpowiem.

— Oficjalną nazwę — mruknęła Jenny, czując jeszcze większy lęk. Ale najpierw bydło, więcej bydła, myślała, przysłuchując się rozmowom mężczyzn.

Wynajęci pasterze wołów, zwani też wolarzami, nie posiadający własnej ziemi, podniecali się napływającymi wieściami. Ale właściciele ziemscy nie byli nimi zachwyceni.

— Sekretarz Kolonii traci kompletnie kontrolę nad wydarzeniami — twierdził jeden z nich zdecydowanym głosem. — Hargraves wrócił z Kalifornii i ruszył w jedno z tych miejsc, gdzie wolarze znajdowali w przeszłych latach bryłki złota. Zdobył kilka z nich w pobliżu Wellington, potem parę następnych koło Summer Hill Creek, a wtedy udał się do Sydney, żądając nagrody od rządu za odkrycie złota, o którego istnieniu każdy wiedział. A teraz daje publiczne wykłady, gdzie i jak należy szukać złota, jak używać kalifornijskiej płuczki i cynowych naczyń do złotonośnego piasku. Stworzył gorączkę złota, używając tylko własnych ust. Wiedział, że jeśli wystarczająco wielu zacznie kopać, to wreszcie któryś znajdzie. A chętnych będzie wystarczająco dużo. Zjawią się mężczyźni wszystkich możliwych narodowości. Tacy jak my będą sobie krzyż łamać, by coś zrobić z tej ziemi, a Hargraves zmusza rząd do płacenia mu za jej

niszczenie. Zbija fortunę na gorączce złota, którą sam wymyślił, a nic go nie obchodzi ziemia, którą dewastuje.

— Kiedyś byłem przeciwko zarządzającym koloniami skazańców gubernatorom, którzy wieszali ludzi opowiadających o znalezionym złocie. Teraz sam mam ochotę powiesić Hargravesa — zgodził się z przedmówcą jakiś starzec. — Głupi gubernator mówi, że poszukiwacze będą mogli szukać złota na ziemiach należącej do Korony. Ziemia Korony! Każdy, kto znajdzie złoto, na pewno je sobie zabierze, bez względu na to, do kogo ziemia należy. — Mówił powoli i z goryczą.

— Nie zatrzyma się napływającej fali. Nawet rząd nie odwróci przyływu.

— Mnie to nie martwi — powiedział jakiś niski mężczyzna. — Mam wystarczająco dużo befsztyków....

Nikt się nie roześmiał. Mężczyzna nie mówił o swej spiżarni, tylko o ilości głów w stadzie. Był najbogatszym hodowcą.

— Boję się tylko o pracowników — mówił dalej. — Złote pola przyciągają ich. Już teraz szkoleę czarnych na wolarzy. A rozglądam się także za dzierżawcami, tak na wszelki wypadek.

Jenny dłużej nie słuchała. Ci mężczyźni hodowali bydło na terenach równinnych, a teraz szli na wzgórza w poszukiwaniu letnich pastwisk. Zmuszeni byli to robić sami, skoro ich wolarze uciekli, zwabieni gorączką złota. Tyle zrozumiała. I jeszcze coś. Wolarze szukali tylko pastwisk, ale właściciele rancz musieli dbać o ziemię i rozglądali się za dzierżawcami.

Jeśli posiadanie stada mogło zatrzymać goniących za złotem, mogło też powstrzymać tych, którzy chcieli zagrabieć pastwiska.

Potrzebowała więcej bydła! Dobrego bydła! Tak dużo i tak szybko, jak tylko uda się jej zdobyć i rozmnożyć.

— Chcę kupić byka — powiedziała Jenny do handlarza.

— A jakiegoż to? — zapytał lustrując młodą kobietę od stóp do głów z uśmiechem.

Najwyraźniej nie traktował jej poważnie.

Jenny wyprostowała się i uniosła w górę podbródek. Kiedy odezwała się znowu, w jej głosie brzmiało zdecydowanie i władczość.

— Dużego i silnego — powiedziała. W jej głosie dźwięczała duma. kiedy dodała. — Mam sto pięćdziesiąt krów i tylko jednego byka. Potrzebuję drugiego.

— Jakiejś szczególnej maści? Aberdeen angus, hereford, a może shorthorn? — handlarz nie tak dawno przybył z Anglii. Kiedy spotykał kogoś urodzonego w Koloniach, a potrafił ich poznać, lubił sobie nieco pożartować. — Może stilton, gruyère, cheddar?

Powróciły do niej wspomnienia czasów, kiedy pracowała w gospodzie. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem, dostrzegając iskierki rozbawienia w jego oczach, zanim zdążył spuścić wzrok.

— Jeśli zajmuje się pan tylko sprzedażą serów, to znaczy, że powinnam poszukać bydła gdzie indziej.

— No, no, a więc nie jest pani małą kobietką, która nie potrafi odróżnić jednej rzeczy od drugiej. Cóż za odświeżająca niespodzianka. Jaka rasa bydła interesuje panią?

— Chodzi mi o wiele różnych ras — odparła Jenny z wyraźną wyższością w głosie. Nie miała zamiaru pozwolić, by jakikolwiek mężczyzna się z niej naśmiewał.

Uśmiech powrócił na twarz mężczyzny.

— To rzeczywiście godne uwagi w kraju, gdzie rzadko kiedy zdarza się jednorodne stado, zwłaszcza że do otrzymania tych różnych ras potrzebuje pani jednego byka.

Jenny zignorowała go, kryjąc gniew — na samą siebie — za niewiedzę i na niego, że ją odkrył. Przeszła przez zagrodę dla byków. Boksy były porządnie zbudowane, podobnie jak stajnie Jonathana. To powiedziało jej sporo zarówno o handlarzu, jak i sprzedawanym przez niego bydło.

— Ten byk tutaj — powiedziała wskazując na boks ze świeżo wyczyszczonymi mosiężnymi zawiasami — ile kosztuje?

Uśmiech opuścił twarz handlarza.

— Ma pani szybkie oko na to, co dobre — stwierdził. Kiedy odwrócił się do niej, w jego oczach nie było już śladu rozbawienia. — Chce pani powiększyć swoje stado?

— Tak.

— Do ilu sztuk?

Jenny spojrzała poza niego, przypominając sobie Jonathana i jego plany, o których dowiedziała się od Samuela.

— Do kilku tysięcy — odpowiedziała szybko. — Docelowo.

Handlarz zagwizdał.

— Nie wystarczą dwa byki i sto pięćdziesiąt krów do rozmnożenia bydła w tak wielkie stado.

— Nie myślę w tej chwili tylko o wielkości — odparła Jenny. — Chodzi mi też o rasę. I ja nadam jej nazwę.

Podczas swych podróży po osadach Jenny sprzedając whisky targowała, zamieniała i kupowała bydło na każdym jarmarku i aukcji, które napotykała po drodze. Ale jej stado, choć powiększało się, wciąż było bardzo różnorodne. Sprowadzona przez emigrantów i importowana przez ranczerów mieszanka ras, o których już teraz się mówiło jako o miejscowych, w większości hodowana była dla dwóch celów równocześnie, dla mleka i mięsa.

Do końca ciepłej pory Jenny starała się przysłuchiwać każdej rozmowie na temat bydła. Mężczyźni hodujący je mówili o shorthornach, ale także o możliwości sprowadzenia aberdeen angusów lub nowej odmiany herefordów.

Zimą Jenny czytała, chciała więcej się nauczyć. Odkryła, że angusy nie były najbardziej odpowiednie do podnoszenia jakości stada. Herefordy wydawały się lepiej służyć jej celom. Ale z kolei herefordy odznaczały się taką łagodnością jak shorthorny i chociaż dobrze znosiły trudne warunki, nie nadawały się do wypasu na górskich zboczach o ubogiej paszy. Wreszcie Jenny wiedziała już, czego jej potrzeba: twardych, masywnych shorthornów, zdolnych zaadoptować się do trudnych warunków i przetrwać ciężkie zimy, których łagodne usposobienie ułatwi im życie w dolinie.

Nocami nadal zagłuszała samotność książkami — ale teraz już nie oksfordzkimi tomami Jonathana ani skandalizującymi romansami, które ostatnio zaczęły przyplływać z Londynu. Ślęczała nad podręcznikami hodowli z entuzjazmem, jaki w innych kobietach w Kolonii wywoływały powieści Emily Brontë, autorki, która zmarła przed czterema laty w Haworth.

Podczas gdy w ich snach pojawiał się Heathcliffe, ona śniła o shorthornach.

Nadeszła zima i Jenny zaczęła poszukiwania byków rasy shorthorn pomiędzy bydłem, które zaczęto dostarczać do Kolonii z County Durham i Yorkshire dla poprawy jakości miejscowych stad. Byki tej rasy zdarzały się pomiędzy bydłem kupowanym przez właścicieli z Południowego Wschodu, osiedlonych wzdłuż szlaków migracyjnych pierwszych osadników.

Wyszukiwała najwartościowsze sztuki z tym samym entuzjazmem, z jakim zazwyczaj kobiety myszkuje w poszukiwaniu pięknych przedmiotów.

Potrzebowała więcej bydła, ale tylko najlepszego! Dlatego też musiała zdobyć więcej pieniędzy, legalnie lub nie — i nie zamierzała pozwolić, by coś jej stanęło na przeszkodzie.

Co dwa tygodnie Jenny spotykała się z Quong Lee w Rock Flat Creek, za każdym razem przywożąc większą dostawę, ponieważ biznes znakomicie prosperował.

— Whisky jest za mocna — powiedział jej podczas jednego ze spotkań Quong Lee. — Rozcieńczyłem ją wodą. Lepiej, żebyś ty robiła to na wcześniejszym etapie.

— Dla mnie to też korzystniej — zgodziła się ochoczo.

A więc teraz dodawała dwadzieścia pięć procent wody do swego spirytusu i w ten sposób o czwartą część zwiększał się jej zarobek. Była wdzięczna Quong Lee za radę. Ale potem zastanowiła ją wielkoduszność Chińczyka. Żaden dobry kupiec nie oddaje swego zarobku, chyba że gdzie indziej jeszcze leży zysk, o którym nie wspomina.

W czasie kolejnego spotkania, późnym latem pięćdziesiątego drugiego roku, Quong Lee jak zwykle najpierw rzucił kilka grzecznych uwag, a dopiero po chwili przeszedł do interesów. Opowiedział jej o statkach pełnych ludzi płynących na południe do zatoki Port Phillip, które zatrzymują się zawsze w zatoce Twofold, dla uzupełnienia zapasów.

— Ludzie zewsząd ściągają na złote pola Wiktorii — powiedział. — Sprzedają dużo warzyw na statki.

— Ile ci płacą za whisky? — zapytała. Od poszukiwaczy złota żądano za wszystko większych pieniędzy.

Ponieważ nie odpowiadał, uśmiechnęła się i podniosła swoją cenę.

Quong Lee skrzywił się zabawnie, ale zapłacił tyle, ile chciała.

Kiedy wróciła do Cooma, dzieci, które spały na wozie, obudziły się. Pierwsza ocknęła się Jen. Dziewczynka była zmęczona i w złym humorze, czemu dała natychmiast głośno wyraz, budząc Jo i Jazona, którzy przyłączyli się do niej w rozpaczliwym zawodzeniu.

Jenny zdecydowała się sprzedać wszystko, co jej zostało, właścicielowi gospody Kirwin w Cooma i wrócić do domu przed nastaniem zmierzchu.

Dzięki tak błahym decyzjom życie zmienia swój bieg, pomyślała wiele lat później.

W gospodzie Kirwin także dyskutowano o złotych polach, ale ton rozmowy był inny.

— To była daleka droga, ale warta rzadkiego przywileju skosztowania tak znakomitego napitku — mówił jeden z podróżnych, odstawiając swoje piwo. — Na złotych polach Wiktorii panuje susza, a będzie jeszcze gorzej, jeśli komisarzom uda się postawić na swoim. Nowa Niezależna Kolonia Wiktorii, wzorując się na swej imienniczce, coraz mocniej zaciska sznurówki gorsetu.

— Dlaczego susza? — zapytała Jenny, łamiąc swą zasadę niewtrącania się do męskich dysput. — Jeśli jest złoto, którym można płacić, piwo powinno się łać strumieniami.

Obcy Irlandczyk odwrócił się i spojrzał na nią, starannie mierząc wzrokiem.

— Jest mnóstwo przyjemności, do jakich ty byś się nadała, ale niewiele innych — powiedział. — Na polach panuje susza, ponieważ picie alkoholu jest zabronione. Co nie oznacza, że go w ogóle nie ma. Można nieraz dostać grog, ale tylko od czasu do czasu.

— Chciałabym porozmawiać prywatnie o interesach — powiedziała Jenny.

— A ja nie potrzebuję chyba pytać, jaki to ma być rodzaj interesu.

— Lepiej zapytaj i to szybko, zanim postawisz nogę na grząskim gruncie — odparowała Jenny i pozwoliła mu zauważyć pistolet zatknięty za paskiem.

— A więc teraz tak to się odbywa? Naprawdę chcesz porozmawiać o prawdziwych interesach?

— Chyba że ty nie potrafisz ich robić — odparła Jenny cierpko.

— Nazywam się Mike Donohue. Z kim mam przyjemność?

— Jenny Garnett.

— I w jakimż to interesie maczasz ręce?

— W zapewnianiu środków do życia sobie i swoim dzieciom, to wszystko, co musi ci wystarczyć, zanim porozmawiamy na osobności.

— A gdzie jest twój mąż? Zostawił cię dla złotych pól? Nie mam zamiaru szukać zaginionych mężów, jeśli tego ode mnie oczekujesz.

— Jestem wdową.

— Wybaczcie, panowie — powiedział Mike Donohue.

Podniósł się i uklonił, puszczając przy tym oko w stronę pozostałych mężczyzn.

— Wygląda na to, że mam interesy z wdową Garnett.

Kiedy usiedli przy stole oddalonym od reszty towarzystwa tak, że nikt nie mógł ich słyszeć, Jenny zapytała:

— Czy zamierzasz w drodze powrotnej do Wiktorii zabrać zapas piwa?

Irlandczyk już miał potrząsnąć przecząco głową, ale uśmiechnął się i przytaknął.

— Tak. Gdybyśmy mieli jakichś świadków, zaprzeczyłbym, ale przecież wtedy nie musielibyśmy odchodzić od reszty towarzystwa. Chętnie wziąłbym więcej, niż mi potrzeba na własny użytek, gdyby karczmarz tak bardzo nie bał się kłopotów.

— Taki już jest. I gdybym tego nie wiedziała, nie rozmawiałabym teraz z tobą. Robię whisky z ziemniaków. Jeśli wolisz, możesz ją nazwać samogonem albo bimbrem. Dam ci butelkę i mogę dostarczyć więcej, ale nie sądzę, by to wystarczyło na tak wysuszonym terenie, o jakim mówiłeś. Dlatego myślę, że moglibyśmy zostać partnerami.

— No, mów dalej. Słucham.

Jenny uśmiechnęła się lekko.

— Przysłuchiwałam się tobie przez dobrą chwilę, zanim przyszło mi do głowy, że możemy porozmawiać. I nie byłeś pierwszym, którego słuchałam. Ale żadnemu nie zadawałam pytań, a zanim powiem coś więcej, muszę znać odpowiedź na jedno pytanie. Czy istnieje jakieś prawo, które zabraniałoby mi odbierania dostaw piwa przywożonego tutaj z Kolonii?

— Chodzi ci o Sydney? — Wzrok Irlandczyka przestał się prześlizgiwać po jej figurze i zatrzymał się na twarzy. Teraz już nie wyglądał na rozbawionego. — Umiesz zainteresować mężczyznę. — Przyglądał się jej w zamyśleniu. Ściągnął z głowy kapelusz, odsłaniając ciemną czuprynę, pod którą błyszczały równie ciemne oczy. Teraz widziała, że nie tyle miał brodę, co był nie ogolony. — Na pewno przywozi się zapasy wozami ciągniętymi przez woły do tutejszych szynków i oberży. Jeśli będziesz chciała, przywiozą i dla ciebie. A że w okolicy nie ma żadnych złotodajnych pól, nie ma też ograniczeń. Te ziemie nadal należą do Nowej Południowej Walii. — Przechylił głowę i łypnął okiem. — Mamy więc zostać partnerami w interesie, o którym teraz myślę?

— Czy mógłbyś podróżować regularnie na złote pola Wiktorii i z powrotem? — Jenny zignorowała jego pytanie.

— To jest możliwe. Ale nie do Cooma Village, ani nawet tutaj, bo wkrótce wzbudzilibyśmy podejrzenia.

— Podróżując z południa miniesz po drodze miejsce, do którego jestem w stanie dojechać z końmi i wozem. Nie ma potrzeby, żebyś jechał aż tutaj. Nikt więc nie będzie wiedział o naszych interesach — powiedziała szybko Jenny.

— Jakie miejsce masz na myśli? I jak często powinienem się tam zjawiać?

— Czy znasz Rock Flat Creek? — zapytała Jenny.

— Znam. I znajdują się tam w pobliżu wystarczająco bezpieczne miejsca.

— Wiem, kiedy będą przyjeżdżały wozy z dostawami. Więc możemy już ustalić czas naszego pierwszego spotkania, a także następnych jesienią. Zima odpada. Nie mogę spotykać się zimą. Tak więc musimy przygotować się na największą dostawę późną jesienią, by zapasu starczyło do wiosny.

— Jak na młodą, ładną dziewczynę, potrafisz szybko myśleć o interesach. — Mike Donohue uśmiechnął się do niej, ale spoglądał ostrożnie. — W takim razie umowa stoi. Tylko powiedz mi dokładnie, kiedy i gdzie, a ja zjawię się po towar.

— Najpierw to, co najważniejsze — powiedziała Jenny. — Dzielimy się zyskami pół na pół. Za pierwszy ładunek, który trzeba zamówić z Kolonii też płacimy po połowie.

— Chcesz, żebym ci teraz zawierzył pieniądze za połowę towaru?

— Oczywiście. W innym przypadku mógłbyś zapomnieć po niego się zjawić, a ja bym została bez pieniędzy i bez zysku.

Mike Donohue podrapał się po czuprynie. A potem się zaśmiał.

— No cóż, chyba nie chciałbym mieć głupiej partnerki. — Skinął głową. — Zgadzam się na te warunki. Dostaniesz moje pieniądze i rękę na przypieczętowanie umowy. Chyba, że znasz jakiś lepszy sposób?

— W naszych stosunkach nie będzie żadnych bzdur, panie Donohue, i lepiej, byś to zapamiętał na samym początku.

— Nigdy nie gniewaj się na Irlandczyka, że próbował swego szczęścia, dziewczyno. Jeśli taka jest twoja wola, niech będzie. Ale pomyślałem sobie, że szkoda marnować obiecującego partnera.

Jenny Garnett zarabiała pieniądze na szmuglowaniu grogu, a Jenny Travis skupywała bydło.

Quong Lee zdobył jej zaufanie, choć nie zwierzała mu się ze wszystkich własnych dokonań. Dostarczyła mu whisky na pół roku z góry, odwołując najbliższe spotkanie w Rock Flat. Ale nie powiedziała nic na temat nowego źródła dochodów.

Od kończącego rok lata w pięćdziesiątym trzecim aż do ostatnich dni pięćdziesiątego piątego jeździła na północ spotkać wozy ciągnące z Sydney do Cooma, potem zawracała drogą wolarzy, omijając Cooma, i kierowała się na południe od Rock Flat w miejsce, gdzie z kolei czekały już wozy Mike'a Donohue przybyłego z Wiktorii.

Przy każdym spotkaniu napięcie między nimi rosło, jak ładunek elektryczny między kolejnymi błyskawicami. Jenny wyruszała na kolejne spotkanie, czując narastający gniew, a gdy spotykała Mike'a, jego oczy już ciskały błyskawice, jakby byli w połowie kłótni, która się jeszcze wcale nie zaczęła.

— No, no, czyż to nie ona we własnej osobie, powożąca wóz jakby była mężczyzną, i w kapeluszu zakrywającym twarz, aby ktoś przypadkiem jej nie wziął za kobietę.

— Jeśli ci tęskno za bójką, Mike'u Donohue, może się okazać, że niedługo wydasz ostatnie tchnienie.

— I zwraca się do mnie Mike'u, tak? Może to nie rumieniec kryje się pod kapeluszem buszmena? Chciałbym jeszcze się dowiedzieć, czy w ogóle potrafi być bardziej przyjacielska i kobieca niż w tej chwili?

— Jesteśmy tu dla interesów czy mamy rozmawiać o głupstwach? — spytała Jenny, czując jak złość maluje jej czerwone rumieńce na twarzy. — Jesień się już prawie kończy, a ponieważ nie będę się z tobą spotykać w zimie, wydaje mi się, że dobrze byłoby podwoić jesienną dostawę, by zapas starczył ci do wiosny.

Zapanowało milczenie. Spuściła wzrok, chowając twarz pod rondem kapelusza. Kryła się przed tym, co dostrzegła w jego twarzy, czując bolesne pragnienie, które mogłyby zdradzić jej własne oczy. Nadchodząca zima wydawała się dłuższa i bardziej samotna niż wszystkie poprzednie.

— Pozwól mi zdjąć ten kapelusz, Jenny Garnett — powiedział wreszcie Mike, a w jego głosie zabrzmiała czułość, której nie potrafił ukryć.

Ponieważ nie odpowiedziała, poczuł znowu gniew.

— Mężczyźni robią interesy, patrząc sobie w oczy, Jenny Garnett, może tego nie zauważyłaś?

Wtedy ściągnęła kapelusz zbyt szybkim ruchem, tak że włosy rozsypały jej się na plecach. Spojrzała na niego płonącym wzrokiem.

— Nie udaję, że jestem mężczyzną, panie Donohue, ale to, co my robimy, to interesy, i proszę o tym nie zapominać.

— Raczej trudno by było — powiedział nie spuszczając z niej wzroku. — Jestem pewien, że nie ma drugiej kobiety takiej jak ty.

— To prawda! Jestem tu, gdyż chcę zarobić pieniądze, ale nie w taki sposób, jak zarabiają je kobiety, które ty znasz.

— A cóż ty o nich wiesz, jeśli wolno spytać?

— Wiem, że jesteś Irlandczykiem, i to mi wystarczy! — odpowiedziała trochę nie na temat. Szybko zeskoczyła z wozu i rozwiązała sznury przytrzymujące płótna, pod którymi krył się ładunek piwa. — Czy mam sama przenieść beczki na twój wóz, czy pomożesz mi choć trochę? Nie możemy tu sterczeć w nieskończoność, czekając na żołnierzy sprawdzających tereny między koloniami.

Jenny słyszała rozmowy na temat patroli z Wiktorii zapuszczających się poza tereny podlegające ich jurysdykcji i o członkach straży obywatelskiej „Samosąd” nadrabiających to, co

przepuścili żołnierze. Ale zarówno żołnierze, jak i strażnicy polowali na złoczyńców australijskich. Zdarzali się też łowcy głów ścigający skazańców, którzy uciekali na złotodajne pola. Na szmuglerów mało kto zwracał uwagę. Jenny nigdy nie miała żadnych kłopotów, a jeśli Mike Donohue miał, zatrzymał swe problemy dla siebie.

Jenny manipulowała dwoma życiorysami i dwoma osobowościami.

Jako Jenny Travis żyła w swojej dolinie. W jej gospodarstwie mieszkało teraz dwóch młodych pasterzy zajmujących się bydłem, Pete i Charlie. Latem wolarze i ich psy udawali się ze stadem na poszukiwanie bujniejszej trawy, pozostawiając ziemię w dolinie, by odpoczęła, ale na wiosnę i jesienią stado pasło się w pobliżu gospodarstwa, a mężczyźni kończyli budowę szop, zagród i szałas, które rozpoczął Bimber.

Przed końcem jesieni pięćdziesiątego trzeciego roku szopa na kocioł destylacyjny i szałas stały w miejscach wyznaczonych na nie dawno temu. Te krowy, których nie zabrali na targ wędrowni sprzedawcy, przeniesiono ze starego wybiegu za krzakami jagód do nowo wykończonych zagród.

Przygotowania do nadchodzącej zimy nie budziły u Jenny tyle strachu co w poprzednich latach.

W gospodarstwie życie toczyło się zgodnie z ustalonym rytmem.

Przybyło lat, a ubyło ciężarów, pomyślała z zadowoleniem Jenny, odwiedzając pokój szkolny podczas lekcji arytmetyki. Nawet dawnego gniewu ubyło. Chris Colebrook stawał się prawie domownikiem, spędzając czas w pokoju, gdzie Jen i Jody, a teraz także Jazon, uczyli się podstaw czytania, pisania i arytmetyki. Poszukując towarzystwa w pustej dolinie, przyjął na siebie z czasem rolę nauczyciela, przekazując młodszym dzieciom tę niewielką część wiedzy, którą sam zdobył. Dziewięcioletnia Jen wypatrywała go każdego dnia, w oczekiwaniu aż chłopiec wypełni swe gospodarskie obowiązki i przebiegnie przez most na wschodni brzeg rzeki. Lekcje wcale jej nie interesowały, w odróżnieniu od piętnastoletniego Chrisa. Słuchała każdego jego słowa. Ośmioletnią Jody pochłaniały całkowicie książki, które wprowadzały ją w świat dam i dżentelmenów oraz małych dziewczynek o dobrych manierach. Z trudem odrywała się od tych opisów, gdy musiała zająć się domem, przejmując obowiązki, na które Jenny nie miała czasu. Za to niespełna czteroletni Jazon był prawdziwym studentem, łakomym na każdy kęs nowej wiedzy. Chodził za młodym Colebrookiem jak akolita za mędrcom.

Jenny przyglądając się Chrisowi uświadomiła sobie, że nie czuje już do niego gniewu. Wydawało jej się, że chłopak próbuje, na swój sposób, odplacić za stratę Jonathana. Jego obecność w gospodarstwie dawała jej więcej wolności, więcej czasu na kształtowanie nowego życia.

Kiedy patrzyła na córki, oglądała je przez pryzmat własnego dzieciństwa: były na tyle duże, że mogły zająć się sobą i zadbać o Jazona podczas nieobecności matki. Teraz już nie zabierała dzieci na wyprawy poza dolinę.

Gdy wyruszała, zamieniała się w Jenny Garnett — tym bardziej, im bliższe było jej spotkanie z Mike'em Donohue. O dziwo, czuła się znowu dziewczyną i częściej spoglądała w lustro. Ale gdy przyłapała siebie na wiązaniu wstążką rudobrazowych włosów, odrzuciła ją i wsadziła na głowę buszmeński kapelusz, który należał kiedyś do Jonathana.

Miała dwadzieścia jeden lat — była za stara na takie głupstwa.

Podczas ich ostatniego spotkania, jesienią pięćdziesiątego trzeciego, milczeli więcej niż zazwyczaj. Kiedy ich dłonie dotknęły się przelotnie podczas przekazywania pieniędzy zarobionych na sprzedaży alkoholu, Jenny cofnęła swoją tak szybko, że monety i bryłki złota wysypały się z woreczka na ziemię.

Mike pochylił się i zebrał je.

Potem podał sakiewkę raz jeszcze, celowo trzymając ją za sznurek, i uśmiechnął się, gdy złapała ją od dołu.

— To byłoby straszne patrzeć, jak tracisz pieniądze, jedyną rzecz, na której ci zależy — powiedział nie spuszczając wzroku z Jenny. — A może mimo wszystko jesteś prawdziwą kobietą, z pragnieniami, które powodują, że boisz się nawet dotknąć męskiej ręki?

— Ścisłałam wiele męskich rąk na przypieczętowanie umowy — odpowiedziała Jenny, starając się wypełnić słowami zbyt wymowną ciszę.

— W takim razie to mojej ręki się obawiasz — upierał się Mike. — Czy boisz się, że sypną iskry? Posypią się, moja kochana Jenny, nie próbuj temu zaprzeczać.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz. To wszystko bzdury.

— Bzdury? Niech Bóg i wszyscy jego święci wybaczą ci złe słowa dla tej najrzadszej i najlepszej z naturalnych skłonności. Mężczyzna i kobieta, posiadający jedną czystą i szczęśliwą duszę. Do tego zostaliśmy stworzeni, Jenny. Mężczyzna i kobieta przeznaczeni dla siebie. I wiesz to bardzo dobrze.

— Nic takiego nie wiem. Mówisz pochlebstwa. Czyżbyś był pijany?

— Jeszcze nie. Ale zanim zapadnie noc, pewnie będę. Czeka mnie długa droga, a potem jeszcze dłuższa zima. — Siedział przez chwilę po prostu patrząc na nią, potem uniósł rękę do kapelusza. — Odjeżdżam na południe, gdzie i ty powinnaś jechać.

Jenny śledziła wzrokiem jego wóz, kiedy zniknął w oddali.

— On ma rację — powiedziała do swych koni. — Powinnam jechać na południe. I to już dawno temu. Quong Lee nie może sprzedawać w Tallaqueon, lecz to nie oznacza, że ja nie mogę. — Zawróciła konie. — Chińczycy są równie nierozsądni jak Irlandczycy.

Gospoda pod Smokiem była jasna, wesoła i dziwna. Obwieszona lampionami, które rozjaśniały jasnoczerwone ściany niskiego budynku, zaostrzały zielone cienie dachu i portali, a kiedy wiatr kołysał nimi, namalowane złote smoki zamieniały się w żywe stworzenia i oświetlały oczy groteskowych porcelanowych zwierząt, stanowiących skrzyżowanie lwa z psem, które strzegły drzwi, jakby broniąc wejścia.

Jenny siedziała na wozie, niepewna co powinna zrobić. Z budynku dochodził szmer głosów, a drzwi stały otworem. Zeszła z wozu. Na pół oślepiona światłem lampionów, weszła do pograżonego w mroku pomieszczenia. Stoły i ludzie przy nich sprawiali wrażenie cieni.

Tuż przy wejściu siedziała stara Chinka na wysokim stołku przy kontuarze, za którym na ścianie wisiało wielkie lustro. Twarz i ciało barmanki było wyraźnie widoczne w świetle lampionu, przez co tym bardziej pozostali ludzie wydawali się mniej wyraźni, jakby bezcieleśni.

Jenny ruszyła w stronę kontuaru, starej Chinki i własnego odbicia w lustrze — zmęczonej i uszarganej kobiety w kapeluszu buszmena.

Kiedy Chinka odezwała się, jej głos był równie ostry jak wzrok. Zapytała, skąd się Jenny wzięła, chciała wiedzieć, czego chce i dlaczego przyszła.

— Sprzedaję whisky — odpowiedziała Jenny.

Pokazała kamienną butelkę i zaczęła zachwalać zalety trunku.

Kiedy jej oczy przywykły do półmroku panującego w pomieszczeniu, głos powoli cichł. W nieznanym otoczeniu panowała atmosfera, którą rozpoznawała. Nagle samotnie siedzący mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nią.

Patrzyła na niego równie zdziwiona. Mike Donohue siedział przy stole ze szklanką w dłoni, uśmiechnięty, rozbawiony jej miną.

Chinka odwróciła głowę, podążając za spojrzeniem Jenny i władczo machnęła ręką.

W jednej chwili do Irlandczyka zbliżyła się młoda dziewczyna, jej ciało migotało kolorami jedwabnego kimona. Pieszczotliwym gestem przeczesła włosy Mike'a, a potem płynnym ruchem oparła się na jego ramieniu.

Jenny przyzwyczajona do kobiet w szerokich krynolinach, zagapiła się na obcisły strój dziewczyny, a potem na twarz, która wydała jej się piękniejsza od wszystkiego, co kiedykolwiek widziała. A kiedy śledziła wzrokiem ruch wąskiej dłoni, jej umysł podsuwał wyobrażenie innych scen i innych miejsc, których ta dłoń by dotykała.

Mike zerwał się na równe nogi, odepchnął dziewczynę, mówiąc coś do niej ostro.

Jenny zdawało się, że widzi siebie oglądaną oczami innej osoby. Odwróciła się i wybiegła przez wejście, przez podwórko, wdrapała się na wóz, chwyciła za lejce, wzniosła rękę, by uderzeniem pogonić konia do biegu. A pod nią koła wozu podskakiwały na wybojach, pędząc w przód, byle dalej i prędzej.

Słyszała dźwięki: trzask i świst, kiedy bicz smagnął konia, swój własny głos poganiający go, a za nią, coraz słabszy — wołający jej imię głos Mike'a.

Umysł Jenny, oderwany od ciała, prowadził ją po pochyłym zboczach przez zamazany krajobraz nakładających się na siebie obrazów: kurewskie domki przy Lower Rock, dziwnie złoty splendor Gospody pod Smokiem, brzydkie, grube prostackie dziwki, piękna młoda Chinka, jej własna dłoń dotykająca dłoni Mike'a, dłoń o długich paznokciach pieszczotliwie gładząca Mike'a, lustrzane odbicie ukazujące ją samą w buszmeńskim kapeluszu z butelką whisky w ręku, czarne, jedwabiste włosy Chinki i jej długie palce władczo sunące w dół... Wciąż i wciąż, obrazy naśmiewały się z niej, długa parada jej irlandzkich ojczymów dumnie przechadzających się pomiędzy poplątanymi obrazami. A każdy z nich o twarzy Mike'a.

Konie ciągnące wóz same odnalazły drogę do Rock Flat, zanim potrafiła zmusić myśli, by wróciły do czekającej na nią doliny.

Mike stał jeszcze długo przed Gospodą pod Smokiem, wpatrując się w pusty gościniec prowadzący na północ. Potem wszedł wolnym krokiem do budynku, do pogrążonego w półmroku pomieszczenia i do czekającej na niego dziewczyny.

Kiedy siadał znowu przy stole, spojrzął na swą w połowie pustą szklanę, a potem na dziewczynę spoglądającą na niego w oczekiwaniu, z malującym się na ustach uśmiechem zaproszenia.

Nagle wybuchnął śmiechem.

— Przyszedłem tutaj tylko po to, żeby się napić — powiedział.

Wstrząsnął nim chichot. Dziewczyna przyglądała mu się z uśmiechem jakby przyklejonym do twarzy. Jego słowa nic dla niej nie znaczyły, jego język był obcy. Znała tylko kilka angielskich słów potrzebnych w jej fachu.

Mike wstał, a dziewczyna przysunęła się bliżej.

— Czemu nie, do diabła? — powiedział wciąż się śmiejąc. — To naprawdę będzie długa i ciężka zima, a gdy minie, nie oczekuję ocieplenia.

W pokoju, gdzie zamknięte drzwi osłaniał malowany parawan, dziewczyna czule, jakby naprawdę obchodziły ją uczucia tego mężczyzny, rozebrała Mike, głaszcząc i dotykając jego ciała.

Stał nagi, a ona czekała z pytaniem w oczach. Wreszcie powoli zaczęła się sama rozbiierać, jej długie palce uwodzicielsko tańczyły, rozpinając coraz szybciej kolejne haftki.

Przez chwilę przyciskała do siebie materiał kimona, a potem jednym ruchem spuściła je na ziemię. Stała naga w jeziorku błękitnej satyny, spoglądając na Mike'a migdałowymi oczami równie prowokacyjnie, jak poruszała rękami wyjmując szpilki z włosów.

Mike uśmiechał się lekko, patrząc na tę grę. Widział to wcześniej, każdy ruch, każdy gest: wyćwiczone przedstawienie profesjonalistki.

Spuściła skromnie powieki. To też należało do repertuaru. Wiedział jednak, że spod rzęs spogląda na jego męskość, sprawdzając efekt swych zabiegów.

Z delikatności powstrzymał śmiech.

— Obawiam się, że nie potrafię w to włożyć serca — powiedział. — Miłość do jednej kobiety potrafi osłabić mężczyznę.

— Fu yu? Ja naoliwić ciało mężczyzny? Zrobić yang chu większy?

Mike uśmiechnął się, przytaknął i położył na łóżku, które wypełniało cały pokój.

Z parawanów zerkały na niego zza wachlarzy skośnookie damy.

Zamknął oczy i oddał się rękom żywej, malowanej dziewczyny. Czuł na ciele drażniące go i namawiające dłonie, aż w pewnej chwili Jenny w swym kapeluszu buszmena uciekła z jego myśli i już nie potrzebował namowy. Wtedy naoliwione ciało dziewczyny podążyło za jej dłońmi, ślizgając się w górę i w dół po nim, wchodząc w jego posiadanie. Z jej gardła dobywało się ciche pomrukiwanie, delikatne drapanie paznokci pobudzało Mike'a i wreszcie przyjęła go w swą wyperfumowaną esencję kobiecości.

Kiedy pierwsze promienie światła wdarły się do pokoju z parawanami, dziewczyna odsunęła się. Obudziło ich delikatne pukanie.

— Sześć razy — powiedziała dziewczyna. — Ty silny mężczyzna.

Uśmiechnął się i spojrzał na liczydło leżące na niskim stoliku koło łóżka.

Dziewczyna wstała i schroniła się za parawanem. Musiała się umyć i przygotować na nowy dzień i nowego mężczyznę.

Mike leżał na plecach, przyglądając się cienkiej, srebrnej smudze światła ślizgającej się po drewnianym suficie. Czuł smutek i pustkę, jaka zjawia się po wizytach w takich przybytkach, które służą tylko ciału, nigdy sercu ani umysłowi.

— Och, Jenny — szepnął. — Dlaczego?

Dziewczyna wróciła zza parawanu, wręczyła mu szlafrok i wskazała gestem inny parawan, za którym mógł się umyć i ubrać. Czas intymności minął. Skończyli swoje interesy.

— Mężczyźni mówią, że jestem łatwą dziewczyną. To dobrze. Mężczyźni lubią łatwe dziewczyny — powiedziała.

Mike wręczył jej złotą grudkę: zapłatę, o której miały przypomnieć jej słowa.

— Życie byłoby prostsze — mruknął — gdyby takie były też dziewczyny, które my mężczyźni kochamy.

Jenny wypatrywała pierwszego śniegu, który wkrótce przeszedł w potężne opady i odciął dolinę od świata. Dopiero wtedy poczuła się bezpieczna. Musiała przeboleć urażoną dumę, uleczyć ją, by na nowo ogrzewała jej duszę. Tego najbardziej potrzebowała. Wreszcie przyszła wiosna, otwierając dolinę akurat na czas kolejnego spotkania z Mike'em Donohue. Wciąż czuła dotyk jego dłoni, na samo wspomnienie krew tętniła jej w żyłach, nie potrafiła odrzucić upartego uczucia.

— Biznes to biznes — powiedziała do siebie wreszcie, kiedy nadszedł czas. Włożyła buszmeński kapelusz i pojechała, by przeciąć drogę wozom z Sydney, a potem na południe, na spotkanie w Rock Flat. Ale tym razem dla odmiany nie ominęła Cooma Village. Otworzono tam nowy dom towarowy — Abram Solomon — głosiły wypisane na nim wielkie litery. Powiedziała sobie, że ktoś zajmujący się biznesem musi znać wszystkie nowinki w swym fachu.

W sklepie spędziła dziesięć minut, oglądając wnętrze, a następnie pół godziny, wybierając jedną jedyną rzecz, którą chciała kupić. Kiedy odjechała na południe, dziwnie się czuła z zawiązaną pod brodą kokardą przytrzymującą szykowną budkę.

W połowie drogi z Cooma zatrzymała konie i siedząc na wozie, długo spoglądała na drogę, która prowadziła do Rock Flat i do Mike'a.

Wreszcie zacięła znowu konie. Wóz był załadowany piwem z Sydney. A interes to interes. Wizyta w sklepie natchnęła ją nowymi pomysłami. Budka była niewielką zapłatą za nowe plany, jakie rozbudził w niej sklep. Nie chodziło o nic więcej. Tylko coś za coś.

Mike czekał już na nią. Spojrzał, zauważył nowe nakrycie głowy, ale nic nie powiedział. Rozgniewana przeszła go gorącym spojrzeniem.

— Zgubiłam mój kapelusz — skłamała.

— Już czas, byś coś straciła — Mike skinął głową.

— A to co miałoby znaczyć?

— A cóż mężczyzna może mieć na myśli, kiedy mówi do powtórnej dziewicy?

— Tylko to ci w głowie?

— Nie. Mam tam jeszcze kilka złotodajnych pomysłów. I najlepiej będzie, jak najszybciej do nich wrócę.

Była w jego głosie jakaś nuta, która zwróciła jej uwagę. Przyjrzała mu się i dostrzegła, że wygląda na bardzo zmęczonego, że jest wychudzony, w jego oczach widać było determinację, a w zachowaniu dało się zauważyć pewną powściągliwość, która pojawiała się zawsze, kiedy Irlandczyk snuł swoje plany.

— Masz w zanadru jakąś irlandzką niegodziwość — powiedziała.

— Mężczyzna musi dać jakoś upust energii — powiedział. — Potrzebna jest dobra kobieta, która powstrzymałaby Irlandczyka od psot.

— Nawet sam Pan Bóg i wszyscy jego święci nie potrafią tego dokonać — stwierdziła. Ale poczuła niepokój. — Co porabiałeś zimą?

— Nic takiego, co mogłoby martwić główkę pod tą ładniutką budką.

— Mam prawo wiedzieć — upierała się. — Jesteśmy partnerami, czyż nie? — Kiedy spojrzał na nią w sposób, jaki nauczyła się już rozpoznawać, dodała. — Nie chciałabym kupić pełnego wozu piwa tylko po to, by przyjechać i dowiedzieć się, że cię nie ma, bo wpadłeś w łapy żołnierzy.

— Oto moja Jenny — powiedział. — Samo serce. — Wzruszył ramionami. — Kilku Irlandczyków, do których dołączyłem przy kopaniu w Ballarat, ma ochotę na bójkę. Nie chciałbym, żeby zaczęli się szarpać, kiedy mnie tam nie ma, bo mogę stracić moją część.

Mówiąc to Mike uświadomił sobie, że Jenny nigdy nie widziała złotego pola. Nie potrafiła zrozumieć goryczy, jaka rodziła się w stosunkach między poszukiwaczami a żołnierzami, goryczy, która prowadziła do rozruchów i przelewu krwi na polach Wiktorii.

Jenny roześmiała się, czując ulgę. Teraz starała się mówić pogardliwie.

— Gdziekolwiek zjawią się Irlandczycy, zaraz zaczynają się bójkę. Dopóki żołnierze nie złapią cię na sprzedaży alkoholu, nie sądzę, by ta sprawa mogła mnie obchodzić.

— Ja też nie chciałbym, żebyś się w to mieszała, partnereczko — odrzekł z uśmiechem.

Przez wiosnę i lato pięćdziesiątego trzeciego roku spotykali się regularnie. Ich stosunki złagodziła przyjaźń, której wcześniej brakowało. Ale Jenny nadal była wrażliwa na dotyk jego ręki i spojrzenie, które czasami zauważała, ponieważ krew jej zaczynała wtedy szybciej krążyć i nie potrafiła zapomnieć o własnym ciele.

Zdarzały się noce, gdy wślizgiwał się w jej sny, a wtedy była bezbronna, i mógł z nią robić, co mu się żywnie podobało. Podczas następnego spotkania nie potrafiła ukryć gniewu, a kiedy pytał o powód, jej złość narastała, gdyż nie mogła mu nic powiedzieć. Raz czy dwa na samo wspomnienie snów poczerwieniała. Popatrzył wtedy na nią z uśmiechem, jakby się domyślał.

Lato pięćdziesiątego czwartego skończyło się w lutym. Marzec przyniósł jesień oraz zapowiedź wczesnej zimy i ciężkich śniegów.

— Nie będziemy ryzykować kolejnego spotkania aż do wiosny — powiedział Mike. — Zima w tym roku przyjdzie wcześniej i będzie najprawdopodobniej długa i ciężka. Nie liczę na wcześniejsze spotkanie niż pod koniec października.

Spojrzała na niego zmrużonymi oczami. Nie po raz pierwszy jego słowa sugerowały, że zna miejsce jej zamieszkania, a może specjalnie tak mówił, by je wyjawiała. Nigdy nie opowiadała mu o swym innym życiu, o życiu Jenny Travis, i poprzysięgła sobie, że nigdy nie powie.

— Współpracujemy już ze sobą dwa lata — powiedziała. — To dobre partnerstwo.

— Tak jest. Zbyt dobre. Nie zawadziłyby mała złośliwość od czasu do czasu. — Mike roześmiał się. — Nie patrz tak na mnie. Nie planuję żadnego oszustwa. Jeśli człowiek nie ma od czasu do czasu własnych pomysłów, grozi mu wyjście z wprawy. A to najgorsze, co mogłoby się stać.

— Słyszałam, że są kłopoty na złotych polach Wiktorii — odezwała się Jenny, jak zwykle zmianą tematu odrzucając jego sugestie.

Mike skrzywił się.

— Kłopoty są na wszystkich złotodajnych polach. Tam gdzie jest złoto i człowiek, władza i niesprawiedliwość, zawsze będą kłopoty. Ale smak kłopotów wywołuje u mężczyzny pragnienie. Więc możesz liczyć zyski i o nic się nie martwić.

— Od tak dawna robię w tym złotym interesie, a nigdy nie widziałam pola — powiedziała Jenny.

— To nie najlepsze miejsce dla kobiety. Pewnego dnia opowiem ci o nim. — Mike przyglądał jej się przez jakiś czas, a wreszcie zaproponował. — Mimo wszystko, wziąłbym cię tam i twoje dzieci także, gdybyś poszła ze mną.

Jenny milczała.

— Nic z tego, prawda? — spytał po jakimś czasie Mike. — Jesteś strasznie twardą kobietą, nikt nie może mieć wątpliwości.

— Chyba, że ja — odparła z uśmiechem. — Przyszłość dla mnie została zaplanowana już dawno temu i nie ma w niej miejsca dla mężczyzny.

— Irlandczycy nie rezygnują tak łatwo. Mówisz głupstwa i oboje o tym wiemy. Od jesieni do wiosny minie dużo długich, zimnych, samotnych nocy, kochanie moje. Będę nadal nawiedzać cię w snach, czekając na spotkanie w październiku.

I odjechał na południe. Siedziała na wozie i patrzyła, jak znika w oddali.

— Zima jest zawsze zbyt krótka. Wtedy jestem najbardziej zajęta — mruknęła do siebie. Ale nie mogła przestać myśleć o wyznaczonej przez niego dacie następnego spotkania, ostatnim piątku października.

Zima zjawiała się w czerwcu i trwała do września.

— Nigdy jeszcze tak mi się nie dłużyło jak tym razem — szepnęła do siebie Jenny, nie zwracając uwagi, że mnóstwo spraw nie zostało podjętych albo skończonych. Nie potrafiła już tak sobie cenić jak niegdyś miesiące zamknięcia. Dni wypełnionych uczeniem dzieci. Nocy nauką własną. Tygodni, które spędzała przy biurku, planując i przygotowując się na czas sprzedaży. Zazwyczaj miesiące mijały zbyt szybko, przynosząc wiosnę i otwarte drogi, aby jej wagon znów musiał ruszać w świat.

Nim wrzesień pięćdziesiątego czwartego roku dobiegł końca, a z nim zima, ona już liczyła dni do spotkania z Mike'em. Ale kiedy nadszedł ostatni piątek października, czekała na niego aż do nocy przy Rock Flat Creek. Nie zjawił się, zawodząc ją po raz pierwszy. Czekala przez całą noc, a potem jeszcze jedną, wypatrując sobie oczy na pusty trakt i dusząc łzy, zanim nie powiedziała sobie wreszcie, że ich partnerstwo się zakończyło.

6.

Była parna noc grudniowa pięćdziesiątego czwartego roku. Jenny usłyszała szczekanie psów pasterskich. W pierwszej chwili pomyślała, że zwęszyły dingo lub lisa. Do Australii sprowadzono króliki i lisy zaczęły na nie polować, a na dodatek zwierzęta upodobały sobie głównie wysokie góry.

Zdjęła strzelbę, która wisiała nad kominkiem, i wyszła na szeroką werandę, biegnącą wzdłuż trzech stron domu.

Noc była jasna. Księżyc wędrował po niebie oświetlając górskie szczyty, które odcinały się od nieba jak białe głowy cukru.

Psy uspokoiły się.

Jenny odwróciła się i ujrzała Jen stojącą w drzwiach prowadzących z pokoju dziecinnego na werandę. Jedenastoletnia dziewczynka miała już figurę dojrzałej kobiety. Niekiedy jej twarz bardzo przypominała Trávisa, z kolei, przy innym oświetleniu wyglądała raczej jak Millie Garnett. Miała ciemne włosy matki, a nie jasne Jonathana.

— To nic — szepnęła Jenny.

Kiedy tak spoglądała na córkę, poczuła znowu coś w rodzaju przeczucia, podobnie jak wtedy, gdy patrzyła na rzekę pogrążającą się w otchłań wąwozu lub na mgłę unoszącą się niczym dym ponad wzgórze.

To moja irlandzka krew, pomyślała zniecierpliwiona sama sobą.

Życie dawało jej wystarczająco wiele zadowolenia, nie musiała już myśleć o żadnych głupstwach.

Dziewczynka podeszła do balustrady i stała tak, na wpół śpiąca, oświetlona księżycem.

Jenny nie odrywała od niej wzroku. Nie potrafiła odrzucić przeczuć, nie chciała ich odrzucać, ponieważ nie przywoływały zagrożenia, raczej obietnicę. Jakby wiedziała, że pewnego dnia odkryje u swej córki jakiś dar, który wyda niezwykle owoce.

Każda matka tak myśli, powiedziała sobie Jenny. Czcze mrzonki.

Jen była najzwyklejsza z trójki jej dzieci. Matka mogła ją kochać, ale trudno ją było cenić.

Dziewczynka odsunęła się od poręczy. Gdy światło księżycy przestało rozjaśniać jej włosy, nie była już podobna do Jonathana.

— Słyszałam coś. Na pewno — upierała się.

— Wracaj do łóżka. Najpewniej jakiś pies wył do księżycy. Sama mam nieraz ochotę zawyc w taką noc.

— Wydawało mi się, że słyszę czyjeś wołanie — powiedziała dziewczynka wylęknionym głosem. — Pomyślałam, że może czarni zeszli wcześniej w tym roku, by rozpalać swoje ogniska.

— To był tylko pies. Wracaj do łóżka. I postaraj się nie obudzić Jo ani Jazona.

— Byłam pewna... — głos Jen zamarł.

Nie skończyła zdania, wzruszyła ramionami i wycofała się do domu.

Jenny już miała zrobić to samo, kiedy usłyszała ostry skrzyp butów na żwirze.

— Czy to ty, Pete? Charlie? — Przechylna przez balustradę werandy, wpatrywała się w szalas.

— Jenny?

Szept dochodził z gęstych krzaków rosnących koło domu.

— Kto to? — Jenny mocniej uchwyciła strzelbę. — Wyjdź, żebym cię mogła zobaczyć.

— Mike.

— Mike Donohue?

— A iluż to Mike'ów znasz, że musisz usłyszeć pełne nazwisko, by mnie rozpoznać?

— Skąd wiedziałeś, jak się tu dostać? Wyjdź z tych zarośli, chcę cię zobaczyć. Twój głos brzmi jakoś dziwnie.

— Pojechałem za tobą po naszym pierwszym spotkaniu. Chyba nie myślisz, że oddałbym ci wszystkie pieniądze, nie wiedząc, gdzie cię mogę odnaleźć. — Zamilkł na chwilę, coś poruszyło się w krzakach. — A jeśli chcesz mnie zobaczyć, łatwiej by było, gdybyś ty tutaj przyszła.

Palce Jenny zacisnęły się mocniej na kolbie.

— Wciąż jeszcze nie jestem pewna, kim jesteś, powiedz coś jeszcze.

— Noc jest jakby wymarzona na rozmowę, ale zakrwawię ci cały ogród.

Jenny w jednej chwili odrzuciła strzelbę i pędem zbiegła po schodach werandy.

Mike Donohue leżał na plecach pod krzakiem paproci.

— Udało mi się dotrzeć do doliny, ale tu koń mnie zrzucił — powiedział. — Upadek otworzył dziurę, którą zrobili we mnie żołnierze z Eureka kilka tygodni temu.

— Wreszcie dopadli nas? — dopytywała się Jenny, rwąc na pasy nocną koszulę, by opatrzyć ranę.

— Gdyby kłopoty były związane ze szmuglem, czy prowadziłbym żołnierzy prosto pod drzwi domu mej współpracownicy? Chodziło o zupełnie co innego.

— Na pewno o jakąś irlandzką burdę.

— Cel był szlachetny, moja Jenny. Chodziło o wolność. Nie jakiś tam zatarg z żołnierzami brytyjskimi, ale mimo wszystko walczyliśmy po naszej stronie barykady. Pod własną banderą. A nasza flaga jest równie dobra jak każda inna. Nazwaliśmy ją Krzyżem Południa. Przedstawia krzyż z gwiazd, które tutaj nam świecą nad głowami, prowadząc na czerwone pola. Ale flaga została ściągnięta, a nasi dzielni chłopcy spoczęli na czerwonym polu, nim zaszło słońce. Nie był to dobry dzień dla Irlandczyków. Uciekłem, ale wcześniej zdążyli wsadzić we mnie kulę. Czysty strzał, ale trochę krwawi.

— Wystarczy tego gadania — powiedziała Jenny. — Położę cię do łóżka i zaopiekuję się tobą najlepiej jak potrafię.

— Wiedziałem, że mogę liczyć na Jenny Garnett, czy jak tam się nazywasz. — Roześmiał się słabo. — Nie rwij dalej koszuli, zwłaszcza jeśli masz zamiar zabrać mnie do łóżka. Może jestem słaby i wykrwawiony, ale jeszcze żyję.

Przez trzy kolejne noce Jenny spała w pokoju dziewczynek. Leżała na skleconej naprędce pryczy. Nasłuchiwała cichego szmeru dziecięcych oddechów i odgłosów dochodzących z bardziej oddalonego pokoju. Nie potrafiła zasnąć jak całe domostwo.

Wreszcie czwartej nocy, wycieńczona, usnęła.

Postawił ją na nogi jakiś dźwięk. Na wpół obudzona, nie wiedząc, co się dzieje, ruszyła w stronę swej sypialni.

Mike leżał na zranionym boku i pogrążony w ciężkim śnie, pojękiwał z bólu. Przewróciła go z powrotem na plecy.

— Jezu Chryste — wyszeptał krzywiąc się i mrugając powiekami.

Jenny położyła się na łóżku i oparła głowę na ramieniu Mike'a, tak by nie mógł przewrócić się na bolący bok. Wydawało jej się to całkiem naturalne, że tak leży i podtrzymuje mężczyznę, który potrzebuje pomocy. Po jakimś czasie zdrzemnęła się.

Kiedy otworzyła oczy i zobaczyła patrzącego na siebie Mike'a, w pokoju było już jasno. Odrzucił prześcieradło i przyciągnął ją bliżej siebie, i to również wydało jej się naturalne. Nie całkiem jeszcze obudzonej, nie przyszło jej do głowy zadawać jakieś pytania.

— Wybrałaś najgorszy możliwy moment — szepnął Mike. — Ledwo się ruszam.

— Ja nie...

— Rozmowę zostawmy na dzień. Teraz jest jeszcze noc. Ciii.

— Ja nie...

— Ty tak. Ciii.

Próbowała wyrwać się, ale jego ręce trzymały ją mocno.

— I leż spokojnie.

Przyćmiony upał letniej nocy zaczynał już zamieniać się w morderczą spiekotę nadchodzącego dnia. Samotna cykada zacykała przedwcześnie, zapowiadając hałasy, jakie wypełnią powietrze, gdy tylko wszędzie słońce.

Mike trzymał Jenny przez kilka chwil, potem jego ręce zaczęły się przesuwać w piśczości po jej ciele. W dotyku jego dłoni była nieznana czułość, która ją zaskoczyła.

— Mike?

Uciszył ją pocałunkiem. Odsunął rozdzielający ich materiał. Jego ciało było silne, zapowiadające bezpieczeństwo, jego dłonie pobudzające. Dała się ponieść namiętności bez oporu, ale i bez pośpiechu.

Kochanie Mike'a było pełne uczucia. Zupełnie niepodobne do gwałtownych wybuchów Jonathana, które kończyły się równie prędko jak zaczynały. Nie mógł bardziej różnić się od jej zmarłego męża. Otworzyła oczy i spojrzała na leżącego koło niej mężczyznę. Widziała wyraźnie jego twarz, wpatrzone w nią, otwarte oczy i lekki uśmiech błakający się po ustach.

Poczuła się ospała, jakby pozbawiona ciała, wylaniająca się ze znajomego snu, tylko w połowie przebudzona własnymi jękami i szeptami, czując, że jego ciało stało się częścią jej samej. Oplotła go nogami i ona również stała się jego częścią. Płynęli razem. Jej umysł wciąż znajdował się w stanie półuśpienia, choć ciało już się obudziło i wznosiło się coraz wyżej i wyżej, na fali, która pochłaniała ich oboje. Kiedy znowu otworzyła oczy, był tuż przy niej i w niej, przytulał ją z całych sił.

Nigdy nie czuła się częścią Jonathana. Nigdy nawet nie czuła się mu bliska. Jonathan nigdy nie przytulał jej tak, jak teraz to robił Mike.

Usnęli z głową przy głowie, z ciałami splecionymi, jakby byli jednością.

Obudziła się czując, że coś ją uwiera. To bandaż odciskał się na jej nagiej piersi. Miała wrażenie, że ciało Mike'a pali ją żywym ogniem. To był ten sam żar, który czuła, gdy dotykała jego dłoni, a jednak teraz inny, silniejszy. Nie było gdzie się przed nim schować ani uciec. Kiedy próbowała się odsunąć, Mike obudził się i spojrzał jej w oczy. Dostrzegł w nich prawdę, zanim zdążyła ją ukryć.

Wtedy wziął ją z namiętnością wręcz dziką, wchodząc w całkowite posiadanie jej ciała, zabierając ich oboje tam, gdzie już byli wcześniej, ale jeszcze wyżej, jeszcze dalej, jakby dla ich obojga nie było już powrotu.

Leżąc potem w ramionach Mike'a, Jenny wsłuchiwała się we własne myśli, wydobywając je z zakamarków, w których się wcześniej pochowały. Nieproszone wspomnienia Jonathana. Wcześniej odrzucała je, teraz uczepiła się ich z całych sił. Jonathan był bezpiecznym portem życia. Bezpiecznym, ponieważ go nie kochała. Ale kochała mężczyznę, który teraz leżał koło niej. Kochała Mike'a Donohue. Kochała go od pierwszej chwili. Świadomość tego wypełniła ją strachem. Gdzieś głęboko w myślach poczuła wzdarcę do samej siebie, ponieważ dowiodła, że nie jest w niczym lepsza od córki Millie Garnett. A tak bardzo się starała. Nie należała do nikogo, ani do żadnego mężczyzny, ani do swojej przeszłości. Powtarzała tę myśl, czując rozgrzewające ją na nowo ręce Mike'a. Jej ciało buntowało się przeciw barierom, jakie nakładał umysł.

Kiedy ją brał, nie potrafiła mu się opierać. Ale jej umysł się buntował, a język słuchał umysłu.

— O, Jonathanie, Jonathanie — powiedziała całkiem wyraźnie, z pełną premedytacją — tak bardzo mi ciebie brakowało. Tak bardzo.

Mike odskoczył od niej, gwałtowny ruch musiał spowodować, że napłynęła fala bólu, którego nie potrafił ukryć.

— A więc to Jonathan?

Jenny leżała na poduszce, patrząc gdzieś w przestrzeń, nie potrafiła spojrzeć na niego.

— Położyłaś się tu, kochałaś mnie i pozwalałaś się kochać, cały czas udając przed sobą, że jestem jakimś nieżywym mężczyzną? — dopytywał się Mike. — Czy nigdy nie potrafisz być uczciwa nawet sama przed sobą?

— Przykro mi, Mike.

— Przykro? A czemuż to? Z powodu kłamstw, które mówisz mi teraz, czy tych, które opowiadałaś samej sobie? Wciągać nieżywego męża do mojego łóżka. Znosiłem jego obecność przez te wszystkie lata, ale nie mam zamiaru pozwolić, by wepchnął się także i tu.

Jenny uśmiechnęła się.

— To jest moje łóżko. Leżysz w moim łóżku, Mike'u Donohue.

— Jeśli robimy teraz inwentarz mebli, to zapamiętaj jedno. Niewiele jest rzeczy, których bym o tobie nie wiedział. Wiem, że nie ten sprzęt służył za łóżko w waszej nieszczęsnej chacie.

I stawiam moje życie w zakład, że w tym łóżku nie spał żaden mężczyzna poza mną. Więc to jest nasze łóżko, Jenny Garnett, i nigdy o tym nie zapominaj. I nie staraj się ściągnąć Jonathana Trávisa do łóżka, w którym nigdy nie było dla niego miejsca. — Spojrzał na nią, czerwony z gniewu. — Bo przez te wszystkie noce, które prześpisz w nim, to mnie będziesz pamiętać, nie swego nieżywego męża. Przynajmniej tyle mogę żądać.

Jenny przesunęła się na skraj posłania, jak najdalej od niego. Mike złapał ją za rękę i przyciągnął z powrotem.

— Leż, gdzie twoje miejsce. Nie musisz się bać. Nie dotknę cię więcej. Po prostu nie skończyłem jeszcze z tobą rozmawiać. A nawet jeszcze nie zacząłem.

Jenny leżała na plecach, czując koło siebie jego ciało.

— W jednej chwili uczciwa, kłamiesz w następnej. Znam cię za dobrze, Jenny. Znam każdą myśl, która snuje się po twojej ładnej, ale głupiej główce.

— Wcale mnie nie znasz — powiedziała Jenny.

— Znam cię równie dobrze jak samego siebie.

— Tak ci się tylko wydaje.

— Wiem, że to prawda.

Jenny milczała. Zakryła się po ramiona, podciągając wyżej prześcieradło, które ścisnęła w zaciśniętych pięściach jak dziecko.

— Och, Jonathanie, Jonathanie. Tęsknię za tobą, Jonathanie — przedrzeźniał ją. Wstrząsnął nim chichot. — Jezu Chryste, rana boli mnie od śmiechu, ale trudno mi się powstrzymać. Jak to możliwe, by mężczyzna wciąż kochał kobietę, która mu robi coś takiego. Odpowiedz mi, Jenny Garnett.

— Przykro mi, Mike.

— Jeśli powiesz to raz jeszcze, naprawdę będziesz miała powód, żeby ci było przykro, to obiecuję. — Umieścił dłoń pod jej głowę i delikatnie potargał rozpuszczone włosy. — Gdybym nie był na wpół żywy, wziąłbym cię jeszcze i jeszcze, i jeszcze. Nic by mnie nie powstrzymało. Ale czuję się tak, jakby ktoś mi upuścił całą krew. I nie wezmę cię, kiedy udajesz, że pragniesz innego. Możesz mnie mieć tylko wtedy, jeśli będziesz chciała właśnie mnie, Mike'a Donohue. Nie żadnego tam wymyślonego Jonathana Trávisa.

— Zdaje się, że uznałeś to wcześniej za kłamstwa.

— O, tak. Kłamałaś. Okłamywałaś samą siebie. A to nie jest w porządku, Jenny. Nie dla mnie. Bo ja chcę całą ciebie. Twoje serce i twoje myśli tak samo jak twe ciało. Ale nie pragnę żadnego kawałka ciebie, który udaje, że wciąż należy do innego mężczyzny.

— Przyszłam tu, aby ci pomóc. Nie myślałam o niczym innym.

— Czy to właśnie sobie wmawiasz?

— Ależ to prawda.

— Nie, w głębi duszy to wcale nie jest prawda. — Roześmiał się znowu. — A więc to było dla pocieszenia. No, muszę powiedzieć, że nie bardzo mnie podniosłaś na duchu. I niewiele znasz się na mężczyznach, jeśli tego nie wiesz. — Podniósł rękę. — Tylko nie powtarzaj więcej, że jest ci przykro, bo pocieszę się tak, jak mi się będzie podobało, i do diabła z tobą. — Wsunął rękę pod jej plecy i przygarnął ją bliżej do siebie. — Jestem w tej chwili zwykłym słabeuszem, muszę przyznać, że wybrałaś dobry moment. Kiedy znowu poczuję się silny, żaden umarlak nie wejdzie do mojego łóżka. A wtedy zobaczysz, jak to jeszcze może wyglądać.

— Już nigdy więcej coś takiego się nie wydarzy, Mike. To dla mnie bardzo ważne. Nie mogę ci wytłumaczyć dlaczego. Pragnienie i posiadanie to dwie zupełnie różne sprawy. Z pragnieniem mogę żyć.

— Bądź cicho, połóż głowę na moim ramieniu i śpij. Obudzę cię, zanim dzieci zaczną wstawać.

— A ty nie chcesz spać?

— Nie. Jestem tak rześki, jak nigdy. Po prostu chcę cię trzymać w ramionach i myśleć, jakby to było miło mieć cię w łóżku co noc. — Uśmiechnął się do niej. — Nawet nie mieć, tylko pragnąć. Taka bliskość potrafi podnieść na duchu. A przecież tego właśnie chciałaś, prawda?

Jenny skinęła głową, a potem złożyła ją na jego ramieniu. Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

— Mike. Ty nie...

— Śpij.

— Miło leżeć tak blisko. Jonathan nie był z tych, którzy przytulają.

W grudniu dzieci chętniej przykładały się do swych zajęć. Należało do nich napełnianie skrzyń paszą, żeby nie trzeba było chodzić na pole, mieszanie zacieru jęczmiennego, codzienne obowiązki domowe, zapełnianie stron w zeszytach do ćwiczeń, pochłanianie książkowej wiedzy. Pięcioipółroczny Jazon tak bardzo przykładał się do nauki, że zadowolona Jenny zwalniała

go z innych prac. Większość ich spadała na Jody, która nie skończyła jeszcze dziesięciu lat. Dziewczynka uciekała w inny świat, który znajdowała w książkach ukrytych pod okładkami podręczników. Z pogodą sprzątała dom, usiłując dostosować go do opisów w książkach. Coraz sprytniej manipulowała też matką.

Wraz z rannym Irlandczykiem w ich domu zawitała radość. Wniósł śmiech oraz opowieści, których im nie skąpił. Byli oczarowani, ponieważ nigdy wcześniej nie słyszeli bajek o małych ludzikach: elfach, chochlikach i karzełkach zamieszkujących nieprzebyte lasy i szwendających się po zielonych łąkach Irlandii.

Jen na początku nie akceptowała przybysza. Odkrywszy jego obecność, Chris Colebrook przestał ich odwiedzać, skrepowany powstałą sytuacją, czego Jen nie potrafiła zrozumieć. Już nie przychodził pomagać im w lekcjach. Dziewczynka wkrótce odkryła jednak zalety pobytu obcego w ich domu. Pokój szkolny nudził ją, zaglądała tam tylko z powodu Chrisa. Teraz mogła zostawiać inne dzieci i spędzać czas sam na sam z chłopcem. Zbiegała pomiędzy drzewami, a potem mostem do miejsca, w którym codziennie pracował.

Rozmawiał z nią wtedy jak nigdy w pokoju szkolnym. Opowiadał jej o swym życiu, o ludziach, których spotykał, kiedy wyjeżdżał ze swym ojcem poza dolinę, a nawet o swych marzeniach i planach, ponieważ ona też była dorosła i mogła go zrozumieć. Rzadko wspominał matkę, a kiedy już, to jakby mówił o budzącej grozę kobiecie, przemawiającej głosem Boga i jego archaniołów.

— Czy ona jest święta? — zapytała raz Jen.

— Jest półkrwi Irlandką — odparł. — Irlandczycy są bardzo religijni.

— Moja mama też jest półkrwi Irlandką — powiedziała Jen. — Ale nie sądzę, że jest święta.

Chris zarumienił się i na chwilę przeniósł wzrok na gospodarstwo Travisów. Chłopiec niedługo miał skończyć siedemnaście lat i cechowała go młodzieńcza wstydlivość. Gdy słuchał paplaniny Jen, często czerwienił się, ale równie często się uśmiechał, wiedząc że jedenastoletnia dziewczynka sama niewiele rozumie ze swych opowieści. W samotności życia doliny i jego własnego, stała się mu najbliższą osobą.

— Kiedy czarni wejdą na szczyty za swymi ómami, będzie w tym roku trochę zabawy — powiedział Chris do Jen pewnego dnia. Zawsze gdy mówił o czarnych, jego głos zmieniał się, a to przywoływało na pamięć Jen wspomnienia o jej ojcu Jonathanie. Zapomniała już jak wyglądała jego twarz, ale głos potrafiła sobie przypomnieć.

— Ty też nie lubisz czarnych? — zapytała.

— A kto ich potrzebuje? — burknął gniewnie Chris, starając się stłumić poczucie winy, jakie wciąż w sobie nosił. Spojrzał ku wąwozowi, gdzie zginął Jonathan Travis. — Nie potrzebowałem pomocy żadnego czarnego — powiedział niejasno po długiej ciszy.

Jen czekała, by powiedział coś więcej, a ponieważ milczał, zapytała:

— Jakiej zabawy?

— Kiedyś szukałem zaginionego konia i spotkałem wolarzy na niższych szczytach. Jeśli się konia nie przyprowadzi, to zdiczeje. — Chris spojrzał na Jen. — Tego nauczył mnie twój ojciec. O koniach wiedział wszystko. O czarnych też. Podobnie jak ten wolarz. Powiedział, że aborygeni paląc ogniska, niszczą pastwiska na północnych stokach góry. Kiedy wieje wiatr z południa, ogień przemieszcza się na północ. Powiedział, że pasterze mają tego dość i zamierzają w tym roku położyć kres ogniskom. A przy okazji czarnym. — Obejrzał się i spojrzał na góry. — Gdy czarni przyjdą polować na swoje ćmy, ja zamierzam tam być i zobaczyć, co się będzie działo.

— Czy mogę pójść z tobą?

Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Twarz mu złagodniała. Uśmiech rozbił twardą tarczę, za którą się chronił.

— Jeśli chcesz. Ale będziesz musiała robić to, co ci powiem, i trzymać się z daleka od kłopotów. — Uśmiechnął się znowu. — Nie chciałbym, żeby coś ci się przytrafiło.

— Wciąż trzymasz u siebie obcego — odezwał się Samuel, kiedy Jenny spotkała go na brzegu rzeki. Oboje ustawiali wiadra wody w miejscach, do których mógł dojść ogień.

— To nie jest obcy — odparła Jenny, po czym opowiedziała mu przygotowaną wcześniej historyjkę, jakoby pracował dla niej przez ostatni rok, występując na jej rzecz w sprawie kupna ziemi na nizinach.

— Występował w twoim imieniu na nizinach? A więc o to ci chodziło? — Samuel nie krył dezaprobaty. — Jesteś głupią kobietą. Pozwalać występować komuś w swoim imieniu to ryzykowny interes.

Jenny uśmiechnęła się. Podobnie jak Samuel, skorzystała z Ustawy Dotyczącej Osób Zajmujących Nieużytki, gdyż chciała dostać ziemię, na której stał jej dom i gdzie znajdowały się pastwiska. Miała też prawo do pierwokupu dzierzawionych terenów. Kupno i dzierżawa ziemi uniemożliwiały jednak przydział terenu w innym miejscu. Podstawianie ludzi stało się

powszechną praktyką: występowano o dodatkowy przydział 320 akrów na nazwisko innej osoby.

Samuel nie był człowiekiem, który zaryzykowałby kupowanie ziemi na kogoś innego. Jenny zastanawiała się, co by powiedział, gdyby znał prawdę.

— Nawet wielcy właściciele ziemscy mają ludzi występujących na ich rzecz — odparła. — Jeśli osadnicy mogą tak robić, także ci zamożni, to czemu nie ja?

Samuel spojrział w stronę jej domu.

— Więc to jest twój człowiek? — powtórzył ignorując jej pytanie.

Jenny postawiła wiadro, które właśnie napełniła wodą z rzeki.

— Już nie — odpowiedziała. — Miał pewien zatarg z kombinatorami handlującymi bydłem. Krowy, których nie mogli ukraść, zabijali lub rozpędzali. Pozostaną na razie przy moich dzierzawach i pastwiskach w dolinie.

— Pozwoliłeś mu zamieszkać w domu — głos Samuela brzmiał beznamiętnie. — Dlaczego nie umieściłeś go w szałasie tak jak pastuchów?

Jenny spojrzała na niego ostro.

— Jeden z tamtych złodziei wpakował w niego kulę. Musiałam się nim zaopiekować, więc położyłam go w domu.

— Byłeś już długi czas bez mężczyzny.

Przez dobrą chwilę Jenny była tak zaskoczona, że patrzyła tylko w milczeniu.

— Chyba już dawno chciałeś mi coś takiego powiedzieć — rzekła powoli. — Więc może lepiej mimo wszystko, żebyśmy to mieli za sobą.

— To jest nasza dolina — powiedział Samuel, nie spuszczać z niej wzroku. — Twoja i moja. Ja mogę się tobą zająć. Nie potrzebujesz innego mężczyzny.

— Nie potrzebuję żadnego mężczyzny! Ani jego, ani ciebie. A co należy do mnie, należy tylko do mnie, a co do ciebie, do ciebie. Wspólna jest tylko rzeka. — Jenny roześmiała się dziko. — Gdybyś poszedł ze mną do łóżka, nie uleczyłbyś swoich ran ani nie wyrównałbyś rachunków.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Jenny roześmiała się cicho.

— Są sprawy, o których nawet my nie możemy rozmawiać, prawda? — Odwróciła wzrok. — Jesteś dobrym człowiekiem, Samuelu Colebrook i cenię twoją przyjaźń. Były między nami rzeczy, o których nigdy nie rozmawialiśmy. Ten dzień, kiedy urodził się mój Jazon... —

przez chwilę nie mogła wykrztusić ani słowa. Wreszcie odezwała się znowu. — Może zawdzięczam mojego syna tobie. Mógł umrzeć po urodzeniu, gdyby ciebie tam nie było. — Znowu spojrzała na Samuela.

— Może Bóg prowadzi dokładne rachunki. Jonathan tego dnia uratował twojego syna, a ty mojego. Syn za syna. To jest coś, o czym możemy pamiętać. Nic więcej. Tylko tyle.

Samuel odwrócił się do niej bokiem. Potrącił nogą wiadro i przewrócił je, wylewając wodę. Bez słowa pochylił się i napełnił je ponownie.

— A to, co mówiłeś o opiekowaniu się mną... — Jenny szukała odpowiednich słów. — Wiem, że jeśli będę potrzebowała pomocy, zawsze mogę na ciebie liczyć. Jeśli chodzi o ziemię. I tego typu sprawy. Nie chciałabym, byś uważał, że nie doceniam tego. Doceniam. I zawsze będę. Widzisz więc, masz rację. Nie potrzeba mi innego mężczyzny. — Zamilkła, szukając słów. Grzeczne zwroty nie przychodziły jej łatwo. — A jeśli chodzi o inne sprawy, wcale nie potrzebuję mężczyzny. Mogę żyć jak zakonnica, to mi nie przeszkadza. Jeśli one to potrafią, to ja też.

Pomyślała o swojej matce. Ostatnimi czasy myślała o niej coraz częściej. „Biedne cholerne zakonnice”, powiedziała kiedyś Millie Garnett, przyglądając się dwóm siostrą miłosierdzia idącym rozpaloną, parną ulicą w stronę portu w ciężkich, czarnych habitach. „To straszne być zakonnica, kiedy cię zacnie swędzić. Nie mogą zrobić nic, tylko skrzyżować nogi i myśleć o Jezusie”.

— Kobiety potrafią bardzo dobrze radzić sobie bez mężczyzn — ciągnęła Jenny ze sztuczną pewnością, zmieszana milczeniem Samuela. — Nie powinieneś był mówić tego, co powiedziałaś, a ja więcej nie chcę nic takiego słyszeć.

Samuel skinął głową. Na jego twarzy nie było uśmiechu. Przyglądał się jej łagodnym wzrokiem. Podał jej wiadro z wodą.

— Kiedy wydobrzeje, odjedzie stąd — powiedziała Jenny. — Całe jego życie to konie. Łowca dzikich koni. Nie zna się dobrze na bydło.

I to jest wreszcie prawda, pomyślała. Konie to całe jego życie. Tak jak i Jonathana. Tylko tyle, że ten łapie dzikie, a tamten rozmnażał czyste rasy.

— To Mary — powiedział wreszcie Samuel. — Ona była niespokojna.

Jenny nie mogła tym razem powstrzymać śmiechu.

— W tej dolinie żyją tylko dwie kobiety, ale nie zauważają siebie, jakby ta druga w ogóle nie istniała. Więc zupełnie o niej zapomniałam. Ale oczywiście, że musiała być niespokojna.

Taka religijna osoba. Kiedy wreszcie powstanie tutaj prawdziwa osada, znajdzie sobie inne duszyczki, o które będzie mogła się troszczyć. Na razie możesz jej powiedzieć, że moja cnota nie jest gorsza od jej.

Odwróciła się i rażnym krokiem pospieszyła do domu, wychlapując wodę z wiadra.

Jen minęła ją, zbiegając w dół po zboczu.

— A gdzie to znowu biegniesz? — zawołała za nią matka. — Mówiłam ci, żebyś zajęła się Jazonem.

— Jo z nim została — odkrzyknęła Jen.

Jenny spoglądała na dziewczynkę, która dopadła mostu, przebiegła na drugą stronę, a potem zniknęła w krzakach.

Następnego dnia wczesnym rankiem zapłonęły na stokach ogniska.

Mike Donohue czując spaleniznę, wybiegł na werandę.

Jenny już tam stała, śledząc uważnie, w którą stronę przesuwiają się słupy dymu.

— Szybko, bierz mokre koce! — krzyknął Mike, wciągając na siebie koszulę. — Czy masz jakiegoś konia, którego nie płoszy ogień.

— Nie trzeba nic robić, chyba że wiatr zmieni kierunek — powiedziała spokojnie Jenny. — Tam jest pięciuset, a może i więcej czarnych. Polują na ćmy bogong, a potem smażą je na ogniu. Co roku tak uczują. Co najmniej dwa plemiona. Pewien mężczyzna w Cooma powiedział mi, że nazywają się Ngarigo i Wolgol. A może są tam jeszcze inne? Mniej więcej w tym samym czasie każdego roku przychodzą tu, w wysokie góry.

— Nie możesz lekceważyć ognia — powiedział Mike.

Jej słowa wyraźnie go nie uspokoiły.

— Przegoniliśmy stada na niższe pastwiska już dwa tygodnie temu — powiedziała Jenny. — A wokół całej doliny porobione są przecinki, które zatrzymają ogień. Samuel i Jonathan wykopali doły i wycięli drzewa już wiele lat temu. Poprawiamy je co roku, zanim czarni nadejdą.

— A co będzie, jeśli wiatr się zmieni?

— Pilnujemy. Wszędzie mamy przygotowane wiadra z wodą i kije. — W jej głosie zabrzmiała gorzka nuta. — Nie będzie już na wyższych pastwiskach trawy aż przed nadejściem wiosny, a jeśli wiatr się zmieni i nie zadziałamy szybko, tu na dole także nie. Spójrz, widzisz tę chmurę ciem unoszącą się z dymem? To są ćmy bogong. Na nie właśnie polują czarni. Wykuarczają je dymem ze szczelin skalnych, potem łapią i smażą na ogniu. Przez całe lata nie wiedzie-

liśmy, o co im chodzi. Myśleliśmy, że może to nas chcą wykurzyć z doliny. Wreszcie wyjaśnił mi to pewien mężczyzna, który przejeżdżał przez Cooma. To śmieszne, że obcy człowiek wiedział więcej niż ci, co tutaj żyją. Nie miałam nawet pojęcia, że te plemiona mają jakieś nazwy.

Mike milczał, przyglądając się coraz bardziej gęstniejącym kłębowi dymu.

— Jonathan stracił jednego roku trzydzieści sztuk bydła, zanim wyciął przecinki — powiedziała Jenny. — Prawie wszystko, co miał. Czarni zrobiliby lepiej, gdyby jedli krowy i zapomnieli o swoich cholernych ómach.

Mike roześmiał się.

— Niezła z ciebie kobieta, Jenny. Tyle ci powiem. Ale czasami wydaje się, że masz mniej rozumu w głowie niż twoje krowy.

— A to co ma znaczyć?

— Na wszystkie świętości, po co zostawać tutaj? Zamarzasz od jesieni do wiosny. A kiedy nadchodzi lato, drżysz przed ogniem. Ogień jest groźbą, z którą każdy musi się liczyć w tym kraju. Ludzi zostali przysłani tu zamiast do piekła, więc walka z ogniem raz na trzy lata, a nie co roku, wydaje im się sensowną propozycją. Ale zmaganie się z ogniem rokrocznie...

— Lepiej, że to się dzieje regularnie — przerwała mu Jenny. — Wiemy, kiedy musimy być gotowi. Znacznie groźniejsze jest to, co nadchodzi nagle i niespodziewanie.

— Czekam, byś odpowiedziała na moje pytanie. Dlaczego zostajesz?

— Ponieważ tu jest moje miejsce. Nie mam zamiaru go zmieniać. Jonathan powiedział kiedyś — uśmiechnęła się na wspomnienie — że mężczyzna może zapaść korzenie tylko raz. W miejscu stworzonym właśnie dla niego lub miejscu, które sam dla siebie stworzy. Ale tylko raz. To samo da się powiedzieć o kobiecie.

— Twój mąż umarł. Nie żyje i już na dobre zapuszcza korzenie — ostro odpowiedział Mike. — Dlaczego kierujesz się nadal jego bezsensownymi pomysłami?

— Ponieważ one są teraz moimi głupimi pomysłami. Zostawił mi tutaj pracę i mam zamiar ją wykonać.

— I cóż to ma być za praca? Odgarnianie śniegu i gaszenie ognia?

— Budowanie przyszłości dla mego syna, a potem z kolei dla jego syna — odpowiedziała Jenny z zaskakującą godnością.

— Twój syn miałby znacznie lepsze perspektywy w Sydney. Kolonia pęka w szwach od dobrych perspektyw, i będzie ich miała coraz więcej wtedy, gdy twój syn dorośnie.

— Pamiętam Sydney — powiedziała Jenny bezdzwięcznym głosem. — Pochodzę stamtąd. Lepiej walczyć ze śniegiem i ogniem, niż tam wrócić.

— Gdybyś miała mężczyznę u swego boku, wszystko wyglądałoby inaczej — powiedział Mike miękko. — Ja zajmę się tobą.

— A kto będzie się troszczył o ciebie? — roześmiała się Jenny. — Wyciągał cię z karczm i oberży, i zdobywał dla ciebie jedzenie?

— Nie najlepszą masz o mnie opinię — mruknął gniewnie. — To wcale by tak nie wyglądało.

— Jesteś Irlandczykiem, prawda? I to najbardziej wtedy, gdy chcesz postawić na swoim. Wcześniej dowiedziałam się, jak irlandzka krew potrafi się burzyć. W jednej minucie wrze, w drugiej płynie spokojnie.

— Chcę, żebyś ze mną była, Jenny. Jesteś moją kobietą i byłaś nią od naszego pierwszego spotkania. Oboje o tym wiemy i nie ma powodu, by cały świat się o tym nie dowiedział.

Jenny odwróciła się w stronę farmy Colebrooka, uciekając spojrzeniem od Mike'a, który mógłby w jej oczach odczytać zdradzające ją uczucia. Jego słowa budziły myśli, których nie potrafiła ukryć. Jak by to było, gdyby przebywała z nim dzień po dniu, noc po nocy. Szalone myśli. Bo była pewna, że tak nigdy nie będzie. On był Irlandczykiem, a ona wiedziała wszystko na temat Irlandczyków. Jej uczucie do niego stawiało ją na równi z Millie Garnett. Zdradzało ją. Zdradzało wszystko, co starała się osiągnąć w życiu. Niszczyło każde jej osiągnięcie i sprawiało, że stawała się nie lepsza od tej Jenny, którą mogłaby zostać, gdyby Jonathan nie przybył na ratunek i nie zabrał jej do tej doliny.

Mike stał zbyt blisko niej. Czowała go każdym centymetrem swego ciała. To budziło w niej gniew. Był za blisko. Wpatrywała się w przeciwległe zbocze, podżegając gniew, który czuła, i rozmyślając o tym, co Mike powiedział. Pozwoliła, by gniew dodał jej sił.

Na zachodnim brzegu Samuel napełniał wodą kolejne wiadra.

Kiedy patrzyła na niego, łatwiej jej było powiedzieć to, co chciała.

— Nie ma nic między tobą a mną, o czym chciałabym poinformować cały świat, Mike'u Donohue. I nie jestem twoją kobietą. Nie należę ani do ciebie, ani do żadnego innego mężczyzny. — Należę do siebie, do swoich dzieci i do tej doliny.

— I do swego męża, który nadal wyciąga do ciebie rękę z grobu?

Jenny milczała. Nie mógł i nigdy nie będzie mógł zrozumieć jej uczuć do Jonathana Trava. Był zazdrosny o nieboszczyka! I niech tak pozostanie!

— Czy tak to właśnie jest? — dopytywał się Mike. — Musiał cię namiętnie kochać, jeśli uważasz, że żaden mężczyzna nie może mu dorównać.

— Myślę, że wcale mnie nie kochał — powiedziała Jenny cicho. — Ale małżeństwo z nim, to było coś więcej, niż mogłam oczekiwać od życia.

— Okłamuj sama siebie, skoro musisz, ale nigdy nie oszukuj mnie, Jenny Garnett. Ile miałaś lat, kiedy ten twój szlachetny mężulek zabrał się do ciebie?

— Nie pozwolę ci o nim mówić w ten sposób.

— Ile miałaś lat? Czternaście, piętnaście? Dobry Boże, nie mogłaś mieć nawet tyle. Przecież ty teraz nie masz jeszcze trzydziestu lat.

Jenny odwróciła się ku niemu, teraz już rozgniewana na dobre.

— Trzydziestu! Mam dwadzieścia trzy. Zanim osiągnę wiek, który mi przypisałeś, zamierzam sporo zdobyć w życiu.

— Słodki Jezu! — jęknął Mike. — Matko Boska. Nie byłaś starsza niż twoja córka, kiedy ten łajdak cię wziął.

Jenny patrzyła na niego zaskoczona. Przeliczyła lata w myślach. Jednak szybko odzyskała panowanie nad sobą.

— Byłam na tyle dorosła, żeby stać się dobrą żoną — powiedziała z dumą.

— Mężczyznę i kobietę może łączyć nie tylko łóżko.

— To ty wiecznie myślisz o łóżku — zachnęła się Jenny. — Nie zauważyłam, by ci chodziło o co innego. Nie udawaj, że tak różnisz się od innych mężczyzn. Jeśli macie ochotę na kobietę, wszyscy jesteście jednakowi.

Samuel Colebrook zawrócił do rzeki, osłonił oczy ręką i spojrział w stronę słupów dymu podnoszących się na wschodniej grani i nad domostwem na północnym brzegu.

— Mężczyzna robi to, czego oczekuje od niego kobieta. I mówi to, co kobieta pragnie od niego usłyszeć. Nie zawsze mówi to, co myśli.

— Niektórzy mężczyźni nie muszą kłamać.

Mike ostatkiem sił utrzymywał głos na wodzy, kiedy jej odpowiadał:

— Całe mnóstwo wdów chętnie przyjęłoby mnie do swego łóżka, gdyby tylko o to mi chodziło.

Jenny przyjrzała się uważniej dymowi. Wiatr zmieniał się, wyganiając go z doliny, unosząc dalej w szarych spiralach.

— Nigdy nie myślałem, że przyjdzie na mnie taki dzień, ale mówię o małżeństwie — oznajmił Mike tonem pełnym gniewu.

Jenny milczała nadal.

— Czy słyszałaś, co powiedziałem? — krzyknął Mike.

— Słyszałam.

— I to wszystko, co masz mi do powiedzenia.

Obdarzyła go przelotnym spojrzeniem.

— Nie mam zamiaru wiązać się na stałe z żadnym dzikim Irlandczykiem.

— Nie zadzieraj przy mnie nosa, Jenny Garnett — wykrzyknął Mike, nie potrafiąc powstrzymać rozsadzającej go furii. — Nie jesteś lepsza ode mnie i dlatego właśnie do siebie pasujemy.

Jenny skinęła głową.

— Jestem taka, jaka jestem, właśnie dlatego, że każdy z moich ojczymów był Irlandczykiem. Syn Jonathana nie będzie miał irlandzkiego ojczyma. Jest Travisem i pozostanie Travisem, a ja, żeby tego dopilnować, również pozostanę przy nazwisku Travis.

— Cała kupa bzdur, i to wszystko — oświadczył Mike, ale teraz mówił już znacznie łagodniejszym tonem. — Kochasz mnie, Jenny, i nie opowiadaj, że tak nie jest.

— Moje uczucia to moja sprawa. Gdybym była innego zdania, opowiedziałabym ci o nich.

Podeszła do niego i rozpięła mu koszulę.

— No tak, przecież chodzi o coś więcej niż tylko o to — Mike uśmiechnął się.

— Sprawdzam, jak się ma twoja rana. — Rozwinęła bandażę. — Wydaje mi się, że jeśli masz dość siły, by wyklócać się ze mną i gasić ogień, równie dobrze mógłbyś już się stąd ruszyć. — Założyła z powrotem bandażę i zapięła koszulę. — Będziesz żył. Nie należysz do tych, co rozdrapują rany. — Spojrzała na niego bardzo poważnie. — Tutaj nie ma dla ciebie roboty, Mike. Najlepiej byłoby, gdybyś wyjechał.

— Nie odjadę daleko, Jenny.

— Tak daleko, by wymagało to pożegnania. I nie rozmawiajmy więcej o nas.

Mike westchnął głęboko.

— Nie powiem już słowa. Ani jednego słowa. Ale będę dużo myślał.

— Gdzie jest Irlandczyk? — zapytała Jen podczas nakrywania do obiadu.

— Odjechał — odpowiedziała krótko Jenny. — Wydobrzał na tyle, że mógł ruszyć w drogę.

— Ciekawa jestem, czy widział, co się działo — zastanawiała się Jen.

— Co się działo? — Jenny spojrzała na córkę. — O czym ty mówisz? I gdzie byłaś przez całe rano?

— Chris opowiedział mi o planach osadników i zabrał mnie, żebyśmy popatrzyła — odpowiedziała Jen. Nagle spochmurniała. — Ale potem kazał mi wracać do domu.

— Zabrał cię, żebyś popatrzyła na co? Mów z sensem.

— Na czarnych. Osadnicy stwierdzili, że mają już dość ich ognisk i tego roku poczekają na nich — Jen zaśmiała się. — Chris usłyszał, jak planowali, co zrobią. I zrobili to.

— Co zrobili? Czy powiesz mi nareszcie, czy mam wyciągać z ciebie wszystko słowo po słowie.

— Pozabijali ich, mamusiu — odezwała się wybuchając łkaniem Jody.

Jenny odwróciła się gwałtownie, by spojrzeć na młodszą córkę.

— O czym ty mówisz?

— Jen opowiedziała mi wszystko. Osadnicy pozabijali ich.

Jenny spoglądała zdezorientowana na córki, potem na Jazona, który podniósł głowę znad talerza i przysłuchiwał się uważnie.

— Jo, zabierz Jazona do drugiego pokoju — poleciła Jenny. — Obiad może zaczekać.

Zwróciła się do najstarszej córki.

— A teraz dobrze się zastanów i powiedz mi dokładnie, co się wydarzyło.

Jen wzruszyła ramionami.

— Nie ma nic więcej do powiedzenia. Osadnicy czekali na czarnych od wschodu słońca, ale na początku usadowili się w złych miejscach, tak że tamci zapalili ogniska, zanim ich zdążyli powstrzymać. — Na jej twarzy widać było podniecenie. — Ale przez to dołożyli im jeszcze bardziej, niż zamierzali, tak powiedział jeden z wolarzy. Kilku czarnych po prostu zepchnęli ze skały. Lecieli jak kłody drzewa. Innych upiekli na ich własnych ogniskach.

Jenny zamknęła oczy.

— O Jezu!

Wyszła na werandę, zostawiając córkę. Popatrzyła na dym unoszący się ciągle nad szczytami.

— Zastanawiałam się, dlaczego tyle ognisk rozpalili tak wcześnie w tym roku — powiedziała bezmyślnie.

Odwróciła się i weszła do swej sypialni. Zamknęła drzwi i sięgnęła do starej skrzyni Jonathana po dziennik, w którym sam się oskarżał.

W tej samej chwili zauważyła, że ktoś przesunął skrzynię ze zwykłego miejsca i otworzył ją. Mike musiał zostawić wszystko tak jak było, kiedy poczuł swąd, pomyślała. Wyobraziła go sobie, jak otwiera skrzynię, sięga po dziennik, czyta go... Tak go pochłonęła lektura, że dopiero po dobrej godzinie poczuł, że całą dolinę zasnuwa dym. Siedział tu i czytał wszystkie te ukryte, sekretne wyznania. Poznawał prywatne myśli Jonathana. I sprawy, o których nigdy mu nie opowiedziała...

Odkrył to, czego by nigdy nikomu nie zdradziła.

Otworzyła skrzynię, spojrzała na dziennik, a potem zamknęła wieko i przekreśliła klucz.

Cieszyła się, że Mike Donohue odjechał. Cieszyła się, że nigdy więcej go nie zobaczy. Cieszę się, pomyślała. Cieszę, cieszę, cieszę! Rzuciła się na wielkie puste łóżko i płakała tak długo, aż usnęła. Tak zakończył się ten okropny dzień.

Ale kiedy sen objął ją w posiadanie, to nie twarz Mike'a ją nawiedziła. Ujrzała uśmiechniętą, podnieconą Jen spokojnie opowiadającą o niewyobrażalnym horrorze.

Przez trzy samotne lata i zimy Benong żył jako wyrzutek szczepu. Zawiódł swych ludzi. Był strażnikiem na szczytach, a nie ostrzegł ich, że nadchodzi tyłu białych ludzi, białych diabłów, którzy ranili ich ziemię. Kurdatchi umalowany białą gliną i z piórami emu przyczepionymi do stóp, nie wskazał na niego kością, która skazałaby go na szybką śmierć. Zostawił go, żeby żył długo, na zawsze jako wygnaniec.

Benong nie znał słów, by wyrazić uczucia, które się w nim kłębiły.

Życie szczepu podążało tak stałą i niezmienną ścieżką jak droga słońca po niebie. Nie umiał teraz wyrazić niepewności, jaka przyszła ze zmianą.

Przycupnąwszy na szczycie w pobliżu kopca pogrzebowego, przyglądał się ciemnym chmurom ciem bogong, które nadlatywały z północy, niesione tak jak co roku przez letni wiatr. Jego skłopotana dusza poczuła ulgę na ten widok.

Uniósł twarz ku niebu i tam też nie dostrzegł żadnej zmiany.

Duchy powietrza nadal zsyłały zimę i lato, chłód i spiekotę. Uloola, słońce, nadal wędrowało, przemierzając niebo od poranku do zmierzchu, w nocy Arana Kara-Kara, księżyc,

przybywał i ubywał zgodnie ze swym odwiecznym cyklem. A teraz ćmy bogong spadały z letniego nieba, żeby osiedlić się w szczelinach skał, tak jak to robiły każdego lata.

Obawiał się, że tego lata Bai-amee może ich nie przysłać.

Jego szczerp nie upilnował Ziemi przed białymi diabłami. Drzewa padały pod uderzeniami ich siekier i ptaki nie miały gdzie przysiądać. Ryby umierały w zabrudzonych rzekach, a zakola rzeczne i małe zatoki nie stanowiły już sanktuariów dla stworzeń bożych.

Wielu mieszkańców tej Ziemi, zarówno zwierząt, jak i ludzi, zostało rozproszonych. Za mało było jedzenia, by wykarmić plemiona, które wypierały się wzajemnie z bezpiecznych terenów.

Ale Bai-amee przysłał ćmy bogong.

Nawet kurdatchi nie potrafił wyjaśnić siły leczącej, jaką posiadały ćmy bogong. Przelatywały przez dolinę jak chmury, spadały na ziemię niby uskrzydłone insekty, chowały się w szczelinach skalnych i czekały do lata, kiedy wylatywały przyciągnięte dymem ognisk. Jakby odczytywały wiadomość, że plemię jest bardzo głodne. Wtedy rozkładały skrzydła i piekły się na ogniu.

Starszyzna plemienia Ngarigo twierdziła, że magia tkwiła w ogniu rozpalanym za pomocą patyka przez kurdatchi. Benong nie komentował tego, choć on rozpalał ogień swoim patykiem i ćmy przylatywały również do jego płomieni.

Uznał, że dobra magia kryje się w ćmach bogong. W płomieniach zmieniały się, stawały się okrągłe i słodkie jak orzechy. Ale ich ukryta moc objawiała się dopiero podczas święta, kiedy były zjadane. Mężczyźni, kobiety i dzieci plemienia stawali się silniejsi, tłuszcz pokrywał ich kości, a ich duchy potężniały. Mówiło się, że w lecie ulatują one na skrzydłach bogong.

Wiele ciem bogong zostało przysłanych tego lata przez Bai-amee, by zaspokoić głód wszystkich plemion, które tłoczyły się teraz na dawnym terytorium Ngarigo. Wysłano również wieści do Wolgol i Wiradjuri. Tak więc kiedy przyszedł dzień polowania na bogong, wielu aborygenów znalazło się na zachodnim paśmie, na granitowych ścianach i szczytach, czekając pojedynczo, w parach lub grupach, gdzie tylko można było w ścianie znaleźć szczelinę. Było ich w sumie dwustu lub trzystu, a może nawet więcej, uzbrojonych tylko w kije.

Z pierwszym brzaskiem zaczęli się zbierać, czekając na wschód słońca.

Po drugiej stronie doliny Ngaringa, Benong, przyglądający się szczytom, gdyż nie miał prawa przyłączyć się do myśliwych, po prostu patrzył i czekał.

Uloola, słońce, nie wstało jeszcze ze swego posłania, kiedy pierwsi pijani biali pojawili się tam, gdzie poprzedniego roku w szczelinach zbierały się ćmy bogong. Białe diabły szwendały się po całej ich Ziemi. Ich obecność na szczytach nie wydawała się większym zagrożeniem niż w jakimkolwiek innym miejscu. A w dniu polowania na bogong aborygeni mieli ważniejsze sprawy na głowie niż białych.

Kiedy słońce objęło swymi palcami niebo, zapalono ogniska. Dym zaczął wypłaszać ćmy z ich legowisk.

Wtedy usłyszeli dźwięki, jakie wydawały śmiercionośne kije białych, ale nadal nie zwrócili na to uwagi. Bogong wpełzały ze szczelin, ulatywały w górę, a potem opadały w płomień.

Odgłosy strzelania powtórzyły się.

— Zabijają swoje dziwaczne zwierzęta — powiedział ktoś.

Na ich Ziemi pojawiło się wiele cudaczných zwierząt. Najpierw były to potwory, na których białe diabły jeździły, za nimi przysły bestie z rogami, następnie mniejsze zwierzęta, pokryte czymś białym i kręconym, jak włosy na głowie starego człowieka. A teraz białe diabły polowały na rude zwierzęta z dużymi kitami. Dziwne stworzenia raniły Ziemię, samą jej istotę i to, co na niej rosło, a białe diabły strzelały do swoich własnych zwierząt. Starszyzna mówiła, że biali nie mogą zabijać zwierząt należących do Ziemi.

— Polują na swoje czerwonoogoniaste zwierzęta — powtórzył ktoś. Ale kiedy strzały słyhać już było całkiem blisko, usłyszeli też i inne przerażające, ludzkie odgłosy.

Ponad śpiewy i okrzyki radości polujących na bogong wzbil się przesywający krzyk, który słabł jak wołanie spadającego ptaka, a wreszcie doszły ich też okrzyki bojowe wojowników z ich plemienia.

Ci, którzy stali wyżej w górach, odwrócili się od wzlatujących ciem, kiedy wreszcie ich także doszły te hałasy. Ujrzeni nadchodzące białe diabły ze śmiercionośnymi kijami.

Myśliwi nie mieli żadnej broni, tylko kije i torby, w których zamierzali zanieść upieczone bogong do swych plemion. Żadnych drewnianych dzid do rzucania. Żadnych drewnianych tarcz, którymi by się mogli zasłonić.

A skały nie dawały schronienia przed śmiertelnymi kamieniami, którymi ciskały zabijające patyki białych ludzi.

Nie mieli gdzie uciekać. Powyżej na stokach, na każdym występie skalnym stali biali ludzie, a za nimi i jeszcze wyżej inni czarni pchali się to w przód, to w tył, zbyt wolno odpowiadając na wezwanie do walki.

Niektórzy wcale na nie nie odpowiadali, zbyt pogrążeni w corocznym rytuale polowania.

I tak Ngarigo zostali zrzućeni, podobnie jak przed nimi inni, w dół ze skał.

Próbowali walczyć. Ciskali kamieniami, które dała im Ziemia. A kiedy nie mieli już czym rzucać, sięgnęli po bumerangi, które zawsze nosili ze sobą, przywiązane łądygą chmielu opasującą ich ciało. Bumerangi pomalowane były znakami ich osobistych duchów i to było jedyne, co im pozostawało do walki, własne opiekuńcze duchy.

Leżeli na załomach skalnych, niektórzy już martwi, inni umierający. Ci, którzy upadli ranni, próbowali się podnieść i walczyć znowu.

I kiedy nie mieli już żadnej broni, białe diabły spadły na nich. Na martwych nie zwracali uwagi, umierających wrzucali do ognisk, a rannych spychali ze skał, by ich podobne do ptasich wołanie połączyło się z krzykami tych, których zrzucili z niższych skał.

Przykucnięty na południowo-wschodnim zboczu poza kopcem pogrzebowym, Benong przyglądał się Uloola, słońcu, które rozkładało ramiona, wspinając się po niebie. Widział zapalane pierwsze ogniska, słyszał odległe śpiewy i śmiechy.

Kiedy te dźwięki przeszły, nadal nie ruszył się ze swego posterunku. Nie miał prawa przyłączyć do swego plemienia. Tak więc, nieszczęśliwy, czując coraz większy lęk, nie był w stanie zrobić nic więcej, tylko przysłuchiwać się odgłosom towarzyszącym śmierci.

Uloola przesunęło się w stronę zachodu i ziemię ogarnęła cisza. Złote ramiona sięgnęły z nieba, dotykając gasnących ognisk i malując na czerwono unoszący się dym.

Strach Benonga stał się większy niż zakazy. Żaden członek plemienia nie wrócił doliną Ngaringi w swej powrotnej drodze na niższe szczyty, gdzie starszyzna, kobiety i dzieci czekali na ucztę bogong. Musiał dowiedzieć się, co się stało, i to pragnienie okazało się silniejsze niż lęk przed sądem starszyzny, kurdatchim i wszystkimi tabu.

Benong natknął się na pierwszych mężczyzn ze swego plemienia, zanim dotarł do wysokich klifów, gdzie mieszkały bogong. Ogniska jeszcze się paliły, dym unosił się w górę.

Leżeli na ziemi, z rękami i nogami zgiętymi, jakby nadal biegli. Ich ciała pełne były dziur, z których jeszcze ciągle lała się krew. Ciekła, rozlewała się i wysychała. Dalej znalazł ich więcej, a potem jeszcze więcej: martwi mężczyźni, leżący twarzami ku ziemi.

Powoli szedł szlakiem od jednego do drugiego. A gdy doszedł do przepaści, ujrzał ciała przewieszane przez gałęzie drzew, które złapały je podczas długiego lotu ze skały. Wreszcie zobaczył pierwszego z tych, których upieczono żywcem na ich własnym ognisku.

Był to młody chłopak z plemienia Wolgol. Leżał zwrócony twarzą w stronę Benonga, miał otwarte oczy i patrzył wprost na niego. Palcami wczepiał się w ziemię, starając się podnieść swe ciało. Ale ono było już tylko kawałkiem węgla, jak mięso zbyt długo smażone na ognisku. Tego ciała na pewno nie mógł uleczyć pszczeli miód. Chłopak wyszeptał jedno słowo, jego oczy patrzyły błagająco i Benong włożył swoją włócznię w jego zaciśniętą rękę. Wolgol podziękował mu wzrokiem, a potem wbił krótką dzidę we własne gardło, skracając agonię.

Benong powoli szedł po zboczu. Wszędzie widział tyle umarłych i umierających, że policzenie ich przekraczało jego możliwości. A kiedy dotarł niżej, zobaczył linię totemów zostawionych przez białe diabły w szalonym rytuale świętowania dnia masakry.

W rozszczepieniu skalnym tkwiła ludzka głowa. Jej usta wciąż otwarte w okrzyku, wołające o swej śmierci i o odjęciu jej od ciała. Na kolejnej skale zobaczył następny ludzki członek, dalej następny i jeszcze jeden. A potem, jako ostatni totem, poszarpany korpus z odjętymi członkami, z przywiązanim ogonem dingo podrzucanym podmuchami wiatru. Jakby tego dnia białe diabły torturowały nawet ducha wiatru.

Stojąc pomiędzy umarłymi, Benong przyglądał się słońcu, kryjącemu swą twarz za ziemią, tak by mogły nadejść ciemności. Potem ukazał się Arana Kara-Kara, księżyc, a kiedy i on zobaczył, co się stało, zakrył swą twarz ciemnymi chmurami, które wylały łzy ducha Bai-amee na Ziemię. Krew i deszcz spłynęły po stokach góry.

Benong wdrapał się na swój szczyt, do miejsca gdzie dzielił samotność wygnańca ze strażnikiem kopca.

Siadł przy kopcu i mówił do niemego strażnika, aż nie było w nim już więcej słów, które mogłyby oddać wszystko, co widział.

7.

Długie gorące lato z pięćdziesiątego czwartego na pięćdziesiąty piąty trwało do lutego. Jenny pozostała w dolinie, pogrążona w posepnym nastroju, choć niezdolna była określić jego przyczyny.

— Nie będę sprzedawczynią whisky w tym roku — obiecała sobie.

Wydestylowany alkohol przelała do beczulek i butelek. Pete i Charlie załadowali wóz i zawieźli dostawę dla Quong Lee. Pozostały trunek dojrzewał w dębowych beczkach.

— Już nigdy nie będę handlowała whisky! — zdecydowała, kiedy znalazła przywieziony z Sydney rum, który Pete i Charlie kupili w nowym hotelu wzniesionym w Cooma Village.

Butelki wyglądały niezwykle porządnie, inaczej niż wszystkie, które dotąd widziała. Pod nazwą rumu na nalepce widniało nazwisko wytwórcy.

„Ferguson i S-ka, gorzelnicy” — głosił napis. Tak jakby Ferguson był dumny ze swego zajęcia. Wątpiła, by spędzał długie, samotne noce wypłakując sobie oczy, że handluje rumem. I dlaczego miałby tak robić? On naprawdę był dumny ze swej pracy. Nawet głosił to wszem i wobec napisem na swych butelkach, by cały świat dowiedział się, że jest uczciwym handlowcem, nie jakimś tam domokrażcą. A jeśli on mógł to osiągnąć, to ona również!

Patrzyła na nazwisko wypisane małymi literami w dolnym rogu nalepki.

Usiadła przy kuchennym stole i starannie ułożyła list do drukarni, zamawiając etykiety z wielkim złotym napisem: „Highland Bae Whiskey”, a poniżej „Garnett i S-ka, gorzelnicy”.

Kiedy zbliżający się koniec jesieni pięćdziesiątego piątego zmusił Jenny do wyprawy po zapasy, wiozła ze sobą list.

W Cooma ze zdumieniem zobaczyła, jak bardzo się w międzyczasie osada rozrosła. Poza hotelem i bankiem, zbudowanymi w poprzednim roku, stały jeszcze dwa drewniane budynki: magazyn i przedsiębiorstwo wynajmu koni.

Jenny załadowała zapasy na wóz, starając się nie gapić na dwóch ciemnoskórych mężczyzn szwendających się koło magazynu. Dziwnie wyglądali w koszulach i bryczesach. Przywykła widywać ich w przepasce ze skóry dingo na biodrach.

Może czują się bezpieczniej ubrani jak biali ludzie, pomyślała. Nie potrafiła zapomnieć o zapiskach w dzienniku Jonathana i podnieceniu Jen podczas letniego polowania.

— Nie przejmuj się tymi czarnymi. To pracownicy przedsiębiorstwa wynajmu koni. Dobrze się sprawują, poza tym, że od czasu do czasu znikają w buszu.

Jenny odwróciła się gwałtownie na dźwięk znajomego głosu. Mike Donohue uśmiechnął się do niej.

— Też mogłabyś zatrudniać miejscowych u siebie — zasugerował. — Jeśli zdołasz jeszcze natrafić na nich u siebie w górach — dodał ponuro.

— Dobry jesteś w gadkach nie na temat — powiedziała Jenny, starając się wzbudzić w sobie gniew, który czuła do niego przed trzema miesiącami. Gniew, który miał być jej tarczą i obroną. — Raczej powinieneś mi powiedzieć, co tutaj w ogóle robisz? — dopytywała się.

— Myślałam, że już dawno temu opuściłeś nasze strony.

— Kiedy tutaj przybyłem, usłyszałem, że polowanie się skończyło. Trzynastu aresztowanych poszukiwaczy złota zostało zwolnionych, a listy gończe za innymi wycofane. Nie miałem więc powodu dalej uciekać. Za to aż nadto racji, by tu zostać. Mówiłem ci, że nigdzie daleko nie zamierzam odjechać.

Spojrzenie Jenny przeniosło się ponad nim w stronę stajni. Mike uśmiechnął się.

— Stwierdziłem, że mężczyzna może w tych stronach poszukać szczęścia.

Ponieważ nie zareagowała na zaczepkę, mówił dalej:

— Póki ty mieszkasz tutaj, ja zostanę także.

— W takim razie mam nadzieję, że ci się to opłaci, bo twój pobyt zanosi się na dłuższy.

— Przynajmniej będę tu wracał — powiedział Mike. — Istnieją pewne zapisy, które chciałbym sprawdzić, i to mi może zabrać trochę czasu. — Mówił powoli, jakby zastanawiając się nad każdym słowem. — W jakiś sposób muszę ci wykazać, jak głupio robisz, zagrzebując się w tej dolinie. Grzebanie nadaje się dla martwych, nie dla żywych.

— Nie jestem pogrzebana, zapuściłam tam korzenie.

Mike uśmiechnął się znowu.

— Kobieta nie ma korzenia, żeby go zapuszczać, a może tak długo pracowałaś jak mężczyzna, że zapomniałaś o różnicach.

— Idę zająć się własnymi sprawami — odpowiedziała Jenny gniewnie. — Nie zamierzam tu stać i wysłuchiwać takich uwag. Dżentelmen nie zwraca się w ten sposób do damy.

— A, to teraz stałaś się damą? Dama chyba nie zrozumiałaby moich słów tak szybko. I nie byłaby przekonana, że może mierzyć się z mężczyzną — odparł Mike. Kiedy Jenny odwróciła się, by odejść, dodał. — James Spencer z Jindabyne szuka następnych pastwisk.

Jenny zamarła.

— Czy to oznacza, że on chce moich pastwisk?

— Zbliża się do nich. A dokładnie mówiąc, okrąża cię. Chciałby mieć tereny do letniego wypasu. Za jakiś czas je zdobędzie. — Mike obserwował reakcję Jenny na jego słowa. Plecy, którymi była wciąż odwrócona do niego, zeszywniały. — Ma większe stado w górach niż inni. Słyszałem, co się o nim mówi. Ponieważ pracował jako rządowy przewodnik na tych terenach, to z jego nazwiskiem kojarzy się w Sydney tę okolicę.

Jenny wzruszyła ramionami, udając brak zainteresowania, a dopiero po chwili odwróciła się do niego z powrotem.

— To, że biegał po górach jak koza, nie znaczy, że jest taki ważny — odpowiedziała. — Słyszałam, że brał na przechadzkę w góry jakiegoś tam pana Townsenda. A potem czcigodnego Clarke'a i jeszcze niemieckich dżentelmenów. Tacy ludzie przychodzą, popatrzą sobie, a potem odchodzą, by nigdy więcej nie wrócić. Tutaj nie ma nic, co może zainteresować ludzi z miasta. Tylko kilka zamarzniętych jezior i mnóstwo śniegu w zimie.

— Jakiś pan Townsend, o którym mówisz, to zastępca głównego inspektora Nowej Południowej Walii. A „czcigodny dżentelmen” i pozostali, którzy przyszli później, to geologowie. Twoje „zamarznięte jeziora” zaś są nazywane polodowcowymi. Czyżbyś zapomniała, ile można zdobyć wiadomości, przysłuchując się innym?

— Więcej niż potrzeba, jeśli chcesz znać moje zdanie — odparła Jenny. — Nic z tego nie pojmuję i nie zależy mi na tym. Ale rozumiem za to, co powiedziałaś o pastwiskach. Uważasz najwyraźniej, że moja ziemia skończy jako letnie pastwisko dla kogoś, czyje ręce sięgają daleko. Czy to właśnie próbowałaś mi powiedzieć?

— Właśnie to ci mówię. Twoja ziemia może być zabrana przez każdego mężczyznę, który jej zapragnie. Wykonywanie przez ciebie męskiej roboty nie zmieni prawa. Jesteś tylko kobietą. Nie będziesz w stanie stanąć na drodze mężczyźnie.

— Już dawno wymyśliłam, jak utrzymać bezpiecznie to, co należy do mnie, przed każdym mężczyzną, który chciałby wykorzystać bezbronność kobiety — odpowiedziała Jenny z lekkim uśmiechem.

— I niby jak to zamierzasz zrobić?

Jenny zawahała się, ale potem potrząsnęła głową.

— Może któregoś dnia ci powiem, ale to nie jest jeszcze ten dzień. — Wzruszyła ramionami. — Tak czy siak, nie mieszkam sama w dolinie. Zapomniałeś o Samuelu Colebrookowi? On też ma tam ziemię i jest mężczyzną.

— No, powiedzmy — roześmiał się Mike. — Ale nie potrafi przeciwstawić się komuś zdeterminowanemu. Znałem takich jak on. Żyje nadal przeszłością, wciąż stacza minione walki. I nie ma do tego miejsca takiego serca jak ty.

— Ma wystarczająco wiele serca.

Mike spojrzał na nią ostro.

— Nie potrafił powstrzymać Jonathana Trávisa przed zajęciem części doliny, ale kiedy tamtego już zabrakło, mógł przecież zabrać twoją część w każdej chwili. Zastanawiam się teraz, czemu tego nie zrobił.

— Nie robi — powiedziała Jenny. — On pragnie osady z prawdziwego zdarzenia. A gdyby kiedykolwiek przyszło mu do głowy sięgnąć po moją ziemię, wiem, jak go powstrzymać. Wymyśliłam to już dawno temu. Mam swoje sposoby. — Znowu się uśmiechnęła.

Mike Donohue nie spuszczał z niej ostrego, badawczego spojrzenia.

— Męskie sposoby.

— Jakież to?

— Nie musisz tego wiedzieć, jest jeszcze za wcześnie. Ale powiem ci coś innego. Dziękuję za ostrzeżenie. I myślę teraz, że jeśli rzeczywiście chcemy utrzymać ziemię, musimy pomyśleć o porządnej osadzie i porządnych osadnikach.

— Daj spokój, Jenny. Osadnicy nie zechcą siedzieć tak wysoko, odcięci przez całą zimę od świata, w miejscu gdzie nawet nie ma porządnego pubu, w którym można by ogrzać duszę.

— Nie zrezygnuję — oświadczyła stanowczo Jenny. — I dopnę, by nazwisko Travisów wymawiali wszyscy z szacunkiem i uznaniem.

— Co jest złego w Donohue? — Mike wskazał głową stajnie.

— Każdy je może zobaczyć wypisane na szyldzie. Po nazwisku nie widać, czy jest zszargane, Jenny. Nie masz powodu, by się go wstydzić.

— Czy prosisz mnie, żebym je z tobą dzieliła?

— Tak jest dla ciebie przykry ten pomysł? Już nie pierwszy raz składałam ci propozycję, ale poprzednio chyba nie był ku temu najlepszy czas.

Jenny nic nie powiedziała. Patrzyła na swoje buty, szarobrązowe od gęstego kurzu na drodze. Chwyciła w garść spódnice i energicznie przetarła je skrajem materiału, aż załśniły.

— Jestem właścicielem tych stajni. Pewnego dnia będziesz jeździła powozem — dodał Mike.

— Jeśli będę, to sama go sobie kupię — oświadczyła zdecydowanie.

— Daj spokój, moja droga Jenny. Nie zdobędziesz osadników i pewnego dnia stracisz tę ziemię. A to ci złamie serce. Nie zniósłbym tego.

— Masz rację mówiąc, że dolina nie jest bardzo atrakcyjna dla osiedleńców — powiedziała Jenny powoli. Przyjrzała się uważnie nowo wzniesionym budynkom. — Ile czasu zabrakło postawienie stajni i magazynów?

— Miesiąc i kilka dni. Są gotowe i czekają na twoją inspekcję od końca lata.

— Ty je zbudowałeś?

— Nie sam. Powiedziałem, czego potrzebuję, i zapłaciłem za robotę. Dwóch budowniczych przechodziło właśnie tędy w drodze ze złotych pól i poszukiwało roboty.

— Przechodziło? Czy to znaczy, że już odeszli?

— Kiedy ostatni raz o nich słyszałem, stawiali szopy na paszę na owczych fermach. Dlaczego cię to interesuje?

— Czy poza budowaniem potrafią też ścinać drzewo?

— Potrafią. Czego chcesz od nich?

— Ich czasu i pracy, żeby zrobili dla mnie coś przed nadejściem prawdziwej zimy. Mam pieniądze, mogę im zapłacić. Dam im też utrzymanie. Powtórz im to ode mnie.

— Czy to ma być odpowiedź na moją propozycję? — zapytał Mike. — Żądasz ode mnie, abym ci pomógł jeszcze mocniej osiaść w dolinie.

— Nie mogę wyjść za ciebie.

— A niby dlaczego nie? Podaj mi przynajmniej powód.

— Nie mogę i to jest wystarczający powód. Porozmawiasz dla mnie z tymi cieślami?

— Nie!

— Jesteś mi to winien!

Mike przez długą chwilę przyglądał się jej bez słowa.

— To prawda — powiedział wreszcie.

— W takim razie czy pójdziesz do nich?

— Dobrze. Przyślę ci cieśli przed końcem tygodnia, choćbym ich miał popędzać przez całą drogę.

Mike Donohue przeciągnął ręką po swych ciemnych włosach gestem, który przypominał jej Samuela Colebrooka. Potem w milczeniu odszedł w stronę swych stajni.

Nim przyszła zima pięćdziesiątego piątego Jenny wybudowała na wspólnym gruncie, po zachodniej stronie rzeki hotel i sklep. Do budynków wchodziło się po drewnianych schodach, na których można było otrząsnąć kurz z drogi.

Początkowe wątpliwości Samuela Colebrooka pokonała snując wizję osady, jaka miała powstać w dolinie.

— Prawdziwe centrum przyciągnie ludzi, a ci z kolei zapewnią nam bezpieczeństwo — twierdziła Jenny. — Powiedziałeś kiedyś Jonathanowi, że czarni nazywają tę dolinę Minaby. Tak więc ją nazwiemy. Minaby Flat. Kiedy uda nam się tu stworzyć prawdziwe osiedle, ta właśnie nazwa zostanie wydrukowana w gazecie rządowej.

— Myślałem, że zazwyczaj dzieje się odwrotnie — powiedział niepewnie Samuel. — Najpierw jest ogłoszenie, a potem przystępuje się do budowy osiedla.

— W tym kraju sprawy toczą się zgodnie z tym, w którą stronę je pchniemy.

Natomiast Mary Colebrook energiczniej sprzeciwiła się budowie hotelu. Wyłoniła się ze swego kokonu milczenia i zażądała zbudowania kościoła. Jej życzeniu stało się zadość; na północnym stoku wzniesiono kapliczkę.

W dniu ukończenia budowy wszyscy mieszkańcy doliny uczestniczyli w ceremonii, podczas której odmówiono modlitwy i śpiewano pieśni. Samuel, Mary i siedemnastoletni już Chris stali razem na wzgórzu, jak w kościelnej ławce. Jenny ze swymi dwiema córkami i synem skupili się po drugiej stronie ścieżki prowadzącej od głównej drogi do kapliczki.

Za nimi zgromadzili się wszyscy pracownicy.

Poza Petem i Charliem, dwoma wolarzami z gospodarstwa Travisów, byli też Bill Somers i Jim Carruthers, cieśle zatrudnieni przez Jenny. Postanowili przezimować w dolinie, przyjmując od Samuela ofertę pracy, ponieważ chcieli zdobyć dość pieniędzy, by powrócić na złote pola.

Jenny nie skupiała się na pieśniach i modlitwach, lecz przyglądała zebrany.

Zatrzymała spojrzenie na Chrisie, młodszej i ciemniejszej wersji Jonathana. Jonathan był starszy, kiedy przybył do Kolonii, a lata życia w angielskim klimacie nadały mu jaśniejszy kolor.

Jenny uśmiechnęła się do siebie, gdyż nie odczuwała już bólu.

Spojrzała na Mary, która klęczała teraz przed kapliczką, i uśmiechnęła się znowu.

Colebrookowie byli tutaj pierwsi, pomyślała, ale mimo wszystko to będzie dolina Travisów, ponieważ to ich klan osiągnie znaczenie.

Drobne zwycięstwa potrafiły zaleczyć wielkie rany. Odwróciła głowę i spojrzała w dół na budynki sklepu i hotelu, wzniesione za pieniądze Travisów i przez nich zaopatrzone. Odmówiła krótką modlitwę w intencji przyszłych osadników.

Teraz już nie miała się czego wstydzić, pomyślała, i nagle zdała sobie sprawę, że nazwała uczucie, które gnębiło ją od lata.

Tego właśnie dnia spadł pierwszy śnieg.

Zima zamknie ich bezpiecznie w dolinie, a lato przyniesie osadników, pomyślała. Mike Donohue zobaczy, co może osiągnąć kobieta, jeśli sobie coś postanowi.

Wczesny zimowy mrok spłynął na Minaby Flat. Ale Jenny czuła w sobie pogodę. Chmurne nastroje lata odpłynęły.

Tej zimy Jenny rozpoczęła pisanie dziennika. Robiąc codzienne zapisy, powracała do minionych lat, tak że wreszcie pamiętnik stał się księgą jej życia.

Nie szło jej łatwo, słowa zapisane fonetycznie nie wyglądały dobrze na stronicy zeszytu, ale wylewały się, jak whisky z nie zaszpuntowanej beczki.

Niepewna powodów, jakie skłoniły ją do pisania dziennika, ratowała się humorem. Miała przecież wystarczająco wiele pracy, krzątając się przez cały dzień, a tu jeszcze sobie jej dokładała.

Jakoś w połowie zimy uznała, że wie, po co potrzebny jest jej pamiętnik. Spełniał rolę przyjaciela, towarzysza długich zimowych nocy, kogoś, komu mogła zawierzyć.

Jeszcze trochę i zamienię się w mazgaja, pomyślała z niesmakiem. Zapisuję te wszystkie idiotyzmy, ponieważ czuję się samotna i żal mi samej siebie.

Minął cały tydzień, zanim kolejny raz otworzyła zeszyt.

Zima miała się prawie ku końcowi, kiedy zdała sobie sprawę, że dziennik stał się księgą podsumowującą jej życie z Jonathanem, a potem życie, które prowadziła za niego.

Wpatrywała się w okładkę zeszytu i czuła ogarniającą ją niechęć. Tu był jej los, jej krew, jej determinacja, która wypełniała te wszystkie lata, przeszłość i teraźniejszość, a żadne skromne ofiary składane temu szaremu człowieczkowi, Jonathanowi Travisowi, który napisał własny dziennik, a potem zamknął go tak samo jak własne życie.

Wyciągnęła dziennik Jonathana ze starego kufra i trzymając po jednym zeszycie w każdej ręce, zważyła go.

Na jej twarz wypełził uśmiech zadowolenia. Byli sobie równi, ona i Jonathan. Spotkała go i teraz mu dorównała. Przejęła jego nadzieje, pozwoliła im żyć i rosnąć, tak jak poprzysięgła.

Ale wypełniała je na własny sposób, nie jego. Spłaciła swój dług Jonathanowi. Szepcząc do siebie, uniosła własny dziennik ponad zeszyt Jonathana, czując że ona również może mierzyć teraz wyżej, zdobywać uznanie dla siebie, nie dla niego. Dla siebie i swego syna.

Jakiś dźwięk wdarł się w jej myśli: głos Jen, przywołujący wspomnienia o Millie Garnett. Ręka, w której trzymała swe zapiski, opadła. Nie wszystkie długi zostały w pełni popłacone, pomyślała wtedy. Ale przynajmniej mogła twierdzić, że stała się równa Jonathanowi. Sama doszła tak daleko.

Do pokoju weszła Jody. Spojrzała na matkę, która wpatrywała się pustym wzrokiem w ścianę trzymając w każdej ręce po zeszyt.

— Co robisz, mamó?

Wyrwana z zamyślenia, Jenny odłożyła dzienniki do skrzyni, jeden obok drugiego.

— Po prostu porządkuję, Jo. Staram się uporządkować sprawy — odpowiedziała.

Zamknęła skrzynię i przekręciła klucz.

— Jen skaleczyła się. Do krwi.

Jen siedziała na stopniach werandy, objęła ramionami nogi i wtuliła twarz w kolana. Była blada, miała przerażone oczy.

— Naprawdę się skaleczyłaś? — zapytała Jenny.

— Coś we mnie musiało się przerwać, kiedy poszłam do wygodki — wyszeptała Jen.

— Nie bój się. Może to nic poważnego — uspokoiła ją Jenny.

Jody kręciła się niedaleko, zaciekawiona.

— Idź i pobaw się z Jazonem, a ja zajmę się Jen.

— Nie chcę zostawiać Jen — odpowiedziała Jo. — Czy ona umrze?

— Nic jej nie będzie. Idź i zrób, co ci powiedziałam.

Kiedy Jody z ociąganiem odeszła, Jenny zwróciła się do starszej córki.

— Chodź ze mną do sypialni, Jen.

— Nie dam rady. Nie mogę się ruszyć. — Jen wpatrywała się w matkę tak wylękniona, że nie była w stanie nawet płakać. — Kiedy wstanę, wszystko ze mnie wyleci.

— Obiecuję ci, że nie. Nie ma się o co martwić. To się zdarza wszystkim dziewczynkom.

Usiadła na stopniu werandy koło Jen i objęła córkę ramieniem.

— To się wiąże z dorastaniem — powiedziała. Wcale nie tak trudno było to powiedzieć, pomyślała. Tylko samo dorastanie było trudne. — To nie jest prawdziwe krwawienie. Ty tylko... — zamilkła, bo po prostu nie знаła odpowiedniego słowa. Starła sobie przypomnieć, jak

mówiła o tym jej matka. A kiedy przypomniła sobie, usiłowała natychmiast zapomnieć. Wyrzucenia Millie wywoływały potem nocne koszmary. — Po prostu się zmieniasz — powiedziała Jenny. — Twoje ciało się zmienia. Przestajesz być dzieckiem i stajesz się kobietą. Krwawienie skończy się za pięć dni. I powtórzy za miesiąc.

Jen wpatrywała się w matkę z otwartą buzią. Na jej twarzy malowała się mieszanina przerażenia i fascynacji. Jenny przeniosła wzrok z córki na drugą stronę doliny.

— Wezmę cię teraz do sypialni i pokażę, jak zakładać taki specjalny opatrunek. To bardzo proste. Kawałek materiału wokół pasa i szmatka między udami przypięta do materiału agrafkami.

— Jak będę mogła zrobić siusiu taka zabandażowana? — spytała Jen.

Ciekawość zwyciężyła lęk.

— Oczywiście zdejmiesz opatrunek — odparła Jenny. — Będziesz potrzebowała dużo płótna.

— Dlaczego? Jak długo będę z nim chodzić.

— Aż krwawienie przejdzie. Cztery albo pięć dni. Mówiłam ci.

— Czy kiedy już naprawdę stanę się kobietą, to ustanie?

— Nieraz — Jenny uśmiechnęła się. — Ale nie będziesz kobietą jeszcze przez długi czas.

Zdaży jeszcze jej wszystko wytłumaczyć. Kiedy ona sama zadała to samo pytanie Millie Garnett, matka odpowiedziała tak: „Przekleństwo gorsze niż ta krew, na którą się skarżysz. Mężczyzna wsadza ci tę swoją niegodziwość, gdy wcale jeszcze nie jesteś gotowa na niego, i kończysz z pełnym brzuchem. W taki sposób właśnie dorobiłam się ciebie.

Uważaj, by i tobie się coś takiego nie przytrafiło. Bo jeśli się zdarzy, wylecisz stąd szybciej, niż się zdążysz obejrzeć. Nie mam zamiaru potykać się o bandę zasmarkanych bachorów. Więc słuchaj uważnie wszystkiego, co ci mówię”.

— Jest więcej spraw, które ci wyjaśnię później — powiedziała Jenny. — Jak będziesz starsza.

— Dużo starsza?

— Kiedy staniesz się dorosłą kobietą. Wystarczająco dorosłą do małżeństwa.

— Ile ty miałaś lat, kiedy wyszłaś za mąż?

Jenny spojrzała na córkę, która skończyła właśnie jedenaście i pół roku. Jezu, czy ja naprawdę byłam takim dzieckiem? Ile miałam wtedy lat? Musiałam być jeszcze młodsza. Dopiero co skończyłam jedenaście. Ale byłam też o niebo dojrzała. Na tym polegała cała różnica.

— Byłam dostatecznie dojrzała — odpowiedziała Jenny.

Wargi Jen zadrżały.

— Ja chyba nie chcę być kobietą. Nie lubię tego, co się ze mną dzieje. Czuję się brudna.

To też część życia kobiety, pomyślała Jenny. Czasami. Nie zawsze, ale czasami.

— I śmierdząca — powiedziała Jen, wybuchając głośnym łkaniem.

Bardziej będziesz płakała, kiedy to stracisz, pomyślała Jenny, przypominając sobie stare kobiety, które rozpaczały nad utratą kobiecości.

Zabrała wciąż łkającą Jen do sypialni, by pomóc jej przy bandażach.

Córka spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

— To samo noszą czarni — powiedziała. — Czy im się to też przytrafia?

— Tylko czarnym dziewczynkom — tłumaczyła cierpliwie Jenny. — Czarni, których widziałas w Cooma Village, noszą przepaskę na biodra. Może trochę podobnie wygląda, ale to nie jest to samo.

— Nie chciałabym, by jakiś czarny wiedział, że noszę coś podobnego, jak on.

— Nie będą wiedzieli. Biali też nie. Zapamiętaj to sobie i posłuchaj mnie teraz uważnie, Jen. To bardzo ważne. Nie wolno ci o tym rozmawiać z żadnym mężczyzną.

— Dlaczego?

— Ponieważ to nie byłoby... — Jenny szukała odpowiedniego słowa — nie byłoby przyzwoite. A poza tym, to jest sekret. Sekret dziewcząt i kobiet, którego nie dzielimy z nikim. I nie rozmawiamy o nim nigdy. Jeśli będziesz chciała porozmawiać, przyjdź do mnie. Rozumiesz?

Jen skinęła głową.

— A co z Jo? Czy mogę jej powiedzieć?

— Też nie. — Lepiej, żeby Jo usłyszała to ode mnie, pomyślała Jenny, może jest trochę za wcześnie, ale na to się już nic nie poradzi. — Nie rozpowiada się sekretów. Chcę, żebyś mi to obiecała.

Jen skinęła głową.

— Niech umrę, jeśli się wygadam — powiedziała i klasnęła w dłonie. — Chyba podoba mi się dorastanie — wyznała matce.

— Dobrze, ale ono wiąże się z pewnymi obowiązkami. Kiedy zajdę do sklepu, przyniosę ci płótna i własny kubek, w którym będziesz pracować opatrunki. To jest coś, co każda kobieta robi dla siebie sama.

Jen spojrzała na matkę. Na jej twarzy nie obeschły jeszcze łzy, ale w oczach lśniło już podniecenie.

— Och, my biedne kobiety — powiedziała. — Teraz wiem, dlaczego tak mówisz, mamusi. Wcześniej tego nie rozumiałam.

Nadeszła wiosna.

Wiosenne słońce zamieniło śniegi w roztopy, a deszcze zmyły zbocza i napełniły rzeki.

Jenny nasłuchiwała dalekich odgłosów stąpania koni, przejeżdżających, zatrzymujących się i wjeżdżających w dolinę. Ale ci, którzy się pojawiali, przyciągani przez hotel i sklep, byli zazwyczaj jedynie przejezdnymi. Przyglądając się każdemu jeźdźcowi, który nadjeżdżał, czuła w sobie nadzieję, nad którą nie potrafiła zapanować. Ale żaden z nich nie był Mike'em Donohue.

Kiedy pojechała do Cooma Village, zatrzymała się przy stajniach, by mu podziękować za przysłanie Billa Soamesa i Jima Carruthersa. Tak przynajmniej wmawiała w siebie, szukając wymówki. Ale okazało się, że zarówno stajniami, jak i sklepem zarządza teraz mężczyzna, który przedstawił się jej jako Dave. Powiedział, że pan Donohue pojechał do Sydney i ma wrócić dopiero późną jesienią, a może nawet na początku zimy.

Jej dni, choć wypełnione pracą, nagle wydawały się puste.

Dom był zavalony próbkami towarów sprzedawców z Sydney, którzy rozsyłali swe katalogi do daleko położonych osiedli. Jenny oglądała bardzo uważnie wszystkie katalogi przysyłane do Cooma Village i sama też sporo zamawiała. Potem znajdowała odpowiednich rzemieślników, którym dawała sprowadzone przedmioty do podrobienia, i wreszcie sprzedawała je po niższej cenie niż kupcy z Sydney, którzy musieli także opłacić transport. Pożyczyła od Samuela Colebrooka obu cieśli, żeby zbudowali magazyny na swoje towary.

Nic nie zostawało długo na składzie. Jej produkty szybko znajdowały drogę do pobliskich osiedli.

Zarobki Jenny rosły. Zanim nadszedł kolejny rok, stała się wręcz zamożna.

Rzuciła się w wir pracy, ponieważ czas mijał wtedy prędej. Dni stawały się tygodniami, a tygodnie miesiącami. Lato minęło razem ze styczniem i lutym pięćdziesiątego szóstego roku. Od marca do maja dni stały się zerwanymi kartkami kalendarza. Kiedy nadszedł czerwiec,

zwolniła bieg. Przyglądając się płatkom śniegu, czuła się bezpieczna i dlatego nie potrzebowała zajęcia, które zajmowałoby jej myśli. Ale w czasie wolnym od pracy wyobraźnia przenosiła ją poza dolinę. A kiedy myślała o Mike'u, nie potrafiła powstrzymać pragnień ciała. Przewracała się na łóżku podczas bezsennych nocy, wyśmiewała się sama z siebie podczas dnia, lecz robota leżała nie ruszona.

W sierpniu, przedzierając się przez zwały leżącego jeszcze śniegu Jenny pojechała konno do Cooma. Zajechała prosto pod stajnię, gdzie zastała Mike'a przy warsztacie ślusarskim.

— Mam wobec ciebie dług wdzięczności — powiedziała.

— Masz — zgodził się Mike.

Objął wzrokiem jej przemoczony od śniegu jeździecki strój, włosy wymykające się spod buszmeńskiego kapelusza, zaróżowione policzki, cienie pod oczami.

— Twoje ubranie jest całkiem mokre — powiedział i poprowadził ją do drewnianych schodów, którymi wchodziło się do wygodnego mieszkania, jakie urządził sobie nad stajnią i sklepem.

Jenny otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Mike uciszył ją swoimi ustami, swoimi dłońmi, swoim ciałem.

— Milczenie jest złotem — powiedział. — Nauczyłem się tego od mądrego człowieka, który nie potrzebował wcale znać tej prawdy. Ale my potrzebujemy. Słowa są naszymi największymi nieprzyjaciółmi, więc bądźmy cicho.

Jenny odkryła, że w ciszy kryło się coś zmysłowego. Niemy język miłości, w którym nie ma miejsca na słowa. Na słowa, ale nie na dźwięki, dźwięki przypominające prymitywną muzykę czarnych. Śpiew krwi, taniec ciała. Pulsowanie całego wnętrza przemawiało językiem, którego nie słyszała nigdy wcześniej.

Jej świadomość z zaciekawieniem rejestrowała to i analizowała. Teraz potrafiła zrozumieć wyrazy, których używał Jonathan, a ona wtedy nie pojmowała. Jej umysł żył jakby w oderwaniu od ciała. Przyglądał się i słuchał. Jak śledczy lub inkwizytor. Ale nie chciała go wyłączyć.

— Jesteśmy zmysłowymi istotami — wyrwało jej się, kiedy Mike całował miejsce, które nigdy wcześniej nie przeżyło podobnej pieśczoły.

— Ciii — powiedział. — Bo zagryzę cię na śmierć.

Nagle wiedziała, że i ona od dawna pragnie poczuć jego skórę między zębami. Gryźć go, kochać go, posiadać w sposób znany tylko jej duszy, ponieważ nigdy wcześniej czegoś podobnego nie doświadczyła.

— Myślę, że jesteśmy naprawdę mięsożerni — powiedziała przypominając sobie następne trudne słowo. — Ale nie w znaczeniu zwykłego zjadania mięsa. Raczej jak kanibale.

— Ciii — uciszył ją znowu i całował w usta, aż jej słowa rozplynęły się w tym pocałunku.

Podczas spędzanych z Mike'em intymnych chwil Jenny pozostawała cicha. Po prostu czuła. Po prostu była.

Pomiędzy pobytami w Cooma wracała do swej doliny, dbała o dzieci, popychała na przód swój mały świat.

Częsta nieobecność Jenny spowodowała zaniedbania w gospodarstwie. Do doliny wdarło się lenistwo, które dotąd przepędzała samą swą obecnością i działaniem. I nawet gdy była u siebie, jej duch zostawał z Mike'em. Choć widziała, co się dzieje, nie dbała o to za grosz.

Prace domowe postępowały w zwykłym tempie, tego już pilnowała jedenastoletnia Jody. Chris Colebrook przychodził na lekcje częściej niż w poprzednich latach. Stara się zastąpić dzieciom zmarłego ojca, myślała Jenny. Zastanawiała się, czy Jonathan zrobiłby dla nich tak wiele. Nie zauważała, jak Jen chłonie każde słowo Chrisa, udając, że coś robi. Uwaga Jenny jak zwykle skupiała się tylko na Jazonie, który miał już siedem lat i żył wyłącznie książkami i lekcjami.

Kiedy chłopiec podnosił głowę, by uśmiechnąć się do niej, uspokojona ruszała znowu do Cooma. Ale nie powracała do dawnych wspomnień i planów na przyszłość. Rzucaly one długie cienie na wszystko, co robiła. Tymczasem Mike zaczął przełamywać milczenie, w którym nauczyła się zamykać.

— Chcę mieć z tobą dziecko, Jenny — powtarzał coraz częściej. — Chcę, żebyśmy się pobrali i mieli dziecko, które byłoby nasze wspólne.

Zamykała oczy i udawała, że śpi i nie słyszy. We wspomnieniach słyszała głos Millie Garnett, rozmawiającej z innymi dziewczynkami, porównującymi sposoby pozbycia się ciąży, w tym najstraszliwszą groźbę, wezwanie babki, która za pomocą jakichś trucizn usuwała płód.

— Cholerni Irlandczycy! — mamrotała Millie. — Wszyscy chcieliby tylko płodzić bękartów, każdy jeden.

Ale leżąc w łóżku Mike'a, czując go koło siebie, Jenny walczyła z jakimś nowym uczuciem, które powodowało zamieszanie w jej myślach. To, czego chciał Mike, Jenny Garnett chciała teraz także.

Jenny Garnett — tak. Ale nie Jenny Travis, która urodziła Travisowi syna i planowała dla niego jasną przyszłość.

Minęła wiosna pięćdziesiątego szóstego, przeszła w lato i nagle była już jesień pięćdziesiątego siódmego. Przez ten cały czas Jenny przyjeżdżała do Mike'a, by się z nim kochać. Potem rozdzieliła ich zima. Kiedy nadeszła znowu wiosna, a wraz z nią Jenny zjawiała się w Cooma Village, oboje odnaleźli właściwe słowa.

— W zeszłym roku, pięćdziesiątym szóstym, powstał rząd w Kolonii — powiedział Mike. — Teraz już zgony i narodziny, podobnie jak śluby, trzeba rejestrować. Jeśli o mnie chodzi, twój mąż został ostatecznie pochowany tego dnia, kiedy przyjechałaś do mnie w sierpniu zeszłego roku. I tę datę postawię w oficjalnym dokumencie, który pogrzebie go na dobre. Naszykowałem go już. Wystarczy tylko, żebyś zaniósła papier do magistratu w Cooma. Wreszcie staniesz się porządną wdową.

— Jonathan umrze, kiedy Jazon ukończy dwadzieścia jeden lat i ani dnia wcześniej. Do tego czasu nie zaryzykuję utraty tego, co posiadam w dolinie, nawet gdyby mnie mieli za to powiesić.

— Nie potrzebujesz już tej doliny.

— Ona potrzebuje mnie — odparła Jenny. — Zamierzam uczynić z niej kwitnącą osadę na długo, zanim stanę się porządną wdową.

— Nigdy nie stanie więcej niż tuzin chałupinek w tej cholernej dolinie, a to za mało, byś ogłosiła ją osadą.

— W takim razie zobaczysz mnie dopiero w dniu, gdy będzie ich więcej niż tuzin, nie wcześniej.

Jenny przed powrotem do doliny zamówiła u kamieniarza w Cooma, który wykuwał dla miejscowych ludzi nagrobki, coś, co nazwała „kamieniami milowymi przynależącymi osiedleńców”. Miały zaznaczyć każdą milę od Minaby Flat aż do Cooma. A za Cooma, na drodze prowadzącej na północ, stanął większy kamień z wykutym napisem: „Dolina Minaby Flat czeka w górach na osadników”.

Minęły cztery długie miesiące, zanim dolina skusiła wreszcie kogoś, kto chciał szukać szczęścia za jej wysokimi ścianami.

Gus Mitchell zjawił się w styczniu pięćdziesiątego ósmego. Zaznaczył teren wzdłuż północno-wschodniego zbocza, za drogą, która ograniczała teren Travisów. Wyjechał, bo musiał jeszcze uzyskać prawa do dzierżawy i nabycia gruntu, a wreszcie wrócił z żoną Lottie i trzynastoletnim synem Henrym.

— Nazwisko Mitchell niewiele pomoże człowiekowi na nizinach, jeśli nie jest kuzynem generalnego inspektora o tym samym nazwisku, tego, co to stał się znaczną osobistością — powiedział Gus Mitchell, jakby usprawiedliwiając się, dlaczego jego wybór padł na dolinę. — Jestem zwykłym człowiekiem, który chce zbudować życie dla siebie i swojej rodziny w miejscu, gdzie jego nazwisko może mówić samo za siebie. Dlatego przyjechałem tutaj.

Ale Jenny wolą traktować sprowadzenie się Mitchellów jako dobry omen.

Odkąd odkryto złoto, populacja kraju zwiększyła się do miliona.

Jenny przygotowywała się na przyjazd innych poszukiwaczy, którzy zdecydowali się zmienić życie na bardziej osiadłe i ruszyli z równin w stronę gór.

Pokaże Mike'owi!

Sprowadzała coraz więcej towarów do swego sklepu, pozostawiając wszystkie obowiązki prowadzenia domu na barkach trzynastoletniej Jody. Starsza o rok Jen stanęła za ladą sklepu.

Tylko dziewięcioletni Jazon, pogrążony w książkach, miał dla siebie ciszę pokoju szkolnego.

Hotel funkcjonował sam na zasadzie ogólnej uczciwości. Mężczyźni nalewali sobie alkohol i rzadko zdarzało się, by któryś nie zostawił pieniędzy w pudełku na barze.

Jenny odkryła, że za niewielkie finansowe nieścisłości odpowiadał Bill Soames, młodszy z dwóch cieśli, którzy postanowili pozostać w dolinie, gdzie nadal trwało zapotrzebowanie na ich umiejętności.

Jenny nie ufała Billowi Soamesowi i nie lubiła jego towarzysza, Jima Carruthersa. Ale odrzuciła swe wątpliwości. Obaj byli potrzebni dolinie.

Po całorocznej nieobecności, miała aż nadto powodów, by pojechać do Cooma.

Usiadła przy biurku i wypisała je. Chciała przekonać samą siebie, że jej wyjazd nie ma tylko na celu spotkania z Mike'em. Ale ukradkiem, zadając niby nic nie znaczące pytania, upewniła się, że on będzie na miejscu.

Poleciała Charliemu naszykować najlepszego konia, wyczyścić uprzęż i podstawić nową dwukólkę.

Długo zastanawiała się, którą sukienkę nałożyć. I układała włosy na wiele różnych sposobów, aż zaciekawienie dzieci sprowadziło ją na ziemię, a włosy zostały spięte tak jak zawsze.

— Pani Mitchell ma pismo, w którym pokazują, jak szykowne panie noszą się w Sydney — ogłosiła Jody. — Powiedziałam jej, że ty jesteś damą z Sydney, masz stamtąd sprowadzoną nową zieloną suknię i nowy kapelusz i wszystko...

— Każda z tych rzeczy pochodzi z naszego sklepu — przerwała jej Jen. — Jest też czerwona sukienka, która mi się bardziej podoba.

Jazon, zazwyczaj tak spokojny, z nosem wetkniętym w książkę, na dźwięk nazwiska Mitchell powrócił do rzeczywistości.

— Henry Mitchell ma porządne podręczniki szkolne — powiedział z wyraźną zazdrością w głosie. — Też z Sydney. Pokazywał mi. Powiedział, że jestem za mały, by coś z nich zrozumieć, ale to nieprawda. Umiem szybciej rozwiązać zadania niż on. — Na poważnej twarzy dziewięciolatka wykwitł rumieniec zaciętrzewienia. — Zapytałem Henry'ego, czy mógłbym używać jego książek z ćwiczeniami, jak on je już przerobi, ale powiedział, że muszą zostać odesłane do Sydney z odpowiedziami. Ale jego wszystkie odpowiedzi są złe.

— Skąd wiesz, że jego rozwiązania były błędne? — zapytała Jenny, patrząc na swe najukochańsze dziecko, które coraz mniej rozumiała.

— Ponieważ znam dobre — odrzekł.

— Po co chcesz przerabiać ćwiczenia? — zapytała Jen podśmiewając się z brata.

— Ja jestem coonabarabran — odpowiedział Jazon. — Tak zawsze nazywa mnie czarny człowiek. Chodzi mu chyba o to, że jestem ciekawy świata.

— Jaki czarny człowiek?

— Jeden z tych, co mieszkają w górach. Minimbah, tak ich nazywam. To oznacza miejsce, w którym mieszka nauczyciel. On uczy mnie swego języka.

— Zamówię dla ciebie porządne ćwiczenia, takie same jak ma chłopak Mitchellów — zdecydowała Jenny. — I spróbuję znaleźć ci odpowiedniego nauczyciela.

Jason patrzył na nią, jakby miał się za chwilę rozplakać.

— To jak znalezienie świętego Graala — wykrztusił wreszcie.

— Mówisz poważnie?

Wpatrywała się w niego bez słów, wreszcie skinęła głową.

Jenny pognęła do Cooma, powożąc swą nową dwukółką, ubrana w nowiutką suknię z krepy. By upewnić się, że Mike będzie jej oczekiwał, wysłała wcześniej wiadomość. Stał przy stajniach, gdy nadjechała.

— Jenny, Jenny, tyle czasu minęło od naszego ostatniego spotkania, że spodziewałem się staruszki. Jak to się dzieje, że ciągle wyglądasz jak dziewczynka?

— Mam dwadzieścia sześć lat. Prawie dwadzieścia siedem. Właściwie jestem już stara. I dlatego uznałam, że bezpiecznie będzie się z tobą znowu spotkać.

— Jeśli liczysz na to, że lata zapewnią ci bezpieczeństwo w moim towarzystwie, możesz się przeliczyć — powiedział Mike, przyglądając się jej uważnie. — Jaki więc jest prawdziwy powód tej wizyty?

— Chcę ci opowiedzieć o osadzie Minaby Flat — wykrzyknęła triumfalnie. — W wiosce mieszka już teraz czternaście dusz i inni też się zjawiają. Mamy jeszcze miejsce dla następnych. Kiedy ich rodziny rozrosną się i obsadzą całą dolinę, wokół istniejącego już teraz centrum, nie będziemy się musieli obawiać obcych, którzy chcą zagarnąć naszą ziemię na letnie wypasy. Już wkrótce Minaby Flat zostanie wymienione w gazecie rządowej jako prawdziwa osada.

— A więc nazywa się Minaby Flat. Lepszą nazwą byłoby Kaprys Jenny.

— To nie jest żaden kaprys, ale przyznam, że wolałabym inną nazwę. Travisville — powiedziała Jenny tonem pełnym tęsknoty.

— Ale zostanie Minaby Flat, bo inaczej Mary Colebrook pytałaby, czemu nie Colebrookville.

— A ja zapytuję się, dlaczego nie Jennyville?

— Nie mam zamiaru przykładać swego miana — odpowiedziała odwracając wzrok od Mike'a. — Dolina należy do Jonathana i jego syna Jazona.

— Czy to sobie właśnie wmawiasz? — roześmiał się Mike. — Jeśli chodzi o oszukiwanie samej siebie, to wyznajesz wyraźnie zasadę raz a dobrze. Wątpię, czy ta dolina kiedykolwiek była lub będzie miejscem przynależnym twemu mężowi. A jeśli chodzi o twoje inne złudzenia, to wiedz, że tę okolicę zamieszkują osadnicy od dobrych trzydziestu lat, ale mało który będzie chciał przenieść się wyżej w góry, a już tym bardziej do twojej doliny.

— Co najmniej troje się zdecydowało. A do tego dodaj żony, dzieci i pracowników. Jest nas już teraz czternaścioro, mówiłam ci.

— Posłuchaj mnie. Jakiś czas temu pojechałem odwiedzić farmę Adamindumee. Inni nazywają to Adaminaby. Od dziesięciu lat stoi tam ciągle jedno i to samo gospodarstwo. Zbudo-

wali budynki na sklep, ale chociaż znalazłoby się miejsce na osiedle dwa razy większe od Cooma Village, nic się tam nie dzieje. Jeszcze mniejsza jest szansa, by coś wydarzyło się w twojej dolinie.

— Dobrze — zachnęła się Jenny. — Chcę osadników, a nie tłoku.

— Twoja dolina leży poza wszystkimi szlakami. Jest tylko jeden rodzaj ludzi, których przyciągała i będzie przyciągać. — Podniósł rękę w chwili, gdy Jenny otworzyła usta, by zaprotestować. — Wysłuchaj mnie. Poświęcasz wszystkie swe siły dla miejsca, które ci nigdy za to nie odplaci. A ty jesteś kobietą, która powinna żyć pełnym życiem. Ty nigdzie nie musisz uciekać.

Jenny opuściła oczy.

— Może jednak uciekam. Jest wiele spraw, od których chciałabym uciec. — Podniosła wzrok i spojrzała na niego stanowczo. — Ta dolina już coś mi dała. Dała mi dom. I cel w życiu.

— Przestań żyć przeszłością. I przestań grzebać siebie ze zmarłymi. — Zamilkł, przygotowany na gwałtowną odpowiedź Jenny, ale, nie odpowiedziała. Nie patrzył na nią, kiedy dodał. — Chciałbym, żebyś odeszła z tych stron, i to szybko.

— Jest coś, czego mi nie mówisz.

Mike roześmiał się.

— Za dobrze mnie znasz, zwłaszcza, że nie zadałaś sobie trudu, by mnie dobrze poznać. — Zamilkł na chwilę. — Nigdy mnie nie pytałaś, do czego dążę, gdzie byłem, jak mi idą interesy. Ale przecież przywykłaś do tajemniczych mężczyzn, prawda, Jenny?

Nadal przyglądała mu się bez słowa, czekając na dalsze wyjaśnienia.

Mike wzruszył ramionami.

— Zimą pojechałem na zachód. Spotkałem człowieka z County Cork, który zajmuje się bydłem na rancho Frying Pan. Zaproponował mi nocleg i pogadaliśmy sobie.

— A to musiała być niezła nocka. Dwóch pijanych Irlandczyków opowiadało historie tak naciągane, że starczyłoby stąd do Dublina. Jeśli masz zamiar wykorzystać jakieś jego informacje, nie liczyłabym na nie za bardzo.

— Uważaj na to, co mówisz — ostrzegł ją Mike, tak jakby jej słowa nie miały nic wspólnego z całą rozmową. — Tego właśnie się spodziewałem. Ciebie nie interesują opowieści złotoustego Irlandczyka, który coś tam sobie bajdurzy.

— Masz zamiar się przenieść, prawda?

— Myślę o tym, ale tymczasem jeszcze zostaję. Rozum nie jest najmocniejszą stroną Irlandczyków. Czy mój wyjazd znaczyłby coś dla ciebie?

— Znaczyłby, choć nie mam prawa tego mówić — odpowiedziała Jenny. — Moja przyszłość leży w dolinie. Tego jestem pewna.

— Chciałbym, żebyś była równie pewna w innych sprawach.

— Może jestem — odpowiedziała cicho. — Ale nic nie mogę na to poradzić. Jestem żoną Jonathana Trávisa.

— Wdową.

— Żoną. — Zawahała się, ale dodała. — Tak długo, jak go potrzebuję, Jonathan będzie żył. Nie ma żadnego dowodu, że jest inaczej, poza kamieniem nagrobnym, który znajduje się na terenie mojej posiadłości i którym zaopiekował się mech. Nikt mi nigdy nie powiedział, że on umarł, ani jak to się stało. Powiedziałam, że nie chcę tego słyszeć. Nigdy nie chciałam. Tak jakby tego dnia wybrał się w długą podróż. Odjechał i sporo czasu minie, zanim wróci.

— Mówisz jak szalona — powiedział Mike zachrypniętym głosem.

— Nie tak szalona, jak myślisz. Wcale nie szalona. Przebiegła. Dla kobiety jest lepiej, kiedy ma żywego męża. A dopóki tak stoi w papierach, tak jest i pozostanie, aż będę gotowa. Nie ma żadnych oficjalnych dokumentów stwierdzających, że on nie żyje.

— Zapominasz, że zbudowałaś gospodarstwo i kupiłaś pastwiska, kiedy już go tu nie było i nie mógł podpisywać papierów.

— A jednak podpisał je. — Jenny uśmiechnęła się. — I nadal podpisuje umowy dzierżawy. Jeden z moich irlandzkich dziadków nauczył mnie sztuki fałszowania pisma. Wpisałam nazwisko Trávisa na wszystkich dokumentach kupna i dzierżawy.

— A więc taka jest prawda! Mój Boże, lepiej z tobą, dziewczyno, nie zadzierać, to pewne.

— Jesteś ostatnim, który może mnie oskarżać o ochronę własnych interesów. Czy nie ty mówiłeś mi, że jestem tylko kobietą i nie będę mogła jak mężczyzna utrzymać własnej ziemi. To nie była dla mnie żadna nowość. Już dużo wcześniej się zabezpieczyłam.

Mike wpadł do stajni, a potem wybiegł z powrotem. Ze złości nie mógł wykrztusić ani słowa. Wpatrywał się w Jenny przez dobre kilka chwil, zanim powiedział:

— Czy wiesz, co zrobiłaś? Nie mogę zmienić twojego bezsensownego postępowania bez nasłania na ciebie przedstawicieli prawa, a tego nie zaryzykuję. Ale powiem ci coś, Jenny Gar-

nett. Zanim skończę z tą sprawą, mam zamiar poznać Jonathana Travisa lepiej, niż ty go kiedykolwiek znałaś. I wtedy przegonię tego ducha raz na dobre. On prześladowa nas oboje.

— Muszę kupić nowy czepek — powiedziała Jenny, odwracając się, by odejść. — W dolinie urządzamy świąteczną zabawę. Na Farmie Colebrooków.

— Zostań — powiedział cicho Mike. — Wreszcie byłaś ze mną uczciwa. Powiniennem ci podziękować.

— Nie oczekuję podziękowań.

— I nie otrzymasz żadnych — powiedział. — Jak mogłaś nie powiedzieć mi tego wszystkiego wcześniej?

— A ty mówiłaś mi wszystko? Od początku tej rozmowy wiedziałam, że coś przede mną ukrywasz. Jeśli ty przemilczasz jakieś drobne sprawy, dlaczego ja nie miałabym siedzieć cicho, gdy chodzi o rzeczy dla mnie ważne.

Zamilkła nagle. Po chwili spojrzała na Mike'a.

— Mówisz, że mamy coś wspólnego. To prawda. Pole bitwy. Tak samo jak Samuel i ja mamy wspólną rzekę, pomyślała. Utrzymywanie męża nieboszczyka przy życiu może nie wystarczyć, skoro go nie ma w pobliżu. Samotna kobieta jest jak przynęta na haczyku. My biedne kobiety.

Mike wyniósł ławkę ze stajni i postawił ją w cieniu.

— Usiądź — zaproponował Jenny. — Za każdym razem, kiedy przychodzisz do mnie, stroszysz od razu piórka do odlotu. Tym razem chciałbym ci parę rzeczy powiedzieć.

— Co mianowicie?

— Ty sama ocenisz ich wagę. Jeśli tobie wydadzą się ważne, niechaj takie będą. Jeśli są istotne tylko dla mnie, uznajmy je za bez znaczenia. Powiedzmy, że byłbym wdzięczny za kilka chwil rozmowy.

Jenny usiadła.

Mike ściągnął kapelusz z szerokim rondem, otarł pot z czoła i przecesał palcami włosy.

— Wspomniałaś, że jest coś, czego ci nie powiedziałem. To prawda i właściwie nie ma powodu, abym tego nie powiedział, poza zaoszczędzeniem ci kilku bezsennych nocy. Ponieważ bardzo wątpię, że uznasz to za nieważne drobiazgi. Masz rację, kiedy mówisz, że przyjdą tu inni osadnicy. Wcześniej lub później pojawią się, ale wątpię, czy spełnią twoje oczekiwania. I właśnie na ten temat bajdurzyliśmy z tym Irlandczykiem.

— Powiedziałeś, że nie ma tu nic, co by przyciągnęło osadników. Więc co takiego nagle miałyby się pojawić?

— Złoto! Hodowcy bydła i inni mieszkańcy tych okolic znajdowali je już od dobrych paru lat, ale nie chcieli poszukiwaczy na swoich ziemiach, więc trzymali wiadomości o znaleziskach dla siebie. Chociaż wątpię, czy nikt się nie wygadał. — Mike mówił dalej. — Rząd musiał wiedzieć o tym od pięćdziesiątego pierwszego roku, kiedy to James Spencer służył za przewodnika geologom. Ci ludzie poznają złoto, kiedy je widzą, a co więcej, rozpoznają typ terenu, gdzie najłatwiej można je znaleźć. Rząd w pięćdziesiątym pierwszym szykował się do odszukania wszystkich złotodajnych terenów, zanim inni mieli to zrobić przed nim.

— Spencer nie będzie chciał mieć poszukiwaczy na swojej ziemi — powiedziała Jenny. — Nie poprowadzi nikogo, kto by chciał znaleźć złoto na tych terenach. Nawet ludzi z rządu.

— Co do Spencera możesz mieć rację — zgodził się Mike. — Ale nie jestem tego taki pewien. Natomiast idę o zakład, że ludzie przysłani przez rząd interesowali się nie tylko jeziorami polodowcowymi i granitowymi szczytami.

— Gdyby coś znaleźli, ogłosiliby, że teren jest złotodajny, prawda?

— Rząd ogłasza tylko to, co pasuje do jego planów, a gorączka w tej okolicy wcale nie była po jego myśli. Po pierwsze południowe szczyty stanowią granicę między koloniami. A po drugie, bardzo trudno byłoby ludzi upilnować. Mieli wystarczająco wiele kłopotów z polami, które ogłoszono złotodajnymi już wcześniej.

Jenny nagle coś sobie przypomniała.

— Ci mężczyźni, wielebny Clarke i inni, byli tutaj dużo wcześniej, niż się w ogóle zaczęło mówić o złocie w Kolonii. Zjawili się już w latach czterdziestych. Pamiętam, jak Jonathan mówił, że chcą obejrzeć Snowy Mountains, gdyż szukają sposobów nawodnienia nizin. Ponieważ był z nimi duchowny, myślałam, że może wspinają się na góry i modlą o wodę, tak jak to opisywano w Biblii. — Jenny mówiła teraz wolniej, przypominając sobie dawne wydarzenia. — Jonathan rozmawiał z nimi, zadawał im pytania. Rzeczywiście mówili coś o złocie. Ale nie o złotych polach. Teraz już sobie przypominam. Rozmawiali o śniegu. Że jest tyle wart co najczystsze złoto — tak powiedzieli Jonathanowi — ponieważ ten kraj potrzebuje wody. Białe złoto, tak go nazywali. Białe złoto.

Mike postawił jedną nogę na ławce, oparł łokieć o kolano, a brodę na rękę i przyglądał się Jenny. Wiedziała, kiedy przybierał taką postawę. Tylko czekała, by wybuchnął gniewem, nie potrafiąc powstrzymać irlandzkiego temperamentu.

— Cóż to musiał być za kochany mężczyzna — powiedział Mike. — Potrafisz sobie przypomnieć nawet najmniej ważne jego uwagi sprzed dziesięciu lat, a tymczasem bardzo wątpię, byś pamiętała choć słowo z tego, co mówiłem do ciebie dziesięć minut temu.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że ludzie z rządu nie rozmawiali o złotych polach — broniła się Jenny.

— Mieli znaleźć odpowiedź na pytania, które im postawiono. Ale to nie rząd zacznie kopać, tylko poszukiwacze, którzy wyczują szansę na zabicie majątku. A złoto tutaj jest, powyżej Giandarra. Lepiej, żebyś w to uwierzyła.

— To na zachód od nas. I daleko.

— Poszukiwacze lubią się szwendać. Jeśli jacyś ludzie zjawią się w dolinie, będą to poszukiwacze, nie osiedleńcy.

— Żadne łaziki nie przyjdą do mojej doliny — oznajmiła Jenny buńczucznie.

— A kto ich powstrzyma?

— Ja.

Mike uśmiechnął się.

— Ty? A niby w jaki sposób?

— W każdy cholerny sposób, jaki będzie potrzebny.

Mike uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Czy zauważyłaś, że połowa mieszkańców Cooma Village zebrała się i słucha twojej oracji?

Jenny odwróciła się purpurowa na twarzy.

Kilku hodowców i wolarzy kręciło się w pobliżu. Wchodzili i wychodzili z hotelu i banku, pozornie zajęci interesami.

Dwie młode dziewczyny w jaskrawych sukienkach uwieszane na ramionach hodowców odwróciły się, gdy spojrzała w ich stronę, i wybuchnęły śmiechem.

— Takie jak one mnie nie obchodzą — powiedziała Jenny z nutą wyższości w głosie.

— Jeśli myślisz, że jesteś lepsza od nich, to się mylisz.

— Nie jestem damą i nie udaję damy, Mike'u Donohue, ale nie jestem jedną z nich i nigdy nie będę. — Spojrzała na swoje dłonie i załapała ją fala wspomnień. — Był czas, kiedy żałowałam, że nie urodziłam się damą, ale to już minęło i wiem, że nigdy damą nie będę. W każdym razie nie bardziej niż ty dżentelmenem.

— Mężczyznom, którzy nie są dżentelmenami, nadal mogą podobać się damy — naigrawał się z niej Mike, ale jego oczy pozostały uważne. Spostrzegł, jak bardzo ją zranił. Westchnął głęboko. — Mike'u Donohue, powtarzałem sobie zawsze, jeśli kiedykolwiek spotkasz kobietę, z którą się będziesz chciał ożenić, będzie to elegancka dama, z dobrymi manierami i o cichym, miłym głosie. Ale wtedy spotkałem ciebie, sprzedającą whisky, szmuglującą grog, i chętną do kłótni jak każdy pijany Irlandczyk. Od tego czasu ani przez chwilę nie myślałem już o damach. Już prawie sześć lat kręcę się koło ciebie jak ćma przy ogniu, prosząc, żebyś wyszła wreszcie za mnie za męża. I przez cały czas zadaję sobie pytanie, dlaczego to ciebie tylko chcę, i niech mnie diabeł porwie, jeśli wiem.

Jenny wciąż nie podnosiła oczu, dotknął ją zbyt mocno.

— Nic mnie to nie obchodzi, że nie jesteś damą — powiedział Mike. — Ale nie zniosę świadomości, że nie jesteś uczciwą kobietą.

— O co ci chodzi? — Teraz Jenny patrzyła mu znowu zuchwale w oczy. Nie była już zraniona, w oczach jej płonął ogień. — Co to ma znaczyć? Wszystko robię uczciwie. I nie sprzedaję już whisky ani nie szmugluję grogu. Prowadzę gorzelnię z prawdziwego zdarzenia. — Wyprostowała się i rzuciła mu jeszcze gorętsze spojrzenie. — „Garnett i S-ka, gorzelnicy”. Dobrze o tym wiesz. A co ważniejsze, jestem hodowcą z całkiem niezłym stadem. Poza tym mam hotel i sklep w dolinie. Wszystko to jest prowadzone bardzo porządnie, więc nie mów mi, że nie jestem uczciwa.

— Powieszą cię za grzech pychy, jeśli już za nic innego — powiedział Mike. — Uczciwa kobieta, powiedziałem. A co kobieta ma w ogóle wspólnego z tą całą męską robotą? I czy uczciwe jest nazywanie siebie żoną mężczyzny, który nie żyje od dziewięciu lat? A przez sześć z tych dziewięciu trzymasz mnie w zawieszeniu.

— A ty znowu o tym, co? Mogłam się domyśleć, że cała rozmowa o złocie jest niczym więcej jak tylko sztuczką, która ma mnie wyciągnąć z doliny do ciebie.

— Złoto było znalezione i wiesz to tak samo dobrze jak ja. Poznałem po twojej twarzy.

— Każdego ogarnia gorączka złota, niezależnie czy jest za, czy przeciw — powiedziała Jenny z obrzydzeniem. — Ale fakt, że ktoś znalazł grudkę tu i grudkę tam, jeszcze o niczym nie świadczy. Dużo się nasłuchałam na ten temat i wiem, że nie wystarczy kilka kawałków złota, by wywołać gorączkę.

— Może i tak — Mike powiedział teraz już bardzo poważnie — ale żeby ją zacząć, wystarczy samo gadanie. Nic nie przyciąga poszukiwaczy bardziej, niż wieść o nowym terenie. I

pierwsi natychmiast ruszają po grudki i działki. Na tym właśnie polega gorączka. Potem mogą zostawić teren, ale najpierw go zniszczą. Nie chciałem ci tego mówić, ale teraz już muszę. Zakopywanie głowy w piasek nic ci nie da.

— Nie trafiłam na żadne złoto w mojej dolinie — powiedziała niepewnie Jenny. — Ale masz rację. Czeka mnie kilka bezsennych nocy, kiedy się będę nad tym zastanawiać.

— A mnie czekają bezsenne noce, gdy będę myślał, że postanowiłaś zostać mężatką bez męża.

— I tak będzie, dopóki Jazon nie stanie się mężczyzną i nie nabędzie własnych praw. A teraz nie ma jeszcze jedenastu lat.

— Zawsze chodzi ci o syna — zauważył Mike. — A co z córkami?

— To jest kraj mężczyzn. Dziewczęta wyjdą za mąż i ich życie popłynie drogą wyznaczoną przez ich mężów. A one muszą z tego zrobić najlepszy użytek. Jak wszystkie kobiety.

— Wszystkie oprócz Jenny Garnett. Może i żyjesz życiem swego męża, tyle tylko, że nie w roli, którą by ci wyznaczył.

Jenny podniosła się.

— Pójdę już. Jak na jeden dzień wystarczy mi tej rozmowy z tobą. Wystarczy na całe cholerne życie.

— A teraz wybierasz się po kapelusz, co? Powiedziałbym, że jest to całkiem niepotrzebne, skoro się już nosi cztery kapelusze?

— Cztery kapelusze? — Ciekawość zwyciężyła urażoną godność. — O czym ty mówisz?

— O życiu, które prowadzisz na cztery różne sposoby, o tym właśnie mówię. Czyż nie jesteś jedną Jenny Garnett z „Garnett i S-ka, gorzelnicy”, z piórkiem przy kapeluszu dla odrobiny kokieterii. I drugą panią Travis od hotelu i sklepu Trávisa, której przynależą właściwie dwa kapelusze? I w dodatku nosisz odrzucony kapelusz swego męża, a do tego jego spodnie, zamieniając się w Jonathana Trávisa, hodowcę. A ponieważ kapelusz, który nosisz teraz, należy do matki, może masz rację, że chcesz go zmienić, bo niewiele ci czasu zostaje, aby zajmować się dziećmi, czy w ogóle być kobietą.

— Powiedziałabym, że to była już nasza ostatnia pogawędka, ponieważ nie mam zamiaru się zjawiać na następną — odpaliła Jenny. — Czy wobec tego to już wszystko, co miałeś do powiedzenia?

— Niezupełnie. Twoja i moja przyszłość, Jenny, będzie momentami wspólna. Jakoś, kiedyś, życie przyniesie to samo nam obojgu. A ja nie dam już sobie odebrać.

Jenny odmaszerowała, a jej suknia pozostawiła szeroki ślad na piaszczystej drodze.

— Jenny! — W głosie Mike'a zabrzmiała panika. — Wróć, głuptasie. Jeśli ty powściągniesz temperament, ja ostudzę także mój.

Energiczne zakołysanie biodrami było jedynym znakiem, że go usłyszała.

— Jenny! — krzyknął Mike, nie zważając, że każdy go może usłyszeć. — Nie rozumiesz, że jesteśmy dwiema połówkami jednego jabłka? — Nie rozumiesz. Nigdy tego nie wiedziałś — mruknął sam do siebie, stojąc tam, gdzie go zostawiła. — I szalony Irlandczyk, który mieszka we mnie, mówi, że może nigdy nie będziesz wiedziała.

Wiatr zatarł ślad jej sukni. Z daleka dochodził go odgłos dwukółki toczącej się po wybojach południowo-zachodnim duktem.

— Kochanie ty moje, kochanie — wyszeptał Mike. — Każesz mi iść i żyć moim życiem, i uważasz, że się nie mylisz. Ale gdzieś, kiedyś, będziesz dzielić ze mną przyszłość, czy chcesz tego, czy nie. Masz na to przysięgę Irlandczyka.

8.

— Mama powiedziała, że mogę wybrać dla siebie coś ze sklepu. Co tylko zechcę — powiedziała Jen, uśmiechając się do Chrisa Colebrooka, który stał po drugiej stronie kontuaru. — Pewnie zapomniałeś, że to moje urodziny. Dzisiaj mamy osiemnastego grudnia 1858 roku. Skończyłam piętnaście lat.

— To jest data, której tak łatwo nie zapominam — Chris Colebrook odpowiedział jej uśmiechem. — Przyszłaś na świat tuż przed moimi szóstymi urodzinami. Pamiętam, jak myślałem, że jesteś moim prezentem i że dlatego trzymają cię na farmie Trávisa, by nie zepsuć mi niespodzianki. Byłem pewny, że kiedy obudzę się w dniu swoich urodzin, znajdę cię na moim łóżku zapakowaną i obwiązaną kokardami.

Jen poczerwieniała i spuściła wzrok na dłonie.

— A czy pamiętasz, co naprawdę dostałeś na te urodziny? — zapytała nieco nerwowo.

— Tata zrobił dla mnie wózek. Bardzo porządny, musiał się nad nim ogromnie namęczyć. Sam wystrugał koła i nawet pomalował deski. Ale ja wcale nie byłem zadowolony i powtarzałem, że wolałbym siostrzyczkę, a nie jakiś tam stary wózek. Tacie było przykro, tak się dla mnie napracował. Do dziś pamiętam, jak bardzo się przejął.

— Cieszę się, że nie jestem twoją siostrą — powiedziała Jen, nie odrywając wzroku od dłoni. Rumieniec na jej policzkach pogłębił się.

— Ja też — odparł Chris ze śmiechem. — Wyobrażam sobie, co to znaczy mieć pod tym samym dachem małą siostrzyczkę. — Ale w tej samej chwili jego śmiech zamarł. Patrzył na nią, czekając by podniosła wzrok. Kiedy to zrobiła, powtórzył już innym tonem: — Ja też.

— Co się czuje, kiedy się jest mężczyzną? — zapytała Jenny.

Chris Colebrook spojrział zaskoczony. Potem oblał się rumieńcem od szyi po czoło.

— Co masz na myśli? — wykrztusił wreszcie.

— Przecież kończysz w przyszłym tygodniu dwadzieścia jeden lat. Od kiedy skończyłeś osiemnaście, traktują cię jak mężczyznę. Przez ten czas dowiedziałaś się chyba, jakie to uczucie.

Chris rozpogodził się, ale z jego twarzy nie znikło zakłopotanie.

— Nie myślałem o tym — mruknął.

— Ale musisz. Być mężczyzną to zupełnie co innego niż być chłopcem. Mężczyzna robi rzeczy, których chłopiec robić nie może. Mężczyźnie wolno jest postępować zgodnie z własną wolą.

— Nie zawsze.

Jen poczerwieniała i odwróciła się.

— Co byś chciał na urodziny?

— Coś, czego jeszcze nie mogę mieć — odpowiedział Chris drżącym głosem. — Może poproszę cię w przyszłym roku. — Zawahał się przez chwilę, a potem dodał: — Kiedy skończysz szesnaście lat.

Jen wciągnęła mocno powietrze, szukając słów. Rozglądała się po sklepie, unikając jego wzroku.

— Mama powiedziała, że mogę sobie wybrać ze sklepu, co tylko zechcę. Ponieważ dziś są moje urodziny. Nie kazała mi czekać na następne. Ale do chwili, kiedy ty wszedłeś, w sklepie nie było nic, na co bym miała ochotę.

— Czy naprawdę rozumiesz, czego chcesz? — zapytał Chris trzeźwo.

Jen skinęła głową.

— Jesteś pewna, że wiesz, o czym rozmawiamy? — zapytał znowu.

Jen przytaknęła.

— O nas. O tobie i mnie. O tym właśnie rozmawiamy. O tym, że ty chcesz ożenić się ze mną, a ja chcę wyjść za ciebie.

— Mnie byłoby znacznie trudniej wyrazić to słowami — wyznał Chris. — Nie wiedziałem, jak zacząć.

— Nie musiałeś mi mówić. Wiedziałam. Wydaje mi się, że wiedziałam o tym już od długiego czasu. Od wielu miesięcy.

Wtedy Chris przysunął się do niej.

— Chyba nie powinieneś mnie całować — powiedziała Jen i cofnęła się o krok. — Do czasu naszych oficjalnych zaręczyn.

— Mogę poczekać. Gdybym musiał, czekałbym jeszcze długo, zanim bym ci w ogóle powiedział. Choć nie byłoby to łatwe.

— Wszystko wydaje się jakieś nierealne — szepnęła Jen, wpatrując się w niego. — Chodzi mi o to, że wcale nie czuję się jakaś inna, a przecież powinnam, prawda? Pewnie dopiero, jak wszyscy dowiedzą się, że to jest naprawdę, uwierzę.

— Chciałbym, żebyś była starsza — krzyknął gwałtownie Chris. — Jeśli im powiem teraz, odpowiedzą, że jesteś za młoda. Ja też myślę, że jesteś za młoda. Czy nie wątpisz w swe uczucia?

Jen potrząsnęła głową.

— Myślę, że jestem pewna.

Chris zaśmiał się.

— Jeśli tak mówisz, to wydaje się, że wcale nie jesteś tego pewna.

— Teraz mi dokuczasz — Jen spojrzała gniewnie. — I wiem czemu. Jesteś niezadowolony, że powiedziałaś to, co powiedziałaś. Prawda, przyznaj się.

— Trochę — bąknął Chris. — Powinienem był poczekać trochę dłużej.

— W Cooma jest dziewczyna, która wyszła za mąż, chociaż była dużo młodsza ode mnie. Miała tylko czternaście lat. Myślisz, że jestem za młoda, ponieważ twoja matka wychodząc za mąż musiała być właściwie stara.

Chris przez chwilę zastanawiał się, potem przytaknął.

— Tak, musiała być dość stara.

— Moja mama też była stara, sama tak mi powiedziała — dodała Jen. — Ale może była by młodszą mężatką, gdyby wcześniej spotkała tatę.

— Rodzice mają inne pomysły na życie swoich dzieci, niż na swoje własne — powiedział Chris. Popatrzył niepewnie na Jen. — Jeśli naprawdę chcesz, żebyśmy wszystkim powiedzieli, to może i lepiej. Ale powinniśmy zaznaczyć, że zamierzamy poczekać rok czy dwa.

— Rok czy dwa! To cała wieczność. Kiedy teraz o tym rozmawiamy, nie chcę już czekać ani dnia dłużej — Oczy Jen lśniły radością. — Pomyśl tylko, jaką zabawą byłyby twoje urodziny. A w dodatku będzie to zabawa świąteczna. Wszystko naraz. A ja stałabym przy twoim boku i wszyscy mówiliby tylko o tym, że jesteśmy zaręczeni. I wcale nie myśleliby, że jestem za młoda. Wcale nie. Ponieważ już zdecydowałam, co bym chciała na moje urodziny. Pokażę ci.

Zniknęła w ciemnym pomieszczeniu za sklepem, a po chwili wróciła z krynoliną, różowym gorsetem i ogromną czerwoną suknią z falbaniastą spódnicą.

— Nikt nie pomyśli, że mam dopiero piętnaście lat, jak się w tym pokażę.

Chris Colebrook na widok różowego gorsetu poczerwieniał po uszy.

— Ubranie nie zmieni twojego wieku — powiedział niechętnie. — Powiemy im później, kiedy będziesz trochę starsza.

— Nie podoba ci się ta sukienka!

— To nie ma nic wspólnego z sukienką. Czuję się jakoś dziwnie. Nie umiem tego wytłumaczyć. To tylko takie uczucie. — Patrzył na nią, a w jego oczach pojawiła się tęsknota. — Nie zniósłbym, gdybym miał cię stracić, Jen. Nie zniósłbym tego. Zatrzymajmy to tylko dla siebie jeszcze przez jakiś czas.

— Ale dlaczego? — Jen spojrzała na niego nagle poważnym wzrokiem. — Ponieważ twoja matka mnie nie lubi, prawda?

— Powiedziałyby, że jesteś za młoda i nie wiesz, czego chcesz, a ja nie jestem taki pewien, czy nie miałyby racji. Nie chcę, byśmy zaczęli lewą nogą, więc poczekajmy jeszcze chwilę. Szesnaście lat to lepszy wiek dla dziewczyny do zamążpójścia. Tyle przecież możemy wytrzymać. — Uśmiechnął się. — Przecież nic, co może stać na przeszkodzie naszego małżeństwa, nie będzie trwało wiecznie.

W gospodarstwie Colebrooków Mary albo milczała, albo głośno modliła się, zbierając siły jak generał mający przed sobą poważną operację militarną. Każde działanie było związane z przygotowaniem przyjęcia dla gości z okolicznych farm i osad. Przy posiłkach mówiło się tylko o tym.

— Dlaczego te święta obchodzimy tak hucznie? — zapytał Chris matkę. — Nigdy przedtem nie zapraszałaś gości.

— W ten sposób uczymy twoje dwudzieste pierwsze urodziny. Jesteś pierwszym mężczyzną, który przyszedł na świat w naszej dolinie i doszedł do dojrzałości. Chcę, by każdy się o tym dowiedział — odpowiedziała Mary.

— Przyjadą ludzie, których nawet nie znamy — odezwał się Samuel, co mu się rzadko ostatnio zdarzało.

— Ja ich znam. Uważałam za stosowne korespondować z nimi. Znam wszystkie najlepsze rodziny w obrębie pięćdziesięciu mil. Szczególnie te z dobrze podrośniętymi córkami — dorzuciła Mary, patrząc na syna. Uśmiechnęła się lekko. — Już niedługo zaczniesz myśleć o małżeństwie. Trzeba zawczasu rozejrzeć się za dobrą żoną dla ciebie.

Zapadła cisza.

— Wkrótce w tej dolinie zjawi się więcej rodzin — odezwała się po jakimś czasie, spoglądając na męża. — Słyszałam, jak mówiłeś, że chciałbyś tu widzieć osadę. Twoją i Jenny Travis. Nie chcę, by ktokolwiek zapomniał, że to jest dolina Colebrooków. Colebrookowie pierwsi tutaj osiedli i tu urodził się mężczyzna pierwszego pokolenia Colebrooków, więc ona należy do niego. Im szybciej ten fakt stanie się jasny, tym lepiej.

Chris grzebał widelcem w jedzeniu. Nie odrywał oczu od talerza, starannie unikając wzroku matki.

— Tak, wiem, że dawniej miałam w stosunku do ciebie inne plany — powiedziała. — Był czas, kiedy spodziewałam się, że zostaniesz księdzem. Ale słyszałam, że w tym kraju nie ma miejsca dla kapłanów prawdziwego Kościoła. Choć kiedyś na pewno przyjdą lepsze czasy, jeśli nasze modlitwy zostaną wysłuchane. Teraz codziennie proszę Boga, żebyś miał synów i by jeden z nich został księdzem. O to właśnie teraz zanoszę błagania.

Przez chwilę siedziała ze spuszczonej oczyma, a jej usta poruszały się niemo. Kiedy podniosła wzrok, ciągnęła dalej, jakby modlitwa nie przerwała rozmowy.

— Jesteś jedynym, który może wziąć na siebie prowadzenie tego gospodarstwa, więc to jest twoja przyszłość, a syn, który będzie służył Panu, urodzi się, gdy nadejdzie odpowiedni czas.

Samuel przez chwilę patrzył na żonę, a potem przeniósł wzrok na okno, za którym drzewa zasłaniały stary, opuszczony cmentarz.

— Niewiele już spodziewamy się z twoim ojcem w życiu, ale na jedno czekamy z niecierpliwością. Na wnuki, które nam dasz — powiedziała Mary głosem dziwnie napiętym. Jej wzrok nic nie wyrażał.

Samuel wstał nagle i odszedł od stołu bez słowa.

— Mam zamiar się ożenić — powiedział Chris przerywając długą ciszę, która potem nastąpiła. — Za rok albo dwa.

— Jakieś trzydzieści mil stąd mieszka dobra, irlandzka rodzina O'Connorów. Mają córkę w odpowiednim wieku. Chciałam najpierw porozmawiać z tobą, zanim ich zaproszę, by skorzystali z naszej gościnności. Jeśli chodzi o małżeństwo, to najlepiej, by sprawa była jasna. Ja wybrałam dziewczynę O'Connorów, ale nie chcę ci niczego narzucać. W innych dwóch rodzinach, które przyjadą na uroczystości, też są dziewczęta. Nie wątpię jednak, jaka będzie twoja odpowiedź, kiedy je porównasz.

— Nie muszę robić żadnych porównań — powiedział Chris, choć nie przychodziło mu to łatwo. — Już wiem, z kim chcę się ożenić.

— Wiedziałam, że zdasz się na mój osąd — odparła matka. — Katie O'Connor będzie dla ciebie dobrą żoną i na pewno cię przyjmie, nie ma co do tego wątpliwości.

— Ja już zostałem przyjęty — powiedział Chris, zmuszając się, by spojrzeć na matkę. — Zamierzam ożenić się z Jen Travis.

Mary wpatrywała się w syna. Jakby nagle zmaląła i pomarszczyła się.

— Ale ona jest... — wyszeptała.

— Wiem — Chris przytaknął.

Mary potrząsała głową, nie mogąc wymówić słowa.

— Wiem, jaka jest młoda, wiem to — głos Chrisa wzniósł się prawie do krzyku. — Nie jestem jakimś tam czarnuchem, który chce wziąć sobie dziecko. Dlatego zamierzamy poczekać rok czy dwa. Chociaż Jen już wcale nie jest dzieckiem. Dorosła na tyle, by wiedzieć, czego chce. I podjęła decyzję. Ja również.

Mary siedziała zgarbiona, nie odrywając wzroku od syna.

— Nie lubisz jej, prawda? O to ci chodzi? — dopytywał się Chris. — Jen miała rację. No cóż, to nic nie zmieni.

— Dobry Boże. — Mary zasłoniła drżącą ręką usta. Odetchnęła głęboko, starając się odzyskać przytomność umysłu, ale z trudnością znajdowała słowa. — To był szok — powiedziała wreszcie. — Nigdy nie pomyślałam... Zawsze traktowałam ją jak dziecko... — głos jej zamarł. — Ile lat ma ta dziewczyna z irlandzkiej rodziny?

— Szesnaście. — W przyszłym roku o tej porze Jen skończy tyle samo. A myślałaś, że ile ma?

— Trzyznaście... czternaście — Mary mówiła już teraz pewniejszym głosem, pytania ustawiły ją na mocniejszym gruncie.

— W tym tygodniu obchodzi piętnaste urodziny.

— Nie zdawałam sobie sprawy... — znowu odetchnęła głęboko.

— No to rzeczywiście doszła już do wieku, w którym może wyjść za mąż. Nie zauważyłam nawet, kiedy tak dorosła. — Mary popatrzyła na syna. — Nie będziesz jeszcze o tym mówił, dobrze? Nawet ze swym ojcem. Z nikim.

— To ty zaczęłaś temat małżeństwa, nie ja — przypomniał jej.

— Źle zrobiłam.

— Chciałem poczekać jeszcze rok.

— Miałaś rację. Tak będzie lepiej. A co z dziewczyną? Z Jen?

— Nie będzie nic mówić, póki nie przyjdzie czas, żebym porozmawiał z jej matką.

Mary Colebrook oblizła wyschnięte wargi.

— Postarasz się ją polubić, prawda? — zapytał Chris już łagodniejszym głosem, bez gniewu. — Dla mego dobra.

— Oczywiście, zrobię wszystko, co w mojej mocy. Dla twego dobra.

Chris uśmiechnął się.

— Mówiłem Jen, że nie ma takiego problemu, którego czas by nie rozwiązał.

— Tak — powiedziała Mary. — Mamy jeszcze czas.

Jen przyglądała się białej sukience, którą naszykowała jej matka. Leżała uprana i wyprasowana, gotowa do włożenia na uroczystości na Farmie Colebrooków. Był to strój dla młodej dziewczyny, tak samo miała być ubrana jej siostra. Sukienka sięgała powyżej kostek, tak że wystawały spod niej białe, dziecięce skarpetki.

— Dlaczego nie mogę założyć długiej sukni? — zapytała Jen wyzywającym tonem.

— Włożysz długą suknię, jak skończysz szesnaście lat, tak jak każda przyzwoita dziewczyna. A teraz nie ma co robić smutnej miny — sztorcowała córkę Jenny. — Myślałam, że ucieszysz się z nowej sukienki. Specjalnie ją zamówiłam na tę okazję. Nie było ładniejszej w całym katalogu. Jody nie grymasi.

— Jestem za duża, żeby ubierać się tak samo jak Jo — upierała się Jen. — Ona nawet nie ma jeszcze czternastu lat.

— A ty dopiero co skończyłaś piętnaście. Nie chcę, żebyś wyglądała na starszą, niż jesteś.

— Wiele dziewcząt w moim wieku zostaje mężatkami — powiedziała Jen na próbę. — Niektóre nawet nie są dużo starsze od Jo. Dziewczęta z Cooma nie noszą już takich sukienek, gdy są w moim wieku.

— Widziałam, co zakładają na siebie — odparła jej matka ponuro. — Suknie podkreślające kształty, choć ich jeszcze nie mają.

— A dlaczego miałyby tego nie robić? Modny jest obcisły gorset i odpowiednio wąska talia — broniła się Jen.

— Odpowiednio wąska talia! Wąska talia na pewno nie jest czymś odpowiednim. — Jenny spojrzała na córkę, próbując ją zrozumieć.

— Czasami zastanawiam się, czy naprawdę jesteś taka głupia. Niedługo będziemy musiały porozmawiać, i to poważnie. Kiedy skończysz szesnaście lat. Długa rozmowa i długa sukienka pasują do siebie.

Jen stała, szukając słów. Wpatrywała się w tył głowy matki, pochylonej nad papierami rozłożonymi na biurku.

— Nie ubiorę się w to — powiedziała wreszcie. Zaciśnęła usta w wąską linię. — Mam piętnaście lat.

— Wiek zależy od tego, co się w tym wieku robi, a w naszej rodzinie piętnastolatka robi to, co się jej powie — oświadczyła Jenny, kończąc rozmowę.

Wróciła już myślami do ksiąg rachunkowych.

— Tak czy siak, ta sukienka nie jest wcale prezentem urodzinowym dla mnie, bo taką samą dałaś Jo. Powiedziałaś, że mogę wybrać sobie mój prezent.

— Bądź grzeczną dziewczynką i idź do łóżka — odpowiedziała Jenny, starając się zachować spokój. — Jeśli ja także mam się jutro bawić, muszę skończyć dzisiaj pracę nad księgami. — Uśmiechnęła się sama do siebie.

Zabawa! I to na Farmie Colebrooków! Tego na pewno nie chciała stracić.

Nazajutrz, dwudziestego czwartego grudnia, Chris Colebrook obchodził swoje dwudzieste pierwsze urodziny. Mieszkańcy doliny i ludzie z innych niewielkich osiedli rozrzuconych w promieniu pięćdziesięciu mil mieli się zebrać na pierwszym spotkaniu towarzyskim w dolinie.

Stoły na drewnianych koziołkach stały już pod drzewami, wypełnione pasztetami i chłodnym piwem, ogrzewającym się w rosnącym upale dnia. Ciasta wysychały zakryte płótnem, które chroniło je przed chmarami much. Obok piętrzyły się kanapki.

Mary i Samuel witali gości sztywno, czując się niepewnie w nowej roli gospodarzy przyjęcia.

Jenny zjawiała się jako jedna z ostatnich. Towarzyszyli jej Jazon i Jody oraz dwóch wolarzy, Pete i Charlie, którzy przyjechali na tę okazję z wypasów do doliny.

— Jen nie przysłała z wami? — zapytał Samuel.

— Powiedziała, że musi jeszcze dokończyć porządków w sklepie. Ale wkrótce się zjawi. Moja Jen na pewno nie zrezygnuje z rozrywki.

Stojąca obok męża Mary nie powitała Jenny. Jej wargi ściśnięte były w cienką linię.

— Ładnie tu u was — powiedziała Jenny, spoglądając na nią. — Pierwszy raz widzę z bliska wasze gospodarstwo, chociaż stoi od ponad dziesięciu lat. — Jej ton był przyjacielski. — Kiedy Jazon skończy dwadzieścia jeden lat, za jedenaście i pół roku, ja również was zaproszę, będziecie pierwszy raz obejrzeni moje gospodarstwo. To będzie następny krok ku gościnności w naszej dolinie.

— My Colebrookowie jesteśmy rodzinni i nie potrzebujemy obcych poza kimś, kogo weźmie sobie Chris — powiedziała Mary. Zamilkła nagle, spojrzawszy na twarz Jenny, poczerwieniała, a potem gwałtownie zbladła.

Zakłopotany Samuel odwrócił się. Pozostawił gości nad pasztetami i piwem, a sam odszedł między drzewa, pragnąc znaleźć się jak najdalej od wszystkich. Nienawidził tego dnia.

Przypomniawszy sobie radość, jaką czuł w nocy, kiedy się urodził Chris. Dłonie mu się trzęsły, gdy trzymał chłopca w ramionach. Wtedy myślał z entuzjazmem o przyszłości. Teraz zastanawiał się, w którym momencie przestał planować lub nawet dbać o to, co ma się wydarzyć.

Rozejrzył się po swojej własności. Dom, zabudowania gospodarskie, ziemia. To niewiele jak na dwadzieścia pięć lat życia człowieka, pomyślał. Pewnego dnia wszystko stanie się własnością tego chłopca. Samuel skierował wzrok na stary wóz, którym przyjechali tutaj. Człowiek budujący życie na własności innego nie może oczekiwać, że zebrane żniwo będzie mógł nazwać swoim, napomniawszy sam siebie. Wiedział, że zasłużył na karę, w ten sposób wszystko wydawało mu się teraz sprawiedliwe, nawet zdrada. Stał tak spoglądając na stary, skradziony wóz, aż wyrwały go z zamyślenia głosy obcych zebranych w jego obejściu. Usłyszał, jak żona woła go.

Samuel ruszył przed siebie, aż do granic obejścia, a potem dalej wzdłuż rzeki do wąwozu. Uciekał przed nieznanymi, którzy rozmawiali o sprawach nie dotyczących doliny, nie dotyczących jego. Sprawach odrzuconych przez niego w dniu, kiedy postawił nogę na ziemi obcej Kolonii, wskoczył na skradziony wóz i odjechał z Sydney Cove, kierując się ku górą.

Wtedy to zatrzęsła za sobą drzwi życia, którego wcale jeszcze nie poznał.

Teraz zaczął wdrapywać się na wschodnie zbocze wąwozu.

Cała dolina, poza Farmą Colebrooka, była tego dnia kompletnie opuszczona, należała tylko do niego, jak podczas pierwszych lat.

Ich pierwsze cztery lata tutaj były bardzo samotne. Samotne lata, kiedy jego jedynym towarzyszem była kobieta i martwi synowie, których mu urodziła. A jednak nie były one tak samotne, jak ostatnie dziewięć lat.

Przejechał palcem po zaprawie łączącej skały tworzące tamę, którą zbudowali z Jonathaniem Travisem dwadzieścia lat wcześniej, by wiosenne roztopy nie zalewały położonych niżej pastwisk. Ruszył znowu przed siebie, wpatrując się bezmyślnie w pnie ściętych przed laty drzew, nadal czekających na okorowanie.

Odwrócił się i spojrział na rzekę i na drzewo gumowca, którego rozszczepiony pień stał jak w rozkroku w wąskim miejscu, gdzie chcieli zbudować most. Zbudowali go gdzie indziej, mimo że kosztowało to więcej pracy, ale zostawili stare drzewo.

— Aborygeni nazywają je bookoola — powiedział wtedy, a mężczyzna z siekierą skierował się w górę rzeki, zaznaczając przejście w innym miejscu.

Bookoola. Czyli sowa. Mądra sowa. Mądra, stara sowa. Nawet człowiek musi dorosnąć, by stać się mądrzejszy. Dorosnąć tak jak drzewo bookoola, by nie mogli go dotknąć ani ludzie, ani czas.

Ponad odległym brzegiem i zachodnim zboczem nie dochodził go już gwar rozmów obcych, którzy świętowali dorosłość chłopca, noszącego jego nazwisko, ale nie będącego jego synem.

Samuel Colebrook odwrócił się od rzeki i poszedł dalej niecką, która przechodziła w południowy stok. Przed sobą zobaczył kamień nagrobny, niedaleko porzuconej chaty Travisów, i teraz już wiedział, gdzie go prowadziły nogi.

Dotarł do wielkiego kamienia, a gdy stanął, jego myśli uspokoiły się także. Stał tak przez długi czas, przyznając się do uczuć, których nie dopuszczał do siebie nigdy przedtem.

Starannie oczyścił mech, odsłaniając inskrypcję, którą wykuł w kamieniu dziewięć i pół roku wcześniej.

I wtedy pomyślał, że lubił Jonathana Trávisa.

Niewielu ludzi lubił w swoim życiu, ale lubił Jonathana Trávisa. Brakowało mu go. Brakowało mu wspólnej pracy w ich dolinie. Tęsknił za nim ponad dziewięć lat.

Starannie nałożył znowu mech na odsłonięty napis, jak człowiek, który okrywa kocem śpiącego przyjaciela. Delikatnie dotknął dłońmi śmiertelnie zimnej skały.

Mary poruszała się pomiędzy zbiorowiskiem obcych jak szara figura na dziobie statku, prującym nieznanego morza. Była jakaś drewniałość w wyrazie jej twarzy, szklistość oczu, która nie zdradzała żadnej myśli. Jej ciężkie od oskarżeń myśli, które zajęły miejsce planów na ten dzień, nie nadawały się do ujawnienia. Jej usta poruszały się, szeptały grzeczne słowa, gdy częstowała wyschniętymi kanapkami, a także nieskończone modlitwy proponujące bogom wszystko, co miała do zaoferowania. Zdolność jej umysłu do rozwiązywania problemów wyczerpała się, wyschła, jak kanapki, którymi raczyła gości.

— Nie miałbym nic przeciwko włożeniu mojego figlarza w tę małą — odezwał się Bill Soames, potrącając łokciem swego kumpla. — Skąd ona się wzięła?

— Chyba coś ci się porobiło z oczami — odpowiedział Carruthers. — Przecież to ta mała od Travisów, która pracuje w sklepie.

— Tak ubrana? Cóż ona sobie wyobraża, że jest Lolą Montez?

— Widziałeś Lolę Montez przez dziesięć minut i od tego czasu oczy ci sterczą jak na szypułkach. — Carruthers roześmiał się. — I nie tylko oczy ci sterczą. Lepiej trzymaj łapy z daleka od dziewczyny Travisów, bo ich wolarze wyrwą ci jaja. Nie chciałbym mieć kumpla o piszczącym głosie.

Mary, która stała tuż za mężczyznami, podążyła za ich wzrokiem. Jej suche usta ułożyły się w coś w rodzaju uśmiechu, a oczy ożyły, gdy obejrzała się, czekając na reakcję Jenny.

— Boże na niebiesiach, Jen. A cóż tyś z siebie zrobiła? — wykrzyknęła Jenny, wpatrując się w dziewczynkę. — Co ty masz na sobie?

— Powiedziałaś, że mogę sobie wybrać ze sklepu, co tylko zechcę — odpowiedziała Jen posepnie, próbując powstrzymać łzy. Czekala aż dotąd, żeby wszyscy zjechali się na Farmę Colebrooków. Wyglądam co najmniej na dziewiętnaście lat, upewniała samą siebie, przeglądając się w lustrze. Różowy gorset ścisnął jej dziecięce kragłości, wypchnął je w górę, tak że nisko wycięty dekolt odsłaniał znacznie pełniejszy niż w rzeczywistości biust. Była z siebie bardzo zadowolona, oczekiwała mnóstwa komplementów. A teraz matka krzyczała na nią, jakby była dzieckiem, i wszystko zepsuła.

— Ta sukienka leżała w magazynie, bo miała być odesłana — powiedziała Jenny, podnosząc głos, żeby każdy ją usłyszał. — Nie trzymam takich rzeczy w moim sklepie. Nadają się tylko dla dziwki na złotych polach. Mam zamiar napisać to dostawcom, kiedy będę ją odsyłała. Wrócisz do sklepu tak szybko, jak cię zdołają zanieść nogi. I nie pokazuj mi się na oczy, zanim nie włożysz na siebie czegoś porządnego.

Jen widziała przez łzy gapiących się na nią ludzi, zarówno przyjezdnych, jak i mieszkańców wioski. Dziewczęta i kobiety wyglądały na zgorzone, mężczyźni śmiali się.

Chris patrzył się na nią także, jego twarz była równie czerwona jak koszula, którą włożył na tę uroczystość.

Odwróciła się i potykając umknęła przez bramę i dalej drogą. Szeroka spódnica krynoliny zaczepiała się o krzaki i dzikie róże, gdy uciekała przed spojrzeciami i śmiechem z powrotem do obiecującego schronienie sklepu.

— Obawiam się, że całe to przedstawienie było na pana benefis, panie Soames — powiedziała cicho Mary. — Ta dziewczyna przez pana zupełnie zgłupiała.

Bill Soames odwrócił się, na jego twarzy widniała panika.

— Nigdy nawet nie zbliżyłem się do niej, przysięgam — powiedział.

— Ależ oczywiście, przecież jest pan porządnym człowiekiem, który nie patrzyłby na dziewczynę w taki sposób — uspokoiła go. — Ale to jej nie powstrzymuje od spoglądania na pana. Dziwię się, że nie zauważył pan tego wcześniej.

— W ogóle jej dotąd nie zauważyłem — odpowiedział Bill zgodnie z prawdą.

— No cóż, najprawdopodobniej już nie wróci, więc możemy o niej zapomnieć — powiedziała Mary. — Spędzi resztę dnia samotnie i miejmy nadzieję, że poświęci go na modlitwy. Nie godzi się, by mężczyzna był wystawiony na takie grzeszne pokuszenie.

— Prawdą jest, że to może wstrząsnąć mężczyzną — mruknął Bill.

— I niech pan nie zapomni wieczorem napoić koni — przypomniała mu Mary, a potem odeszła, by przyłączyć się do O'Connorów.

Bill Soames powiódł za nią wzrokiem w zdumieniu. Nigdy wcześniej nie słyszał, by wydawała jakiegokolwiek polecenie dotyczące prac w gospodarstwie. Ale też nigdy wcześniej nie było żadnych przyjęć, pomyślał.

Wzruszył ramionami, odwrócił się i popatrzył na drogę, która prowadziła za rzekę i dalej do sklepu.

Chris przez długą chwilę stał jak wmurowany w ziemię. Teraz skierował się w stronę ścieżki, którą wychodziło się z ich gospodarstwa. W tym momencie drogę zastąpiła mu matka.

— Nic nie pomoże, jeśli teraz do niej pójdziesz. Pozwól się jej wypłakać, to od razu poczuje się lepiej. Jeśli masz zamiar się żenić, musisz nauczyć się rozumieć kobiety. — Mary mówiła łagodnym głosem, wiedziała, że znowu kontroluje sytuację. — Ona teraz musi porozmawiać z kobietą, i to na pewno nie ze swoją matką — ciągnęła dalej. — Może więc ten niefortunny incydent pozwoli mi zbliżyć się do dziewczyny, a tego zdaje się chciałeś. — Uśmiechnęła się. — Coś mi się wydaje, że muszę iść do sklepu, bo inaczej zabraknie produktów. Piwa dla mężczyzn wystarczy, ale panie na pewno będą jeszcze miały ochotę na herbatę, i to w dużych ilościach, by ochłodzić się w tym upale. I może przyniosę jeszcze tego cytrynowego kordiału pani Travis, o którym się słyszy tyle dobrego. — Kiedy to mówiła, wargi jej zadrgały i spuściła oczy, ale nie zająknęła się.

O tak, jeśli trzeba będzie, to kupi nawet cytrynowy kordiał. Na pewno będzie to lepszy pretekst do odwiedzin w sklepie, ale prędzej umrze z pragnienia, niż pozwoli, by kropla tego napoju trafiła do jej ust.

— Jeśli jesteś pewna... — oczy Chrisa towarzyszyły czerwonej plamce, która przesuwała się po zboczu.

— Jestem pewna — powiedziała mu Mary. — Masz na to słowo swojej matki. Doskonale wiem, co trzeba zrobić.

— Dziękuję, mamó — Chris uśmiechnął się, zadowolony, że może ustąpić.

Mary tym razem nie broniła się przed wspomnieniem o Jonathanie Travisie. Stał teraz koło niej, jego obraz żył w synu. Ale to, co powiedziała mu przed laty, także było prawdą, dziecko należało do tego ojca, przy którym rosło. Chris, łagodny i uступliwy, stał się synem Samuela, nie Jonathana. Przez chwilę poczuła lekceważenie do własnego potomka, ale zwalczyła to uczucie, zanim sama je sobie uświadomiła.

Ruszyła niespiesznie w stronę stajni, co chwila przystawała i wymieniała parę słów z gośćmi. Nikt nie zauważył, że znikła. Kiedy dotarła do celu, zobaczyła tam tylko pociągowego konia, który okulał przed tygodniem, więc pojono go na miejscu.

— Dasz sobie radę — powiedziała do zwierzęcia. — A jeśli nawet nie, to i tak koszt będzie nieduży w porównaniu z usługą, jaką wykonasz.

Widziała zady pozostałych koni, które oddalały się drogą prowadzącą do rzeki i sklepu.

Zaprzęgła kulawego konia do dwukółki, oceniając czas potrzebny mężczyźnie na doprowadzenie koni do wodopoju, a potem na przejście kilku metrów dzielących od interesującego go miejsca.

Jen, rozebrana do bielizny, siedziała w magazynie, wpatrując się w czerwoną sukienkę, leżącą u jej stóp.

Nie usłyszała żadnych hałasów. Drzwi do sklepu otworzyły się cicho, ten kto wchodził, przytrzymał ręką dzwonek, a potem ostrożnie stawiał kroki pomiędzy belami i pakami.

Pogrążona w rozpacz, słyszała tylko echo głosu matki, stłumione chichoty dziewcząt, głośny śmiech mężczyzn. A co gorsza, miała też w pamięci milczenie Chrisa Colebrooka, który zacisnął usta, jakby już nigdy nie miało się przez nie wydostać żadne słowo.

Nic z tego wszystkiego nie rozumiała. Przecież wyglądała tak pięknie. I dorośle. Lepiej niż kiedykolwiek w swoim życiu. Powoli gniew zajął miejsce rozpacz.

Głos, który usłyszała, zaskoczył ją.

— Musiałem być wcześniej ślepy. Nigdy nie myślałem, że możesz tak wyglądać. Nie sądziłem, że masz to w sobie.

Jen gwałtownie uniosła głowę i zobaczyła Billa Soamesa. Stał za kontuarem i przyglądał się jej.

— Co tutaj robisz? Sklep dzisiaj zamknięty.

— Drzwi były otwarte.

— Nie życzę sobie, żeby ktoś przychodził tu i robił uwagi na temat mojego wyglądu.

— Nie chciałem powiedzieć nic złego. Dla mnie wyglądałaś dobrze. Jak prawdziwa kobieta. Zupełnie inaczej niż te wszystkie przepiórki.

— To wcale nie brzmi miło. Chyba nie powinieneś tak mówić — powiedziała Jen niepewnie. Ale jego słowa przynosiły ulgę, potwierdzały to, co sama myślała. Uśmiechnęła się do niego. — Cieszę się, że komuś podobała się moja sukienka.

— Jeszcze bardziej mi się podoba, kiedy ją zdjęłaś — powiedział odsuwając się od kontuaru. Jego ręce sięgnęły do sznurkowego pasa od spodni.

Jen spojrzała po sobie. Twarz jej poczerwieniała, teraz dopiero zdała sobie sprawę, że jest w samej bieliźnie. Złapała czerwoną sukienkę i przytuliła ją do siebie.

— Nie ma co teraz udawać — powiedział Bill. — Już mnie na to nie nabierzesz.

Odpiął spodnie i odsłonił swego penisa. Jen wpatrywała się w niego.

— Co ty wyprawiasz? Jesteś pijany! Nie możesz tutaj sikać.

Bill roześmiał się.

— I w dodatku masz poczucie humoru. Lubię, kiedy moje kobiety potrafią powiedzieć coś do śmiechu. — Ale teraz już niecierpliwił się, chciał jak najszybciej dostać to, po co przyszedł. — Daj spokój, przestań się mizdrzyć. Ściągaj resztę.

— O co ci chodzi? O czym ty mówisz? — wyszeptała Jen.

Ale nagle zrozumiała. Spłynęła na nią odwieczna wiedza czerpana z obserwacji zalotów miłosnych, potwierdzana przez dosadniejsze karesy między bykami i krowami. Poczowała strach, ciekawość i podniecenie.

Wydostała się z sukienki, która leżała u jej stóp. Przypomniała sobie twarz Chrisa, pustą i niemą, obcą twarz. Nie pomógł jej, kiedy najbardziej go potrzebowała. Odrzuciła suknię na bok i rozwiązała różowy gorset. Stała przez chwilę niepewna, ubrana tylko w stanik i rozcięte w kroku majtki — kolejny produkt naszykowany do odesłania. Potem pochyliła się do przodu, jak krowa, oczekująca byka.

— Jezu, nie ma wątpliwości, jaka jesteś — mruknął Bill. — Pobiłaś na głowę wszystkie dziewczyny ze złotych pól. Pupa w górę — dodał.

Jego śmiech przeszedł nagle w jęk, kiedy wsadził swego penisa głęboko w młode, nietknięte ciało.

Mary Colebrook stała w drzwiach. Milczała nie zauważona.

Dziewczyna leżała na ziemi zwinięta pomiędzy fałdami wyzywającej, czerwonej sukienki. Czerwone smugi zasychały na jej udach, nabierając koloru materiału. Zalewała się łzami.

Bill Soames wycierał się starannie jakąś bawełnianą szmatką.

— Kobieta nie powinna przyjmować mężczyzny w czasie okresu — uskarżał się. — W taki sposób mężczyzna może złapać coś paskudnego. Nigdy nie zbliżam się do kobiety, kiedy to ma. O, na litość, przestań zawodzić, ty mała dziwko.

— Zgwałcił pan dziewicę — odezwała się Mary cichym głosem bez wyrazu. — Dziewczyna była nietknięta, a pan pozbawił ją niewinności. Dlatego krwawi.

Bill obrócił się zaskoczony. Złapał ubranie i zakrył się, nie odrywając wzroku od żony swojego pracodawcy.

— Jezu Chryste, pani Colebrook, co pani tutaj robi?

— Przyszłam po cytrynowy kordiał — odpowiedziała Mary rzeczowym tonem. — Chyba muszę usiąść — dodała. — Słabo mi. Przeżyłam szok.

Nie wyglądała ani na słabą, ani zaszokowaną. W odróżnieniu od Bilia.

— Zgwałcił pan dziewicę, panie Soames — powtórzyła. — Zabiją pana, albo jeszcze gorzej. Ludzie Travisów... — Mary złapała się ręką za usta i zamknęła oczy, dając mu czas na wyobrażenie sobie niebezpieczeństwa.

— Jezu! — Bill nie odrywał od niej wzroku. — Carruthers mówił... Jezu!

Odwrócił się i spojrzał na dziewczynę. Nadal pociągała nosem, wpatrując się w Mary Colebrook.

— Skąd miałem wiedzieć, że to dziewczica? Nie zachowywała się tak jak należy. — Obliznął wargi. — Nie mogą winić mężczyzny za taki błąd. Jezu!

— Co za straszliwy cios dla rodziny — szeptała Mary. — Piętnastoletnia dziewczyna pozbawiona czci, cała przyszłość zniszczona. A jej matka sama ją wychowuje, bez żadnego mężczyzny do pomocy. Tych dwóch wolarzy zawsze tak się zachowywało, jakby należeli do rodziny. Kiedy się dowiedzą, wydarzą się straszliwe rzeczy.

Jen znowu zaczęła płakać.

Mary Colebrook uciszyła ją pogardliwym wzrokiem.

Bill Soames wkładał nieporadnie ubranie, ręce mu się trzęsły.

— Na litość, niech pani pozwoli mi stąd wyjść.

— Wątpię, by udało się panu uciec przed odpowiedzialnością, panie Soames. Słyszałam, że ci wolarze nie stracili nigdy nawet jednej sztuki bydła. Jeśli któraś odeszła dalej, szukali jej tak długo, aż znaleźli — mówiła Mary spokojnym, monotonnym głosem. — Będą polować na pana, aż znajdą. Gnani myślą o dziewczynce, która została sama, opuszczona, ze zrujnowaną reputacją. Znajdą pana i zmuszą do zapłacenia za to, co się wydarzyło. Ucieczka nie jest tu rozwiązaniem, panie Soames. — Jej głos złagodniał nagle. — W każdym razie nie samotna ucieczka.

— O co pani chodzi? — Jego dłonie pośpiesznie zawiązywały pasek. — Do czego pani zmierza?

— No cóż, najwyraźniej spodobał się pan dziewczynie...

— To fakt i dobrze pani o tym wie — wtrącił Bill. — Sama to pani mówiła.

— Jeśli dobrze pamiętam, to ostrzegałam pana. Ale najwyraźniej ona też się panu spodobała, więc najprostszym rozwiązaniem byłoby małżeństwo.

— Małżeństwo z nią? — Bill już miał się roześmiać, ale powstrzymał się. — Nie mam nawet pieniędzy na zakup narzędzi, co dopiero mówić o małżeństwie. Gdyby było inaczej, już dawno znalazłbym się w Wiktorii i nic tutaj by się nie wydarzyło. Ale dużo czasu potrzeba, zanim zarobi się na narzędzia, kiedy ma się taką pracę jak ja — poskarżył się.

— Płacimy tyle, ile jest pan wart — odpowiedziała Mary. — A pan nie jest wart za wiele. Ale w tej chwili trzeba rozważyć co innego, na przykład interes rodziny, która zamieszkuje tę dolinę od wielu lat. I wydaje się, że teraz jest pan wart więcej niż przedtem.

Bill odetchnął spokojniej, czując że w miejsce gróźb pojawiły się możliwości.

Jeszcze raz starannie zawiązał pasek. Musiał mieć czas na zastanowienie się i przygotowanie do targu. Spojrzał na Mary.

— Kiedy mężczyzna ożeni się, potrzebuje lepszej płacy i porządniejszego miejsca. Może własnego domu na waszej ziemi. A może przyzwoitego kawałka własnej ziemi.

Mary uśmiechnęła się ponuro.

— Nie w tej dolinie, panie Soames. Ale nie dalej niż pięćdziesiąt mil stąd może się znaleźć ziemia, która bardziej by panu odpowiadała. Opuścił pan przyjęcie w takim pośpiechu, więc pewnie nie słyszał pan, o czym rozmawiano. Myślę sobie, że gdyby pan słyszał, to już byłby pan w drodze. Z narzędziami czy bez. Pierwsi powiedzieli mi o tym O'Connorowie. Ale

wieść szybko się niesie i zanim tu przyszedłam, już wszyscy o tym mówili. — Zamilkła. — W tych górach znaleźli złoto.

— Złoto, tutaj? — Wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem roześmiał się. — Myśli pani o tych kawałeczkach, na które natrafiali wolarze?

Mary zamilkła zaskoczona, ale już dawno nauczyła się nigdy nie poddawać.

— Podczas letnich wypasów znaleziono złoto, i to dużo złota, na zachodnich stokach tych gór.

— To dzikie tereny. Mówiła pani pięćdziesiąt mil.

— W linii powietrznej.

Na jego twarzy pojawiło się podniecenie.

— Skąd mieli takie wieści?

— Ktoś przyjechał do jednego z osiedli po prowiant — bez trudności przyszło jej ubarwiać opowieść, która stawała się coraz bardziej przekonująca. — Mówili, że tu również przeżyjemy gorączkę złota, kiedy wieści zaczną krążyć. Ale teraz jeszcze mało kto o tym wie. Nikt spoza tego terenu. Jeśli wyjedzie pan stąd dzisiaj, w miesiąc może znajdzie pan złoto i zbije fortunę, zanim zjawią się obcy ciągnący na złote pola.

Bill słuchał. Podniecenie przeważało nad wątpliwościami.

— Do jakiej osady przyjechał tamten kopacz?

— Do Eucambene — powiedziała Mary, wymieniając najdalej położone osiedle.

— Jeślibym się pospieszył, dojadę tam w tydzień, ludziom z innych stron zabierze to przynajmniej dwa.

— Na jakim koniu? — zapytała Mary. — I jak daleko dotrze pan, zostawiając tu dziewczynę, gdy wolarze Travisów pojedą pana ścigać?

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

— Jaka jest pani propozycja?

Przyglądała mu się z zastanowieniem. Wreszcie powiedziała.

— No cóż, może pan to nazwać propozycją. Daję panu szansę uniknięcia konsekwencji pańskiego czynu. — Spojrzała na dziewczynę, która owinęła się teraz dokładniej czerwoną sukienką. — Chodzi mi o honor doliny. Chcę wypędzić stąd na zawsze zło.

Jej głos stwardniał, gdy uniosła rękę i wskazała na stojącego przed nią mężczyznę i półsiedzącą, półkłęzącą dziewczynę, jakby ich odtrącała.

— Ożenisz się z nią u pierwszego pastora, jakiego napotkasz, i wyślesz na to dowód jej matce. Nie mnie. Ja już nigdy więcej nie chcę o was słyszeć. I zapomnę, że widziałam to, co zobaczyłam dzisiaj. Dam wam dwa konie, możecie też wziąć zapasy ze sklepu. Macie do tego prawo jako członkowie rodziny Travisów.

— Poza końmi daje nam pani tylko rady, a te nic nie kosztują — powiedział Bill Soames. Czuł, że kierują nią jakieś ukryte powody.

— W tym sklepie nie ma nic, co by się przydało kopaczowi.

— Dam wam dość pieniędzy, by wystarczyło na narzędzia. Ale chcę, żebyście oboje odjechali, i to szybko. W innym przypadku wracam i wykrzyczę wszystko, co tutaj widziałam. Wtedy nie znajdziesz złota ani nie otrzymasz pomocy.

Otworzyła torbę i wyciągnęła woreczek z pieniędzmi. Przez chwilę trzymała go na ręce, jakby ważąc jego ciężar.

— Przyszła pani znakomicie przygotowana do zakupu cytrynowego kordiału — powiedział Bill.

W jego głosie zabrzmiała drwina, ale przygłuszył ją strach. Nigdy dotąd nie bał się żadnej kobiety.

W tym momencie zrozumiał, że go wykorzystała. Popchnęła go do dziewczyny. Oboje zostali oszukani przez tę starą jędzę. Ale to nie miało znaczenia, pomyślał nerwowo, jeśli chciała za to zapłacić.

Spojrzał na woreczek, który mu podawała, potem sięgnął po niego.

— Niech pan wybierze dwa konie spośród tych, które się poją. Ale może pan wziąć tylko któreś z pociągowych, niech pan nie rusza rozplodowych — powiedziała Mary krótko. — Nie chcę żadnych awantur o zaginione konie. Musicie zniknąć na długo przed zakończeniem zabawy. Im szybciej, tym lepiej, przed wami daleka droga. — Głos jej się na chwilę załamał. — Znajdziecie księdza w Cooma Village. Od waszej decyzji zależy, czy pojedziecie na południe do Wiktorii, na złote pola, które już pan poznał, czy też ruszycie za zachód, w dziki kraj. Wiktorii może być lepsza.

— Po siedmiu latach kopania, nazwałbym się szczęściarzem, gdybym znalazł cokolwiek — odparł Bill. — Carruthers twierdzi, że straciliśmy swoją szansę już dawno temu. Dlatego zostaliśmy tutaj. Ale w Giandarra możemy jeszcze mieć szczęście. Im dzikszy kraj, tym większa szansa. — Parsknął wymuszonym śmiechem, po chłopięcemu udając bohatera. Bał się. Mówię za dużo, pomyślał. Lepiej, żeby nie wiedziała na pewno, którą drogę wybieram.

— To pańska decyzja. I pańska odpowiedzialność — powiedziała Mary. Odwróciła od niego wzrok. — Wychodząc, zamknijcie sklep. Ludzie powinni myśleć, że nie mogłam się do niego dostać. O was dowiem się dopiero od innych. — Spojrzała na Jen. — Zostaw wiadomość matce. Po prostu napisz jej, że uciekłaś, żeby poślubić Billa Soamesa.

— A jeśli ona nie będzie chciała ze mną jechać? — zapytał Bill, spoglądając ku Jen, która w milczeniu śledziła rozmowę. Oczy miała okrągłe ze zdziwienia, o płaczu już całkiem zapomniała.

— Radził już sobie pan z kobietami, prawda? — zapytała w odpowiedzi Mary.

Stała przez chwilę, spoglądając na woreczek z pieniędzmi w dłoni cieśli.

— Niegodne jest, by grzech się opłacał, ale w tej sprawie widać palec boży i nie moją rolę jest poddawać w wątpliwość Jego wyroki.

— Nawet bożą rękę wykorzysta — mruknął Bill patrząc, jak Mary Colebrook schodzi ze wzgórza. — Popchnęła mnie do dziewczyny, a potem napuścił na mnie wolarzy Travisów i jeszcze sama stanie z nożem, żeby pomóc obciąć mi jaja. Jezu, jeśli nigdy w życiu jej nie spotkam, to i tak będzie za wcześnie.

* * *

Mary znowu spacerowała pomiędzy paniami, częstując je herbatą na ocienionej werandzie. Chris podszedł do matki.

— Czy widziałas się z Jen i rozmawiałaś z nią?

— Nie. I nie przyniosłam też cytrynowego kordiału. Sklep był zamknięty — spokojnie patrzyła na niego. — Musisz się nauczyć, że nieraz kobieta chce być sama. Usłyszysz o niej niebawem.

Poszła dalej roznosić mocną, ciemną herbatę. Jenny wzięła od niej filiżankę.

— To pierwsza filiżanka herbaty, którą mi proponujesz po tylu latach wspólnego życia w dolinie — powiedziała. — Mocna. Buszmeńska herbata. Sama taką robię. Chociaż powiedziałabym, że moja jest mocniejsza.

— Gdzie jest ojciec? — zapytał Chris, dołączając do Mary.

— Nie widziałam go od jakiegoś czasu — odpowiedziała zaciskając mocno usta.

— Od jakiegoś czasu — szepnęła Jenny. I dodała z uśmiechem. — Zebrało się tu dzisiaj spore grono ludzi, ale wydają się raczej twoimi znajomymi, nie Samuela.

— Mój mąż woli towarzystwo rodziny niż ludzi z zewnątrz. Nie należy do tych, co łatwo się zaprzyjaźniają.

Jenny w ostatniej chwili ugryzła się w język. To nie był odpowiedni dzień na złośliwości.

— Dałaś Chrisowi dobry start — powiedziała uprzejmie. — To pewne. Mimo różnic, jedno nas przecież łączy. Obie chcemy tego, co najlepsze dla naszych dzieci.

Mary w milczeniu odeszła z tacą.

Z werandy zobaczyła dwoje jeźdźców, kierujących się w stronę wyjazdu z doliny. Spod kopyt galopujących koni unosił się kurz, prawie zasłaniając trzeciego, ciężko obciążonego wierzchowca.

Jenny rozglądając się po zebranych zastanawiała się bez zbytniego zaciekawienia, któż to zdecydował się odjechać w takim pośpiechu.

9.

U drzwi rozległ się ostry dźwięk.

Jenny zaciągnęła zasłony, broniąc dostępu popołudniowemu słońcu, muchom i pyłkom kurzu wznoszącym się pod kopytami koni, niosących wolarzy, którzy powracali z farmy Colebrooków.

Pete i Charlie kiwali się w siodłach, kompletnie pijani. Konie prowadził za uzdę trzeci jeździec, Carruthers, pracownik Colebrooków.

W chwili gdy Jenny zaciągała zasłony, spojrzawszy w stronę domu i zauważyła nagłą zmianę wyrazu jego twarzy. Ale postać wolarza, podobnie jak muchy i blask słoneczny w jednej chwili zniknęły.

Bardziej święty od samego Pana, pomyślała Jenny, zapalając lampę. Święci Mary i Samuel, a nawet ich cholerny wolarz Carruthers. Pete i Charlie trafiliby do domu bez pomocy. Konie znały drogę.

Doszedł ją z zewnątrz głos Jazona, który doradzał mężczyznom, żeby zeszli z koni, zanim z nich spadną.

Znowu usłyszała brzdęk, wezwanie, na które nie odpowiedziała przed pięcioma minutami. Uświadomiła sobie, że to mosiężny trójkąt przy drzwiach.

Czekała, by Jody otworzyła drzwi. Potem przypomniała sobie, że dziewczynki jeszcze nie ma w domu, gdyż uparła się, że wróci z zabawy na piechotę.

Jenny zmarszczyła brwi. Nikt nigdy nie używał drzwi frontowych.

Przeszła powoli holem, szykując się na kolejne spotkanie z obcymi. Nie wiadomo po co szwendali się jeszcze w dolinie, zamiast wrócić do siebie. Jak na jeden dzień miała ich zdecydowanie dość.

Otworzyła drzwi i ku swemu przerażeniu zobaczyła w nich Jonathana.

— Czy mogę wejść? — Głos też należał do Jonathana, twardy, bezdźwięczny, przytępiony.

Jenny głęboko westchnęła, wciągając w płuca gorące, pyliste powietrze.

— Mam dla pani list. Wyciągnęła rękę. — Czy mogę wejść? — tym razem w głosie dało się słyszeć naleganie.

Skinęła głową, odstąpiła na bok i wreszcie zdołała się odezwać.

— Wejdz, Chris. Mogłeś oddać mi list u was na przyjęciu, zaoszczędziłbyś sobie fatygi. — Zwykle słowa, brzmiące normalnie, wypełniły pustkę, jaką czuła wokół siebie. — Czy dostałeś go w Cooma Village, a może ktoś z nim przyjechał? Oczekiwałam listu z Sydney.

— Słowa, jeszcze więcej słów, fruwały wokół niej jak drobinki kurzu, które wdzierały się w ciemność korytarza, kiedy zamykała drzwi.

— Dlaczego przyszedłeś frontowymi drzwiami? Zawsze używasz kuchennych. No cóż, dzisiaj jest uroczysty dzień. Wejdzmy w takim razie do salonu.

Podążył za nią w milczeniu.

Zapaliła lampę na małym stoliku koło kominka. Nie zaoferowała chłopcu krzesła. Nie chciała, by zostawał na dłużej. Czuła się zmęczona, a rozmowa z Chrisem Colebrookiem nigdy nie była dla niej łatwa. Spojrzała na niego, uświadamiając sobie, że w ciągu minionych lat ledwie zamieniła z nim kilka zdań.

Nadal nie odzywając się słowem, wręczył jej list.

Spoza domu znowu dobiegł ją śmiech Jazona, tym razem bardziej oddalony, gdzieś z okolicy szafasu.

Wzięła list, nie spoglądając nawet na niego. Skinęła głową, uśmiechnęła się i czekała, żeby Chris już sobie poszedł. Zastanawiała się, czemu z tym zwleka. Może cieszy się chwilą spędzaną poza farmą Colebrooka, pomyślała. Korzysta z lada pretekstu, by stamtąd uciec.

— Usiądź — powiedziała. — Nie ma co tak stać. Zrobię herbatę. Obojgu nam się pewnie przyda.

Znowu zabrzmiał głos Jonathana, ten sam twardy ton, który prawie zapomniała.

— Wydaje mi się, pani Travis, że powinna pani przeczytać ten list.

Zerknęła na kopertę. Zobaczyła, że nie było na niej porządnie wypisanego adresu, tylko kilka słów, w dodatku była niezaklejona.

Jenny przeczytała list dwukrotnie, przytrzymując kartkę tuż pod lampą, która zawsze oświetlała jej papiery przy pracy. Przez chwilę czuła tylko gniew. Co za głupia smarkula, uciekać z takim nicponiem jak Bill Soames. Nie czuła straty, tylko gniew, który po części wynikał z zawodu, z irytacji i z bólu.

Spojrzała na Chrisa.

— Dlaczego Jen poprosiła akurat ciebie, byś przyniósł mi list? I w dodatku w otwartej kopercie. Przypuszczam, że go przeczytałeś.

— Przeczytałem. Znalazłem go w sklepie, gdy poszedłem szukać Jen. Myślałem, że nadal tam siedzi. Drzwi były otwarte. — Chris mówił z wyraźnym trudem. — A na kopercie tylko napis: „Od Jen”.

— Naprawdę? Nie zauważyłam — Jenny spojrzała na kopertę, która znalazła się już w koszu. Od Jen. Gdyby potrudziła się przeczytaniem słów na kopercie, od razu wiedziałaby, że to oznacza kłopoty. Córki rodzą się po to, by przynosić kłopoty. Wcześniej lub później. Nie ma co rozrywać szat tylko dlatego, że tym razem zdarzyło się to wcześniej.

Upuściła list na biurko i przypomniała sobie, że miała zaparzyć herbatę. Odwróciła się, by wyjść z pokoju, ale nim dotarła do drzwi, zapomniała, co miała zamiar zrobić.

Zawróciła do paleniska i zapatrzyła się na miskę z gałązkami gumowca stojącą dla ozdoby na ruszcie. Trzeba zmienić wodę, pomyślała. Musi przypomnieć Jo, że trzeba wyrzucać gałązki, zanim zaczną śmierdzieć. Nie ma nic gorszego niż smród stęchłych liści w wodzie.

Znowu doszedł ją śmiech Jazona. Zazwyczaj był poważnym dzieckiem.

— Pojadę za nią. Muszę ją zatrzymać — odezwał się Chris.

Głos Jonathana znowu wypełnił pokój, w którym jej mąż nigdy nie postawił nawet nogi. Dom, który miał zbudować. Ale nigdy nie zbudował. Nigdy. W chwili gdy zjawił się w dolinie, jego budowanie należało już do przeszłości, a on nawet o tym nie wiedział. A może wiedział. Może od samego początku wiedział, że wszystkie jego budowle należą do przeszłości. Odeszły. Skończone. Nigdy wcześniej tego nie rozumiała, ale teraz nagle usłyszała to w jego głosie.

— Może powinienem się o nią bić. Odebrać mu ją.

Jenny odwróciła się w stronę Chrisa i spojrzała na niego. Teraz uświadomiła sobie też inne sprawy. I nagle wydało jej się, że prawdziwa wiadomość, jaką otrzymała, pochodzi od Jonathana, prosto z grobu. Nie miała nic wspólnego z Jen. Najważniejsza wiadomość widniała na

twarży posłańca, była w jego głosie, nie w liście, który jej przyniósł. Twarz Chrisa stała się bardziej twarzą Jonathana niż kiedykolwiek przedtem. Przez wszystkie ich wspólne lata Jonathan tak właśnie na nią patrzył. Jego spojrzenie było puste.

Spoglądała na Chrisa parę godzin wcześniej i widziała w nim młodego Jonathana. Szczęśliwego i pełnego nadziei na przyszłość. Po prostu młodzieńczego. Ale teraz na twarzy chłopca pojawiło się spojrzenie ojca, które nie miało nic wspólnego z wiekiem. Tak wygląda głęboko zraniony człowiek. Dlaczego chłopiec zmienił się tak nagle? Nigdy dotąd nie rozumiała tak całkowicie tego spojrzenia. Ono należało do kogoś nieżywego. Do tej pory nie rozumiała, co czuł Jonathan przez wszystkie spędzone razem z nią lata. Zraniony wewnętrznie. Toczyła go choroba. Nie tylko wtedy, gdy wokół pojawiali się czarni. Albo kiedy na świat przychodziły córki zamiast oczekiwanego syna. Nie tylko w pewnych momentach ich wspólnego życia. Przez cały czas.

Miała wrażenie, że wiatr przelatuje przez jej myśli, wywiewając pajęczyny z ciemnych zakątków, odsłaniając rzeczy, które kryła nawet sama przed sobą.

Nigdy nie zrozumiała, dlaczego Jonathan się z nią ożenił. Wykształcony człowiek związał się z taką kobietą jak ona. Nie wyedukowaną. Widział ją tylko z dobrej strony, a ona ciężko pracowała, żeby jak najlepiej sprostać jego wymaganiom. Ale nigdy nie stała się dla niego wystarczająco dobra. Teraz to sobie uświadomiła. Lecz coś osiągnęła. Nauczyła się lepiej mówić. Gotowa była przyjąć każdą wiedzę, jaką on chciałby jej dać. W ciągu tych dziewięciu lat powtarzała sobie nieraz, że gdyby tylko miała więcej czasu, to by się udało. Gdyby tylko żył dłużej i dowiedział się, że ma syna.

Ale to nie ona go zraniła. Wyraz bólu malował się na jego twarzy już wtedy, kiedy go po raz pierwszy zobaczyła, był częścią Jonathana. Zrozumiała to dopiero w tej chwili. Nie ona go zraniła. Ale też nie umiała pocieszyć. Nie ukoїła bólu. Dołożyła się do niego. Przy niej rana jego powiększała się.

Jakby wiedząc, kim była, poślubił ją, aby się samemu ukarać... Nie chciała o tym myśleć.

Gdyby tylko dożył chwili narodzin syna, może ból by ustąpił. Ale przecież wiedział, że ma syna. Syna Mary.

Chłopiec mówił coś do niej.

— Czy mógłbym pani przynieść szklankę wody? Przeżyła pani szok. Proszę usiąść.

— Nic mi nie jest, Jonathanie. Nic mi nie jest.

Nie zdawała sobie sprawy, jakim imieniem go nazwała. Tak samo jak kilka chwil później nie czuła kubka z wodą, który włożył w jej rękę, przytrzymując, by nie wysunął się z odrętwiałej dłoni. Nagle oprzytomniała i odstawiła kubek.

— Mówiłam już. Nic mi nie jest.

— Myślę, że powinna pani usiąść. A jeszcze lepiej będzie, jeśli się pani położy. Jest pani bardzo blada.

Wpatrywała się w Chrisa Colebrooka. Stał obok, zwracając ku niej twarz Jonathana.

— Dlaczego tak patrzysz? — zapytała.

— Jen... — wyszeptał. — Myślę, że nic by się nie stało, gdybym nie powiedział matce o Jen.

— O czym ty mówisz? Co twoja matka ma wspólnego z moimi dziećmi? Nic twojej matce do mojej rodziny i moich dzieci. To jest moja rodzina. Moja i Jonathana! Nie ma nic wspólnego z twoją matką. — Słowa wylatywały z niej gwałtownie, plotąc sieć, która miała schwytać nieżywego mężczyznę.

Zapagnęła uciec: od chłopca o twarzy Jonathana, od myśli kłębiących się jej w głowie i układających się w stopnie prowadzące coraz wyżej i wyżej do nie chcianej prawdy. A może raczej coraz niżej. Nie mogła znieść widoku chłopca, który wyglądał jak Jonathan. Zbyt wiele przypominał. Więcej, niż chciałyby wiedzieć. Jonathan, angielski dżentelmen, żeni się z bękartem zesłanej do Australii dziwki, dziewczyną, która podaje do stołu w karczmie w pobliżu Rocks. Nigdy nie zrobiłby czegoś takiego, gdyby nie był już przedtem głęboko zraniony. Tak głęboko, że nie dbał o to, z kim się żeni. Zraniony, ponieważ nie mógł mieć kobiety, której pragnął, ani syna, którego by mu dała.

Taka była prawda, pomyślała Jenny. Taka była cała prawda. Jonathan cenił tylko jedno ze swoich dzieci. I nie było to ich wspólne dziecko. Nie cenił żadnego, które ona urodziła.

— Nie uciekaj przed najbardziej niechcianą myślą — powiedziała Jenny powoli i z uwagą. — Bo wtedy na jej miejsce przypełni inna, równie nie chciana, i zapełni jej miejsce.

— Nie zrobię tego — odparł chłopiec. — Nie mógłbym. Nigdy nie zdołam zapomnieć o tym. Nie myślałem, że Jen może zrobić coś takiego.

Jen. Jen uciekła z Billem Soamesem. Pokazała, że jest dziwką, tak jak się tego spodziewał Jonathan. Jonathan twierdził, że wszystko zależy od krwi. Mówił o koniach, ale przez cały czas wiedział. Nie można zapomnieć, skąd się wyszło.

— Nie patrz tak! — krzyknęła Jenny. — Jeśli masz zamiar coś powiedzieć, to powiedz. Zrzuć ciężar z piersi. No, dalej.

— Moja matka poszła do sklepu jakiś czas potem, jak pani odeszła tam Jen. Mówiła, że chce kupić cytrynowy kordiał. — Chris potrząsnął głową. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa więcej.

Cytrynowy kordiał. Jenny z trudem powstrzymywała rosnący w niej dziki śmiech.

Chłopiec przełknął z trudem.

— Powiedziała, że idzie po cytrynowy kordiał — powtórzył — Ale zauważyłem, że wzięła ze sobą duży woreczek pełen pieniędzy. Myślę, że matka zapłaciła Billowi Soamesowi, żeby zabrał Jen z doliny. Nie chciała, żebyśmy się pobrali. Matka ma co do mnie inne plany.

— Jen i ty? — nagle piskliwy głos Jenny wypełnił cały pokój.

Odwróciła wzrok od twarzy chłopca i zapatrzyła się na nierówną, kamienną ścianę. Sterczały z niej ostre krawędzie skał, tak samo ostre jak jej język. Szorstki, połamany granit, lśniący złotymi iskrami w świetle lampy.

Jonathan wciąż przeszkadzał, stawał pomiędzy nią a chłopcem i tym, co mu chciała powiedzieć. Nakazywał jej chronić Chrisa, tak jak sam go zawsze ochraniał.

To dlatego Jonathan się z nią ożenił!

Aby chronić chłopca!

Nie miało znaczenia, kogo poprowadził do ślubu, byle tylko miał w swej chacie żonę, by Samuel Colebrook nie musiał się zamartwiać i zastanawiać. Matka chłopca musiała być nadal szanowana, gdyż w przeciwnym razie cień padłby na jego syna. Żona, byle jaka żona, nawet złej krwi, i byle jakie dzieci, które mu urodzi. Po to, aby mógł mieszkać w dolinie, niedaleko chłopca.

Gdyby nie Chris, w ogóle by się z nią nie ożenił. W głębi serca i duszy nigdy tego nie zrobił. Po prostu dał posługaczce inną pracę. Miała chronić jego syna.

Wydawało jej się, że tonie. Dom, a potem cała dolina zamieniły się w jezioro, ona zaś opadała na dno, nie mogąc złapać oddechu.

W ostatniej chwili Jenny uchwyciła się wspomnienia o Mike'u Donohue. O tym, co mówił, i co ona mu mówiła.

— „Musiał cię namiętnie kochać, Jenny”.

— Myślę, że wcale mnie nie kochał, ale małżeństwo z nim to było coś więcej, niż mogłam oczekiwać od życia.”

Słowa nie miały znaczenia. Ale to, co się kryło za nimi, tak. Wiedza i czułość. Mike Donohue wiedział, czym była, i nadal zależało mu na niej. Nie musiał być zraniony, aby zaakceptować ją, i nie prosił jej o poślubienie tylko po to, by chronić kogoś innego.

Z trudem łapiąc oddech, wydobyła się na powierzchnię. Pierwszy raz od wielu lat poczuła świeże powietrze w piersi.

— Czy dobrze się pani czuje? — usłyszała głos Jonathana.

Roześmiała się. Śmiech wzbił się jak białe mewy, które latały swobodnie ponad morzem.

Była wolna. Ona, Jenny Garnett, wreszcie uwolniła się. Uwolniła się od nieżywego mężczyzny, w którego buty wskoczyła. Jonathan Travis był martwy i pochowany, i gnił w swym grobie. Nic mu już nie była winna. Uwolniły ją dwa słowa. Nie — dla Jonathana Trávisa i kajdanów, które na nią nałożył. Tak — dla Mike'a Donohue, który wiedział o niej wszystko, co można było wiedzieć, a mimo to wciąż mu na niej zależało.

— Kobieta potrzebuje męża z krwi i kości, który wie, że i ona jest z krwi i kości — Jenny zdała sobie sprawę, że powiedziała to na głos, dopiero gdy usłyszała swoje słowa.

Wymierzyła policzek Jonathanowi.

Białe oblicze Chrisa poczerwieniało. Jego usta poruszały się, jakby chciał coś powiedzieć.

— Wiem, że nigdy mnie pani nie lubiła, pani Travis. Wiem, że obwinia mnie pani za to, co się stało panu Travisowi. Nawet nie chce pani utrzymywać stosunków z moją rodziną. Wiem to. Może dlatego moja własna matka...

— Co matka ci powiedziała? Pytałeś jej, prawda?

— Próbowałem. Kiedy znalazłem list, wróciłem do domu. Zacząłem szukać matki, by jej go pokazać i zapytać, co zrobiła. Ale nie mogłem nic sensownego z niej wyciągnąć. Znalazłem ją przy kapliczce. Płakała. Mówiła coś o grzechach ojców, za które zapłacą dzieci. Nic z tego nie rozumiałem. Kiedy płacze, trudno ją zrozumieć. Ona często płacze.

Jenny usiłowała sobie wyobrazić płaczącą Mary. Tam gdzie nie mogła jej zaprowadzić wyobraźnia, dopomogła pamięć. Ujrzała płaczącą własną matkę.

Millie Garnett płakała nad ciałem swej przyjaciółki Gertie Garter. Stojący koło niej, ksiądz i zupełnie nie rażący w tym pstrokatym jednopokojowym burdelu, udzielał ostatnich namaszczeń nieżywej kurwie i mówił, że to, co w człowieku prawdziwe, ujawnia się w godzinie śmierci. A Millie Garnett wciąż zabezpieczona powiedziała:

— Ta głupia dziwka, z tego co widzę, wcale nie wygląda inaczej. Wygląda tylko na nieżywą. — Za to Jenny, która zerknęła spod spódnicy matki, zauważyła różnicę. Gertie wyglądała na młodą, szczęśliwą i czystą jak anioł.

Jenny przez chwilę zastanowiła się, jak wyglądał po śmierci Jonathan, kiedy jego nie wypowiedziane myśli zostały wymazane, a on wreszcie znowu był sobą.

„Pewnego dnia, kiedy już będziemy przez jakiś czas małżeństwem i poznamy się lepiej, może i ja opowiem ci o sobie.” Ale nigdy tego nie zrobił.

— Kiedy przeczytałem list, pomyślałem, że o wiele lepiej byłoby, gdyby pan Travis mnie uratował. Gdyby się o mnie nie martwił, nic by mu się wtedy nie stało i mógłby teraz dbać o Jen. Nie zostawiłby pani samej z pracą i dwiema dziewczynkami, które muszą się o siebie troszczyć.

Teraz już chłopiec mówił znowu swoim własnym głosem. Młodzieńczym, zranionym, ale głosem żywego człowieka. Mogła jaśniej myśleć.

Gdyby nie martwił się o ciebie, pomyślała Jenny, w ogóle nie byłoby żadnej Jen. Ani Jody. Ani Jazona. A ja nie byłabym wdową. Najprawdopodobniej byłabym martwą dziewczynką, leżącą w rynsztoku Lower Rocks z poderżniętym gardłem. Uratował nas oboje.

Być wdową po Jonathanie Travisie to przywilej. Nawet gdy się było żoną-służącą, której zapłacono małżeństwem za pracę, nawet to był dar. Tamten ksiądz nazwałby to odkupieniem...

Wspomnienia o Lower Rocks odpłynęły, a chłopięcy głos mówił nadal o śmierci i umiarami.

Powtarzał się, jakby w strachu, że nie słyszała go za pierwszym razem, pomyślała Jenny. Jakby przeprosiny, że żył, wszystko wyjaśniały.

— Wiem, że wini mnie pani za to, co się stało, pani Travis. Sam siebie winię. Wolałbym, żeby to ja spadł do wąwozu, a nie on.

Sama sobie tego życzyła. Spoglądając na nowo narodzonego Jazona, słuchając drżącego głosu Samuela, modliła się, by Chrisa nie było na tym świecie. Modliła się, aby umarł i zniknął na zawsze z jej życia.

Odwróciła się i spojrzała na niego. I znowu spoglądał na nią Jonathan i podpowiadał, co powinna powiedzieć chłopcu. Nadal go chronił.

— Co za głupie gadanie — usłyszała siebie, tak jakby jej głos dochodził z wielkiej odległości. — Przestań obwiniać się za to, co przydarzyło się Jonathanowi Travisowi. Wydaje mi

się, że od dawna szukał skały, z której mógłby spaść. Ty nadałeś jego śmierci jakieś znaczenie. Dzięki tobie jego życie nie było całkowicie przegrane.

Chłopiec wstrzymał oddech.

Jenny uklękła przy kominku i zaczęła poprawiać gałązki gumowca w mosiężnej misie. Musiała mieć ręce i oczy czymś zajęte.

— Zaszokowałam cię, tak? Pewnie myślisz, że jestem twarda. No cóż, jestem. Dlatego nigdy nie mogłam zaprzyjaźnić się z miękką, płaczącą kobietą, jak twoja matka. A gdy już o niej mowa, to obarczanie ją winą za ucieczkę Jenny z Billem Soamesem jest kolejną cholerną głupotą. To była moja robota.

W tej chwili przypomniała sobie o liście.

— Nie spodziewałam się, że Jen tak po prostu z nim odjedzie — powiedziała — ale nie oczekiwałam nic lepszego. Od dawna okazywała mu zainteresowanie, a ja nie zrobiłam nic, żeby ją od tego odwieść. Zresztą nawet gdybym próbowała, nic by to nie dało. Jen niekiedy tak bardzo mnie przypomina, musi postawić na swoim. — A co gorsza, zbyt często przypomina też moją matkę, pomyślała Jenny. — Dobrze, że się jej pozbyłeś, choć przykro mi mówić tak o własnej córce. Twoja matka miała powody, dla których nie chciała jej za synową. — Dłonie Jenny wciąż błędziły pomiędzy liśćmi. — Miała.

Teraz już mogła znowu spojrzeć na chłopca. Chris przecesał włosy gestem Samuela Colebrooka. Jenny uśmiechnęła się. Nie był całkowicie synem Jonathana, nie po dwudziestu jeden latach przebywania z innym ojcem.

— Wydaje mi się, że w dwudzieste pierwsze urodziny ojciec powinien być blisko syna — odezwała się. Nawet nieżywy od dziewięciu lat, umie przeprowadzić swoją wolę. Wróciła wzrokiem do gałązek. — Widziałam Samuela... widziałam twego ojca, jak szedł sam w stronę gór. Wyglądał na samotnego. Powinieneś go znaleźć i porozmawiać z nim, tylko ty i on. Ma prawo spędzić część tego dnia tylko z tobą.

— Chyba tak. Nie pomyślałem o tym. — Chris najwyraźniej nie był przekonany.

— Zawsze myślałam sobie, że Samuel jest bardzo dobrym ojcem. Lepszym niż większość.

— Znajdę go. Może będzie chciał porozmawiać. Zazwyczaj zbyt wiele nie mówi. — Przyglądał się jej klęczącej przy kracie, obrywającej uschnięte liście. — Przejdę się z nim. Dostrzymam mu towarzystwa. Ja chyba też nie chciałbym być teraz sam.

Jenny spojrzała na chłopca.

— Nie mów mu nic na ten temat. Zapomnij o tym albo wykorzystaj jako doświadczenie, dzięki któremu staniesz się bardziej dorosły, ale nie rozmawiaj już na ten temat. Tyle przynajmniej jesteś winien Jen. Razem dorastaliście w tej dolinie... — wzięła głęboki oddech. Musiała powiedzieć to przynajmniej raz, by pozbyć się goryczy, którą czuła w ustach — jak brat i siostra.

Teraz miałabym ochotę się upić, pomyślała po wyjściu Chrisa. Po raz pierwszy w całym moim życiu mam ochotę się upić.

Już żałowała co najmniej połowy z tego, co jej się wyrwało w rozmowie.

Rozejrzała się wokół po pustym pokoju.

— Czy jesteś zadowolony, Jonathanie? — krzyknęła. — Jesteśmy kwita.

Zamilkła, a w pokoju zapanowała dziwna cisza. Być wdową po Jonathanie Travisie to przywilej.

— Zapłaciłam za ten przywilej! — krzyknęła znowu. — Jonathanie! Czy mnie słyszysz? Teraz już jestem sobą, Jenny Garnett, i od tej chwili pozostanę sobą na zawsze.

Przez długi czas stała nieruchomo, nasłuchując, próbując rozpoznać wszystkie dochodzące ją dźwięki, ale było to tylko trzepotanie much o szyby okien.

— Dlaczego zapaliłaś lampy? Jeszcze nie jest ciemno na dworze?

W drzwiach stanęła Jody. Mówiła jak zapobiegliwa gospodyni, zamartwiająca się niepotrzebnym wydatkiem na naftę.

— A przy zamkniętych oknach i zaciągniętych zasłonach straszna panuje tu duchota — dodała.

— Chciałabym, żeby ten dzień szybciej się skończył — odparła Jenny.

Jednak odsunęła zasłony, otworzyła okna i pozwoliła, by światło, gorące grudniowe powietrze i muchy dostały się do wnętrza.

— Już niedługo busz zacznie się palić — powiedziała Jenny. — Czuję, że to nadchodzi. Niektórzy mówią, że pożary spowodowane są cynkowymi dachami. Tak strasznie nagrzewają się od słońca, że spadające liście zapalają się, a potem lecą dalej i przenoszą ogień na krzaki i drzewa. Czarni nigdy nie powodowali tylu pożarów.

— Goście wcześniej wyszli z przyjęcia — skarżyła się Jody. — Moja koleżanka opowiadała mi, że ich zabawy trwają nieraz do późna. Tańczy się i śpiewa cały wieczór.

— Niektórzy wyjechali wcześniej niż reszta. Twoja siostra też odeszła. Odeszła na dobre. Uciekła z Billem Soamesem.

Jody westchnęła, a potem zaczęła płakać.

— Przykro mi — powiedziała Jenny. — Powinam była ci to powiedzieć oględniej. Nie wiedziałam, że byłaś tak bardzo przywiązana do Jen.

— Co powiedzą ludzie, kiedy się dowiedzą? Tylko złe dziewczyny uciekają z mężczyznami. Słyszałam, co się mówiło o jednej takiej z Cooma Village. Że jej reputacja jest zszargana. A kiedy zapytałam mojej koleżanki, co ma na myśli, powiedziała, że to zbyt okropne, by w ogóle o tym mówić i dlatego ludzie tylko szepczą na ten temat i już nikt nie rozmawia z jej rodziną. Nie chcę, żeby moja koleżanka dowiedziała się, że mam taką siostrę.

— A jak się nazywa twoja koleżanka?

— Zapomniałam ją zapytać — odpowiedziała posepnie Jody.

— W takim razie nic się nie stało. Ona też zapewne zapomniała dowiedzieć się twojego nazwiska. Nie ma się czym przejmować. A poza tym opinia twojej siostry nie będzie zszargana. Jen wychodzi za mąż za Billa Soamesa.

Dobra wieść warta jest powtórzenia, pomyślała Jenny. Może Jen wierzy, że on się z nią ożeni, ale ja bym nie dała za to dwóch groszy.

Jazon nadszedł od strony ogrodu i stanął w drzwiach.

— Czy pojedziemy na jej ślub? — zapytał. — Będziemy mieć kolejną zabawę?

— Nikt nas nie zaprosił.

— To dobrze. Nie lubię specjalnie zabaw. Chris chyba też nie. Minał mnie na koniu i nawet na mnie nie spojrział. Wydawało mi się, że płacze. Nie sądzę, żeby lubił zabawy.

Jazon przyglądał się niespokojnie matce.

— Nie będziesz się złościć na Pete'a i Charlie'ego, co? — zapytał. — Spili się jak świnię. Pan Carruthers przywiózł ich do domu i powiedział, że schlali się niby wieprze. Pani Colebrook dała im wszystko, co niektórzy mężczyźni przywieźli na zabawę. Powiedziała, że na Farmie Colebrooków nie ma miejsca na żaden diabelski napitek.

— Pani Colebrook jest dzisiaj w nastroju do dawania prezentów. Już sporo ich rozdała.

— Mnie nic nie podarowała — powiedział Jazon.

— Mnie też nie — w głosie Jody na nowo zabrzmiał smutek.

Obojgu wam podarowała siostrę-kurwę, pomyślała Jenny, ale nic nie powiedziała. Rozbolała ją głowa.

— Kiedy Jen zjawiała się w tej czerwonej sukience, panowie się śmiali. Pan Carruthers też się śmiał. Sama słyszałam — zielone oczy Jody spoglądały uważnie jak oczy kota. — Słysza-

łam, jak pan Carruthers powiedział: „Jaka matka, taka córka”. Ale przecież nigdy cię nie widziałam w czerwonej sukience.

Jenny przyłożyła dłonie do pulsujących skroni. Ból ścisnął obręczą jej głowę, wdzierał się płomieniem w oczy.

— Moja koleżanka powiedziała, że jej mama tylko siedzi w domu i przyjmuje inne panie podczas popołudniowej herbaty — dodała Jody.

— Słyszałem, jak pan Carruthers powiedział, że wszystkie damy są grube niczym świnie — skomentował Jazon. — Może dlatego są takie grube, że nic nie robią.

— Kiedy dorosnę, chcę zostać damą — oznajmiła Jody. — Nie sądzę, żeby Jen chciała zostać damą. Damy wychodzą za mąż w białych sukniach, a ich rodziny i znajomi płaczą w kościele. Tak powiedziała moja koleżanka. Przyjemnie jest mieć koleżankę. Kiedy odjechała, już nie było tak samo. Jej rodzice nie chcieli zostać dłużej, więc musiała pojechać. A teraz pewnie nigdy jej nie zobaczę.

— Najprawdopodobniej nie zobaczysz też nigdy swojej siostry. To bardziej powinno cię obchodzić — powiedziała Jenny.

— Mogę nigdy jej nie zobaczyć. Wcale o to nie dbam. Nie chcę, by moja koleżanka dowiedziała się, że mam siostrę, która uciekła z mężczyzną. Moja koleżanka mogłaby pomyśleć, że nie jesteśmy porządną rodziną — Jody zamilkła na chwilę. — A my jesteśmy porządną rodziną, prawda?

— Prawdopodobnie jedną z najlepszych w tych stronach — odparła Jenny.

— Tak właśnie jej powiedziałam — wyznała podniesiona na duchu Jody. — Moja koleżanka powiedziała mi, że została bardzo odpowiednio wychowana i jej matka też była bardzo odpowiednio wychowana, ponieważ babka jest wielką damą z Sydney. Moja koleżanka mówiła, że mama zabiera ją bardzo często do Sydney z wizytą do babci — głos Jody zabrzmiał teraz dumą. — A ja jej powiedziałam, że ty też pochodzisz z Sydney, i moja babcia również tam mieszkała, tylko umarła. Szkoda, że umarła, prawda? Byłoby miło, gdyby jeszcze żyła. Wtedy moglibyśmy pojechać do niej z wizytą do Sydney i może ona by знаła babcię mojej koleżanki, i wtedy mogłabym się z nią znowu zobaczyć.

Jenny nagle rozplakała się. Oparła głowę o blat biurka, a łzy kapały na rozrzucone papiery.

Jazon podbiegł do matki i opiekuńczo otoczył ją ramionami.

— To przez tę zabawę — wyszeptał do Jody. — Wszyscy teraz płaczą.

Jody spojrzała na niego z powątpiewaniem.

— Moja koleżanka mówiła mi zupełnie co innego. Opowiadała, że ludzie płaczą na ślubach, nie na zabawach. — Nagle jej dziecięcy głos stwardniał. — A ponieważ Jen uciekła i nie miała porządnego ślubu, nie widzę powodu do płaczu. Ja zostanę damą i na moim weselu ludzie będą płakać.

Jenny podniosła głowę.

— Jeśli nie zamkniesz swojej cholernej buzi, Jo, nie pożyjesz wystarczająco długo, by mieć jakikolwiek ślub. A teraz marsz do kuchni obierać ziemniaki, czy co tam masz do roboty. To, co dzisiaj usłyszałam, wystarczy mi do końca mojego cholernego życia.

Ale kiedy Jazon skierował się także do wyjścia, Jenny przytrzymała go, otaczając ramieniem. Nie warto mieć córek. Millie Garnett miała rację. Córki rodzą się, aby ściągać cierpienie na siebie i innych. Kłopoty z obu końców, tak zawsze mawiała Millie Garnett. Z jednego końca dziura na słowa, z drugiego na bękarty. Córek po prostu mieć nie warto. Z synami to zupełnie inna sprawa.

Pastor w Cooma Village był pijany jak bela. Bill Soames znalazł go w pubie w towarzystwie czarnego. Pastor twierdził, że nawracał poganina na chrześcijaństwo. Śmiał się, że udaje się to tylko wtedy, gdy buszmen jest pijany.

— Nie ma w nim chrześcijańskiego ducha — krzyczał pokazując aborygena wszystkim w pubie. Towarzystwo bawiło się znakomicie. — Nazywa się Tom Ingly. Chodź no tutaj, Tom. Pij swój rum.

Podczas udzielania ślubu pastor był ciągle jeszcze niezbyt przytomny. Toczył wokół przekrwionymi oczyma, z trudem koncentrując się na stojącej przed nim parze. Jen spoglądała w te oczy, ledwie słysząc słowa, które wypowiadał. Bill kilka razy trącał ją łokciem, żeby powtarzała mamrotanie pastora.

Teraz już była kobietą. Tak powiedział ten pijak. Kto oddaje tę kobietę? Te słowa wydoły się z ust w oparze whisky. Prawdziwy bimber, pomyślała Jen. Nie whisky ze słodkiego zacieru, jaki robiła jej matka. Prawdziwy bimber. Znała ten zapach. Pete i Charlie kupili kiedyś butelkę w Kirwin Inn na spróbowanie. Charlie'emu wylało się trochę na siodło i nie mógł potem go doczyścić.

— Ona sama oddaje siebie — odparł Bill, który odzyskał już pewność siebie. Przestał się bać pastora. Pijak zawsze jest pijakiem, choćby sobie nosił koloratkę.

Mieli dwóch świadków, wolarzy z pobliskiej farmy. Siedzieli w Kirwinn Inn razem z pastorem, kiedy Bill go znalazł i wyciągnął z baru do pokoju w głębi, by tam dokonać ceremonii.

— ... ogłaszam was mężem i żoną...

Pijany pastor uśmiechnął się, uroczystość została zakończona. Mężczyźni obłapiali Jen i całowali ją. — Musimy pocałować pannę młodą — twierdzili. A potem pastor pocałował ją także. Śmierdziało od niego obrzydliwie.

— Niech pani trzyma certyfikat ślubu, pani Soames — wymamrotał pastor, wręczając jej jakiś papier. — Ma pani pamiętać, że dała mu prawo do siebie.

Bill, wolarze i pastor zarechotali.

— Lepiej daj go mnie — powiedział Bill. — Muszę wysłać zaświadczenie twojej matce, pamiętasz?

To okazało się trudniejsze, niż myśleli. Żaden z wolarzy nie zamierzał się podjąć tego zadania. Pastor też nie miał ochoty się narażać. Nagle wytrzeźwiał.

— Jadę w kierunku południowej granicy — powiedział. — Ludzie czekają tam na dobrą nowinę. Żywi, nowo narodzeni i zmarli. Śluby, chrzty i pogrzeby, w tej kolejności. Ale jeśli się spóźnię, kolejność może ulec zmianie. Chrzty przed ślubami. A niekiedy pogrzeby zamiast ślubów.

Jego wzrok zatrzymał się na Jen, pierwszy raz zobaczył ją wyraźnie. Potrząsnął głową i spojrzał na Billa.

— Wielu takich jak ty trafia do ziemi — powiedział. — Ojcowie młodych dziewcząt są nieraz szybsi niż pastorowie. I wtedy jest pogrzeb zamiast wesela. Miałeś szczęście.

Wyciągnął rękę, czekając na przyrzeczone pieniądze.

— Cena, jaką wam podałem, jest uczciwa — oświadczył pompatycznie. — Tyle samo biorę za każdy ślub. Ani pierdnięcia więcej. Chciałbym, żebyś to zapamiętał.

Bill zapłacił mu z pieniędzy, jakie dostał od Mary. Potem pastor i wolarze poszli sobie, a Bill został sam z Jen.

— I co teraz? — zapytała Jen.

Bill roześmiał się.

— Teraz nic. Tu nie ma żadnego łóżka, a zresztą ja i tak nie jestem w nastroju. Małżeństwo zabiera chłopcę mężczyźnie. — Uśmiechnął się do niej z sympatią. — Dokończymy ceremonii porządnie w pościeli, tak jak należy, kiedy znajdziemy odpowiednie łóżko. Tak czy siak, już swoje dzisiaj dostałaś.

Spojrzał na dokument zaświadczający o ich małżeństwie, który wciąż trzymał w ręce.

— Muszę to posłać w jakiś sposób twojej matce, bo inaczej ta wiedźma Colebrook naśle na mnie wolarzy, jak obiecywała. — Przeniósł wzrok z papieru na dziewczynę. — Głupio słyszeć, jak na ciebie mówią pani Soames. Jedyna kobieta, do której się tak przy mnie zwracano, była moją matką. Czy potrafisz gotować, cerować i dbać o rzeczy mężczyzny i w ogóle zajmować się gospodarstwem?

Jen przytaknęła.

— Może wszystko się dobrze ułoży — powiedział Bill przyglądając się żonie. Nie była brzydką dziewczyną. A gdy kobieta jest w pobliżu, życie mężczyzny potrafi być przyjemniejsze. A w dodatku jej matka była nieźle urządzona i kiedy przyjdzie potrzeba, może się przydać. Dotknął woreczka. Jak skończą się pieniądze tej dziwki Colebrook, dobrze będzie mieć świadomość, że jest skąd wziąć więcej. Tak na wszelki wypadek. Nie był przecież utrzymankiem.

Jen usiadła na jednym ze stołków. Od tego wszystkiego trochę kręciło jej się w głowie. Przyszłość w dolinie, która jeszcze wczoraj wydawała się tak pewna i bezpieczna, rozplynęła się jak mgła.

— Gdzie pojedziemy? — zapytała.

— Daleko od porządnych łóżek, jeśli o tym właśnie marzysz, ale jakoś damy sobie radę. — Uśmiechnął się znowu, całkiem z niej zadowolony. — Wybierzemy się na zachód, tak jak wcześniej powiedziałem. Stara Colebrook myślała pewnie, że kłamię. Ale ona chyba nie łągała, a jeśli tam są złote pola, a gorączka właściwie się jeszcze nie zaczęła... — oblizał wargi. — Tak jak powiedziała, wyprzedzimy o głowę innych.

— Zastanawiam się, czy znaleźli już mój list — szepnęła Jen. — Ciekawa jestem, co mówią. — Może Chris spogląda na list właśnie w tej chwili albo jej matka mówi mu, co się stało.

— Nic nie mogą powiedzieć. Teraz jesteś mi już poślubiona. Tylko ja mam tu coś do powiedzenia.

— Może jak moja matka dostanie świadectwo ślubu, podrze papier i wtedy wcale nie będziemy już małżeństwem.

Bill zmarszczył czoło.

— Mogłaby coś takiego zrobić?

Jen wcześniej wcale tak nie myślała, ale po zastanowieniu uznała, że to możliwe. Przytaknęła.

— Gdyby uważała, że w ten sposób załatwi sprawę, zrobiłaby to.

— Nic by nie załatwiła, najwyżej mnie. To niczego by nie zmieniło. Pastor ma kopię dokumentu, też podpisaną przez nas wszystkich.

Powiedział, że będzie dołączona do oficjalnych ksiąg. Ale wcale bym nie chciał, żeby twoja matka wpadła w złość i podarła dokument, bo wtedy stara Colebrookowa mogłaby się nie dowiedzieć, że go wysłałem. Twoja matka powinna być mi wdzięczna, że zrobiłem co należy, ale z takimi kobietami jak ona nigdy nic nie wiadomo. Czytał dokładnie dokument.

— Zanim wyślę go twojej matce, zrobię dla siebie jeszcze jedną kopię. To właśnie zrobię. Wypisane są tu wszystkie prawnicze paragrafy, i kopia powinna być wystarczającym dowodem, żeśmy się pobrali.

Jen wodziła palcem po szklanym blacie stołu. Co jakiś czas rzucała okiem na Billa. Był wyższy od Chrisa i przystojniejszy. Wcześniej uważała, że jest stary, ale okazało się, że nie był aż tak sędziwy. Wcale nie dużo starszy od Chrisa.

— Jeśli bardzo chciałeś się ze mną ożenić, dlaczego mi tego nie powiedziałeś? — zapytała.

— Jezu, mam nadzieję, że nie należysz do tych kobiet, co miały po próbnicy ozorem. — Znalazł kawałek papieru i starannie przepisywał dokument.

— Musi ci się podobać małżeństwo ze mną, jeśli tak bardzo się starasz, żeby nie zostało zerwane.

— Robię to dlatego, bo nie życzę sobie, żeby ktoś polował na mnie przez cały czas, oto dlaczego. — Spojrzał na nią. — Lepiej to sobie zapamiętaj.

— Może sami powinniśmy jej zawieźć papier, jeśli nie znajdziemy nikogo, kto chciałby to zrobić — zaproponowała Jen.

— Nie ma mowy. Zanim bym zdążył im cokolwiek pokazać, już by mi obcięli jaja.

Jeny wydała dźwięk, który był czymś pomiędzy chichotem i płaczem. To, co mówił, wydawało jej się śmieszne, ale jego wulgarność ją przerażała.

— Znam kogoś w Cooma Village, kto zawiezie papier twojej matce. — Bill przypomniał sobie nagle. — Muszę kupić coś u handlarza koni, i wtedy go zapytam. Chyba się zgodzi. Zwłaszcza, że to on mnie wysłał do waszej doliny.

Staremu buszmenowi z baru udało się dobrać do stajni, gdzie upadł pod ścianą budynku.

Mike Donohue usiłował go otrzeźwić, pojąc czarną herbatą. Ale gdy aborygen zobaczył nadchodzącego Billa, odtrącił kubek, wstał — choć z trudem — i umknął w stronę osiedla.

Bill roześmiał się.

— Mój nos ich nie znosi i dobrze o tym wiedzą. Zawsze paskudnie śmierdzą, ale kiedy są pijani, to wprost nie da się tego smrodu wytrzymać.

— Dla nich prawdopodobnie my śmierdzimy jeszcze gorzej — powiedział Mike, spoglądając poza Billa na dziewczynę i konie.

— Możesz mi pogratulować, właśnie się ożeniłem — oznajmił Bill. I roześmiał się. — Ściągnij im tylko majtki, a już trzeba szykować obrączkę. — Postanowił zrobić z tego dobry żart. Nie zamierzał wspominać o pogroźkach ani łapówce — ...tak więc wreszcie zachowałem się jak należy — dokończył, ciągle się zaśmiewając. Męska gadka. — Gdybyś mógł zawieźć ten papier pani Travis, wynagrodziłbym ci fatygę. — Czując pieniądze w woreczku, Bill był w dobrym nastroju.

— Nie musisz mi płacić. Po prostu dalej zachowuj się jak należy. Dbaj o dziewczynę.

Bill poczerwieniał, rozpoznając w głosie Mike'a ton groźby.

— Ty martw się o swoje kobiety, ja zajmę się moją. — Nie miał zamiaru pozwolić, by jakiś koniarz mu rozkazywał.

Mike Donohue podniósł wzrok znad zmiętego dokumentu i odprowadził wzrokiem nowo poślubioną parę, kierującą się na północny zachód traktem w stronę Giandarra.

Biedna, zbłąkana mała dziwka, pomyślał patrząc na Jen jadącą na końcu, za Billem i koniem, na którym załadowany był ich cały dobytek.

Moja biedna Jenny, pomyślał chwilę potem, przypominając sobie ostatnią z nią rozmowę. Długo nie nosiłaś matczynego czepka.

Patrząc wciąż na zachodnio-północny szlak, Mike zobaczył starego, pijanego aborygena, na którego wołali Tom Ingly, a który upadając, podnosząc się i znowu upadając, kierował się w tę samą stronę, aż wreszcie zniknął w tumanie kurzu...

Tominglee próbował powrócić do swoich ludzi. Przebywał zbyt długo i zbyt blisko białego człowieka. Stał się wagga wagga, chory i otepiały. Nogi uginały się pod nim, a miał przed sobą długą drogę, podążając za Uloola od wschodu do zachodu.

Był Wolgolem, ci z jego szczepu, którzy przeżyli, przenieśli się na najdalsze obszary swego dawnego terytorium, za Giandarra, w pobliże wschodnich terenów szczepu Wiradjuri.

Zataczając się pokonał kawałek drogi, aż wreszcie upadł pod pobliskim drzewem. Znowu pociągnął z butelki, którą trzymał w ręku.

Uśmiechnął się do Uloola, słońca, które już wzniosło się wysoko ponad tereny jego ludu, dalej niż on mógł dotrzeć. Wtedy zamknął oczy i usnął.

Duchy powietrza były niespokojne. Przelatywały to tu, to tam, ostrzegając przed przyszłymi wydarzeniami. Biali nie potrafili ich usłyszeć. Członkowie plemienia nasłuchiwali i rozumieć przestrogi wyszeptywane przez wiatr i burzę, i szykowali się na czasy, które miały nadejść.

Dalej na południe, rozciągały się tereny plemienia Ngarigo. Jego przywódcy bardzo zestarzelili się od czasu wielkiego nieszczęścia, jakie dotknęło ich lud podczas pamiętnego pogromu. Szczep Ngarigo składał się teraz ze starców, kobiet i dzieci. Młodych myśliwych-wojowników stracił pierwszego dnia ostatniego polowania na ćmy bogong.

Wśród dorastających dzieci było wiele dziewcząt wkraczających w czas dojrzałości, a niewielu chłopców gotowych do męskiej inicjacji. Starsi czuli przeżyte lata, jak potężny ciężar. Zdecydowali, że wiele kobiet musi poszukać towarzyszy życia wśród mężczyzn innych plemion.

Pomiędzy dziećmi rodzaju żeńskiego plemienia Benong była jedna dziewczynka, Moamba, która urodziła się z ducha silnej rzeki. Przeżyła dwanaście lat i zim. Jej pierwszy kobiecy czas nadszedł i minął. Teraz czekała na decyzję, czy ma opuścić plemię.

Tej nocy przyszedł kurdatchi. Jego twarz, włosy i ciało pokryte były białą gliną, a do stóp miał przyczepione skrzydła emu. Zostawił u wejścia do jej gunyah wielką, białą mrówkę, inemongie.

Teraz już Moamba wiedziała, że musi opuścić swój szczep. Mogła odejść z jednym tylko ościeniem i patykami do kopania, będącymi narzędziami ułatwiającymi znalezienie pożywienia, żarnami do ścierania zboża na mąkę i koprowym workiem, w którym trzymała jedzenie. Mając jedynie skórę kangura, jako ochronę przed zimnem nocy, zostawiła swój gunyah i ruszyła za kurdatchi.

Wyprowadził ją z wioski, z niższych terenów aż na szczyty, gdzie przy kopcu siedział Benong.

Moamba odwróciła się pragnąc podejść do Benonga, ale kurdatchi położył zdecydowanym ruchem rękę na jej ramieniu, kierując jej kroki w dół doliny Ngaringa, tam gdzie znajdowały się tereny plemienia Wolgol.

Usnęła w miejscu, gdzie ją zostawił, zwinięta pod krzakiem, a kiedy nastał świt, ruszyła ścieżką wskazywaną przez Uloola.

Słońce zawędrowało już wysoko, kiedy Moamba zobaczyła starego Wolgola leżącego w cieniu krzaków, dzierżącego w dłoniach jakiś dziwny przedmiot, w którym odbijały się promienie słoneczne. Poruszył się, podniósł przedmiot do ust, i wypił, jakby był to bukłak na wodę.

Wagga wagga wanbidgee — przedstawił się jako chory człowiek.

Moamba wskazała na siebie i użyła innego słowa, wspólnego dla szczepów Ngarigo i Wolgol. Cumbingum, co oznaczało, że uciekła. Była zbyt zawstydzona, aby przyznać się, iż została odrzucona przez szczep.

Znalazła nasiona dzikiej akacji i zmeła je na mąkę. Pokręciła się między drzewami w poszukiwaniu korzeni roślin. Sama wykopała miejsce na ognisko, a stary człowiek zapalił ogień patykami. Potem usiedli razem i spoglądali na gotującą się strawę. Stary człowiek przyśnął.

Kiedy spał, Moamba wzięła jego dziwnie wyglądający pojemnik i dołała trochę wody do ognia, aby na parze jedzenie szybciej się ugotowało. Pojemnik na wodę był śliski, śliski jak lód, który mieszka w szczelinach górskich. Wypadł jej z rąk i rozbił się na kamieniach okalających ogień, zamieniając się w tysiące lśniących kawałeczków, które wyglądały jak gwiazdy na nocnym niebie. Woda musiała rozgniewać ogień, który gwałtownie wystrzelił w górę.

Stary człowiek obudził się, spojrzął na ogień i krzyknął jak Murzyniątko wrzucone do zimnej wody. Moamba siedziała struchlała ze strachu, nie czując płomieni liżących jej ręce i nogi.

Ale wtedy przyszedł ostry ból, jak tysiące ukłuć.

Stary mężczyzna zobaczył jej oparzenia i w jednej chwili przestał krzyczeć. Zrobił się tak delikatny jak kobieta. Wyszukał ptasie pióra wśród trawy, znalazł żerowisko pszczoł w krzakach akacji, przyczepił pióro do pszczoły, która zaprowadziła go do roju. Wrócił z miodem i opatrzył oparzenia Moamby, nadal równie łagodnie, jakby czyniły to kobiety.

Tej nocy powiedział jej, że może z nim zostać i być jego comboine. Leżeli razem pod nocnym niebem, ale Moamba zamknęła oczy. Nie chciała patrzeć na gwiazdy.

W czasie dnia szli razem, kierując się za Uloola. W nocy leżeli obok siebie, łącząc się w jedność. Młode ciało Moamby ogrzewało kości starego człowieka, a on był dla niej dobry.

Zanim nadszedł dzień, gdy śmierć, niczym żmija, cicha i nie zauważona, wślizgnęła się pomiędzy nich, Moamba wiedziała, że rośnie w niej dziecko ducha gniewnego ognia.

Nie знаła jego imienia, a ono powinno było przynależeć jej dziecku. Więc powiedziała mężczyźnie o tym, który miał się urodzić, i zapytała, czy zna imię gniewnego ognia.

Spoglądał na nią przez długi czas łagodnymi oczami i z uśmiechem. Potem podniósł wzrok w kierunku, gdzie Uloola, słońce, podnosiło się każdego ranka, w stronę miejsca, gdzie osiedliły się białe diabły, i zasmucił się. Złe wspomnienia powróciły cieniem na jego twarz. Wreszcie rozpogodził się znowu i skinął głową.

— Rum — powiedział.

Zza drzewa, o które siedzieli oparci, wysunęła się niosąca śmierć żmija. Sunęła pomiędzy trawą powoli, kierując się w stronę Moamby.

Uniosła głowę gotowa do zadania ciosu, ale wtedy stary człowiek ją zobaczył. Szybko, jakby wróciła mu młodość, rzucił się na żmiję.

Moamba złapała kamień, żeby zabić gada, ale stary człowiek wyprostował się i ochronił go.

Tominglee, powiedział stary człowiek, wskazując na siebie.

Tominglee, żmija śmierci, powiedział raz jeszcze, kładąc swą dłoń na głowie gada, który wypelzał spod jego ciała.

Moamba wiedziała więc, że urodził się z ducha żmii śmierci i dlatego nie może ona mu zrobić żadnej krzywdy. A kiedy żmija uniosła głowę, odsłoniła swój jadowity ząb i ukąsiła go, tylko się uśmiechnął.

Kiedy stary człowiek nie żył, wpół zaciągnęła, wpół zaniósła go do miejsca, gdzie w pniu drzewa była dziupla. Usiadła przy nim, owinęła go w korę i posadziła twarzą do słońca.

Posmarowała włosy białą gliną na znak żałoby i siedziała przez noc, lamentując przeraźliwie pieśnią osierocenia.

Ścieżką Ulooli szła teraz samotnie, ponieważ nie było już koło niej starego człowieka.

Potem przyszedł ogień i strach.

Białe diabły przyniosły Ziemi zły ogień, tak mówili starzy. Od ich domów zapalały się liście, a następnie ogień roznosił się wśród drzew.

Ogień był naszym przyjacielem, mówili starzy. Białe diabły uczyniły go także naszym wrogiem.

Moamba pamiętała płomienie gniewnego ognia, który palił jej ciało, i czuła coraz większy lęk.

Dym pokrył wzgórze i wypełnił doliny. W nocy Arana Kara-Kara, księżyc, stawał się ciemny w blasku ognia.

Wtedy Moamba usłyszała wołanie rzeki, które pokrzepiło ją. Szła za tym wołaniem i dotarła do szerokiego strumienia, który ją zapraszał.

— Ja jestem Moamba, duch rzeki — powiedziała do głębokiego nurtu i rzuciła się w objęcia wody.

Rzeka poniosła ją daleko.

Czasami Moambie wydawało się, że śpi i śni, a gdy zachłystywała się wodą, zapominała o śnie i dalej biła rękami w wodę.

Ocknęła się na trawiastym brzegu. Strumień płynął obok, ale już jej nie niósł. Doprowadził ją w miejsce, do którego teraz należała.

Wokół niej stali ludzie ze szczepu, patrzyli na nią, kiedy odzyskiwała świadomość.

— Jestem Wolgol — powiedziała im. — Jestem kobietą Tominglee. Przyjęli ją.

10.

W ostatnich dniach grudnia pięćdziesiątego ósmego roku temperatura podskoczyła powyżej jakiegokolwiek dotąd spotykanej. Przypiekła dolinę, a Jenny w pamiętniku opisała ją jako „cholerny upał”, a potem zanotowała „wszędzie pożary”. Temu żarowi i ofierze całopalenia wkrótce dorównało gorące pożądanie, przy czym duma Jenny została poważnie zraniona. A gniewu, który w niej płonął, nic nie mogło ugasić.

Po raz pierwszy od czterech lat Mike przyjechał do doliny.

Przeczytała dokument, który jej przywiózł, ale nic nie powiedziała. Milczała nadal, gdy Mike u jej boku walczył z pożarem na południowym stoku.

Obserwował ją, obserwował pożar i także nie odzywał się.

Ćmy bogong wypłoszone dymem wznosiły się ciemnymi chmurami ponad granitowe szczyty. Obojgu im przypomniało się lato pięćdziesiątego czwartego.

— Już nie ma tu czarnych, którzy je jedli — powiedziała wreszcie Jenny. — Ludzie zabijali czarnych, twierdząc, że oni przynoszą zło. Ale to biali są źli. Niewielu czarnych potrafi im dorównać. — Westchnęła głęboko i zakrztusiła się, ponieważ dym wypełnił jej płuca. Kiedy wreszcie przestała kasłać, spojrzała na Mike'a. Z jej oczu płynęły łzy. — Nie myśl, że płacę.

— Wiem, że nie — powiedział łagodnie Mike.

— To od dymu i kaszlu — stwierdziła. — Dawno temu poprzysięgam sobie, że nigdy nie będę już płakać. Nie złamię teraz tej przysięgi.

Dlaczego kłamię? — zastanawiała się. Z powodu dumy, oto dlaczego. Zbyt ciężko zdobywałam wszystko i nie mogę tego stracić.

Mike nadal się nie odzywał.

— Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz — powiedziała Jenny nie patrząc na niego. — Ale nie zostawię drugiej córki w sklepie, żeby ktoś ją złapał i zabrał, jakby była jeszcze jednym towarem na sprzedaż.

Ponieważ Mike nadal nic nie mówił, spojrzała na niego w popłochu.

— Muszę mieć kogoś do prowadzenia sklepu — dodała. — I nauczyciela. Już czas, by mały Jazon rozpoczął porządną edukację.

Zawsze tylko twój syn. Nie wypowiedziane słowa zawisły w rozprażonym powietrzu.

— Pewne małżeństwo pojawiło się ostatnio w Cooma Village — powiedział Mike. — Nazywają się McGovern. On pracuje w sklepie, ona jest nauczycielką. Spełniają wszystkie twoje wymagania.

— Spełnią, jeśli tu przyjadą. — Usłyszała niewypowiedziane słowa i zawrzała gniewem. — I masz rację. Niczego więcej mi nie potrzeba.

I to jest kolejne kłamstwo, pomyślała. Potrzebowała Mike'a Donohue tak samo jak jedzenia i powietrza.

Własne myśli tylko wzmogły jej gniew, tak jak wiatr wzmaga ogień. Odwróciła się i spojrzała na niego.

— Nawet teraz nie potrzeba mi pomocy! Równie dobrze potrafię walczyć z pożarem jak każdy mężczyzna. — Jej uwagę przyciągnął zbliżający się ogień. — Uważaj, Mike. Przesuwa się w twoją stronę.

— Nieraz już miałem do czynienia z ogniem.

Skoncentrowali się na gaszeniu płonących krzaków. Rozdzieleni poruszali się wzdłuż linii ognia pnącego się na północ i południe.

Wyżej pracowali wolarze. Ścinali drzewa, poszerzali przecinki, ściągali na bok pnie i kawałki drewna.

Niespodziewanie iskry dopadły stosu szczap. Zająły się w jednej chwili i ogień zalał wszystko jak lawa.

Mike spojrzał na południową stronę stoku i zobaczył, że ogień zaczyna skręcać w stronę Jenny. W jednej chwili znalazł się przy niej, uprzedzając płomienie.

Z twarzami uczernionymi sadzą pracowali razem w milczeniu, aż drewno zamieniło się w poczerniałe szczątki, z których wydobywał się pióropusz dymu.

— Dobry z nas zespół — Mike uśmiechnął się.

— Do szmuglowania grogu i walczenia z pożarem, bo mam nadzieję, że nie napomykasz znowu o małżeństwie. — Jenny czekała, co na to powie, unikając jego wzroku. Jej oczy wydały się równie zajęte jak ręce.

— Nie napomykam — powiedział Mike. — Który mężczyzna o zdrowych zmysłach zdecydowałby się wziąć za żonę kobietę walczącą z ogniem, gdy jest na podorędziu przynajmniej jedna słodka, delikatna dama, którą wystarczy tylko poprosić o rękę.

Jenny spojrzała na niego, ale z twarzy Mike'a nic nie mogła wyczytać.

— Słodka jak nocny mrok w lesie i delikatna jak czarna wdowa — powiedział, choć zdawał sobie sprawę, że dla Jenny określenia te są niezrozumiałe.

— Czarna wdowa? Chodzi ci o taką, która wciąż jeszcze jest w żałobie po zmarłym mężu?

— No, niezupełnie w żałobie, ale od czasu do czasu wyrywa jej się słówko na jego temat, kiedy jestem z nią w łóżku.

Jenny wpatrywała się w tłacę resztki drewna, które zadeptywała nogami. Odwróciła twarz, ponieważ bała się, że Mike wyczyta z niej rozpacz. Przez dłuższą chwilę nie odzywała się, pewna, że głos by jej się załamał w walce ze słowami ukrytymi na dnie serca, których nie chciała wypowiedzieć. Wreszcie zacisnęła zęby i podniosła brodę.

— Więc znalazłeś kobietę na tyle głupią, by słuchała twoich pochlebstw? — zapytała ciągle jeszcze nie patrząc na niego i tłumiąc w sobie narastające poczucie straty.

— I jest to prawdziwa dama — szydził z niej Mike.

Czekał, kiedy się wreszcie obejrzy i zobaczy malujący się na jego twarzy kpiący wyraz.

— W takim razie powinieneś się ożenić i mieć z nią córkę, która też będzie damą i nie okaże się na końcu dziwką. Albo głupią dziewczyną, co jest jeszcze gorsze.

Mike długo milczał. Odezwał się, gdy wreszcie na pół odwróciła się do niego. Nie przypuszczała, że jego głos może być tak zimny i szorstki.

— Czy chciałabyś właśnie tego?

Jenny zmusiła się do wzruszenia ramionami.

— Jeśli takie masz plany, to mnie nic do tego.

— Miałem nadzieję, że jednak cię zainteresują. Takie plany mężczyzna lubi dzielić z bliską osobą.

— No więc podzieliliś się nimi. Mam nadzieję, że oboje będziecie bardzo szczęśliwi. — Przeniosła wzrok na wzgórze, nadal unikając wzroku Mike'a. — Ogień już prawie ugaszony.

— Rzadko natrafisz na taki ogień, którego nie zdławisz, jeśli będziesz ciężko nad tym pracowała, Jenny.

— Wolarze już idą po grani. Oni poradzą sobie z resztą. Na pewno będziesz chciał się umyć i coś zjeść przed odjazdem. W chacie wolarzy jest wanna i cebrzyk na gorącą wodę. Przyślę ci też jedzenie.

Gdy Mike siodłał konia, szykując się do odjazdu, Jenny stała przed domem i obserwowała go.

Nie czuła już gniewu, który wypalił się razem z pożarem lasu. Pozostał jedynie smutek. Jenny zawsze mówiła co innego, niż chciała powiedzieć.

Gdy tak patrzyła na niego, udało jej się uśmiechnąć. Nie było innej kobiety. Gdyby w tym momencie podjechał do niej i powiedział o tym, ona wreszcie znalazłaby odpowiednie słowa. Ciągłe z uśmiechem układała sobie całe zdania. Kiedy zbliżył się, spuściła oczy i przybrała poważny wyraz twarzy.

Mike siedział na koniu, patrząc na nią z góry.

— Zawsze mówimy sobie do widzenia, prawda, Jenny? Myślałem, że pożegnałem się z tobą na zawsze, kiedy odwiedziłaś mnie ostatnio w Cooma Village. Nie przypuszczałem, że z powodu ślubu Jen znajdę się tu i będę się żegnał z tobą jeszcze raz.

Jenny wpatrywała się w ziemię. Wszystkie mięśnie miała napięte, twarz wydawała się wykuta z kamienia.

— Ale ja nie cofam swoich przysiąg, Jenny. Cokolwiek myślisz o Irlandczykach, wiesz, że dotrzymują danego słowa.

Koń, podrażniony dymem, nerwowo dreptał w miejscu. Chciał uciekać z doliny. Mike uspokoił go dłońmi i kolanami. Nie odrywał spojrzenia od Jenny. Jedno pasmo włosów wymknęło jej się z upięcia i opadało na ramię. Pochylił się i delikatnie go dotknął, a potem lekko za nie pociągnął.

— Strasznie się marnujesz, Jenny.

Uśmiechnęła się, powstrzymując drżenie warg.

— Takie słowa mnie nie ranią.

Przeniosła wzrok na swoją ziemię ciągnącą się aż do rzeki, gdzie młode topole dochodzące na północy do mostu otaczały drzewo bookoola.

Mike zwolnił nacisk kolan na boki konia i dotknął go lekko obcasami. Koń zareagował w jednej chwili i napiął wodze.

— Nie zapomnij zapytać McGovernów, czy nie przyjęliby pracy w dolinie — przypomniała Mike'owi Jenny. — Możesz im obiecać, że będą mieli samodzielny dom. Tak jak powiedziałeś, oni mogliby zaspokoić moje potrzeby i jestem ci wdzięczna, że mi o nich powiedziałeś.

— Wygląda na to, że moja wizyta okazała się użyteczna, przyniosłem ci same dobre nowiny.

— Jeśli dzięki nim uda mi się zrobić kolejny krok w rozwoju doliny, to rzeczywiście masz rację. Przewidywanie przyszłości i przygotowywanie się na nią, to jedynie liczy się na tym świecie.

Ale tego, co nadeszło wraz z początkiem 1859 roku, nikt się nie spodziewał.

Może poza samym Panem Bogiem, jeśli On w ogóle tam jest i chce nam powiedzieć, że każdego z nas czeka sąd, myślała Jenny, kiedy siły natury zaczęły siać spustoszenie w dolinie.

Najpierw przyszło trzęsienie ziemi.

Cały dom trząsał się i dygotał, a potem dał się słyszeć odległy grzmot. Po trzydziestu sekundach wszystko minęło.

Jenny wyszła na werandę popatrzeć, czy widać błyskawice. Stała tam zastanawiając się, skąd przyszedł ten nagły wiatr i dlaczego tak raptownie się uspokoił.

Gdy wróciła do domu, zobaczyła, że książki Jonathana spadły z półek, a talerz zsunął się ze stołu i zbił się. Na ruszcie paleniska znalazła odłamki skał i martwego ptaka, który uwił sobie latem gniazdo na kominie. Dopiero w zimie przekonała się, że komin przestał dobrze ciągnąć.

Potem zjawili się ludzie, którzy włóczyli się po okolicy. Przedstawili się jako geolodzy. Jenny uśmiechała się i kiwała głową, zadowolona, że wie, co oznacza to słowo.

— Chcemy sprawdzić, jak wielkie zniszczenia w tym regionie spowodowało trzęsienie ziemi — powiedzieli. — Najgorsze zmiany zaszły po zachodniej stronie gór. Być może nawet poginęli tam ludzie. Jakaś młoda dziewczyna wybrała się na samotny spacer na północny zachód od Yarrangobilli i ślad po niej zaginął. Ale ponieważ nie ma tam żadnych osiedli, trudno nam było zdobyć informacje o sile trzęsienia ziemi. Wasza osada jest najbliższa.

Jenny uśmiechnęła się znowu. Jedno słowo było dla niej najważniejsze. Po raz pierwszy zabudowania w dolinie zostały określone jako osada, i w dodatku przez ludzi przysłanych przez rząd. To słowo brzmiało w jej uszach jak dźwięki dzwonu ogłaszającego zwycięstwo.

— Trzęsienia zdarzały się już tu wcześniej, powtarzają się co dziesięć, piętnaście lat — mówili geolodzy. — Ale ponieważ obszar ten jest tak słabo zaludniony, prawdopodobnie przeszły nie zauważone lub nie zidentyfikowane.

Zadawali jej pytania, próbowali prostymi słowami wyrazić, czego się chcą od niej dowiedzieć, starali się zniżyć do jej poziomu. Widziała to po ich twarzach. Podobną cierpliwość dostrzegła u Jonathana. Ta wyrozumiałość tworzyła między nimi rozpadlinę większą niż jakkolwiek spowodowana trzęsieniem ziemi.

Otrząsnęła się ze wspomnień i zamiast informacji zaproponowała geologom herbatę. Nie miała ochoty rozmawiać z mężczyznami, którzy myśleli, że nie rozumie ich pytań. Kiedy odeszli, męczące wspomnienia powróciły ze zdwojoną siłą.

Jonathan zauważył te trzęsienia — przypomniała sobie. — Ja też je zauważyłam. I czarni również.

Prawie dziesięć lat temu, kiedy była w siódmym miesiącu z Jazonem, poczuła, jak ziemia się pod nią poruszyła. Powiedziała wtedy: Staję się słabowita w nogach. Wielkie brzuszysko potrafi zachwiać równowagę. Widząc wyraz twarzy Jonathana, natychmiast się poprawiła. Chodzi mi o wielki brzuch. Niełatwo było być żoną wykształconego mężczyzny.

— To było trzęsienie ziemi — powiedział Jonathan. — Zdarzyło się już raz, tydzień po tym, jak przybyłem do tej doliny. I zdarzy się znowu. Ale w tym kraju nigdy nie będzie takich trzęsień jak gdzie indziej. To jest bardzo stary kontynent. Niektórzy mówią nawet, że najstarszy na ziemi. A to jest z kolei najstarsza jego część, prawie całkowicie osadzona.

— Większość ludzi nie nazwałaby tej doliny osadą — odpowiedziała zadowolona, że coś z tego rozumie. — Ludzie z Sydney nie nazwaliby tak miejsc, gdzie mieszkamy tylko my i Colebrookowie.

— Ja mówię o osadzaniu się samej ziemi — powiedział cierpliwie Jonathan, a potem zaczął tłumaczyć, próbując uczyć ją jak małe dziecko.

— Jak długo trwa takie osiadanie? — zapytała.

Nie cierpiała tej jego cierpliwości i swojej ignorancji.

— Nikt tego dokładnie nie wie. Ziemia kształtowała się i formowała przez miliony lat.

Wtedy wiedziała już, że kłamał i czuła ogarniający ją gniew. Żartował sobie z niej. Biblia mówiła przecież co innego. Jej irlandzcy przodkowie nie wiedzieli zbyt wiele, ale znali Biblię.

— W takim razie te ziemie muszą być już prawie osadzone — powiedziała unikając jego spojrzenia. Ukrywała swój gniew i ból.

— Prawie.

— Ile czasu potrzeba, aby osiadły do końca? — Matka zawsze powtarzała, że Jenny nie potrafi przerwać we właściwym momencie.

— Nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie.

— Powiedziałeś prawie. Czy to oznacza wkrótce?

— To może oznaczać następny milion lat.

Była zadowolona, że czarni zeszli tego dnia do wąwozu na śpiewy i tańce.

Jonathan stał przy otworze okiennym chaty nasłuchując. Bał się ich i samego siebie.

— Od jak dawna czarni ludzie są tutaj? — zapytała. Tym razem nie zostawiała go w spokoju, jak zwykle, gdy rozpoznawała u niego taki nastrój.

— Pewnie zawsze byli — powiedział posepnie. — Są częścią tej ziemi. Częścią czegoś, z czym żaden biały człowiek nie może walczyć i wygrać.

— Przynajmniej oni zasiedlili to miejsce — powiedziała wyzywającym tonem.

Przypomniała sobie teraz, że owej nocy odwróciła się do niego plecami i odsunęła się jak najdalej. Towarzystwa dotrzymywało jej dziecko, które wierciło się w brzuchu.

Od tamtej chwili zawsze szukała pocieszenia w towarzystwie dziecka, swego syna, tak podobnego do zmarłego ojca. Zbyt często odwracała się plecami do Mike'a, jedyne go mężczyzny, którego naprawdę kochała.

Po trzęsieniu ziemi w styczniu pięćdziesiątego dziewiątego czarni wrócili do wąwozu, niektórzy nadzy i wymalowani, inni z przepaskami na biodrach, a nawet w kupionych, gotowych ubraniach. Ale wszyscy zachowywali się znacznie spokojniej niż podczas tych lat, kiedy w dolinie mieszkał Jonathan.

Niezależnie od tego czy ozdabiała ich farba, czy spodnie, cel mieli ten sam: wrócili do poszarpanych górskich ścian Ngaringa, gdyż chcieli przebłagać duchy swoich przodków.

Wrócili, by modlić się do swych bogów, pomyślała Jenny. I tej nocy poszła za ich przykładem.

Potem zjawił się kolejny geolog. Zawędrował do ich doliny, idąc wzdłuż Snowy River. Zadawał niewiele pytań i nie wydawał się bardzo zainteresowany trzęsieniem ziemi. Badał skały wąwozu i włóczył się po dolinie. Potem wrócił do pęknięcia, przez które spływała rzeka, do której dołączały później strumienie.

Jazon, spragniony wiedzy, przyczepił się do mężczyzny i chodził za nim jak mały piesek, wdzięcznie przyjmując każdy okruch informacji, który tamten mu rzucał.

— Mamy tu interesujący wąwóz — informował Jazon każdego, kogo spotkał. — Tak powiedział geolog.

Mężczyźni pracujący na Farmie Travisów i Colebrooków wyszukiwali sobie robotę w pobliżu miejsca, które badał przybysz. Samuel i Chris, częściej spędzający ostatnio ze sobą czas, porzucili swoje zajęcia i przyłączyli się do wolarzy.

Jenny znalazła Jazona z mężczyznami. Jego poważna twarz płonęła ciekawością.

Geolog opowiadał zebranym historię ich doliny.

— ...widzicie więc, że ta część doliny i tamten płaskowyż zostały rozdzielone płytką rozpadliną.

— Czy to znaczy, że pewnego dnia skała się, ot tak, rozdzieliła? — zapytał jeden z mężczyzn. — To wydaje się niemożliwe.

Geolog uśmiechnął się pobłaźliwie. Wymamrotał coś na temat połączenia dwóch dolin i już miał wrócić do zebranych próbek skały, kiedy Jazon niespokojnie zapytał:

— Nie powie nam pan, jak to się stało?

Mężczyzna spojrzął na niego i uśmiechnął się znowu.

— Mogę wyjaśnić, ale chyba byłoby to za trudne. — Spojrzął na pozostałych. — Dla każdego z was.

— To już nasze zmartwienie — odpowiedział Chris krótko. Nie był już tak spokojnym chłopcem jak dawniej. Kiedy ktoś chciał go zbyć, szybko reagował.

Geolog przyglądał mu się przez chwilę.

— No cóż, właściwie to całkiem proste — powiedział przyjacielskim tonem. — Woda potrafi wybiórczo atakować skałę. Wdziera się za dnia w szczeliny i pęknięcia, a podczas zimnych nocy zamarza w nich i je rozrywa. W ten sposób szczeliny się powiększają. I wreszcie po wielu cyklach skała pęka. Tak właśnie tutaj się stało. Stopniowe działanie lodu wpływało na formację łączącą dwa pasma górskie, aż skała pękła. Oczywiście przepływ wody przez wyrwę po jakimś czasie zmienił drenowanie terenu i wreszcie powstał przełom rzeki. — Spojrzął na chłopca. — Zanim utworzył się wąwóz, najprawdopodobniej w tej dolinie było jezioro.

— Ale pan nam mówi, że pewnego dnia ta dolina tak po prostu otworzyła się? — Chris chciał usłyszeć potwierdzenie. Odwrócił się do pozostałych mężczyzn i mrugnął. — Tylko pomyśleć, że myśmy się tu znaleźli.

— Czy to otwarcie doliny nastąpiło nagle? — zapytał Jazon.

— Możliwe. Tak, najprawdopodobniej góra się nagle rozpadła na dwie części. I wtedy jezioro wylało się wąwozem w dół, zostawiając za sobą tylko rzekę.

— To musiało być przerażające dla kogoś, kto to oglądał — powiedział Jazon.

Geolog uśmiechnął się znowu.

— Wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu. Wtedy nikogo tu nie było. W każdym razie żadnego białego człowieka.

— Myślę, że czarni to widzieli — powiedział Jazon, pragnąc odplącić się własną wiedzą. — Dla czarnych ta dolina jest święta — Uśmiechnął się szeroko. — I chyba znam imię tego, który widział, co się stało. Wydaje mi się, że nazywał się Ngaringa.

— A skąd mógłbyś wiedzieć coś takiego? — zapytała go później Jenny. — Pewnie słuchałeś bajdurzeń Colebrooka. Kiedyś opowiadał, że przysłuchiwał się czarnym i nauczył kilku ich słów. Powtarzał mi słowo, które tak właśnie brzmiało, ale on nie mówił, że to imię buszmena. Nie wiedział, co ono znaczy.

— To nie pan Colebrook powiedział mi o tym, tylko czarny człowiek, który chodzi tu po górach. Nazywa się Benong. On mi powiedział.

McGovernowie, George i Violet, zjawili się pod koniec stycznia. Zajęli pomieszczenia na tyłach sklepu. George McGovern zajął się sklepem, a Violet McGovern podjęła się roli nauczycielki. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było udekorowanie ścian w pokoju szkolnym Travisów zgodnie z jej gustem. Powiesiła na nich akwarele, zdradzając tym swoją największą pasję.

W lutym rozpętały się wichury. Jenny nigdy się nie spodziewała, że w górach może tak strasznie wiać. Ktoś powiedział później, że wiatry te miały siłę huraganu. Cyklonu.

Wyrywały drzewa z korzeniami i toczyły je po wzgórzach.

W samej dolinie wichur porwał kapliczkę Mary i cisnął ją na dach pubu.

Kiedy George McGovern opowiedział Jenny, co się stało, nie śmiała się. Ręce jej drżały, gdy odbierała produkty, które przyniósł jej mimo wichury.

Do doliny wśliznął się strach.

Zwierzęta ryczały w zagrodach, jakby modląc się do swych bogów, podobnie jak buszmeni modlili się miesiąc wcześniej.

W marcu przyszły ulewy, deszcze późnego lata, które trwały przez trzy jesienne miesiące, zmywając ziemię ze skał i zamulając rzekę, która rozlewała się po całej dolinie.

Padało przez osiemdziesiąt dni.

— Noe musiał wytrzymać tylko czterdzieści dni i czterdzieści nocy — powiedziała Jenny do wolarzy, kiedy pomagała im zaganiać zabłąkane sztuki bydła, które często porywała rzeka. Kilka już było straconych. Spadły na dno wąwozu albo zginęły pod pniami spadających drzew. — I Noe w dodatku miał arkę — dodała. Sama jednak nie chciała jej mieć, gdyż wyobraziła sobie, jak arka zsuwa się w dół po zachodnim stoku w kierunku wezbranej rzeki.

— Kapliczka pani Colebrook nie utrzymała się długo na swym miejscu — powiedział Charlie. — Widocznie Jim Carruthers nie wkopał jej zbyt głęboko.

Jenny milczała. Patrzyła, jak drewniana bryła zsuwa się do wody i podskakując przemieszcza w stronę przełomu. Wstrzymała oddech, czekając, aż kapliczka spadnie z wodospadem wprost w szeroki strumień łączący się poniżej z rzeką. Ale drewniana obudowa zaklinowała się pomiędzy skały w miejscu, gdzie zwykle gromadzili się czarni.

— Wyciągnijcie ją i zanieście Mary Colebrook — poleciła Jenny dziwnie skrzekliwym głosem.

— Tam nie jest bezpiecznie — powiedział Pete, spoglądając na Charlie'ego, jakby szukając w nim poparcia.

— Weźcie liny i przywiążcie się dla bezpieczeństwa — upierała się Jenny. — Jeśli wy tego nie zrobicie, pójdę sama.

W domu pani McGovern udzielała Jazonowi lekcji.

— Ten cały deszcz nie jest naturalny — powiedziała Jenny. Zostawiała za sobą ślady błota na podłodze dopiero co wymytej przez Jody.

Violet McGovern spojrzała na nią i uśmiechnęła się lekko.

— Właściwie... — zaczęła.

Jenny zeszywniała pod swym mokrym okryciem. Lubiała Violet McGovern, ale „właściwie” oznaczało zawsze, że nauczycielka chce ją poprawić, a Jenny denerwowało zadowolenie, jakie tamta czerpała ze swej wiedzy.

— Właściwie mamy tutaj coś, co nazywane jest zlewiskiem — powiedziała nie przestając uśmiechać się pani McGovern.

— A ja zaleję całą podłogę, jeśli dłużej będę tego słuchała — powiedziała nerwowo Jenny. — Płacę za udzielanie lekcji Jazonowi, nie mnie.

— Co się zlewa? — zapytał grzecznie Jazon.

— No cóż, oczywiście wodę — odparła pani McGovern.

— Żeby się tego dowiedzieć, niepotrzebny mi nauczyciel — stwierdziła Jenny. — Wystarczy spojrzeć przez cholerne okno.

— Klimat jest surowy — ciągnęła dalej pani McGovern. — Zazwyczaj podczas wiosennych miesięcy wypada siedem dni deszczu. Jesienią oczywiście pada więcej. W zimie niekiedy nawet dwa razy więcej.

Cechą Violet McGovern było, że zawsze kończyła to, co zaczęła. Dzikie konie by jej nie powstrzymały.

— Nie pamiętam opadów deszczu w zimie — powiedział powątpiewająco Jazon.

— Zimą zarówno deszcz, jak i śnieg przeliczane są w jednostkach opadu. Dzięki temu można powiedzieć, że w danym miesiącu zimowym było czternaście do piętnastu dni deszczu, podczas gdy widzieliśmy tylko opady śniegu.

— Chodzi pani o to, że tak czy siak jest to woda? — zapytała Jenny.

— Właściwie można by tak powiedzieć.

— Właściwie! Lepiej niech pani nauczy chłopca czegoś, co on zrozumie.

— Wszystko w porządku, mamó. Ja to rozumiem — odpowiedział Jazon.

I jeszcze jedno nie podobało się Jenny. Nie była już dla Jazona mamusią, tylko mamą.

Będzie identyczny jak jego ojciec. Wkrótce nauczy się tak dużo, że będzie patrzył na nią z góry, podobnie jak tamten, pomyślała gniewnie Jenny. I nagle zamarła, gdyż objawiła się jej ukryta dotąd myśl.

— Przecież ja chcę, żeby on był taki jak Jonathan. To jest właśnie to, do czego przez cały czas dążę — powiedziała do swego odbicia w niewielkim lusterku na ścianie.

Już dawno nie zwracała uwagi na twarz, która teraz na nią spoglądała. Ile ja mam lat? — zastanowiła się Jenny, próbując sobie przypomnieć. Skończyłam dwadzieścia siedem, uprzytomniła sobie wreszcie.

— W takim razie jestem za stara, by się martwić swoim wyglądem — powiedziała na głos, zwracając się do odbicia w lustrze. Starzenie się przynosiło jej ulgę. W starości widziała bezpieczeństwo i spokój.

— „Jesteś zbyt młoda, żeby być sama” — powiedział jej Mike. Zbyt młoda na samotność. Cóż za wierutna bzdura. Nikt nie jest zbyt młody na samotność. Ona była sama przez całe życie.

Wpatrywała się przez cały czas w lustro, ale teraz nie czuła już gniewu, tylko pustkę.

Na jej twarzy pojawiły się zmarszczki. Jenny wpatrywała się w siebie zamglonym wzrokiem, walcząc ze łzami.

— Ty też sama sobie posłałaś. A teraz się wyśpisz.

Z pokoju szkolnego dobiegał głos Violet McGovern. Pouczający, pewny siebie, irytujący.

Jenny czuła wstręt do intruza, którego zaprosiła do swego domu, a jednocześnie miała poczucie winy, że tak właśnie reaguje na obecność nauczycielki.

— Niech pani weźmie ciepłe koce z magazynu, pani McGovern — powiedziała do niej. — Jako prezent ode mnie. Zima w tym roku przyjdzie wcześniej. I najprawdopodobniej będzie najcięższa z możliwych.

— Właściwie... — zaczęła Violet McGovern.

— Przyjdzie wcześniej i będzie ciężka — powiedziała Jenny stanowczo. — Nauczyłam się czegoś żyjąc przez szesnaście lat w dolinie.

Violet McGovern uśmiechnęła się.

— Na pewno. Chciałam właśnie powiedzieć, że wszystko wskazuje na bardzo ciężką zimę. Ale nie będzie tak ciężka jak gdzie indziej. Nawet te deszcze w innych miejscach są bardziej uciążliwe. Tutaj znajdujemy się tylko kilka mil od Wielkich Gór Wododziałowych, które nas osłaniają. W zimie oczywiście przeważają wiatry z zachodu i te góry, które nas otaczają, są wystawione na deszcze związane z zachodnimi wichurami. Co oznacza, że na zachodnich stokach spadnie trzy razy tyle deszczu i śniegu.

— Wiem, co to znaczy — powiedziała Jenny, myśląc o Jen.

— Na zachód od tych gór przeżyją prawdziwe piekło, a zima tam będzie znacznie cięższa niż u nas.

Violet McGovern uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Wdzięczna jestem za podarunek, pani Travis. Dzięki tym kocom będzie nam znacznie lepiej.

Kiedy nauczycielka już wyszła, Jenny pozwoliła sobie na myśl: Nie powiem, żebym ja w twojej obecności czuła się lepiej. Zima nadeszła wcześniej.

Śnieg padał przez czterdzieści osiem dni, potem wróciły huraganowe wiatry, usypując kopce wysokie jak drzewa. Wreszcie temperatura spadła do pięćdziesięciu stopni poniżej zera, zamieniając hałdy śniegu w twarde bloki.

Zwierzęta obgryzały czubki drzew, wystające ponad zaspami. Znowu zaczęło padać, ale tym razem nie był to śnieg, lecz grad.

Kawałki lodu szerokie na cal waliły w pokryte blachą dachy jak kanonada z nieba.

— To rzadki fenomen — powiedziała Violet McGovern. Teraz już nie próbowała nawet uzasadniać naukowo zjawiska.

Mary każdego dnia wędrowała na zachodni stok i klęczała przed zniszczoną kapliczką. Wreszcie dostała zapalenia płuc i po dolinie rozniosła się pogłoska, że umiera.

— Nie umrze — zawyrokowała Jenny. — Nie jest ani wystarczająco stara, ani wystarczająco dobra. Tylko dobrzy ludzie umierają młodo.

Tylko dobrzy umierają młodo. To często powtarzała jej matka. Wspomnienie tych słów naszło Jenny, kiedy pomyślała o Jen, tak niepodobnej do niej samej, i tak niepodobnej do Jonathana. Inna niż wszyscy, wybrała wreszcie drogę swej babki Millie, która umarła z hakiem w brzuchu, zanim skończyła trzydzieści lat.

— Pani Colebrook czuje się lepiej — oznajmiła Jody parę dni później. — Chris mówi mi.

Jenny skinęła głową.

— Gdybym uważała, że można się jej łatwo pozbyć, sama przyczyniłabym się do tego już parę lat temu.

— To, co powiedziałaś, nie było bardzo miłe — zauważyła Jody, starannie naśladowując głos Violet McGovern.

— Wcale nie starałam się być miła.

— Pani McGovern powiedziała, że może mnie nauczyć, jak być damą — wyrwało się Jody niebacznie.

Jenny spojrzała na córkę, czując jak krew się w niej burzy.

— Chodzi ci o to, że będziesz kimś lepszym ode mnie. — Widząc pełen napięcia wyraz twarzy dziewczynki, pohamowała język. — Damy rodzą się damami. I jedyne, czego się muszą w życiu nauczyć, to ładnie mówić i ładnie się zachowywać. To właśnie odróżnia je od całej reszty. My od urodzenia przeznaczone byłyśmy do pracy.

— Nie chciałabyś, żebym była damą?

— Masz czternaście lat. To trochę za późno na ponowne urodziny.

— Ależ damy wcale nie muszą się urodzić damami. Mogą nimi zostać. Pani McGovern mówi...

Cierpliwość Jenny wyczerpała się.

— Nie pozwolę Violet McGovern, by wypełniała ci głowę jakimiś cholernymi bzdurami. Nie przysłużą ci się niczym. Możesz tylko zgorzknąć, jeśli w nie uwierzysz.

— Ona może mnie nauczyć ładnie mówić, to wszystko. Tylko ładnie mówić. — Jody tarła oczy szorstkimi dłońmi.

Spoglądając na dłonie dziecka, Jenny poczuła głęboki ból. Dotkliwy, gorzki, palący ból kobiety, która zrozumiała, że obrabowano ją z młodości i urody. Wzięła dłonie Jody w swoje ręce i zaczęła je głaskać.

— Życie nie zawsze jest sprawiedliwe, skarbie. Natura nie jest sprawiedliwa i nigdy nie miała być, taki jest początek i koniec wszystkiego. Niewiele można zrobić, żeby zmienić życie. Lepiej nie próbować. Lepiej po prostu przyjąć je takie, jakie jest. Lepiej mieć szorstkie ręce niż blizny w sercu. — Jenny uśmiechnęła się do dziewczynki. — Musisz sama nauczyć się być twarda, kochanie, bo życie większości kobiet jest ciężkie. Ale taki właśnie jest zwykły porządek rzeczy. Natura może być jak dzikie zwierzę. Sama wiesz to dobrze. Dla ludzi potrafi być równie twarda.

— Czy dlatego Jen uciekła? Ponieważ była twarda?

— Jeśli nie była, to wkrótce się nauczy być. Będzie musiała.

— Nie chciałabym stać się taka jak Jen — powiedziała Jody, spoglądając z ukosa na matkę. — Słyszałam, co o niej mówili pasterze.

Jenny nic nie odpowiedziała. Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem.

— Jeden powiedział, że już przed ślubem była zepsuta. Nazywał ją jakoś tak dziwnie — Jody patrzyła w twarz matki. — Nie rozumiałam tego, co mówił, ale wiem, że to nie było miłe, ponieważ drugi mężczyzna się śmiał. Ja nie chcę być taka jak Jen. Chcę być damą.

Jenny milczała, tylko nadal głaskała szorstkie dłonie córki.

— Nie chciałabyś, żebym była damą? — spróbowała znowu Jody.

Twarz Jenny pozostała bez wyrazu.

— Sama bym chciała być damą, ale życie potoczyło się inaczej.

— Może jeśli pójde do kapliczki pani Colebrook i pomodłę się do Boga — powiedziała Jody zerkając na matkę kątem oka. — Może On wszystko naprawi. A ja nauczę się ładnie mówić.

Jenny westchnęła.

— Jeśli to tak wiele dla ciebie znaczy, nie mam nic przeciwko temu, żeby pani McGovern cię uczyła. Ale nauczyć się mówić tak jak dama to jedna sprawa, a nabić sobie głowę bzdurami na temat ich życia to zupełnie inna. Nauczycielka tak ci nazawraca w głowie, że nie będziesz porządnie wypełniać swoich domowych obowiązków. Tego sobie nie życzę. Nie zamierzam sama tu zostać do roboty tylko dlatego, że ja nie jestem damą.

W sierpniu przyszło następne trzęsienie ziemi.

Przez kilka chwil głębokie dudnienie z głębi ziemi dochodziło jak odległy grzmot, a pod nogami poruszała się ziemia. Potem drżenie minęło.

— Rozsadza swe wnętrzności, by osiąść — pomyślała Jenny, przypominając sobie cierpliwe wyjaśnienia Jonathana. — Tak jak ja. Kiedy się odrzuci wszystkie dziwaczne słowa, zostanie taka prawda. — Poczucie jedności z ziemią wzmocniło ją i uspokoiło. — Będziemy się trzymać razem i razem pracować, obie. Nigdy się nie rozdzielimy. Ziemia i ja.

Znowu przyszły huragany. Lodowate wiatry gnały przez dolinę.

Gdziekolwiek jest Jen, przeżyje — pomyślała Jenny, zwracając spojrzenie w stronę dzikiej krainy za zachodzie.

Gniew, który ją przez całą zimę rozgrzewał, nie był już skierowany przeciw córce. Zima pozbawiła ją zajęć, którymi potrafiła wypełnić pustkę w sercu. Przyniosła świadomość długiego, samotnego życia.

Teraz złość Jenny skierowała się na Jonathana, ponieważ był nieżywy i niedostępny. I na samą siebie, gdyż wciąż pragnęła Mike'a Donohue, który był z krwi i kości, i żył.

Błota znowu zamarzły.

Zanim rok się skończył, Violet McGovern, która robiła notatki na temat pogody, musiała doliczyć kolejne sto czterdzieści dni mrozu.

Jenny liczyła pola pokryte zieloną paszą i stracone na moczarach bydło. Nie skarżyła się. Coraz dłuższe dni wypełniała jej praca. Wieczorem wykończona zapadała w sen.

Wiosną trawa porośnie zbocza. Lato spali jej korzenie, a jesienne deszcze i zimowe roztopy ożywią nowy wzrost. Bogata zieleń pokryje niby kobierzec stoki i pola, i ukryje moczary.

Na terenach zachodnich wolarze przepłukiwali w sitach aluwia, które spływały z deszczami z gór. Coraz głośniejsze mówiło się o złocie. Opowieści te trafiły na znakomity czas. Pół miliona górników szukało pracy, a pomiędzy koloniami narastała rywalizacja. Okrzyk „gorączka złota” mógł pchnąć w stronę szczytów na północnych rubieżach kolonii pięciuset poszukiwaczy, za którymi podąży dalsze trzydzieści tysięcy.

Jenny musiała odczekać jeszcze trzy pełne miesiące, zanim wybrała się do Cooma Village.

Mick Donohue odjechał na zachód, by sprawdzić sytuację na nieoficjalnych złotych polach. Chciał sprzedać swoje konie poszukiwaczom. Dowiedziała się tego od Dave'a, kiedy pod byle pretekstem zajechała do stajni.

Życie, jeszcze bardziej puste, musiało toczyć się dalej. W grudniu, zawinięte w perkal puddingi zwisały majestatycznie z krokwi. Kaczki i dzikie ptactwo wybrane do świątecznego zarzynania przypomniały jej, jak co roku, wróżbę z ciągnięciem kości podczas ostatniej Gwiazdki spędzonej razem z Jonathanem. I, również tak jak zwykle, spoglądała na swe zniszczone ręce i drwiła z tych, którzy oczekiwali cudu.

Musiało minąć prawie siedemnaście lat, zanim Jenny odkryła, że cud tak samo jak złoto pokaże swe oblicze na zachodnich szczytach wiosną pięćdziesiątego dziewiątego roku.

Ale wiosna dopiero miała nadejść, a od lata dzieliło ich jeszcze cztery miesiące.

Zima przeciągała się.

11.

Tak jak inne kobiety z plemienia Wolgol, Moamba zbierała pożywienie. Ale tylko ona wchodziła do zimnego, bystrego strumienia, gdzie łapała małe rybki przemykające pomiędzy kamieniami.

Ludzie Wolgol opuścili swe tereny na obrzeżach rzeki Murray. Przemieszczali się ostrożnie, bo teraz już biali byli wszędzie, coraz potężniejsze szczepy obcych zajmowały tereny wzdłuż rzeki i wypalały trawy na wzgórzach.

Czas lodowatego, białego zimna minął. Śnieg, który pokrywał góry, pozostał tylko na szczytach, uciekając przed słońcem i wiatrem, podczas gdy na południowych stokach płachty kurczyły się i lód można było znaleźć jedynie w szczelinach lub na samych wierzchołkach gór, skąd nie znikał przez cały rok.

Mężczyźni polowali na kangury, torbacze i szczury. Kobiety przeszukiwały wilgotne miejsca, gdzie znajdowały jadalne paprocie i pnącza, albo myszkowały wzdłuż brzegów strumienia porośniętych ziołami i turzycą.

Pewnego dnia Moamba odeszła dalej, tak że współplemieńcy stracili ją z oczu. Nagle zobaczyła białą młodą dziewczynę. Już miała zawrócić i ostrzec swoich ludzi, że w pobliżu znajduje się biały człowiek, kiedy zrozumiała, że dziewczyna jest zupełnie sama. Stała na brzegu wpatrując się w przepływającą wodę. W pewnej chwili podniosła wzrok na Moambę, ale jej nie zobaczyła. Spojrzenie dziewczyny było zupełnie puste.

W głowie Moamby kłębiły się różne myśli wywołane wspomnieniami i słowami powtarzanymi często przez starszą siostrę Ngarigo, a także ruchami dziecka w jej brzuchu. Przy-

pomniła sobie, jak ostatni raz widziała swoją matkę stojącą na brzegu rzeki. Przypomniła sobie historię Minabee i zobaczyła, że ciało białej dziewczyny nosi w sobie to samo, co jej ciało.

Ale te wszystkie myśli i wspomnienia stały się nagle jednym uczuciem samotności, której nie potrafiła nazwać. Moamba pomyślała, że to, co czuje, przyniósł jej duch białej dziewczyny, duch, który stał się teraz ich wspólny.

Wtedy wdrapała się na brzeg, ujęła białą milczącą dziewczynę za rękę, odciągnęła ją od rzeki i poprowadziła wzdłuż brzegu do ludzi swojego plemienia.

Zanim nadeszła noc i plemię znalazło schronienie, Moamba wiedziała już, że znowu została odrzucona. Kobiety Wolgol nie podchodziły do niej, bojąc się tej niewidzącej, żywej-martwej białej dziewczyny, która szła u boku Moamby. Członkowie szczepu przyszykowali sobie szałas na noc jak najdalej od nich. Minęło jednak kilka dni i nocy, zanim zebrała się rada starszych. Naradzając się, nie odrywali od niej wzroku. Od czasu gdy przyszła do nich dziwna biała dziewczyna, nie napotkali żadnego białego. Kurdatchi rozmawiał z duchem, który się nimi opiekował. Wśród przodków plemienia Wolgol nie było nikogo takiego jak Minabee. Oni bali się tylko tych białych, którzy okradli ich z młodych wojowników, okradli ich z jedzenia i wygnali z ich ziemi, zajmując ją dla siebie i zadając jej rany.

Ciągnąc na północny zachód Wolgolowie dotarli do Yarrangobilli. To było święte miejsce dla wszystkich aborygenów mieszkających w górach, miejsce nie należące do nikogo, tylko do samych duchów Bai-amee. Duchy te nie pochodziły z tej ziemi i mieszkały w skalnych jaskiniach, przy których stały dziwne totemy. Kiedyś, dawno temu, pewien buszmen, który nazywał się Yarrangobilli, zawędrował do tych jaskiń. Powrócił do swych ludzi i opowiedział o Dziwnym Łądzie pod ziemią. A potem położył się i umarł, twierdząc, że sam Bai-amee wymierzył w niego kością.

Do Dziwnego Łądu Bai-amee można się było dostać z równiny pomiędzy dwoma rzekami, gdzie małe strumyczki i wodospady wyłobiły zagłębienia w wapiennych skałach, pochłaniając je i wysyłając w dół, by tam stały się kamiennymi wielokolorowymi kształtami. W głębszych grotach tworzyły się jeziora, z których wypływały rzeki, niosące swe wody daleko pod ziemię.

Wolgolowie budowali swe ubogie szałas przytulone do urwisk, które miały ich chronić od przenikliwych wiatrów, owiewających hale na wyżynach. Nikt nie wchodził do jaskiń.

Był to ten czas roku, który biały człowiek nazywał sierpniem.

Kiedy ziemia zatrzęsała się pod nimi, biała dziewczyna ocknęła się. Odwróciła głowę i spojrzała najpierw w stronę rzeki, a potem ku grotom Yarrangobilli.

Moamba spostrzegła, że na te kilka chwil jej oczy ożywiły się. I wtedy dziewczyna opuściła Moambę, ruszyła przez pokrytą śniegiem trawę i zniknęła w najbliższej jaskini.

Moamba usłyszała głosy starszyny — całe plemię zaczęło się w pośpiechu zbierać do odejścia. Stała znieruchomiała, spoglądając w stronę jaskiń i walcząc ze strachem. Jeszcze raz spojrzała na swych ludzi, którzy już odchodzili, opuszczając miejsce Yarrangobilli. Wpatrując się w wejście groty, w której zniknęła dziewczyna, nasłuchiwała, czy któraś z kobiet plemienia ją zawoła, ale żadna tego nie uczyniła. Kiedy odwróciła się znowu, nie było już nikogo.

Słońce zachodziło, wzgórza ogarniał zmierzch, kładąc się w dolinach długimi cieniami. Wkrótce miała zapanować ciemność, ale Moamba siedziała w bezruchu, czekając na białą dziewczynę.

Kiedy zapadła noc, zbliżyła się do jaskini. Bała się o białą dziewczynę, która mogła się zgubić między obcymi duchami, zamieszkującymi to miejsce. Bała się też o siebie, gdyż zawędrowała w zakazane miejsce. Najbardziej jednak przerażała ją samotność.

Przystanęła u wejścia do jaskini, wpatrując się przed siebie.

To wyglądało tak, jakby biała dziewczyna wróciła do miejsca, do którego zawsze należała. Naszykowała sobie pod ścianą posłanie i teraz spała na nim, a obok niej leżały przedmioty, jakimi zwykle posługują się białe kobiety, a których przeznaczenia Moamba nigdy nie potrafiła odgadnąć.

Ostrożnie weszła do jaskini i zatrzymała się oczekując, że coś przeraźliwego na nią wyskoczy. Ale jaskinię zalegała jedynie ciemność i słychać było tylko oddech białej dziewczyny. Moamba owinęła się w skórę kangura i położyła koło posłania tamtej. I tak przeczekała do rana. Biała dziewczyna spała jeszcze, gdy Moamba wyszła o świcie na zewnątrz. Zebrała swe torby z pożywieniem i bukłak na wodę, i zniosła wszystko do jaskini. Także dla Moamby stała się ona domem.

Kiedy czarna kobieta poczuła, że przyszedł czas narodzin dziecka, opuściła jaskinię i wygrzebała płytką jamę w ziemi w pobliżu urwiska. Wyłożyła go miękką trawą, a potem położyła się w oczekiwaniu na dziecko. Kiedy wreszcie wysunęło się ono do kolebki ziemi, zobaczyła, że to chłopiec. Umyła go śniegiem i owinęła starannie w skórę kangura. Uśmiechnęła się i powiedziała mu, że Tominglee nadał mu imię Rum i że jest urodzony z ducha gniewnego ognia. Wróciła do jaskini.

Zobaczyła, że biała dziewczyna siedzi na ziemi. Opierała się plecami o ścianę, jej brzuch był już tak duży jak jeszcze niedawno brzuch Moamby. Oczy dziewczyny znowu patrzyły przed siebie nic nie widzącym wzrokiem. Nigdy się nie odzywała.

Kiedy Moamba położyła dziecko o imieniu Rum w kołysce, którą przygotowała w jaskini, zajęła się drugą kołyską dla dziecka białej dziewczyny. Potem usiadła koło niej przy wejściu do jaskini i czekała.

Ale nic w życiu Moamby nie przygotowało jej na to, co wydarzyło się trzy dni później.

Biała dziewczyna nagle zaczęła się rzucać. Jej oczy i usta były szeroko otwarte. Spoglądała wzrokiem przerażonego zwierzęcia. Nie rozumiała przyczyny szarpiącego ją potwornego bólu i przeraźliwie krzyczała. Moamba odskoczyła do tyłu zalekwniona. Krzyk białej dziewczyny był krzykiem Minabee, o której opowiadały kolejne pokolenia Ngarigo.

Dziewczyna krzyczała i rzucała się jeszcze długo. Moamba po prostu patrzyła, trzymając swoje dziecko blisko przy piersi.

Pragnęła chwycić torby i uciec z synem od przerażającej ją jaskini i jeszcze bardziej przeraźliwych krzyków dziewczyny wijącej się teraz jak wąż na ziemi. Ale biała diablica zagradzała jej wyjście.

Kiedy usłyszała pianie koguta, cofnęła się w głąb jaskini i przytuliła mocno dziecko do siebie. Spadły na nią odłamki skał, potknęła się i upadła przy wejściu do niższej groty. Spoglądając w dół, widziała stalagmity i stalaktyty o dziwnych kolorach, oświetlone wpadającymi tam promieniami słońca. W niej również rosło przerażenie tak jak kiedyś w Yarrangobilli, który pomiędzy tymi totemami ujrzał postać Bai-amee wskazującego na niego kością.

Wtem, zupełnie nagle, lęk ją opuścił, jakby go nigdy nie było.

Ujrzała zakrwawioną głowę i ramiona dziecka wydobywającego się z ciała białej dziewczyny. Odłożyła własnego syna do kołyski i pośpieszyła do niemowlęcia, które walczyło o wydobycie się na świat.

Za nią jej mały synek kręcił się, niezadowolony, że tak nagle zostawiono go samego. Kołyska bujała się w przód i w tył, z każdym ruchem przesuając się coraz bliżej otworu prowadzącego do dolnej jaskini.

Moamba pochłonięta była swym zadaniem, oddzieleniem małej dziewczynki od jej matki, a potem oczyszczeniem ich obu. Wreszcie nowo narodzone dziecko zapadło w głęboki sen. Wtedy zawinęła białe maleństwo w skórę kangura i położyła w drugiej kołysce. Zapomniała, że

grota mogła stanowić jakieś niebezpieczeństwo. Dwoje dzieci: białej i czarnej matki mogło się teraz spokojnie kołysać.

Moamba przyglądała się niemowlętom. Niczym się nie różniły. Dziewczynka nie miała sinoniebieskiego koloru, jak diabelskie dziecko Minabee, a skóra jej własnego synka nie stała się jeszcze tak brązowa, jak miała być w przyszłości. Oboje byli koloru różowych kwiatów, które rosły w górach.

Aborygenka przypomniała sobie, że dziewczynka urodziła się bez imienia i totemu. Bo nawet gdyby jej biała matka potrafiła mówić i nazwać ducha, który przywołał córeczkę do życia, jej język nie był językiem Ngarigo czy Wogol. Moamba przyglądała się kwiatom rosnącym u wejścia do jaskini i pomyślała, że duch przesyła jej wiadomość. Jeden kwiatek już się otwierał, jego łodyżka i liście były tak delikatne jak wczesna wiosna w górach.

Moamba starannie wyryła kształt kwiatu na kołysce dziewczynki. Potem powiedziała, że imię jej brzmi Tallawang.

Kiedy Moamba ryła i malowała wzory na kołysce, biała dziewczynka obudziła się i zapłakała. Moamba podniosła wzrok na jej matkę, która też się przebudziła i patrzyła przed siebie dzikim wzrokiem. Moamba z uśmiechem wyjęła dziecko z kołyski i ułożyła je na kolanach białej dziewczyny, oczekując, że matka podniesie dziecko do piersi.

Reakcja białej dziewczyny była zupełnie niespodziewana. Dźwięki, jakie zaczęła wydawać, patrząc na córeczkę leżącą na jej kolanach, były bardziej przerażające niż te podczas porodu. Kiedy dotknęła dziecka, w jej głosie zabrzmiała wściekłość. Zerwała się na nogi i niemowlę upadło na ziemię. Potem rzuciła się na nie i zaczęła bić małe stworzenie, jakby wymierzając mu karę.

Moamba instynktownie rzuciła się ku dziecku, odpychając białą dziewczynę. Porwała niemowlę w ramiona i odwróciła się, by wziąć na ręce również własnego syna. Ale w tej samej chwili biała dziewczyna rzuciła się, usiłując wyrwać dziecko, przeklinając i wrzeszcząc dziko, kopiąc i młócąc rękami.

Moamba ujrzała, że kołyska z jej synem zsuwa się do położonej niżej jaskini. Ruszyła za nim, prawie bez lęku, trzymając wciąż w ramionach dziewczynkę.

Potem przez długi czas buszmenka po prostu leżała na ziemi. Pozostała w grocie i zajmowała się dziećmi. Mała była niespokojna, póki nie została nakarmiona, chłopca matka nie mogła utulić, nie potrafiła też wyprostować jego dziwnie skrzywionej od uderzenia nóżki.

Kiedy zgłodniała Moamba nie miała już mleka w piersi, wdrapała się wreszcie do wyższej jaskini.

Białej dziewczyny nie było.

Na zewnątrz poranna mgła tuliła się do gór, spływała w dół i zagłębiała do jaskiń jak dym.

Moamba szukała pożywienia i białej dziewczyny.

Szukała przez długi czas. Chodziła wzdłuż rzeki i potoków, między małymi jeziorkami i drzewami, które rosły u stóp wzgórz.

W końcu zaczęła się wspinać na skały, skąd mogła widzieć cały otaczający ją teren.

Biała dziewczyna, w którą wszedł zły duch, zniknęła, jakby pochłonęła ją ziemia.

Zima trzymała się na wyżynach aż do końca października.

Mike czekał, by listopad przyniósł wiosenne roztopy, i dopiero wtedy ruszył na złote pola Giandarry.

Zanim zjawił się na rancho Russella, był już początek grudnia ze swymi fałszywymi obietnicami lata.

— Poszukiwacze wkrótce nas zaleją — powiedział mu właściciel rancho. — Kiedy rząd ogłosi Giandarrę oficjalnie złotym polem, nic już ich nie powstrzyma. A ci w Sydney to zrobią, chcą czy nie. Nie taką przyszłość widziałem przed sobą, gdy tu osiadałem. Ale czasy zmieniają się, a człowiek musi się zmieniać razem z nimi, bo inaczej to on zostanie zmieniony, i to wbrew swojej woli.

— Jakie masz plany? — zapytał Mike, rozglądając się po pastwiskach należących do ranczera.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Został wydzielony obszar pod miasto. Mam już nawet nazwę. Denison. — Uśmiechnął się. — Takie było panięskie nazwisko mojej matki. Powiadała, że jeśli będę jej słuchał, daleko zajdę. Na same szczyty. No cóż, można powiedzieć, że tak się właśnie stało. Wylądowałem w tym kraju, i to całkiem wysoko. Nie nazwałbym tego szczytami, ale trafiłem wystarczająco daleko, by uciec od kobiet, a przynajmniej tak mi się wydawało.

— Jeśli już mówimy o kobietach... — Mike zawiesił głos. — Dużo ich się teraz kręci pomiędzy poszukiwaczami?

— Kilka. Ale to nie jest kraj dla kobiet, szczególnie tak wysoko. To najbardziej mi się tu na początku podobało. Lecz i to się zmienia. Nie planowałbym zbudowania miasta, gdybym nie myślał o rodzinach, które go zasiedlą.

Mike zawahał się znowu.

— Chodzi mi o jedną szczególnie kobietę. Właściwie młodą dziewczynę. Wyszła za Billa Soamesa. Ruszyli w tę stronę jakiś rok temu. W grudniu pięćdziesiątego ósmego.

— No pewnie, że ich pamiętam. Byli na samym początku, a potem znowu pojawili się jakiś miesiąc temu. Pierwszy raz widziałem ich w marcu, zaraz potem, jak się zaczęły te deszcze. Dałem mu robotę i zostali na parę tygodni, aż się pogoda poprawiła. Zatrzymałbym go dłużej, ale Soames dowiedział się o złocie, zanim jeszcze my sami wiedzieliśmy coś na jego temat. Dziewczyna zaczęła raz mówić, że była koło jaskiń, kiedy przyszło pierwsze trzęsienie ziemi. Od razu ją uciszył. Nie lubił, jak mówiła za dużo, więc może tam właśnie kopał. W każdym razie chciał stąd odejść i coraz bardziej się śpieszył. Sporo wyprzedził innych, ale nie słyszałem, żeby coś dużego znalazł.

— Z dziewczyną wszystko było wtedy w porządku?

— Nie powiedziałbym tego. Jakoś w połowie maja Soames wyruszył w kierunku na Bullock Head Creek czy Rules Creek. I ciągnął tę swoją młodą żonę, która nie była w najlepszym stanie na taką podróż, każdy to już mógł zobaczyć. A kilka tygodni później zostawił ją, chociaż on inaczej to przedstawiał. Mówił, że umieścił ją w opuszczonej chacie pasterzy na południe od Long Plain. Było tam wystarczająco jedzenia, żeby przetrzymała zimę, tak twierdził. Z tego, co ja zrozumiałem, strasznie śpieszył się do Giandarry, a ciężarna żona spowalniała podróż, no i jeszcze zima była za pasem, więc wymyślił, że ją zostawi z jedzeniem, czy bez. Jakiś miesiąc temu przybłąkała się tu z powrotem. Wyglądała tak, jakby szukała drogi do domu. Włóczyła się, na wpół obłąkana. Straciła dziecko, które urodziła w jaskiniach. Może urodziło się nieżywe albo zabili je czarni. Jeden z pasterzy znalazł ją i przyprowadził tutaj, ale trudno było zrozumieć coś z tego, co plotła.

Właściciel rancho roześmiał się.

— Wysłałem całkiem krzepkiego pastucha, żeby znalazł Soamesa i przyprowadził go tu po żonę, więc nie miał dużego wyboru. Kiedy zjawił się, była już w trochę lepszym stanie niż wtedy, jak znalazł ją mój człowiek. Powiedziałem Soamesowi, żeby porządnie się nią zajął na przyszłość, więc może tak będzie. Chociaż słyszałem, że już przedtem raz ją zostawił tam przy

jaskiniach. Może dlatego kazał jej się zamknąć, gdy tylko wspomniała, że była tam podczas pierwszego trzęsienia ziemi. Tak czy siak, zabrał ją do Nine Mile.

— Gdzie to jest? — zapytał Mike.

— Jakies dwadzieścia mil na zachód. Na północny zachód od Tabletop Mountain, kiedy się idzie u stóp gór. Może jeszcze tam siedzą, ale nie liczyłbym na to. Soames należy do tych, którzy pośpieszą na każdą wieść o złocie, i tak szwenda się od jednego wyrobiska do drugiego, licząc na szybkie szczęście.

— Gdzie zostawił ją wtedy, kiedy była w ciąży? — głos Mike'a zabrzmiał twardo.

Ranczer obrzucił go szybkim spojrzeniem.

— Mówiłem już, w chacie pasterzy, trzydzieści z górą mil na północny zachód od nas, w prostej linii. Gdzieś pomiędzy Murrumbidgee i Yarrangobill. — W jego głosie i na twarzy pojawiło się zaniepokojenie. — Ale pewnie to, co zrobił, było rzeczywiście dla niej najlepsze, nadchodziła przecież zima. Trudno powiedzieć, co jest dobre w takich warunkach. Pewnie nic by się nie stało ani jej, ani dziecku, gdyby nie próbowała iść za nim albo szukać drogi do domu matki czy gdzie tam chciała się dostać.

— Jak mówiłeś, gdzie się to dziecko urodziło?

— Jakies kilka mil na południe albo południowy zachód od miejsca, gdzie ją zostawił. Może w pobliżu grot Yarrangobilli, które znajdują się ze trzydzieści mil na północny zachód stąd. Ale to tylko przypuszczenia — odpowiedział, teraz już starannie dobierając słowa.

— Widziano tam szczep Wolgol, a ona wciąż bredziła o jaskiniach i czarnych. To nie są jedyne jaskinie na wyżynie, więc może coś jej się pomieszało z wcześniejszym okresem, kiedy przebywała koło tych grot. Jeśli wybierasz się do Nine Mile, żeby spotkać Soamesa i jego żonę, może sama będzie potrafiła ci wszystko powiedzieć, jeśli trochę przejaśniło jej się w głowie. — W głosie ranczera nadal brzmiała niepewność. Przyglądał się jeszcze chwilę Mike'owi Donohue. — Dziewczyna jest twoją krewną czy kimś w tym rodzaju?

Mike wzruszył ramionami i zmusił się do uśmiechu.

— Nie. To córka mojej znajomej. Prosimi, żebyś się dowiedział, czy wszystko jest w porządku. Chyba mogę powiedzieć, że tak. Nie ma co zawracać im głowy resztą. Ale wdzięczny jestem za szczegóły. Teraz już wiem, o czym lepiej nie wspominać.

Ranczer przytaknął.

— Nie ma co wywoływać kłopotów. Ja w każdym razie nie chciałbym się w to mieszać.

— Najlepiej zapomnieć o tej sprawie i nie rozmawiać o niej więcej — zgodził się z nim Mike z pełnym zrozumieniem. — Nikomu nie powiem, że słyszałem to od ciebie. A ty mądrze byś zrobił, gdybyś też nie wspominał już nikomu całej tej historii. Ani ty, ani twoi ludzie.

Bill Soames, kiedy Mike go znalazł, siedział na brzegu dziury wypełnionej wodą i gapił się na nią.

— Czekasz, żeby ziemia wyrzuciła ci złoto? — zapytał Mike. A potem dodał, widząc, jak twarz Soamesa posepnieje. — Niekiedy tak się dzieje, tak przynajmniej słyszałem. Widziałem niejednego, który szedł na złote pola Wiktorii z pustymi kieszeniami, a wracał bogaty. — Odwrócił się od Soamesa i rozejrzał po przeoranym płaskim zboczu. Potem powrócił spojrzeniem nad strumień, gdzie przykucnęły szalasy. Szukał wzrokiem córki Jenny. Minał ją dwa razy, zanim rozpoznał dziewczynę w zniszczonej kobiecie, pochylonej nad praniem przed najbliższym namiotem.

— Nie narzekam — powiedział Soames. — Starcza nam na życie. Czy właśnie w Wiktorii tak się dorobiłeś, że mogłeś zbudować stajnie? Słyszałem, że łapiesz dzikie konie.

— Próbowałem różnych rzeczy w życiu — powiedział Mike beznamiętnym tonem.

Przez rozryte pole szło dwóch mężczyzn, dźwigających kosz prania. Opróżnili go przed Jen coś mrużąc, a gdy odeszli, śmiali się do siebie.

— W tym kraju trudno żyć i pracować przez okrągły rok — zauważył Mike. — Trudniej niż na polach Wiktorii. Może dlatego jeszcze nie pojawili się tu Chińczycy.

— Nadają się tylko do prania — powiedział Soames, podążając wzrokiem za spojrzeniem Mike'a. — A do tego nam nie są tu potrzebni. Moja żona zajmuje się praniem z całego pola. Dzięki temu ma co robić. Kobieta potrzebuje zajęcia.

— Myślałem, że do tego czasu będziesz już miał dziecko — powiedział Mike, starając się nadać swemu głosowi obojętne brzmienie.

— I dobrze myślałeś — odparł Soames i roześmiał się. — Kiedy się ożenisz, uważaj, żebyś od razu nie wylądował z całym tabunem bacherów. Widziałem, jak to się zdarzało innym. Chyba mieliśmy szczęście tym razem. Urodziła dziecko jakieś cztery miesiące temu, ale nie przeżyło albo urodzin, albo czarnych. Tak czy siak, można to uznać za błogosławieństwo. — Soames odwrócił się do Mike'a i dodał:

— Mieszkaliśmy wtedy bardziej na północy. Akurat nie było mnie na miejscu.

— Tak słyszałem! — krzyknął z wściekłością Mike. Soames skoczył na równe nogi, ale w tym samym momencie Mike trafił go pięścią w twarz. Bill przewrócił się w tył, wpadając głową prosto w dziurę.

Mike słyszał za sobą krzyki, lecz nie zwracał na nie uwagi. Wyciągnął na wpół utopionego człowieka z płytkiej wody.

W tej chwili poczuł pięści na swych plecach i usłyszał wibrujący w uszach wrzask, a gdy odwrócił się, poczuł gorący oddech na twarzy.

Złapał dziewczynę za ręce i spojrzał w starą twarz szesnastoletniej córki Jenny.

— Nie ma się czego bać, Jen — powiedział starając się ją uspokoić. — Zabieram cię do domu, do twojej matki.

Z zaskakującą siłą uwolniła się z jego uchwytu.

— Akurat — uderzyła go w twarz i zwróciła się do swego męża. — Nic ci nie jest, Bill?

— Nic mi nie będzie, jeśli dostanę jakieś suche ubranie i coś mocnego do przepłukania gardła — odparł. Unikał wzroku Mike'a Donohue. — Powiedz temu łobuzowi, żeby stąd zmiatał. Lepiej dasz sobie z nim radę ode mnie.

Soames odszedł, a dziewczyna spojrzała na Mike'a.

— Znam cię. Jesteś ze stajni w Cooma. I pamiętam cię jeszcze z dawniejszych czasów, kiedy byłam dzieckiem. Przyjaźnisz się z moją matką, prawda? Czy ona wysłała cię po mnie? — Nie czekała na odpowiedź. — Jeśli tak, to powiedz jej, że u mnie wszystko w porządku. Nie potrzebuję nikogo, kto by mnie szukał czy o mnie wypytywał. Powiedz jej to!

— Słyszałem, że byłaś chora — powiedział Mike. — Chciałem cię sam zobaczyć, zanim powiem cokolwiek twojej matce.

Zamarła, w jej oczach pojawiło się zdziwienie.

— Byłam chora chyba jakieś kilka miesięcy temu. Ale na Gwiazdkę już wyzdrowiałam. Na Gwiazdkę mieliśmy tu party. Tak tutaj nazywają zabawę. Nigdy wcześniej nie słyszałam takiej nazwy, a ty? — Znowu zmarszczyła czoło. — Jaki miesiąc teraz mamy?

— Styczeń.

— Początek, środek, koniec?

— Koniec stycznia.

— Chryste! — spojrzała na namiot, w którym siedział Bill Soames, widoczny pomiędzy płachtami i pociągający z butelki. — Możesz powiedzieć mojej matce, że u mnie wszystko w porządku. Jestem w cholernie dobrym zdrowiu. — Liczyła na palcach. — I jeszcze coś.

Wszystko wskazuje na to, że zostanie babcią w październiku. W okolicy jej własnych urodzin. To będzie prezent ode mnie.

— Jen — powiedział łagodnie Mike. — Ty miałaś dziecko, ale ono umarło. Mylą ci się różne rzeczy. Zapominasz.

Roześmiała się.

— Kiedy kobieta nosi bułeczkę w swoim piecyku, tak łatwo o tym nie zapomina. Ta biedna bułeczka nie pożyła zbyt długo. Chyba umarła przy porodzie. Nie pamiętam. Ale to będzie żyło. — Rzuciła okiem w stronę namiotu, gdzie chował się jej mąż. — Figle, tak on nazywał zabawę gwiazdkową. I figlowaliśmy przez następne dwa czy trzy tygodnie. — Zaśmiała się znowu. — Nie powiem, żeby mi figlowanie przeszkadzało. A on nie jest wcale takim złym mężem. Lepszym niż większość. — Jeszcze raz zerknęła w stronę namiotu, zmarszczyła czoło, a potem spojrzała na Mike'a Donohue. — Na imię Chrystusa, tylko mu nic nie mów. I tak dowie się szybciej niż trzeba. Nie powiedziałabym ci, gdyby nie to, że wyjeżdżasz. — Uśmiechnęła się lekko. — I chciałam, żeby matka wiedziała. — W jej oczach pojawił się chytry błysk, gdy dodała. — Oczywiście, powiesz jej, jeśli się z nią spotkasz. Może nie. To nie ma znaczenia. — Znowu spojrzała w stronę namiotu. — Ale nie chcę, żeby się za wcześnie dowiedział. Wystarczy, kiedy dowie się w swoim czasie. — Jej spojrzenie przybrało dziwny wyraz, na wpół dziecienny, na wpół kobiecy. — Każdy musi się czuć potrzebny — powiedziała. — A on mnie potrzebuje. Choć może jeszcze o tym nie wie. Wkrótce się dowie. I może będzie zadowolony z syna. Mężczyźni to lubią, prawda? — Spojrzała na Mike'a, jakby zadając mu pytanie, ale myślami była gdzieś daleko. Na jej twarz powrócił wyraz zdziwienia. — Mam nadzieję, że tym razem to będzie chłopiec. Może był za pierwszym razem. Nie wiem. Po prostu nie wiem.

— Zmieniłaś się, Jen — powiedział Mike.

Przyglądał się jej i czekał na odpowiedź.

— Tak, wiem. Teraz jestem inna. Myślę, że to się stało wtedy, kiedy byłam chora. Nie za bardzo pamiętam, co się wtedy działo. Ale właśnie wtedy zrozumiałam, że muszę się zmienić. I zmieniłam się. Teraz wszystko będzie dobrze.

— Mogę pojechać na północ — zaproponował Mike — i dowiedzieć się, co się tam właściwie wydarzyło. A wtedy przypomnisz sobie dokładniej.

— Nie, nie, nie... — powiedziała monotonnym głosem. Westchnęła głęboko. — Nie, nigdy nie będę chciała wiedzieć, co się tam wydarzyło. Nie będę. Nigdy.

Nagle roześmiała się ostro.

— Coś takiego właśnie powiedziała matka, kiedy zginął ojciec.

I zaśmiała się ponownie na widok wyrazu twarzy Mike'a.

Mike pojechał na północ, gdyż chciał dotrzeć do płynącej z południa na wschód rzeki, wzdłuż której mógł potem wrócić aż na rancho Russella. Ale kiedy tam dojechał, przeprawił się na drugi brzeg i skierował się jeszcze dalej na północ, poza rzekę, która była jego celem.

Wreszcie uwolnił konia z wędzidła, zdjął siodło, pozwalając ogierowi na popas, i usiadł, zastanawiając się, gdzie właściwie u diabła zmierza.

Nie tylko bieżące sprawy zaprzętały mu głowę. Pomyślał, że czas zaorać pola, które zbyt długo już leżały odłogiem. Słyszał w myślach głos dziadka, który mówił to o nie uprawianej ziemi w Irlandii.

Ogier, który zaspokoił już głód, odwrócił głowę w stronę swego pana.

— Pojedziemy dalej na północ, jakieś dwadzieścia mil w linii prostej — powiedział mu Mike. — I tylko jeden Bóg wie, po co.

Z małego ogniska przed szałasem unosił się dym. Schronienie było zbudowane przy ska-
le, tuż obok wejścia do jaskini. Porządny szałas, nadający się do mieszkania, wyróżniający się
schludnością od innych, które mijał po drodze.

Kiedy podjechał bliżej, zobaczył aborygenkę kucającą w cieniu. Przy każdej piersi trzy-
mała niemowlę.

Ściągnął wodze i zatrzymał się w sporej odległości od kobiety. Kiedy spostrzegła go,
podjechał bliżej i zsiadł z konia. Nie spuszczała z niego wzroku. Miała ciemne nieprzeniknione
oczy, których wyrazu nie sposób było odczytać. Ale zauważył, że przytuliła mocniej do siebie
dzieci, aż załkały. Podszedł do ognia, starając się sprawić wrażenie, że nie zwraca na dzieci
uwagi. Przykucnął udając, że ogrzewa dłonie, chociaż dzień był gorący. W ten sposób pokazy-
wał kobiecie swoje puste ręce.

Na ogniu piekł się placek, ryba i jakieś warzywa — zwykłe pożywienie zbieraczek. Brak
mięsa i broni, a w szczególności włóczni opartych o ściany jaskini czy szałas, wskazywał, że
poza kobietą nie ma tu nikogo z plemienia. Najedzone maleństwa kręciły się niespokojnie,
spragnione powrotu do kołysek. Brzeg placka zbrązowiał od ognia. Kobieta nadal jednak trzy-
mała dzieci przy sobie.

Mike niedbałym ruchem sięgnął po placek i oderwał spalony brzeg. Potem podniósł się i
podszedł do konia. Zdjął dopiero co upolowanego kangura, obciągnął go ze skóry, którą powie-

sił, by wyszła. Następnie wypatroszył zwierzę i przygotował mięso na miejscowy sposób — napełniając wnętrze gorącymi kamieniami z ogniska oraz dodając liście eukaliptusa.

Przyglądająca mu się kobieta zaczęła się kręcić niespokojnie. Powiodła spojrzeniem od jego twarzy do rąk, na których gorące kamienie zostawiły czerwone ślady oparzeń. Położyła dzieci do kolebek, potem szybko wyciągnęła miód i posmarowała nim oparzenia Mike'a.

On, nadal milcząc, przykucnął koło ognia. Dopiero teraz spojrzął na kolebki, w których leżały, jak je Pan Bóg stworzył, dzieci.

Oba niemowlęta były brązowe od słońca, ale chłopiec już zaczynał ciemnieć, pigment w jego skórze reagował na naturalne środowisko. Murzyniátko spało, lecz drugie dziecko, dziewczynka, leżało z otwartymi oczami. Jej skóra przybrała od słońca barwę brzoskwinioworóżową. W słońcu puszek na głowie lśnił złotem. Już teraz widać było, że włosy będą kasztanowo-brązowe. A jej oczy były zielone, zielone tęczęwki w złotych obwódkach. Oczy Jenny.

Od pierwszej chwili poczuł, jak coś go ciągnie do tego dziecka, ale do końca posiłku nie odezwał się do kobiety.

— Wolgol? — zapytał wreszcie, wskazując na nią dłonią.

Zastanowiła się, po czym odpowiedziała.

— Ngarigo.

Nazwa zginęła w zalewie innych słów, których nie rozumiał. Wydawało mu się, że mówiła coś o dziecku albo córce, a także wymawiała imię Ngaringa. Słyszał opowieści krążące po Snowy Mountains o Ngarindze. Wiedział też, że kobieta nie pyta go, czy on jest ojcem dziecka. Już dawno temu przekonał się, jak niewielu miejscowych rozumiało pojęcie ojcostwa.

— Ty nosisz w sobie ducha Ngaringi? — zapytał, lecz zaraz roześmiał się i wzruszył ramionami. Udawanie rozmowy nigdzie nie prowadziło. — Będę cię nazywał Ringa — powiedział. — Ringa — powtórzył wyciągając dłoń w jej stronę. — Ringa.

Moamba czuwała przez całą noc, siedząc przy wejściu do jaskini, z dwiema kolebkami po obu bokach, w zasięgu rąk. Biały człowiek spał owinięty w derkę, koło stworzenia, które go tu przyniosło. Kiedy nadszedł ranek, Moamba nie czuła już przed nim lęku.

Przyglądała mu się. Kiedy wymówił imię „Ringa”, podeszła do niego. Dzieci leżały ukryte w jaskini. Biały człowiek intrygował ją, a ciekawość przyciągała i pozbawiała bojaźni. Gdy stanęła blisko niego, podsadził ją na potwora, który go przywiózł. Wtedy wrócił strach, bo wydało jej się, że zrozumiała. Chciał ją wykraść i uczynić kobietą białego człowieka. Tylko ci spośród jej współplemieńców, którzy służyli białemu człowiekowi, jeździli na jego zwierzęciu.

Zsunęła się na ziemię i uciekła do jaskini, lecz biały człowiek nie poszedł za nią. Z wnętrza przyglądała mu się. Siedział, przykucnąwszy koło swego zwierzęcia, jakby na coś czekał.

Choć głowę miał odwróconą, oczy przez cały czas śledziły wejście do jaskini. Przypominał sobie słowa Billa Soamesa: Słyszałem, że jesteś łowcą dzikich koni. Uśmiechnął się. Teraz znowu stał się łowcą. I miał złapać dziecko Billa!

Czekał, a jego myśli snuły się leniwie. Ludzie, zarówno czarni jak i biali, nie różnili się zbyt od źrebaków, które łapał, a potem ujeżdżał, aż stawały się szlachetne, jakby miały linię krwi czystą wprost od Charlemagne. Zastanowił się nad tym przez chwilę. Może nie Charlemagne. Kiedy wróci do Anglii, musi dowiedzieć się, skąd wywodzą się zwierzęta czystej krwi. Prawdopodobnie z Francji. Większość tych, co posiadały klasę, pochodziła stamtąd.

Do tej chwili nie myślał o powrocie do Anglii, ale teraz już wiedział, że właśnie tam pojedzie.

Nienawidził Anglii i Anglików, lecz ten kraj mógł dobrze przysłużyć się jego celom. A poprzez niego przysłuży się dziecku z jaskini. I także Jenny, kiedy czas nadejdzie. Anglia była mu to winna. Była to winna im obojgu.

W jego myślach Anglia ograniczała się do dwóch mężczyzn. Jeden pochowany był pod granitowym kamieniem, drugi prawdopodobnie żył jeszcze w starym szarym dworze, na terenie, który kiedyś należał do Irlandii.

Mike westchnął głęboko. Dwadzieścia cztery godziny temu, w drodze na północ, zastanawiał się, dokąd właściwie jedzie. Teraz wreszcie wiedział. Słyszał w myślach znowu głos swego ojca: „Każdy mężczyzna musi do czegoś dążyć, ale Irlandczyk potrzebuje prawdziwego i ważnego celu”.

Słońce powoli przesuwało się po niebie. Łowca dzikich koni musiał być cierpliwy. Ta myśl przywołała mu na pamięć Jenny, jedyne dzikie stworzenie, którego nie udało mu się złapać i oswoić. A ujeżdżacz dzikich koni potrzebował równie dzikiej partnerki. Ale najbardziej cierpliwości, pomyślał znowu, zerkając w stronę jaskini.

Kobieta wysunęła głowę zaciekawiona jego milczeniem i spokojem.

Mike uśmiechnął się. Z dzikim źrebakiem poradziłby sobie tak jak zawsze, w stosunku do człowieka musiał zastosować inną metodę.

Położył na ziemi kilka przedmiotów: lusterko, kilka piórek, kawałek drewna, któremu nadał dziwny kształt.

Kobieta przysunęła się w ich stronę, jak ryba do przynęty. Podniosła lusterko, zobaczyła własne odbicie i odskoczyła przestraszona. Mike uśmiechnął się zadowolony, czekając na reakcję. Widział, jak buszmenka znowu przesuwając się do przodu, zaciekawiona, by podnieść teraz pęk piór. Nie wiedział, co z nich odczytała, ale wyraźnie sprawiły jej przyjemność. Potem wzięła do ręki wyrzeźbiony kawałek drewna i obejrzała go z uwagą.

Zastanawiał się, co mogła odkryć w drewnianej figurce.

— Minabee — powiedziała, podnosząc wzrok z rzeźby na niego. Zobaczył w jej oczach lęk, więc wykonał dłońmi gest, który — jak wiedział — w migowym języku aborygenów oznaczał „nie”.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się. Ujrzał, że zęby tej młodej dziewczyny już są zupełnie popsute.

Odpowiedział jej uśmiechem, nie odsłaniając swych doskonałych zębów i dostrzegł w jej oczach porozumienie. Bariera językowa została pokonana.

Czarna kobieta odwróciła się, poszła do jaskini, z której wyniosła torby na jedzenie, skóry zwierząt, a potem kołyski dzieci.

Mike stał, patrząc z uwagą, czy kobieta uprzytomniła sobie problem, który jej rasa rozwiązywała w dość ponury sposób.

Żadna zbieraczka nie mogła podróżować z dwojgiem dzieci. Kiedy rodziły się bliźnięta, albo dwoje dzieci w ciągu dwóch lat, słabsze zabijano. Był to starożytny zwyczaj spowodowany koniecznością.

Kiedy odłożyła torby i skóry, by przynieść dwoje dzieci, uśmiechnął się z ulgą.

Zabrał jedną kołyskę, udając obojętność, jakby nic nie obchodziło go leżące w niej dziecko.

Wsiadł na konia i położył małą dziewczynkę na kolanach. Spoglądając na nią wyszeptał:

— Jennifer. Tak będziesz się nazywać, moja mała dziewczynko. Jennifer Donohue. Moja mała Jenny.

Jechał powoli, powstrzymując konia, żeby czarna kobieta, która podążała z drugim tobołkiem i torbami na pozywienie na ramieniu, mogła dotrzymać mu kroku. Podróż była powolna. Kiedy zbliżyli się do Talbingo Mountain, przytrzymał konia i kobieta poszła teraz przodem. Dotarli do traktu. To była Wielka Południowa Droga. Mike zsiadł z konia i zbudował szałas dla kobiety i dwójki dzieci. Obok postawił namiot dla siebie.

Wraz z nadejściem lutego zjawily się gorące północne wiatry i wyzywające je wiatry z południa. Luty był czasem wichur. A Wielka Południowa Droga była miejscem próby dla najcierpliwszych.

Minęły prawie dwa tygodnie, zanim pojawił się na niej tabor wozów jadących z Melbourne do Sydney.

Czarna kobieta odsunęła się z przestraczem, gdy Mike wskazał jej, by wsiadła na wóz. Ale on już nauczył się ją rozumieć, tak jak poznawał każde złapane przez siebie stworzenie. Odszedł na bok i przywiązał konia do wozu. Kiedy czas postoju skończył się, wsadził na wóz dzieci i sam także się na niego wdrapał. Kiedy tabor ruszył, czarna kobieta pobiegła za nim, wlokąc za sobą torby. Drewniane kolebki podskakiwały, uderzając ją w plecy.

Pochylił się i wciągnął ją na wóz. Złapała dzieci i przytuliła je do piersi, uspokajając ich przestraszone popiskiwanie.

Mike dotknął łagodnie głowy Moamby, tak samo jakby dotknął łba żrebaka, który wreszcie okazał się posłuszny. Spojrzała na niego wciąż jeszcze przerażonymi oczami, a potem zapatrzyła się na drogę, która uciekała pod kołami, oddalając ją od współplemieńców.

W Sydney zjawili się w marcu 1860 roku. Od chwili wyjazdu Mike'a z Cooma minęły cztery miesiące.

Ruchliwe miasto Sydney przeraziło kobietę z gór. Mike zastanawiał się nawet, czy nie powinien najpierw wziąć jej na jakiś czas do Cooma, żeby szok nie był zbyt wielki. W dużych miastach Kolonii pozostało niewielu aborygenów, a ci, którzy tam byli, nie mówili jej językiem. Ale Mike domyślał się, że kobieta przywykła do samotności.

Uznał, że nie mogła być starsza niż Jen Soames, której dziecku matkowała. I wtedy uprzytomnił sobie jeszcze coś. Już od prawie czterech lat prawo nakazywało rejestrowanie urodzin, zgonów i małżeństw.

Następnego dnia udał się do urzędu Kolonii. Budynki administracji stały wzdłuż ulicy znanej jako Governor Mill.

Został przyjęty w biurze wysokiego urzędnika państwowego. Stały tam meble z ciemnego drewna i panowała atmosfera wiktoriańskiej dostojności. Wypełnił i podpisał trzy dokumenty, a potem wręczył je urzędnikowi, by zostały wpisane do ksiąg.

Pierwszy dokument stwierdzał jego małżeństwo z Marią Brumby zawarte w grudniu 1858 roku. Następny — śmierć Marii Donohue Brumby podczas porodu 23 września 1859 roku. I wreszcie trzeci — urodzenie jego córki Jennifer Donohue 23 września 1859 roku.

Mike spojrział na ostemplowane dokumenty, uśmiechnął się i opłacił opłatę rejestracyjną. Potem wrócił do małego wapiennego domku, który kupił w Sydney dla swojej córki i jej mamy.

* * *

Późną jesienią 1860 roku Jenny złożyła długo odwlekaną wizytę w Cooma. Zajechała też do stajni pod pretekstem, że jej powozik wymaga reperacji i ustawienia kół. Zatrzymała się przed wjazdem do miasteczka i tak długo kopała w szprychy, aż się powykrzywiały. Czując złość na samą siebie, że ucieka się do takich szachrajstw, kopała jeszcze mocniej.

— Mike wyjechał stąd sześć miesięcy temu — powiedział Dave, nie podnosząc wzroku znad roboty. — Już tutaj nie wróci. Planuje otworzyć drugie przedsiębiorstwo wynajmu koni w Sydney. Będzie kupował i sprzedawał konie. A mnie zostawił w Cooma jako zarządcę.

Jenny stała milcząca. Czowała się pusta.

Dave zmusił się do sztucznego śmiechu, nadal na nią nie patrząc.

— Sydney lepiej nadaje się dla człowieka, który ma rodzinę. Tak do mnie napisał. Nawet nie wiedziałem, że się ożenił. Chyba nikt o tym nie wiedział.

Jenny poczuła, że ogarnia ją chłód, jakby już znalazła się w grobie. Gorzej. Dużo gorzej. Było to lodowate poczucie straty. Nigdy czegoś takiego nie przeżyła. Nawet wtedy, kiedy umarł Jonathan. Nigdy. Taka zimna, lodowata pustka.

Skuła jej twarz lodową maską, pozbawiła zdolności ruchu lub choćby grymasu. Z ulgą pomyślała, że nawet nie potrafi okazać swoich uczuć.

Stała tak w milczeniu, aż Dave podniósł na nią niepewny wzrok.

Przypominała sobie słowa Mike'a, wtedy w końcu grudnia pięćdziesiątego ósmego, kiedy razem walczyli z pożarami na wzgórzach. Minęło tylko sześć miesięcy, pomyślała, a tymczasem wydawał się tak odległy. Nawet jego głos, który wracał teraz do niej, słyszała jakby z odali — mówił jej przecież o jakiejś słodkiej damie, która tylko czeka, by ją poprosił o rękę.

A ona mu nie wierzyła. Pamiętała każde słowo, które raniło jej serce, ale przecież mu nie wierzyła. A potem stała przed domem i czekała, by podjechał do niej, gotowa usłyszeć deklaracje, których się spodziewała. A on powiedział zupełnie coś innego... Co on wtedy powiedział? Jakie to były dokładnie słowa? Nagle usłyszała go, jakby znalazł się tuż obok: „Zawsze mówimy sobie do widzenia, prawda Jenny? Myślałem, że pożegnałem się z tobą na zawsze, kiedy odwiedziłaś mnie ostatnio w Cooma Village. Nie przypuszczałem, że z powodu ślubu znajdę się tu i będę się żegnał z tobą jeszcze raz”.

Ależ on mówił o ślubie Jen, przecież właśnie przywiózł jej dokument potwierdzający to wydarzenie. Nie mógł mieć na myśli...

— Człowiek z rodziną — szepnęła, jakby pytająco, smakując to określenie, na wpeł zwrócona w stronę Dave'a, który odwrócił twarz, wyraźnie unikając jej spojrzenia. Chyba nawet nie usłyszał tego, co wyszeptwała.

Zebrała siły, by teraz jej głos zabrzmiał mocno.

— Sydney lepiej nadaje się dla człowieka z rodziną, powiadasz. Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem w grudniu pięćdziesiątego ósmego, wspominał coś o pannie, którą zamierzał poślubić. Ale jeśli mówisz o rodzinie, to oznacza nie tylko żonę.

— Ma córeczkę — powiedział Dave.

— Mike musi być szczęśliwy — odezwała się głosem tak zimnym jak lodowa skorupa, która skuwała jej serce. — Irlandczycy zawsze pragną dzieci... — głos jej zamarł, nie mogła odpędzić wspomnień.

„Chcę mieć z tobą dziecko, Jenny”. Czują go obok siebie w ciepłym łóżku, w mieszkaniu nad stajniami, jak szepcze te słowa. „Chcę, żebyśmy się pobrali i mieli dziecko, które byłoby nasze wspólne.”

Odwróciła się gwałtownie w stronę okna na pierwszym piętrze. Zapragnęła, by tam stał, patrzył na nią, czekał na nią... Ale okna były puste, tak puste jak ona.

— Jeśli Irlandczyk nie postawi na swoim z jedną kobietą, zawsze sobie znajdzie inną — dodała, a słowa wylatywały z jej ust jak okruchy lodu.

Przypomniała sobie, jak Violet McGovern nazwała zimę pięćdziesiątego dziewiątego roku. „To jak początek epoki lodowcowej”. Jenny wydawało się, że oddaje to również jej własne uczucia.

Inna kobieta nosiła w sobie dziecko Mike'a. Inna kobieta!

— No cóż, muszę załatwić sprawy, które sprowadziły mnie do Cooma — powiedziała ożywionym tonem. — Przekaż moje najlepsze życzenia i gratulacje Mike'owi i jego żonie, kiedy będziesz do nich pisał.

— Ona nie żyje — powiedział Dave. Wyprostował się, lecz nie odrywał spojrzenia od swoich stóp. — Wydaje mi się, że musiała umrzeć przy porodzie.

— W takim razie przekaż mu wyrazy współczucia — powiedziała Jenny odwracając się szybko i spuszczając głowę.

Nie chciała, by Dave ani Bóg dostrzegli na jej twarzy wyrazu zadowolenia.

Ale kiedy przypomniła sobie o dziecku, powróciło poczucie straty. Dziecko innej kobiety. Mała dziewczynka Mike'a, która powinna należeć do niej.

Podczas następnych miesięcy Jenny wypełniała życie pracą. I nawet czasami udawało jej się zapomnieć o dręczącej ją pustce.

Rosnące stado, produkcja gorzelnii, wyroby noszące na etykiecie nazwisko Travis lub Garnett przynosiły jej coraz większe profity. Gdy minęła kolejna Gwiazdka i Jenny wkroczyła w 1861 rok, siedząc nad księgami rachunkowymi, znajdowała pewne pocieszenie w tym, że stała się zamożną kobietą sukcesu.

Liczba mieszkańców zaludniających dolinę także wzrosła. Nim nastąpiła jesień, Chris Colebrook poślubił Katie O'Connor, dziewczynę z dobrej irlandzkiej rodziny, którą wybrała dla niego matka.

Jenny starała się nie wybiegać myślą poza dolinę, gdzie znajdowała dla siebie dość zajęć.

Problemy ludzi żyjących na złotych polach, które często stanowiły temat rozmów, nie obchodziły jej. Mike znajdował się daleko od pól Wiktorii. Rzadko pozwalała sobie również wracać myślą do Jen. Z poszukiwaczami miała kontakt jedynie przez Quong Lee. Wysyłana na stare i nowe złotodajne tereny whisky przynosiła pokaźne dochody.

W opowieści o napadach i linczach na Chińczykach wierzyła tylko w połowie. Pijani mężczyźni zawsze lubili koloryzować swe opowieści, które stawały się tym barwniejsze, im dłużej kursowały między gospodami i karczmami. A w tych przybytkach cena jej Highland Bae Whiskey była cztery razy wyższa niż grogu, zaś na drogach i polach obsługiwanych przez Quong Lee cena bywała jeszcze dwa lub nawet trzy razy wyższa.

W tych opowieściach tylko jedna sprawa ją zainteresowała. Kupowała kiedyś kapelusz w domu towarowym Abrama Solomona, gdzie również poszukiwacze zaopatrywali się w swój sprzęt. Zapytała więc:

— Panie Solomon, co chiński zbieracz robi na złotych polach? Słownik mówi, że zbieracze zbierają ziarno.

Abram Solomon uśmiechnął się.

— Dama taka jak pani, zawsze ciekawa znaczenia słów, powinna mieć ładny słownik. Mogę pani zaproponować bardzo porządny i do tego oprawny w skórę za zupełnie przystępną cenę.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie, panie Solomon.

Wzruszył ramionami.

— Wszystko jest tak, jak mówi słownik. Na złotych polach Chińczycy zbierają złote ziarno.

— Dlaczego poszukiwacze robią tyle zamieszania z tego powodu?

Żydowski kupiec rozejrzył się po sklepie. Nie widać było żadnego poszukiwacza.

— Jest inne słowo, które to tłumaczy. Brzmi ono „uprzedzenie”. — Wzruszył znowu ramionami. — Oni nie rozumieją.

— Ja też nie. Więc proszę mi wyjaśnić.

— Kiedy zaczęła się gorączka złota w Kiandrze, był to prawdziwy złoty potop. Kruszec nazywali napływowym złotem. Spłynął z gór wraz z potokami utworzonymi przez deszcze w pięćdziesiątym dziewiątym. Po wielkiej gorączce w latach sześćdziesiątych wydawało się, że już nic nie zostało. Więc kiedy przybyli Chińczycy i znaleźli złoto, poszukiwacze nie potrafili tego zrozumieć. Chińczycy budowali odnogi wodne i progi, gdzie woda płynęła bardzo szybko, przemywając kopce pozostawione przez poszukiwaczy. Dzięki ciężkiej pracy i ogromnej cierpliwości Chińczycy odkryli tę odrobinę złota, która jeszcze tam była. Ale poszukiwacze nazwali ich złodziejami. Powiedzieli, że nie chcą złotych złodziei w swoim kraju. — Abram Solomon uśmiechnął się lekko. — Stwierdzili, że to jest kraj białych chrześcijan i Chińczycy nie mogą w nim pozostać.

— To śmieszne!

— No tak. Kpiny. To też potężne słowo. Dama, która tak lubi trudne słowa, musi mieć ten śliczny słownik, sprzedam go pani za połowę ceny.

Podczas kolejnego spotkania z Quong Lee Jenny przepytowała i jego również, ale tylko się śmiał i uspokajał ją.

— Na polach jest dziesięć tysięcy poszukiwaczy, a wszyscy spragnieni — powiedział. — Wielu Chińczyków opuściło stare pola i rozeszło się na północ i na południe, i teraz żyje na nowych terenach. Poszukiwacze złota nie lubią Chińczyków, ale za to bardzo lubią whisky. Nie ma się czym martwić.

Nim nadeszła wiosna sześćdziesiątego pierwszego, poszukiwacze porzucili pola Giandarry, które znane były jako Kiandra. Ruszyli teraz na nowe pola Burrangong i Lambing Flat.

Jenny cieszyła się, że odchodzą z wyżyn. Jeśli okazja stwarzała możliwość zarobków, trzeba było z niej korzystać, ale poszukiwacze złota stanowili zagrożenie dla okolicy.

— Nie stracimy żadnych profitów — powiedział jej Quong Lee podczas następnego spotkania. — Gdziekolwiek pójda poszukiwacze, ja podążę za nimi. Jeśli chcesz, mogę sprzedawać whisky w Burrangong i Lambing Flat. Zarobki się nie zmniejszą.

Zadowolona z tego pomysłu zgodziła się. Ostatecznie Quong Lee był doświadczonym sprzedawcą, nie ryzykantem.

W październiku, pewnego pogodnego wiosennego popołudnia, dwa dni po urodzinach Jenny, w jej domu zjawił się młody Chińczyk. Był to Chang Lee, najmłodszy brat Quong Lee. Tak się przedstawił. Przysłała go Jen Soames, mówił tłumacząc swe najście.

Jenny wpatrywała się w niego. Przez chwilę poczuła gniew na Jen, że zdradziła miejsce zamieszkania rodziny, ale natychmiast odrzuciła troskę o siebie i zaczęła wypytywać o córkę.

— Czy z nią wszystko w porządku? — pytała. — Gdzie ona teraz jest?

— Przez jakiś czas oboje z mężem pracowali na polu Burrangong, niedaleko Lambing Flat. Teraz wracają do Kiandra.

— Czy wysłała cię do mnie z wiadomością?

Młody Chińczyk potrząsnął przecząco głową. Czekala chwilę, a potem zapytała wprost.

— W takim razie przypuszczam, że masz wiadomość od Quong Lee.

— Mojego brata zabili poszukiwacze — powiedział. — Obaj moi bracia zostali pogrzebani żywcem w bagnach.

Wpatrywała się w niego, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

— Nie rozumiem tego — odezwał się przybysz. — Jen Soames powiedziała, że poszukiwacze zabili ich, ponieważ to jest kraj białego człowieka i nie należy do żółtych Chińczyków. Ale ja się tutaj urodziłem. To poszukiwacze złota przyjechali tu z innych krajów. Mój brat, Wang, też się tutaj urodził. Myślę, że on umarł pierwszy. Starszy brat, Quong Lee, stanął w jego obronie, kiedy biały człowiek go uderzył. Wtedy biali związali im ręce i nogi i wepchnęli głowami w bagno. Jen Soames widziała to na własne oczy, tak mi powiedziała. Narysowała mi mapę, dzięki której mogłem trafić tutaj, gdzie będę bezpieczny. — Chang Lee zamilkł i rozejrzał się po dolinie. — Mój brat nigdy nie widział tego miejsca.

Jenny stała w milczeniu. Nadal nie potrafiła znaleźć słów.

— Pewnie powinienem sobie pójść — powiedział Chang Lee. — Jen Soames tylko dlatego mi pomogła, bo ja kiedyś jej pomogłem. — Opowiadał dalej, jak to rok wcześniej, w październiku sześćdziesiątego roku, szukał dla Jen akuszerki, żeby pomogła przy urodzeniu syna. W ten sposób Jenny dowiedziała się, że jest od roku babką. Ale nie była w stanie zapomnieć o

Quong Lee umierającym w bagnie, przygniatało ją ogromne poczucie winy, miała wrażenie, że przyczyniła się do jego śmierci. — „Teraz nasze rachunki będą wyrównane” — powiedziała Jen Soames, rysując mi mapę, ciągnął dalej Chińczyk. „Równie dobrze możesz się dowiedzieć, że nie chcę mieć długów wdzięczności u żółtka”. — Kiedy to powiedział, odwrócił się, jakby chciał odejść.

Jenny oprzytomniała i chwyciła go za ramię.

Później siedzieli już w domu i łatwiej rozmawiało jej się z młodym Chińczykiem. Patrząc na niego, przypominała sobie dziecięcą twarz chłopca, który otworzył jej bramę do swego domostwa, nocą podczas ulewy.

— Czy pamiętasz noc, jakieś dziesięć lat temu, byłeś wtedy jeszcze małym chłopcem. Stałeś na deszczu i trzymałeś otwartą bramę, tak by mógł wjechać wóz z dziewczyną i trojgiem dzieci? Powoził twój brat Quong Lee. Pamiętasz to?

Chang Lee przytaknął.

— Miałem wtedy tylko osiem lat, ale pamiętam.

— Twoja rodzina ofiarowała mi tamtej nocy schronienie. Teraz przyszła kolej na mnie, by przyjąć cię pod mój dach. — Zamilkła, wszystkie słowa wydały jej się niewiele znaczące. — Powinnam była uwierzyć w historie, które słyszałam, i zapewnić wam opiekę już wcześniej.

Chang Lee milczał. Nie pozwoliła sobie na dalsze bezwartościowe myśli i słowa.

— Zapręgnę wóz i pojedę po twoich rodziców — powiedziała. — Lepiej będzie, jak ty tu zostaniesz.

Potrząsał głową w milczeniu.

— Tak będzie bezpieczniej — upierała się. — Nie ufasz mi?

Zaczął mówić z wyraźnym trudem:

— Zabrałem ciała moich braci do domu rodziców. Umyli i oczyścili je, ubrali w najlepsze ubrania. Potem ucałowali mnie i pokłonili mi się. Następnie udali się do swojej sypialni i wypili miksturę z opium, którą sami sobie przygotowali. Moi rodzice i moi bracia śpią teraz we wspólnym grobie, który im wykopałem na naszej ziemi. Nie mam już rodziny. Pozostałem sam jeden.

Jenny czuła, że drżą jej usta, kiedy powiedziała:

— Jeśli potrafisz przyjąć białą rodzinę, należysz teraz do mojej. A to jest twój dom.

— Będę bardzo ciężko pracował — obiecał.

Jenny przytaknęła.

— W tej rodzinie właśnie tak robimy.

To sam Pan Bóg przysłał do nas Chang Lee, myślała Jenny, przysłuchując się Jody.

— Chińczyk członkiem naszej rodziny! Służący, to rozumiałe, ale nie członek rodziny. Co sobie ludzie pomyślą?

— Pomyślą to, co powinni. Że członkiem naszej rodziny został Chińczyk!

Przed miesiącem Jody zaręczyła się z Henry Mitchellem, synem Gusa i Lottie Mitchell z Mitchell Farm.

— Moje narzeczeństwo będzie trwało przykładowo sześć miesięcy, tak jak to się dzieje w szanowanych rodzinach — powiedziała córka do Jenny. Zaplanowała swój ślub na marzec sześćdziesiątego drugiego i pytała nieustannie, kto zajmie się kuchnią, kiedy ona opuści dom.

— Teraz kiedy odchodzisz, w naszej rodzinie znajdzie się miejsce akurat dla Chang Lee — odparła Jenny z całą satysfakcją. — On po prostu zastąpi ciebie.

Przez miesiąc Jenny czuła, że ogarnia ją radość. Głowę miała pełną planów. Własnych planów. Planów dotyczących jej własnego wesela. Wcześniej nigdy nie miała na nie czasu.

Zimna niechęć do Mike'a, za to że ją opuścił, zniknęła już dawno, a zastąpił ją gorący gniew. Gniew na samą siebie. Gniew na niego. Gniew na życie. Po prostu bezużyteczny i skierowany w próżnię gniew.

Mike nigdy nie przyjeżdżał do Cooma. Jenny ciągle znajdowała jakiś powód, żeby zjechać do osady, potrafiła się nawet przedzierać przez śnieg, by tam dotrzeć. Ciągle miała nadzieję.

Czasami, kiedy w nocy nie mogła usnąć, marzyła o Sydney. Odwiedzić miasto. Odwiedzić Mike'a. Ale powstrzymywała ją duma. Musiała znaleźć wystarczająco dobry powód, usprawiedliwiający ją przed nią samą i przed nim. Powód, który nie spowodowałby najmniejszego uszczerbku dla jej dumy.

Pierwszego dnia wiosny, we wrześniu, taki powód otrzymała nieoczekiwanie, niby prezent, od Jody.

Planowano wesele. Wspaniały ślub w kościele w Cooma, a potem, również tam, przyjęcie weselne. Wysłały zaproszenia do wszystkich znajomych. Zaproszenie do Mike'a będzie tylko jednym z wielu.

Wkrótce po prostu spotkają się po długim rozstaniu, jak tyle razy w przeszłości. Ale tym razem zostaną razem. Mężczyzna z dzieckiem potrzebuje żony.

Czasami ogarniała ją obawa, że już jakaś inna kobieta... Ale zawsze zwalczała lęk. Dave powiedziałby jej. W spokojny, właściwy sobie sposób powiedziałby jej.

Im bliższy był termin ślubu Jody, tym częściej pozwalała sobie myśleć o małej córeczce Mike'a. Dziecku innej kobiety, które jednak od chwili urodzenia nie miało matki. Więc nie będzie musiała wypełniać miejsca zajętego przez matkę. Stopniowo dziecko stanie się częścią Mike'a, którą ona nauczy się akceptować, a może pewnego dnia nawet kochać.

Kiedy nadszedł marzec sześćdziesiątego drugiego, Jenny z całą satysfakcją objawiła światu swoją zamożność, sprawiając młodszej córce najbardziej elegancki ślub, w jakim brali udział okoliczni mieszkańcy.

Podczas ceremonii siedziała uwięziona we frontowej ławce, obrzucała zdesperowanym wzrokiem rząd po rzędzie w poszukiwaniu Mike'a między wymyślnymi kapeluszami kobiet. Zwyczaj nie pozwalał jej stać przed kościołem, gdy zjawiali się goście.

Natomiast już w czasie przyjęcia witała każdy nadjeżdżający powóz i każdego przybyłego, aż wreszcie została sama, wpatrując się w pustą ulicę.

Dave był jedynym reprezentantem przedsiębiorstwa wynajmu koni.

— Jaka szkoda, że pan Donohue nie mógł przyjechać — powiedziała do niego Jenny, starannie kontrolując swój głos i zachowanie. — Wysłałam mu zaproszenie.

— Może nie doszło albo dotarło w niewłaściwe miejsce i nie dostał go — odparł Dave szurając nogami i nie podnosząc na nią wzroku. — Sprzedał przedsiębiorstwo i sprzedaje też dom. Ma zamiar przenieść się do Londynu. Mówi, że tam łatwiej mu będzie, jako wdowcowi, odpowiednio wychować córkę.

Jody promieniejąca zadowoleniem u boku swego męża rozglądała się po gościach, szukając zapłakanej twarzy. Wreszcie jedną znalazła. To płakała jej matka.

Mike patrzył na czarną kobietę, udręczony próbami wytłumaczenia jej swoich planów.

— Chciałbym zabrać was oboje ze sobą. Miałem nadzieję, że jest to możliwe, ale nie. Przepisy zabraniają mi tego — spróbował kolejny raz. — My dwoje, nullegai, jedziemy bardzo daleko, ballima. Wy dwoje, indubilla, musicie zostać. Zamieszkacie na terenie misji, w domu nauczycieli, minimbah.

Kiedy usłyszał siebie prawie wykrzykującego te proste słowa, zamilkł. Nie cierpiał ludzi, którzy przemawiali do cudzoziemców jak do głuchych, próbując krzykiem przełamać słowne bariery.

— Ringa — spróbował raz jeszcze łagodniejszym głosem, pomagając sobie rękami. Stosował język migowy, który czasami wydawała się rozumieć. — Ty i Rum pójdziecie do misji, tam się wami zajmą. Ja zabieram Jennifer daleko stąd.

Moamba słuchała jego głosu i przyglądała się jego dłoniom. Kiedy nazywał ją Ringa, zawsze słuchała i patrzyła. Było to jedyne słowo, które nauczyła się rozumieć od chwili, gdy po raz pierwszy je wypowiedział. Na dźwięk imienia Jennifer spojrzała na Tallawang: mała dziewczynka trzymała się spódnic, które kazano nosić Moambie. Większość słów nic nie znaczyła dla czarnej kobiety, ale zrozumiała kilka znaków. Ona i Rum mieli pójść w jedno miejsce, a on i Tallawang w drugie.

Gdy ta wiadomość wreszcie do niej dotarła, Moamba z płonącym wzrokiem złapała dziewczynkę w obronny geście. Wyczuwając niebezpieczeństwo, Jennifer zaczęła płakać.

Mike westchnął i potrząsnął głową.

— Tak po prostu musi być — szepnął. — Wyjaśnienia nic nie dadzą.

Misja zajmująca się aborygenami była posepnym zamkniętym miejscem na peryferiach rozrastającego się miasta Sydney. Kiedy wjechali na jej teren i zatrzaśkiwały się za nimi kolejne bramy, Moamba przerażona przytuliła do siebie mocno oboje dzieci.

Na powitanie wyszło dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Przelotnie spojrzeli na Moambę i Ruma, a potem nie zwracali już na nich uwagi.

— Czy wie pan, jakim językiem ona się posługuje? — zapytała kobieta. W jej głosie zabrzmiała nuta skargi, kiedy dodała. — Używają dziesiątków dialektów, nawet jeśli mieszkali na tych samych terenach. Gdyby mówiła podobnie do aborygenów z okolic Sydney, łatwiej byłoby ją uczyć. Większość z nich już się przyuczyła.

Mike zmarszczył czoło i rozejrzał się po otaczających ich budynkach misji. Wymówiła słowa „przyuczać” jak niektórzy łowcy dzikich koni słowo „okiełznać”.

— Czy oni są tutaj szczęśliwi? — zapytał nie ukrywając z wątpienia.

— Oczywiście. Dlaczego mieliby być nieszczęśliwi? Dostają jedzenie, naukę Chrystusa przekazujemy im jeszcze, zanim potrafią wysławiać się porządnie. W zamian niewiele się od nich wymaga. Niedużo zresztą potrafią robić, przynajmniej na początku. Ale uczą się. Chrześcijańska nauka wcześniej lub później przynosi owoce.

— Co z językiem? — zapytał mężczyzna. — Nie odpowiedział pan na nasze pytanie.

— Nie potrafiła się nauczyć angielskiego — odparł Mike, choć myślami był gdzie indziej. — Nie potrafię powiedzieć, jaki jest jej naturalny język. Pochodzi z wyżyn. Może z cen-

tralnego zachodu, może z terenów położonych bliżej, w górach. Znalazłem ją, kiedy błąkała się po Wielkiej Południowej Drodze.

— Nie mamy nikogo z tamtych stron, więc będzie musiała się uczyć. Może inni jej pomogą. Wydaje się, że wzajemnie rozumieją się całkiem dobrze. Zbyt dobrze, jak na mój gust. Nie lubię ich obco brzmiącego języka ani znaków, które pokazują sobie rękami. Nie lubię nic, czego sam nie potrafię zrozumieć.

— W takim razie, co was skłoniło do pracy w misji? — zapytał ostro Mike.

Mężczyzna i kobieta spojrzeli po sobie, a potem na Mike'a.

— Jesteśmy chrześcijanami — odpowiedzieli unisono. — Niewielu spośród tych, którzy tu przybyli, pamięta jeszcze o swojej religii — powiedziała kobieta. Mężczyzna przytaknął. — A jeszcze mniej liczni skłonni są podjąć tego typu trud. Mają szczęście, że my chcemy to robić.

Mike rozejrzał się raz jeszcze po ponuro wyglądających budynkach misji. Niechętnie zostawiał tu Ringę i dziecko, ale nie było dla nich innego miejsca.

— Tutaj jest mój adres — powiedział, zapisując go na kawałku papieru. — Jeśli tylko będą jakieś problemy — podniósł wzrok — gdyby się czuła nieszczęśliwa albo nie mogła przyzwyczać się do tutejszego życia, wyślijcie do mnie gońca. — Skończył pisać i wsunął pieniądze do koperty, w którą włożył kartkę z adresem. — To wystarczająca suma na opłacenie kuriera i za mieszkanie w misji. Będę przebywał pod tym adresem jeszcze jakiś czas.

Goniec zjawił się u jego drzwi w trzy dni później. Przyniósł długi list napisany niewyraźnym, a w dodatku fonetycznym angielskim przez kobietę z misji.

„Panie, ta czarna to prawdziwy kłopot. Co ona wyrabiała, kiedy zabraliśmy od niej to Murzyniátko, tak jak zawsze od razu robimy, bo wtedy łatwiej z nich zrobić uczciwych chrześcijan. Posmarowała się cała białą gliną, to okropny zwyczaj, tak robią, kiedy ktoś z rodziny im umrze. A potem jęczała, jeden z nich powiedział mi, że po stracie tego Murzynka. A nawet dwojga, dlatego też wybiła sobie dwa zęby, a nie jeden. Okropne mają obyczaje i w dodatku nie potrafią liczyć. Przecież tylko jedno dziecko pan z nią przywiózł, chłopca imieniem Rum, prawda? Zdrapałam z niej tę białą glinę i sama własnoręcznie ją umyłam, bo jestem dobrą chrześcijanką, a ona szarpała się jak szalona. Kiedy jeden z aborygenów powiedział jej, że chłopiec, którego zabraliśmy od niej, żyje, uspokoiła się. Myśleliśmy, że już będzie dobrze, ale nie. Tej nocy, kiedy wszyscy spali, zakradła się tam, gdzie trzymamy wszystkie dzieci, i uciekła z nim. Kiedy obudziliśmy się rano, już ich nie było. Mogła nas wymordować we śnie, gdyby wiedziała, gdzie jesteśmy, ale my jesteśmy ostrożni oczywiście, jeśli o takie sprawy chodzi,

więc nic się nam nie stało. Ale sama naprawa płotu będzie kosztowała tyle, ile pan zostawił, więc mamy nadzieję na więcej...".

Mike był zadowolony, że Ringa zdołała się wydostać z Rumem ze schroniska. Wiedział, że pójdzie do domu. Z powrotem Wielką Południową Drogą. Gdyby przyspieszył swe plany, może mógłby jej udzielić pomocy, jaka jej się od niego należała. I przyspieszy je! Misja i cała niesprawiedliwość kolonialna, którą uosabiała, zepsuła mu pobyt w Sydney.

Zanim zapadł zmierzch, Mike znalazł poleconego bankiera, który miał w jego imieniu dokończyć interesy w Sydney. I poprowadzić je w przyszłości, jak zapowiedział mu Mike, przypieczętowując w ten sposób zawartą umowę nadzieją na dalszą współpracę zarówno z samym bankierem, jak i jego bankiem.

Od 1852 roku między Anglią a Australią kursowały parowce. Parowiec „Peninsular and Orient Line”, przewożący ładunki królewskiej poczty do Sydney, odpłynął właśnie i był już w drodze do Melbourne, a stamtąd do Singapuru i Anglii. Opuścił Sydney Cove właśnie tego ranka.

— Spóźnił się pan na swój parowiec — powiedział Mike'owi bankier. — Jest on przystosowany do przewozu towarów, a tych w dzisiejszych czasach w Melbourne nie zabraknie. Wróci do Sydney podczas następnego rejsu.

— Nie spóźniłem się — odparł Mike. — Jeśli chcę coś złapać, zazwyczaj mi się to udaje.

— Parowiec to nie żrebak — powiedział bankier, zdradzając znajomość spraw nowego klienta. Jego ton wskazywał, że z informacji na temat Mike'a był zadowolony.

Mike uśmiechnął się półgębkiem.

— Dzikie żrebaki trzeba traktować z większą uwagą i respektem niż te najlepiej urodzone. Dobrego dzikiego konia nie jest łatwo złapać, ale warto na niego poczekać, nieważne jak długo.

Bankier odwrócił taktownie wzrok, jakby domyślając się, że Mike nie mówi o koniach. Przyjrzał się małej dziewczynce usadowionej u boku klienta.

Jennifer siedziała statecznie na krześle. Wyglądała bardzo poważnie, ale od czasu do czasu rzucała zaciekawione spojrzenie na bankiera.

— Wygląda na to, że pańska córka jest najczystszej krwi — powiedział bankier.

— Kiedy ją pan zobaczy ponownie, nikt nie będzie miał co do tego najmniejszej wątpliwości — odparł Mike.

Teraz przypomniał sobie słowa bankiera, kiedy spoglądał na Jennifer, uśpioną na jego kolanach w dylizansie gnającym przez noc z ładunkiem poczty królewskiej Wielką Południową Drogą. Zaprzężony w cztery konie powóz był wymysłem amerykańskim, wygodniejszym niż wóz ciągnięty przez woły, który przywiózł jego, Ringę i dwoje dzieci do Sydney.

Mike ciągle rozglądał się po lesie oświetlonym latarnią wiszącą na koźle, choć z pewnością minęli już miejsce, gdzie mogła zawędrować na własnych nogach kobieta z dzieckiem.

Był pewien, że Ringa spróbuje wrócić na ziemię swoich ludzi. Trochę go to martwiło, ale życzył jej szczęścia. Patrząc na Jennifer, którą od małości opiekowała się czarna kobieta, szeptał w noc błogosławieństwo: niech Bóg cię chroni, Ringo.

Moamba wędrowała lasami, w bezpiecznej odległości od drogi. Zatrzymała się, by zrobić nową kołyskę, w której ułożyła synka, i zawiesiła ją na plecach.

Kiedy nadeszła kolejna noc i zobaczyła bestie białego człowieka z toczącym się gunyah, ukryła się przed nimi. Potem usnęła, mając dziecko przy boku. O świcie powędrowała z uśmiechem na twarzy, w zgodzie ze swoją ziemią.

Czekała ją daleka droga, ale czas nie ma znaczenia dla tych, co wędrują. Czas był tylko miejscem na niebie, które dzieliły między siebie Uloola i Arana Kara-Kara.

KSIĘGA DRUGA

12.

Ziemia potężnie zadygotała.

Benong obudził się i wstał ze swego posłania koło kopca na południowo-wschodnim stoku.

Arana Kara-Kara schodził z nieba. Uloola wschodziło, rozczapierzając cienkie palce jasnego światła na wschodzie.

W dolinie Ngaringi tylko zwierzęta białego szczepu kręciły się, porykując, rżąc i szczekając, ale wkrótce te odgłosy ucichły.

Nie była to jeszcze pora upałów. Wysoko w górach zimny wiatr hulał między szczytami.

Benong zawinął się w kangurzą skórę i ułożył się znowu do snu. Starzał się. Każdego dnia jego duch dłużej pozostawał po drugiej stronie.

Ale wtedy ziemia poruszyła się raz jeszcze. Kamienie potoczyły się po stoku aż na dno wąwozu.

Benong z wysiłkiem próbował przypomnieć sobie słowa, których uczył go biały chłopiec. Trzęsienie ziemi. Nie potrafił ich sobie przypomnieć, ponieważ ich nie rozumiał. Kiedy biały chłopiec wypowiadał słowa, Benong słuchał dźwięków, ale nie miały one znaczenia.

Niejasne myśli o białym chłopcu, toczących się kamieniach, zimnych szeptach wiatru i drżącej ziemi odsunęły od niego sen. Stał się nagle czujny, świadom, że następuje jakaś zmiana.

Doszedł go niedaleki dźwięk. Dziwny i nowy. Niósł w sobie szept wiatru i ducha.

Benong zbliżył się do kopca i przyjrzał mu się z uwagą.

Ziemia i kamienie popękały od szczytu po sam dół.

Poprzez szczelinę zobaczył zarys postaci pokrytej korą i pędami chmielu. Zarys siedzącej postaci. Uloola, słońce, wzniosło się wyżej i dotknęło swym palcem kopca, a potem promień powędrował w głąb i dotknął siedzącego kształtu i odkrytej czaszki, wypełniając okrągłe otwory światłem życia.

Tego dnia, 17 października 1862 roku, Jenny zapełniła pierwszą stronę oprawnego w skórę dziennika, dostarczonego jej przez Abrama Solomona rok wcześniej, i od tego czasu nie tkniętego.

W pierwszej linijce napisała: Skończyłam dzisiaj trzydzieści jeden lat. A potem cisnęła dziennikiem przez całą długość pokoju.

Dzienniki to bardzo ciekawskie przedmioty, wyciągają najbardziej prywatne myśli, zmuszają kobietę, by pisała o uczuciach, które stara się ukryć nawet sama przed sobą. Dziennik jest tak samo dobry jak konfesjonał.

Dzień urodzin nie jest odpowiedni do pisania dziennika, tylko na przeprowadzenie rozliczenia.

Utwierdzona w tym przekonaniu, wyciągnęła księgę rachunkową i przyjrzała się jej. Oglądała każdą stronę, sprawdzając rachunki.

Zsumowała arealy, zsumowała pogłowie stada i zsumowała majątek, jaki zebrała podczas przeszło dwunastu lat przymierania głodem. Wmawiała w siebie, że jest zadowolona, i przywołała na usta wymuszony uśmiech.

Rachunek nie jest jednak dokończony, pomyślała nasłuchując odgłosów dochodzących z kuchni, gdzie pracował Chang Lee i pobrzękiwał metalowymi rondlami.

Podniosła swój dziennik i przyglądała się mu przez chwilę. Znakomicie nada się na porządny spis ludności. Rejestr bydła już miała.

Przekreśliła zapis na pierwszej stronie i zaczęła od nowa.

Spis Ludności Minaby Flat od października 1862 roku

Farma Travisów: Jenny Garnett Travis, Jazon Travis, Chang Lee, pracownicy Pete i Charlie Sayers

Farma Colebrooków: Mary i Samuel Colebrook, Chris Colebrook i jego żona, Katie O'Connor Colebrook (przybyła w 1861), i ich maleńki synek John (urodzony w 1862) oraz budowniczy, teraz pracownik farmy Jim Carruthers.

Farma Mitchellów: Gus i Lottie Mitchell, ich syn Henry i jego żona Jody Travis Mitchell.

Drobiowa Farma Daviesów: Wilfred Davies, jego żona Daisy i ich maleńka córeczka Minnie (przybyli w 1862).

Farma Trzody Chlewnej Spigottów: Alfred i Gertie Spigott i trzy Spigottówny (przybyli w 1862).

Sklep Travisów: George McGovern, prowadzący sklep, i jego żona Violet McGovern, nauczycielka, oraz ich synek Wetherley (Wet) McGovern (urodzony w marcu 1862). Musiał przyjść na świat w czasie tej burzy z piorunami!

Gorzelnia Garnett: George „Malt” Jones i Josef „Murphy” Jones, pani Murphy Jones, dziewięcioletni Charity Jones (przybyli w 1862).

Hotel Travisów: „Downer” Farley, karczmarz, i jego żona, pani Farley (przybyli w grudniu 1861).

Warsztaty Garnettów: George Farley (brat „Downera” Farleya) i jego żona, pani George Farley (przybyli w 1862).

Przyjrzała się ostatnim dwóm zapisom. Pod koniec lat pięćdziesiątych wszędzie tam, gdzie tylko pojawili się poszukiwacze złota, powstawały jak grzyby po deszczu gospody i piwiarnie. Te z kolei przyciągały inspektorów handlowych, sprawdzających licencje na prowadzenie takich przybytków. W tym czasie pub Jenny funkcjonujący na zasadzie wiary w uczciwość ludzi, a nakłaniający do niej jedynie napisem „obsłuż się sam i zostaw pieniądze na ladzie”, zamieniono po dobudowaniu dodatkowego piętra w oficjalny hotel. Prowadził go karczmarz z prawdziwego zdarzenia, posiadający licencję. Jenny znalazła go dzięki kolumnie ogłoszeń w gazecie sydneyjskiej.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie, z jaką przyjemnością dawała to ogłoszenie. Zadowolona też była z Farleyów.

Lubiła ich. Podobał jej się także oficjalny licencyjny znak, który Downer Farley umieścił na pubie, pośrednio odnoszący się do całej osady Minaby Flat.

Jej uśmiech stał się wyraźniejszy. Podobał się jej nawet sprytny sposób, w jaki Downer sprowadził swego brata George'a do doliny. Nigdy się tego nie dowie i oczywiście nigdy o to nie zapyta, ale przypuszczała, że to Downer Farley wyposażył w narzędzia do wydobywania złota dwóch stolarzy, którzy pracowali w jej warsztatach, kiedy on się zjawił w dolinie. Następnego dnia już ich nie było, a Downer oświadczył całkiem obojętnym tonem, że jego młodszy brat George poradziłby sobie z wyrobem mebli. Wkrótce też, z nowym rokiem do doliny przybył George Farley i jego żona, tak jakby byli gotowi do drogi i tylko czekali na wezwanie. George Farley okazał się niezłym cieślą, można nawet powiedzieć, że całkiem utalentowanym. I Farleyowie byli rodziną.

Czasami Jenny kusilo, by powiedzieć Downerowi, że wystarczyło ją tylko poprosić. Tamci stolarze byli wędrownymi ptakami, zawsze gotowi do odlotu. Nie żałowała, kiedy odjeżdżali. Co innego z rodziną. „Rodziny przychodzą, by zapuścić korzenie i rosnąć” napisała, kiedy już wyliczyła trzydzieścioro czworo ludzi zamieszkujących Minaby Flat.

Popatrzyła na ostatnie słowa. Nasłuchiwała krzątający się Chang Lee w kuchni i rozmyślała nad tym, co opowiedział jej o Jen. Narysowała koło pod wymienionymi osadnikami. Wewnątrz niego dopisała: nigdy nie widziany, imię nieznane, obecnie dwulatek, jeden wnuk.

Zmarszczyła czoło i zanurzyła pióro w atramencie. Dla tego koła straty nie było miejsca w jej spisie ludności, tak samo jak nie było miejsca dla dziecka Jen w dolinie. Już miała je skreślić, ale wstrzymała się. Może zostać, zdecydowała. Nawet w swoim rejestrze bydła notowała straty. A zawsze były przecież zyski.

Uśmiechnęła się znowu, przypominając sobie twarz Jody, kiedy dziewczyna przyszła złożyć matce życzenia urodzinowe tego samego dnia rano. Sztywna w swej sukni z gorsetem i manierami kolonialnej damy, starannie imitująca głos Violet McGovern, Jody oznajmiła:

— Myślę, że ty powinnaś dowiedzieć się pierwsza, matko. Henry i ja oczekujemy.

— Czego oczekujecie? — zapytała Jenny.

— Dziecka!

— Och, nie byłam pewna — wyszeptała. Jej twarz zachmurzyła się. — Zwłaszcza że Henry i jego ojciec sprowadzili te owce, zamiast porządnych zwierząt, nadających się w nasze strony. Dziecko będzie miłą odmianą.

Dlaczego zawsze to robię? — zastanawiała się, kiedy Jody już odeszła zbyt szybkim krokiem jak na jej niewygodny gorset i sztywne maniery. Pióra na kapeluszu kołysały się gwałtownie, a parasolka napinała jak balon. Prawdopodobnie płacze, pomyślała Jenny, przyglądając się córce przez okno, z obawą, że dziewczyna może się potknąć i upaść. — Dlaczego zawsze się tak zachowuję?

Przerzucając strony w słowniku Jonathana, szukała tego, który najlepiej oddawałby jej uczucia. Wreszcie znalazła dwa, z których każde usatysfakcjonowało ją połowicznie.

— Ponieważ jestem przewrotna! — zdecydowała. — I ponieważ nikt nie będzie mnie traktował protekcyjnie. Zawzięta, kłótliwa i uparta. I dumna. Taka właśnie jestem.

Ale żadne z tych mądrych określeń nie miało wystarczającej siły i nie zapewniało jej broni i obrony, której miała potrzebować. Millie Garnett знаła odpowiednie słowa.

— Ponieważ nikt mnie, do cholery, nie będzie flekował — powiedziała na głos.

— Szukałem słownika ojca — odezwał się Jazon.

Stał w drzwiach i patrzył na książkę, którą trzymała w rękach.

Ojciec! — pomyślała, spoglądając na trzynastoletniego chłopca. Jakby słowo mogło ożywić człowieka, którego nigdy nie znał.

— W takim razie, zgodnie z tym co mówią ci oczy, znalazłeś go — powiedziała.

Uśmiechnęła się, próbując przyciągnąć chłopca bliżej.

— Jakiego słowa szukasz?

Zawahał się, zawstydzony, oporny, gotowy bronić siebie albo jej. Może stara się ochronić nas oboje, pomyślała spoglądając na jedyne dziecko, które urodziła z potrzeby miłości.

— Wiele słów — odpowiedział Jazon, nadal niechętnie. — Pani McGovern mówi, że muszę bardzo starannie dobierać słowa w eseju, który teraz piszę. Od tego zależy, jak rozpatrzą moje zgłoszenie do najlepszej szkoły w Sydney, teraz kiedy ona musi już zająć się własnym synem.

Jenny odwróciła spojrzenie od syna, przeniosła go na trzymaną książkę i przez kilka chwil przerzucała kartki.

— Jakie zgłoszenie?

— O stypendium. Pani McGovern uważa, że powinienem zdobyć pięcioletnie stypendium na korespondencyjną naukę z jakiejś porządnej szkoły średniej. A potem za pięć lat mógłbym pójść na uniwersytet — chłopiec brnął dalej, wyraźnie niechętnie zdradzając swoje plany. Jenny patrzyła na niego i czekała, co jeszcze powie.

— Żeby studiować angielską historię, sztukę, filozofię... no takie przedmioty.

Jenny spoglądała na niego jeszcze przez chwile.

— Co za cholerne idiotyzmy! — nie wytrzymała wreszcie. Co to za bzdury opowiada ci Violetta McGovern.

— To nie są bzdury — Jazon odpowiedział szybko, wyraźnie zdesperowany. — To właśnie pani McGovern nazywa wyższym wykształceniem.

— Znam parę słów, które dobrze określają Violetę McGovern! — Jenny wrzała gniewem. Ugryzła się jednak w język. Wszystkie one należały do Millie Garnett, lecz znacznie lepiej oddawały jej uczucia niż jakiegokolwiek słowo, które potrafiła znaleźć w słowniku Jonathana.

— Ona też zna słowa, które stosuje do ciebie — wykrzyknął Jazon głosem piskliwym z przejęcia. W tej chwili walczył o jedyną rzecz, której pożądał w życiu. — Ja... ja słyszałem, jak mówiła. Nazwała cię matriarchinią!

Ten krzyczący na nią chłopiec o bladej twarzy był obcy. Nie przypominał jej spokojnego syna Jazona. Spoglądała na jego spopielałą twarz. Nagle zniknął i usłyszała już tylko stukot biegnących stóp.

Jenny wpatrywała się w pusty otwór drzwi. Widziała w nich odwracającą się Jody, prawie potykającą się, w zsuwającym się z głowy, szykownym kapeluszu. Widziała w nich białą twarz obcego, który był jej synem Jazonem, też uciekającym przed nią.

— Matriarchini — wyszeptała. — To musi oznaczać potwora.

Słownik Jonathana upadł na podłogę. Spojrzała na niego, starając się go zignorować, ale ciekawość wzięła górę. Wreszcie podniosła książkę i przerzucała kartki, aż znalazła odpowiednie słowo.

— Może Violet McGovern nie jest mimo wszystko taka głupia — powiedziała po chwili głośno. Teraz już uśmiechała się. — To słowo doskonale do mnie pasuje. Matriarchini. Głowa tej rodziny i głowa szczepu zamieszkującego dolinę. Ale jeszcze ciągle młoda matriarchini. Minie jeszcze dużo czasu, nim się postarzeję i stanę czcigodną osobą. — Ta myśl i to nowe słowo sprawiły jej przyjemność. Czowała się tak, jakby Violet McGovern dała jej urodzinowy prezent.

Przesuwając palcem po słowniku należącym do Jonathana, który nigdy nie pamiętał o jej urodzinach, zatrzymała spojrzenie na słowie widniejącym na samym dole kolumny: immatrykulacja. Odczytała jego znaczenie, potem zamknęła książkę i zaniósła ją do pokoju Jazona. Chłopiec leżał na łóżku z wciśniętą w poduszkę, czerwoną od łez twarzą.

— Dość tych nonsensów — powiedziała Jenny energicznie, kładąc słownik na stole. — Czy nie powinieneś w tej chwili pisać swego eseju?

Mike przyglądał się irlandzkiemu księdzu, który rozmawiał z przeoryszą klasztoru, matką Weroniką. Potem zobaczył, jak siostra ujęła trzyletnią Jennifer za rękę i poprowadziła ją za sobą. Dziecko raz odwróciło się i uśmiechnęło, a potem znikło między drzewami otaczającego klasztor lasu na Wyżynie Północnoirlandzkiej.

Minęło sześć miesięcy od chwili, gdy on i Jennifer wypłynęli z portu w Melbourne.

Kolonie pozostały za tysiącami mil oceanu. Anglia przemknęła pod kopytami koni ciągnących powóz, który zawiózł ich do Liverpoolu. Stamtąd przepłynęli przez Morze Irlandzkie na północ, mijając Mull of Galloway, by wysiąść w Belfaście. Pojechali jeszcze bardziej na północ, powyżej i poza Nowe Miasto Abbey, gdzie wreszcie ich podróż dobiegła końca.

Mike powrócił po dziewiętnastu latach nieobecności na ziemię, na której się urodził. Znowu wdychał zapach Irlandii. Jego dom rodzinny znajdował się jeszcze dalej na południowy zachód, w Connemarze, u wybrzeży zatoki Galway. Ale na razie najlepiej jego celom służyła północna Irlandia. Miejsce zamieszkałe przez mieszaninę protestantów i katolików, w tym Pata

O'Reilly'ego, kamrata jego powstańczej młodości, dzisiaj ojca Patricka O'Reilly'ego — chudego, nerwowego księdza, który odwracał teraz ku niemu uśmiechniętą twarz, jakby czytając w myślach przyjaciela.

— Mogę się założyć, że teraz wyjedziesz i zostawisz mnie, żebym wypił to anglo-romańskie piwo, któreś nawarzył.

— Dalesz mi słowo, Pat, więc po co mamy się o to kłócić jeszcze raz? Pat O'Reilly potrząsnął głową. Tak jak powiedział już wcześniej, zrezygnował z przekonywania, że żadne dziecko nie powinno być wychowywane na pół-Anglika, pół-romańskiego katolika, w połowie przez angielskiego biskupa, w połowie przez niego samego — z matką Weroniką, przeoryszą zakonu, ustawioną gdzieś pośrodku i wierzącą, że nadstawianie drugiego policzka oznacza również przymykanie oczu.

— Korzenie Jennifer sięgają zarówno Anglii, jak i Irlandii — powtórzył kolejny raz Mike. — Nie mógłbym jej zostawić, gdybyś mi nie dał słowa. Nie chciałem też wyjechać przed jej urodzinami. I zanim nie dostałem tego.

Spojrzał na fotografię. Widać było na niej Jennifer stojącą przed bramą konwentu, na której widniała wyraźnie jego nazwa. Zdjęcie było jednocześnie kartą pocztową. Zamierzał wysłać ją do Jenny.

Pat O'Reilly przeżegnał się.

— Myślałem, że to robił diabeł we własnej osobie, taki o złym spojrzeniu na trzech nogach i okryty czarną peleryną.

Mike roześmiał się.

— Przyzwyczajasz się do tego. Przyjedzie jeszcze nie raz w przyszłości robić zdjęcia Jennifer.

— A gdzie ty będziesz?

— Przez resztę roku zamierzam skupować konie, tak jak ci powiedziałem. A potem zabiorę je do Ameryki. Podczas wojny domowej konie będą w cenie.

Ksiądz spoglądał sceptycznie.

— Niezmiennie tak samo odpowiadasz na moje pytania. Zawsze dostaję tylko połowę odpowiedzi.

— Kiedy będzie więcej do powiedzenia, ty usłyszysz to pierwszy, Pat.

— Bez wątpienia masz swoje własne powody, wśród których na pewno niemało miejsca zajmuje knucie przeciwko Anglikom. Gdybym w to nie wierzył, nie pomagałbym ci w sprawie, przez którą wszyscy święci Irlandii przewracają się w grobach.

Pat O'Reilly westchnął głęboko, a potem mówił dalej:.

— A jeśli chodzi o Amerykę, to skoro chcesz dopomóc Irlandii, na pewno znajdziesz oddanych tej sprawie Irlandczyków pomiędzy Jankesami. Kiedy dopłyniesz do Bostonu i sprzedasz swoje konie, zawróć na północ. Nie kieruj się na południe, by służyć cudzym celom. Jedź na północ, do Vermont.

— Dlaczego akurat tam?

— Wszystko wskazuje na to, że właśnie w tamtych okolicach znajdziesz człowieka, którego powinieneś szukać. Księża wysłuchują różnych rzeczy.

— W tym nazwisk. Będą mi potrzebne ich nazwiska.

— Wydaje mi się, że przypominam sobie nazwisko Johna O'Mahoneya i Michaela Doheny. Całkiem możliwe, że już o nich słyszałeś. — Oczy Pata O'Reilly'ego stały się uważne, czujne, szacujące. — Może szepcze się o tych ludziach tu i ówdzie. I o Jamesie Stephensie — dodał ksiądz, nie patrząc na Mike'a.

— Słyszałem dwa pierwsze nazwiska, i to wcale nie wymawiane szeptem. Ludzie mówili o nich całkiem głośno na złotych polach Kalifornii jeszcze w czterdziestym dziewiątym, rok po tym, jak zaangażowali się w kolejną intrygę przeciwko Anglii, w wyniku której znowu znaleźli się na wygnaniu i szukali azylu w Ameryce. Potem przez kilka lat było o nich cicho. Ale kiedy wróciłem do Irlandii, usłyszałem te nazwiska jeszcze raz szeptane przez pewnych czujnych ludzi mówiących celtyckim językiem. Ukryci za parawanem amerykańskiej wojny domowej, zajmują się werbowaniem rekrutów, zdobywaniem pieniędzy i zbieraniem broni, przygotowując prawdziwą wojnę przeciwko Anglii. To właśnie o nich się szepcze.

Pat O'Reilly odezwał się znowu. Jego uśmiechnięte, niewinne oczy spoglądały łagodnie.

— Wolność. Ona właśnie wiąże nas z Ameryką. Częścią celtyckiej tradycji jest to, że cenimy i chronimy osobistą wolność. A wolność królestwa oceniana jest tak samo. Tego jakiś Anglosas nie potrafi nawet zrozumieć. Ale Amerykanie, wymieszani ze wszystkich narodowości, rozumieją.

— Słyszałem, że południowcy uważają swoją ziemię za oddzielne państwo, więc dlaczego kochający wolność Amerykanie z Północy zaczęli wojnę? — zapytał Mike prowokująco, widząc, jak dobroduszny wyraz znika z twarzy Patricka O'Reilly'ego.

— Czy szukasz okazji do bitki, wszczynając kłótnię na temat, który nas nie dotyczy?

— Chciałem tylko zobaczyć, Pat, co się kryje pod tą łagodną powłoką. Myślałem, że w trzy lata po święceniach bardziej z ciebie ksiądz niż buntownik, jakiego pamiętam z czasów chłopięcych.

— Nie wypada ci się tak zwracać do wyświęconego księdza! — Pat obrzucił Mike'a szybko wzrokiem, a potem umknął nim w bok. — Oczywiście, jeśli mówisz do mnie jak do Irlandczyka, odpowiem ci jak Irlandczyk. Nic nie może bardziej pomóc Irlandii niż wojna w Ameryce. Czyż to nie przez amerykańską wojnę o niepodległość Anglicy musieli wycofać swoje oddziały z irlandzkiej ziemi i wysłać je do Ameryki? Stworzyli nam znakomitą okazję do sformowania armii irlandzkich wolontariuszy, którzy chroniliby te ziemie przed inwazją. Francuską, niewątpliwie. I udało nam się utworzyć osiemdziesiąt tysięcy wojsko, wszyscy protestanci, tak jak było wymagane, ale pod tym angielskim jarzmem jeden w drugiego dobrzy Irlandczycy. I do dziś tylu ich pozostało. Kiedy czas nadejdzie, a to się stanie wkrótce, będą jeszcze silniejsi, gotowi walczyć z Anglikami, z pomocą bożą i dwóch milionów dobrych Amerykanów pochodzenia irlandzkiego!

Ksiądz nagle zamilkł. Popatrzył na swe odziane w sandały stopy, szarpnął sznurem u pasa, jakby habit zaczął mu nagle przeszkadzać.

Wreszcie spojrzął na przyjaciela. Kiedy ponownie się odezwał, jego głos zabrzmiał łagodnie.

— Dzieją się bardzo dziwne rzeczy. Chrześcijaństwu w Irlandii otworzył drogę anglosaski misjonarz. Anglik. Zaczęli go później nazywać świętym Patrykiem. Święty Patryk jest patronem Irlandii. Smutkiem napełnia mnie fakt, że nie potrafię być z powodu jego pochodzenia lepszym księdzem, a raczej budzi się we mnie irlandzki buntownik.

W Minaby Flat wiosna przeszła w lato i zjawiły się ćmy bogong, które przywierały do skalnych szczelin.

Zakończył się listopad, a wraz z grudniem przyszyły upały. Chris Colebrook wybrał się do Sydney. Przed wyjazdem rozprawiał na temat rządu i polityki oraz konieczności reprezentowania ich osady. Ale na twarzy miał ten sam wyraz co zawsze, kiedy zbliżały się jego urodziny. W domostwie Travisów brakowało go tylko Jazonowi.

— Twierdzi, że jestem jego najlepszym kumplem — powiedział Jazon do matki. Zbliżył się do niej, od czasu gdy Violet McGovern wyjechała na letnie wakacje, a Chrisa też zabrakło w dolinie.

Jenny spojrzała na syna. Nie wiedział, że mówi o swym przyrodnim bracie.

— To śmieszne określenie — odparła.

— Tak mówią wszyscy Koloniści — wytłumaczył. — Kolonistami są tylko ci, którzy się tutaj urodzili — dodał, jakby uważał, że matka potrzebuje dodatkowego wyjaśnienia.

Z każdym dniem staje się coraz bardziej podobny do ojca, pomyślała Jenny. Przecież właśnie tego chciałaś, upomniała samą siebie, walcząc z irytacją.

— Tak tu samotnie po wyjeździe Chrisa — mówił dalej Jazon. — Poszedłem zobaczyć, co się dzieje z tym starym buszmenem Benongiem. Myślałem, że może pokaże mi jakieś swoje nowe rzeźby. Ale on także odszedł. Zawsze znika, kiedy zjawiają się ćmy.

— Pete i Charlie powinni wkrótce wrócić z Cooma. — Jenny spoglądała na drogę. — Może książki z Sydney, na które czekasz, już przyszły na pocztę.

Spojrzała na chłopca, dumna z syna, który ma szansę zdobyć nagrodę za esej. Nie, to nie nagroda. Stypendium, tak to Jazon nazwał.

— Chciałem pojechać z Petem i Charliem, żeby odebrać produkty do sklepu i pocztę. Przynajmniej miałbym coś do roboty.

— Pracy jest dość.

— Mógłbym też pójść w góry. Ale przyrzekłem Chrisowi, że tego nie zrobię. W każdym razie sam. Obiecał, że zabierze mnie na najwyższy szczyt. Chciałbym zobaczyć resztę świata. Jak mogę widzieć cokolwiek zamknięty w tej dolinie?

Jenny puściła jego słowa mimo uszu. W tej chwili zauważyła powracających pracowników.

List znalazła w stercie katalogów. Rozerwała kopertę i spojrzała na zdjęcie. Było bardzo ładne, dzieło sztuki fotograficznej, o której słyszała i czytała. Mała dziewczynka, ubrana na białe, stała przy bramie klasztornej. Na ścianie za nią widniał potężny krzyż.

Pocztówka wykonana specjalnie jako prezent gwiazdkowy, pomyślała Jenny i odwróciła kartę, by przeczytać słowa na odwrocie.

Kiedy zobaczyła podpis Mike'a, gwałtownie wciągnęła powietrze. Potem usiadła, przyciskając kartę do blatu stołu. Czekala, aż uspokoi się jej serce.

Cztery lata minęły od czasu, gdy widziała go ostatni raz, wyjeżdżającego z doliny, po tym jak przywiózł jej dokument potwierdzający małżeństwo Jen. Walczył z nią i z pożarem, a potem zniknął z jej życia na zawsze.

Siedziała całkowicie nieruchoma, wpatrując się przez okno na złote pola, słuchając brzęczenia much uderzających o zakurzone szyby, czując między palcami ostre krawędzie pocztówki.

Kiedy już uspokoiła się nieco, odsunęła dłoń i przeczytała kartę. Czytała ją wiele razy, aż skończył się długi letni dzień i zmierzch spłynął cieniem na pokój, a jej wydawało się, że słyszy Mike'a, który powtarza raz po raz napisane na karcie słowa.

Moja Jenny, ta karta nie dojdzie do ciebie wcześniej niż pod koniec roku, ale na pewno nie dostaniesz jej później niż w pierwszych dniach nowego roku. Trzymaj ją zawsze przy sobie. Wróciłem właśnie do Anglii z Irlandii, gdzie zostawiłem moją małą córeczkę Jennifer pod najlepszą opieką. Nim otrzymasz ode mnie tę wiadomość, odpłynę już do Ameryki w doborowym towarzystwie wielu pięknych koni. Czas wojny domowej jest bardzo korzystny dla handlarzy koni. Pamiętaj, że jesteś wszystkim, co dla mnie drogie. Niech Bóg będzie z Tobą.

Zawsze twój, Mike

Mike stał przy sterze statku i wpatrywał się w pusty ocean.

Zachodni brzeg Irlandii rozmył się w oddali, stając się linią horyzontu, a wreszcie spadł z krawędzi ziemi, jakby stał się częścią morza.

Mike odwrócił się gwałtownie i ruszył wzdłuż burty na rufę statku, zatrzymując się tylko, by spojrzeć przez kratę na stojące w boksach konie. Opium, które dodano im do paszy, spowodowało, że były senne, jak w letargu.

— Bierzemy niewielu pasażerów w tę podróż — powiedział mu przy ładowaniu zwierząt kapitan. — I nie mam nawet wymaganego cargo. Tak więc ten statek nada się do przewozu setki koni lepiej niż inne. — Uśmiechnął się przy następnych słowach. — Powiedziałbym nawet, że chętnie je widzę, a takich słów rzadko który kapitan użyłby w odniesieniu do koni. Natomiast musi pan na pewno dodać coś do ich paszy, żeby były potulne podczas drogi.

Mike stanął na rufie. Wydawało mu się, że Irlandia została już daleko za nim, podczas gdy Ameryka leżała gdzieś po drugiej stronie Atlantyku. Jenny w Kolonii znajdowała się za innym oceanem, gdzieś na niewyobrażalnym południowym Pacyfiku, i wydawała się stracona na zawsze.

Odwrócił się od relingu i zobaczył stojącą obok kobietę. Przyglądała mu się z uśmiechem. Futrzana peleryna kryła jej ciało i ocieniała twarz. Widział tylko jej oczy i uśmiech. Przez moment, myśląc ciągle o Jenny, wydawało mu się, że to ona.

Wiele rzeczy wydarzyło się w tej jednej chwili.

Odpowiadając na ten uśmiech poczuł, jak krew krąży w nim szybciej, ogarnęło go podniecenie.

Kobieta zaśmiała się. Jenny tak się nie śmiała, ale on ledwie co słyszał. Nie dostrzegął jej taksującego spojrzenia, którym go rozbierała. Kiedy odezwała się, w jej słowach zabrzmiało doświadczenie i świadomość tego, co robi. Ale on nie słyszał jej słów. Myślami był z kobietą, oddaloną od niego o tysiące dręczących go mil.

Potrzebował Jenny w tej chwili, w tym miejscu.

— Moja kabina jest tutaj obok — powiedziała kobieta. — Chodźmy tam.

Mówiła coś jeszcze, ale on jej nie słuchał. Szedł za nią, jak wiedziony przez rusałkę.

Kabina kobiety mocno pachniała i była przybytkiem, którego ani Bóg, ani kapitan nie przewidzieli na statku. Królowały tam odory wszystkich cielesnych pożądlivości, jakie opanować mogły człowieka. Ale on wkroczył tam, nie dbając o nic, zadowolony z tego, co mu ofiarowywano. Nagle zatrzymał się.

Kobieta rozbierała się szybko i z wprawą.

— Czy zamierzasz tak stać w ubraniu? — zapytała podniesionym głosem. — Kiedy mam ochotę na mężczyznę, nie lubię czekać.

— Zastanawiam się, dlaczego poszedłem za tobą, i co ja, u diabła, w ogóle tutaj robię.

— Widzę, że przyniosłeś dla mnie śliczny, duży prezent, a tak się składa, że mam dzisiaj urodziny. Będiesz moim czwartym prezentem i liczę, że najlepszym. Więc jeśli dręczą cię jakieś moralne skrupuły, zostaw je, proszę, za drzwiami.

Mike wpatrywał się w nią.

— Co z ciebie za dziewczyna?

— Mówiłam ci. Urodzinowa dziewczynka. Tylko trzymaj tę swoją piękną i dużą świeczkę zapaloną. Mam nadzieję, że nie zgaśnie szybko. — Kobieta stała na szeroko rozstawionych nogach, opierając dłonie o nagie biodra. — Według mnie facet, który wypala się raz dwa, to kogut niewart mojej uwagi. Zapamiętaj to! A jeśli chodzi o to, co tutaj, u diabła, robisz, no cóż, mogę ci powiedzieć. Postarasz się sprawić mi przyjemność. Jeśli zadowolisz mnie, to może ja zadowolę ciebie. Jestem gotowa na wszystko. Lubię wszystko. Jednego tylko nie lubię, czekać.

— Ach tak, tylko że ja chyba nie lubię ciebie — powiedział Mike, odwracając się do wyjścia.

— Twoja świeczka mówi mi coś wręcz przeciwnego. Wydaje mi się nawet, że jeśli nie zdejmiesz zaraz spodni, to przedziurawisz je na amen. Chyba dobrze widzę.

Mike rozejrzał się po kabinie.

— Chcesz zamienić ten statek w burdel. Jesteś dziwką.

— Jestem Amerykanką — odpowiedziała gniewnie kobieta. — Ameryka to ład wolności i pogoni za szczęściem. Stamtąd właśnie pochodzę. A wolność oznacza, że wolno mi robić to, co lubię, i pieprzyć się, jeśli jestem dzięki temu szczęśliwa. — Uśmiechnęła się. — Ofiarowuję ci smak dobrej, starej Ameryki. — Uśmiechnęła się znowu i zakołysała nagimi biodrami. — Możesz jeszcze spróbować, jeśli masz ochotę.

Mike odwrócił się i chwycił za klamkę. Kiedy otworzył drzwi, owiała go świeża, chłodna bryza, a miła mgiełka osiadła na twarzy. Ale wewnątrz czuł się plugawo.

Szedł w stronę relingu, gdy usłyszał krzyk żeglarza.

— Głowę na stronę zawietrzną! Bo inaczej wiatr wepchnie ci to z powrotem do gardła.

Mike nie zdawał sobie sprawy, że wygląda na człowieka, któremu jest niedobrze.

Żeglarz szedł za nim. Czekał z szerokim uśmiechem na ustach.

— Lepiej się czujesz? — zapytał z tą samą pogodą. — Kapitan pozwala tej amerykańskiej dziwce podróżować z nami, kiedy tylko najdzie na nią chcica. Żaden z oficerów, a i niewielu z załogi się z nią zadaje, ale zawsze kilku dżentelmenów uważa to za rozrywkę, więc nie dokładamy do interesu. Ale tak mi się widzi, że ta podróż będzie już dla niej ostatnia. Kapitan szykuje niespodziankę dla tej jankeskiej dziwki. — Marynarz wzruszył ramionami. — Chociaż tak jak ja to widzę, jej to nie wzruszy. To będzie dokładnie po jej myśli. — Roześmiał się i już miał odejść, ale spojrzał jeszcze na Mike'a. — Nie jestem żadnym tam mądrałą, ale pamiętam, jak kiedyś jeden z pasażerów powiedział, że ona reprezentuje wszystko, co drogie rzeczy czyni bezwartościowymi. Takie były jego słowa. Nie rozumiem ich dokładnie, ale jakoś tak wiem, o co mu chodziło. Takie jak ona potrafią to zrobić. Okradną człowieka z tego, co dla niego ważne, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Tak czy siak, mały plan kapitana sprawi, że dowie się, co ją czeka. — Marynarz zmarszczył czoło, ale znowu się zaśmiał. — Problem tylko w tym, że ona chyba lubi to, co ją czeka. I to jest nie w porządku. To daje jej siłę, której nie powinna mieć. Kapitan jest Anglikiem, więc naturalnie nie lubi Amerykanów. Ale także ich nie rozumie. — Zamilkł na chwilę.

— Zapamiętaj moje słowa, uważaj na nią. Ucieszy ją to, co dostanie. A tak nie powinno przecież być.

Dwa dni później, kiedy Atlantyk kołysał w górę i w dół sunąc w kierunku Ameryki, Mike powiedział sobie, że podczas gdy handlowanie końmi musiało poczekać, aż przybiją do brzegu, który leżał jeszcze daleko przed nimi, on mógł spokojnie zastanowić się nad przyszłością.

Widział przed sobą dwa cele, do realizacji których prowadziła powolna droga. Albo trzy, pomyślał, znowu wracając w marzeniach do Jenny. Najpierw Connacht, potem Langley. I dopiero wtedy Jenny.

Dla niecierpliwego Irlandczyka znajdzie się aż za wiele roboty, pomyślał wtedy, po raz pierwszy zastanawiając się poważnie nad irlandzkimi bojownikami, o których powiedział mu Pat O'Reilly, namawiający Mike'a, by odszukał ich na ziemi, ku której zdązał.

— Vermont wydaje się trudnym miejscem, skoro ma się szukać kogoś, kogo się nigdy wcześniej nie widziało — powiedział wtedy do Pata, ale uśmiech i twarz zdradzały, że nie ma zamiaru nikogo szukać.

— Nie mogę powiedzieć ci nic ponad to, co już powiedziałem — odparł Pat. — Ale twój własny rozsądek i rozeznanie będą cię strzec i prowadzić twój język, tak byś zadawał odpowiednie pytania i natrafił wreszcie na jednego z tych trzech. Tak zrobiłby każdy dobry Irlandczyk, który stanie w miejscu, gdzie sam Pan Bóg zsyła mu możliwości wprost do rąk. Pamiętaj, na północ. Nie na południe, choć pewnie tam cię ciągnie.

— I czemużby nie? — głośno rozważał Mike, płynąc przez Atlantyk. — Przynajmniej uczynię dla Irlandii, co w mojej mocy. Na pewno można gorzej spędzić czas oczekiwania.

Wtedy właśnie wydało mu się, że słońce zeszło z kursu, jakby przesuwając się bardziej na północ.

Kapitan pozwolił, żeby upłynęły długie godziny powolnego pokonywania kolejnych mil, zanim odpowiedział na zadawane szeptem pytania garstki pasażerów, których zabrał w ten rejs.

— Wpływamy wkrótce na burzliwe morza, dlatego zmieniliśmy kurs — ostrzegł, choć Atlantyk w tym momencie był niezwykle łagodny. — Kierujemy się teraz na południowy zachód. Okrążamy półwysep Yorktown, zamiast pchać się do Bostonu. Niech pan pilnuje swoich koni, panie Donohue, tak żeby zachowywały się spokojnie. Nie możemy sobie pozwolić ani na wzburzone morze, ani na niepokoje na pokładzie. Wieziemy amunicję.

Mike uśmiechnął się ubawiony przerażonymi minami innych pasażerów i za-diabła-o-to-nie dbam wyraz twarzy kapitana.

Statek późną nocą wpłynął do zatoki, gdzie czekali już na niego mężczyźni w łodziach z zapalonymi latarniami.

Kiedy weszli na pokład, natychmiast obejrzeni konie Mike'a i kupili je od ręki. Złoto, którym płacił zabierający zwierzęta oficer, spowodowało, że kolor jego munduru wydawał się bez znaczenia.

Mike, przechylony przez reling, spoglądał na wierzchowce. Nadal były pod wpływem narkotyku, ale kiedy wciągano je do wody i zmuszano do płynięcia w stronę brzegu, już ich oczy zaczynały błyskać, zdradzając temperament.

Nagle usłyszał krzyki i chlupot wody.

— Prezent dla armii konfederackiej z najlepszymi życzeniami od kapitana — zawołał bosman do mężczyzn na dole. — Lepiej wyłowcie ją, zanim barakuda zgłosi się pierwsza. Ona jest z tego samego gatunku, potraktujcie te słowa jako ostrzeżenie.

Minutę później zobaczył, jak kufer prostytutki zostaje uważnie spuszczone na łódź. Kobieta krzyczała wleczona przez jakiegoś żołnierza. Zaczęła przeklinać, lecz w końcu roześmiała się. Ale uwaga Mike'a zaprzęgnięta była czymś innym — patrzył na brzeg i liczył konie. Wychodziły właśnie na plażę, ich mokre ciała lśniły w świetle latarni. Kiedy znowu spojrzął na łódzie, ani kobiety, ani jej kufra nie było już widać.

W świetle lamp mógł obserwować mężczyzn uwijających się na pokładzie i na łodziach. Pracowali z pośpiechem i zajadłością, ładowali skrzynie z amunicją na tratwy, które spławiali w stronę brzegu. W atmosferze nerwowego podniecenia czuł, że i jego krew zaczyna szybciej krążyć. Przypominał sobie, jak on i Pat O'Reilly zdobywali broń do walki z Anglikami. Nie miało znaczenia, że tu chodziło o ludzi z Południa, którzy walczyli z Północą. Pragnienie było to samo.

Wreszcie łódzie zaczęły znikać w ciemności i pogasły światła latarni. Mike myślał o słowach Pata O'Reilly'ego. „Pamiętaj, jedź na Północ. Nie na Południe, gdzie cię pewnie ciągnie”. I o możliwościach zsyłanych przez samego Pana Boga. Poczuł pragnienie, by ruszyć tam z dwoma końmi, które ukrył i zatrzymał dla siebie.

I nagle okazało się, że zrealizuje to pragnienie, i to wcale nie za sprawą zachcianki czy przypadku.

Kapitan zebrał na pokładzie wszystkich pasażerów.

— Zawiozę was trochę dalej na północ. Wsiądziecie w mniej znanym porcie, ponieważ teraz nie mam zamiaru zabierać tego statku do Bostonu.

Był koniec marca sześćdziesiątego trzeciego. Bitwy wojny domowej rozgrywane się w nieznanym miejscu stały się częścią życia Mike'a. Dla przebiegu wojny jego pojawienie się nie miało większego znaczenia, ale dla niego stało się ważnym przeżyciem, ponieważ identyfikował obecne wydarzenia z innymi czasami i innymi miejscami.

Kierował się w stronę północnego zachodu wzdłuż dopływających do oceanu rzek. O świcie okrążył ostrogę niewielkiego wzgórza i znalazł się na granicy płytkiej, zielonej doliny wypełnionej wiosennymi kwiatami. Dalej ziemia była zniszczona i wypalona, ale w pierwszej chwili jego wzrok tam nie sięgnął.

Pomiędzy kwiatami ujrzał leżące jedno przy drugim dwa ciała chłopców, nie mieli więcej niż po piętnaście lat. Jeden w szarym, drugi w niebieskim mundurze. Oba splamione krwią. Chłopcy nie żyli, to było widać na pierwszy rzut oka. Przypomnieli mu jego i Pata O'Reilly'ego na polu Irlandii, po potyczce z Anglikami w czterdziestym trzecim.

Zsiadł z konia, stał i patrzył na nich. Wiedział, co czuli piętnastoletni chłopcy, ginący za sprawę.

Odwrócił się i zaczął kopać płaski grób w wiosennej ziemi. Chciał postawić jakiś znak, krzyż, napisać nazwiska na grobie, więc zaczął przeszukiwać mundury w nadziei, że dowie się, kto tu odpoczywa na wieki.

Chłopiec w niebieskim mundurze otworzył oczy i spojrzał na niego.

— Czy wygraliśmy? — zapytał.

Mike czuł, jak wzbiera w nim śmiech, koszmar znikł.

— Nie, przegraliście — usłyszał własną odpowiedź. — Obie strony przegrały.

Wtedy odwrócił się do chłopca w szarym mundurze. Ukląkł koło niego, zaczął szukać pulsu, przyłożył głowę do klatki piersiowej, nasłuchując w nadziei, że usłyszy bicie serca. Ale ten chłopiec nie żył.

Wobec tego zajął się żywym. Sprawdzał, czy jakaś kość nie jest złamana, odkrył ranę, którą opatrzył najlepiej, jak umiał, porwaną na pasy własną koszulą.

Słońce wzniosło się już wysoko. Spoglądając poza porośnięty kwiatami stok, ujrzał pole bitwy — stratowaną ziemię zaścieloną ciałami, które energia lub wola jakiegoś człowieka wysłała na wieczny odpoczynek.

Chłopiec z trudem wciągał swą niebieską kurtkę mundurową. — Gdzie mieszkaś? — zapytał go Mike.

— Connecticut.

— W takim razie ściągnij ten mundur. Pozwól mi go pochować obok pokonanego wroga i wracaj do domu! — próbował uśmiechnąć się do chłopca, złagodzić napięcie dźwięczące w jego słowach. Jankes spoglądał na Mike'a z niepewnością zranionej młodości. — Już czas, byś poszedł na północ, daleko od tego wszystkiego.

Własne słowa przypomniały mu ojca Flanagana, księdza z czasów własnej młodości:

— Pat, na ciebie czeka ciągle miejsce w klasztorze na północy. Dla Mike'a już jest za późno. — Pijany lord Connacht zapisał jego nazwisko na liście zesłańców.

Jankeski chłopiec ściągnął kurtkę. Trzymał ją w dłoniach i stał, jakby na coś czekał.

— Wypełniłeś tutaj swój obowiązek — powiedział Mike. — Idź do domu. Już.

Jak na rozkaz oficera, chłopiec odwrócił się i powłócząc nogami, z trudem ruszył na północ.

Mike patrzył na niego widząc Pata O'Reilly'ego, który znika za wzgórzem. Potem zaczął znowu kopać. Wdzierał się głęboko w wiosenną ziemię, szukając miejsce spoczynku dla chłopca w szarym mundurze. Razem z nim miał pochować własną młodość.

— Czuję się tak, jakby ktoś spacerował po moim grobie — powiedziała Jenny. — Którego dzisiaj mamy?

Jazon podniósł wzrok znad książki.

— Jest dwudziesty dziewiąty marca.

Jenny spojrzała na zegar stojący na kominku.

— Ósma trzydzieści wieczorem, niedziela. Dwudziesty dziewiąty marca 1863 — powiedziała powoli. Wydawało się, że chce zapamiętać tę datę. — Tutaj mamy jesień. Ale wczoraj w sklepie Violet McGovern powiedziała, że po drugiej stronie świata jest wiosna. Więc przypuszczam, że teraz będzie tam wiosenny wieczór.

— Ta sama data, ale nie ta sama godzina — odparł Jazon.

— W Anglii jest teraz dziesiąta trzydzieści rano. Ponieważ mamy niedzielę, ludzie właśnie idą do kościoła. A w dworach pewnie jedzą jeszcze śniadanie.

Spoglądał na matkę, ale jej nie widział. W jego oczach malował się wyraz rozmarzenia, wyobrażał sobie odległe miejsca.

— Służba przyniosła właśnie naczynia z pomywalni w piwnicy — mrucał do siebie. — Rozkładają talerze na długim stole pod ścianą. Nazywają go kredensem. Srebrne naczynia mają pokrywy, żeby potrawy nie stygły. W jednym byłyby gęsie wątróbki, w innym łosoś, może jakieś kielbaski i jajka na bekonie. Wybrałbym te potrawy, które najbardziej lubię, a potem usiadłbym przy długim stole, tak jak to robią dżentelmeni.

— Czy to Jody podsunęła ci te głupie pomysły? — dopytywała się Jenny. — A nie przyszło ci do głowy, że byłbyś jednym ze służących niosących talerze z pomywalni w piwnicy?

Jazon poczerwieniał i schował głowę w książkę. Kiedy odezwał się znowu, jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

— Gdybym tak to sobie wyobrażał, marzenia nie byłyby przyjemne.

Jenny nie słuchała.

— Jaka pora dnia jest teraz w Ameryce?

— Zależy gdzie — Jazon zastanowił się przez chwilę. — Może szósta trzydzieści rano na wschodzie i trzecia trzydzieści rano na zachodzie. Widzisz, słońce przesuwa się ze wschodu na zachód.

— Czy myślisz, że nie zauważyłam tego przez ponad trzydzieści jeden lat?

— Chodzi mi o to, że w jednej części kraju już będzie rano, gdy gdzie indziej jeszcze panuje noc — Jazon wycofał się szybko.

— Czy ta szkoła w Sydney przesłała ci książki na temat historii i geografii innych krajów?

Jazon zerknął na nią nerwowo, wyraźnie przygotowując się do obrony. Przytaknął niechętnie.

— Masz coś na temat Ameryki? — zapytała. Potrząsnął głową.

— Szkoła nie uczy historii krajów kolonialnych — wyjaśnił. W książkach nawet nie ma słowa na temat naszej Kolonii tutaj. Żadna szkoła tego nie robi. Kolonie są za młode, by mieć porządną historię. Uczymy się o przeszłości krajów europejskich. No i oczywiście Anglii. Szczególnie Anglii. Starych krajów. Prawdziwej historii.

Jenny pomyślała o wczesnych dniach Kolonii z czasów jej dzieciństwa. I o wiadomości przesłanej jej na kartce od Mike'a.

— Szkoły powinny postarać się szybko o nowe podręczniki — powiedziała. — Bo inaczej kawał historii będzie stracony.

— Pani McGovern mówi, że najważniejsze są wartości. A Kolonie zamieszkują głównie chłopi, którzy nic nie posiadali w starych krajach i dlatego nic ze sobą nie przywieźli.

Jenny wpatrywała się w niego.

— Violet McGovern nie potrafi nawet właściwie ocenić wartości. Nie dawniej jak w zeszłym tygodniu, kiedy George McGovern był w Cooma po produkty, ona miała pilnować sklepu. Złapałam ją na tym, jak sprzedaje dżem z dyni po tej samej cenie co zwykłą peklowaną szynkę. Tłumaczyła się, że nie mogła odczytać moich zapisków. Ale przecież nie o to chodzi. Prawda leży w tym, że ona nie rozumie wartości. I to właśnie jej powiedziałam.

— Wartości to nie to samo co cena — odparł Jazon. — Mnie chodzi o wzorce moralne. Pani McGovern mówi, że wartości są bezcenne. Nieważne, ile ludzie zarobią pieniędzy; jeśli żyją w ignorancji, pozostają biedni. Zubożali przez brak wiedzy.

— Też mi gadanie! Im szybciej się nauczysz, że nic w życiu nie przychodzi za darmo, tym lepiej dla ciebie. Violet McGovern też by się przydała ta odrobina wiedzy — mruknęła gniewnie Jenny. — Nic nie przychodzi za darmo! Za wszystko trzeba w jakiś sposób zapłacić. Zapamiętaj to!

13.

Jenny znajdowała coraz to nowe cele w życiu, by rozładować swój gniew, ale od samotności, która rozpaliała złość, nie było ucieczki.

Wydawało się, że Mike zniknął na zawsze z jej życia, a Jazon ukradła jej Violet McGovern.

Jenny była zła na całą trójkę, ale kiedy spoglądała w lustro, celem jej oskarżeń stawała się ona sama.

Zima trwała w najlepsze. Dolinę pokrywał śnieg niby biała pierzynka, sięgająca pod parapety okien. Jenny poczuła się jak więzień.

Po drugiej stronie ziemi był środek lata, a ona nawet nie potrafiła wyobrazić sobie tej innej strony. Świata należącego do Mike'a. Ameryka, Europa, Irlandia... Powinna umieć wyobrazić sobie Irlandię. Przecież była pół-Irlandką. Wpatrując się w swoje odbicie w lustrze, wykrzyczała dręczącą ją frustrację:

— Nie masz żadnego usprawiedliwienia dla swojej ignorancji. Umiesz czytać i powinnaś się uczyć, prawda?

A może nie?

Odwróciła się nagle od lustra, niezdolna już dłużej znieść własnego widoku. Przez otwarte drzwi widziała Jazona pochylonego nad książkami. Pograżonego w milczeniu nawet w czasie posiłków. Książki z nowej szkoły w Sydney budowały barierę między nimi, coraz wyższą i wyższą. Teraz już nie potrafiła nawet z nim rozmawiać. Popędzana wściekłością wpadła do pokoju szkolnego, gdzie Jazon pracował przy biurku.

— Irlandia jest taka stara, że ma własną historię, czyż nie? — zapytała.

Zaskoczony Jazon podniósł wzrok znad książek. Spoglądał na matkę z lekko otwartymi ustami. Pomyślała, że wygląda dość głupio, ale starała się powstrzymać uczucie przyjemności, jakie jej to sprawiło.

Z trudem wykrzesła coś na kształt uśmiechu, jakby uśmiechy mogły przerzucić most nad rosnącą między nimi przepaścią.

— Na zewnątrz jest zimno i śnieg — powiedziała. — To dobry dzień na czytanie. Chciałabym dowiedzieć się czegoś na temat Irlandii.

Chłopiec wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę, potem zaczął szukać między książkami. Wreszcie znalazł jedną, zatytułowaną „Irlandia”, z obrazkiem przedstawiającym szkołę w Sydney.

— Nie ubawi cię zbytnio — powiedział. — Jest dość ponura. Jenny uśmiechnęła się nagle.

— Dobrze! Myślę, że właśnie czegoś takiego mi potrzeba. Trzymała książkę i wpatrywała się w rysunek szkoły.

— To duża szkoła — powiedziała. — Wielki budynek. I nigdy nie zostałyby zbudowana, gdyby nie znaleźli się sprytni ludzie, którzy zarobili dość pieniędzy i postanowili ją wznieść w tym miejscu. Czy pomyślałeś kiedyś o tym?

Nie odpowiedział.

— Ktoś powinien cię nauczyć prawdziwego życia — ciągnęła dalej. — Na przykład, ile trzeba pieniędzy, żeby zbudować szkołę. Takich rzeczy! — Ponieważ nadal nie odpowiadał, zapytała: — Co takiego powiedziała Violet McGovern, kiedy mówiła ci o możliwości stypendium na naukę w tej szkole?

— Zapomniałem — odparł Jazon.

— Ale ja nie. Powiedziała ci, że teraz, kiedy urodził jej się syn, nie będzie miała czasu, by zajmować się dzieckiem innej kobiety. Tak mi wtedy powiedziałaś. — Nie patrzyła na Jazona i nie oczekiwała od niego odpowiedzi. W jej myślach rodził się nowy plan. W następnym roku, myślała, a może za dwa lata...

Uniosła brodę i spojrzała przez okno szkolnego pokoju. Jej dolina zaczynała się wypełniać niemowlętami i małymi dziećmi. Wkrótce będzie ich całkiem sporo. I jeśli nawet nic innego nie rośnie zimą, to dzieci tak. Będą potrzebowały porządnej szkoły. Jeszcze nie teraz, ale już niedługo.

Pełna nowych planów, poczuła się znacznie lepiej.

Usiadła wygodnie na krześle koło ognia, spojrzała na książkę, którą trzymała na kolanach, i uśmiechnęła się.

— Mam nadzieję, że Irlandia jest ponura — szepnęła. — I że gdziekolwiek się uda, będzie tam jak najbardziej ponuro.

Ale nie pozwoliła sobie powiedzieć na głos następnej myśli, jaka nią owładnęła.

Bo jeśli tak jest, może szybciej wróci do domu!

Odwracała kartki książki, coraz bardziej pochłonięta skomplikowanym światem, który tam odnalazła. Jego inność była jak wyzwanie. Wszeptała do siebie.

— Widocznie to moi przodkowie spacerowali po moim grobie ostatnimi czasy, przypominając mi o wszystkim, czego powinnam się jeszcze nauczyć.

Kiedy Mike jechał przez północne stany Ameryki, widział zniszczenia wojenne. Ruiny wypalonych domów, brązową nieruchomość nieobsianych pól, niebiesko-szare kolumny maszerujących zmęczonym krokiem ludzi i koni, niepewność na twarzach czarnych kobiet i mężczyzn. Gdzie tylko spojrzeł, czuł, jak i na niego pada ten cień.

Niósł też swoje własne brzemie, wątpliwości, których nigdy dotąd nie znał i do których się teraz nie przyznawał.

Obcość i osamotnienie przywodziły mu do towarzystwa odległe głosy.

Czasami wydawało mu się, że słyszy księdza z czasów młodości, ojca Flanagan, który mówi, że może uratować Pata, ale nie jego, nie Mike'a. Kiedy indziej jakby słyszał Jenny szepczącą mu do ucha o Irlandii. Ale najczęściej brzmiał mu w uszach głos ojca.

— My Irlandczycy jesteśmy walczącą rasą — mówił ojciec. — To część twojego dziedzictwa, które sam musisz w sobie zwalczyć. Nie zaprowadzi cię ono nigdzie, chyba że na zatracenie. Nie zwracaj uwagi na swoją prababkę Niall, która siedzi w fotelu na biegunach i łączy skrawki historii Irlandii. Ona wie zbyt wiele o naszym dziedzictwie. Spędza całe dni, używając palców do zszywania historii, której nigdy nie potrafiła spisać. Niallowie byli wielkimi królami Irlandii. Ona powie ci, że królowie z Connacht byli wielkimi królami Irlandii w piątym wieku. I jeszcze dwaj w dwunastym. Nie słuchaj jej za dużo, Mike. To starożytna historia.

Starożytną historią była też angielska dominacja, pomyślał Mike. Starożytna historia nie kończy się nigdy. Kołdra prababki Niall pokrywała Irlandię niby całun od czasu, gdy król Rory O'Connor przegrał z królem Dermitem MacMurroughem, wasalem Plantageneta Henryka Akwitańskiego i oddał Irlandczyków pod panowanie anglo-normandzkich panów w 1171 roku.

Przez prawie siedemset lat irlandzkie matki, babki i prababki wysyłały swoich synów, wnuków i prawnuków na pola bitew, potem trzeźwiły ich, gdy wracali do domu pijani, i wysyłały ich znowu. W imię pikowanego honoru Irlandii.

Nie słuchaj zbyt wiele prababki Niall, ostrzegał go wciąż ojciec. Ale chłopiec czuł się dziedzicem królów i jej opowiadania zaspokajały jego głód wielkości.

Jadąc teraz sam na sam ze swoimi myślami, Mike poczuł, jak męczy go powracająca fala gniewu. Zanim dotarł do Vermont, prawie żałował, że prababka Niall nie zginęła w czasie wojny, tylko umarła spokojnie w łóżku w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat.

Ale najbardziej pragnął upić się i wyzwolić od tych wszystkich ciężących mu myśli.

Zobaczył przed sobą światła gospody. Podjechał i przywiązał konia. W środku grupa farmerów zgromadziła się wokół jankeskiego żołnierza, przysłuchując się, jak opowiada o plantacjach bawełny południowców. Mike usiadł w kącie, daleko od reszty, za towarzystwo mając tylko butelkę. Wychylał jedną szklanekę whisky po drugiej.

To byli angielscy farmerzy, przyszło mu do głowy w pewnej chwili. Czuł się zmęczony, lecz zarazem rozbawiony. Oni nigdy nie pojmą, czym jest plantacja bawełny. Irlandzka plantacja bawełny. Jakakolwiek plantacja bawełny.

Głowę zdawała się wypełniać mu bawełna. Ukradziona bawełna, która miała dodać ciepła irlandzkiej kołdrze. Kołdrze zszytej ze skrawków, kawałków tego i owego zebranych przez całe wieki. Na tyłu wyhaftowano daty. 1171.... 1534! Wtedy to angielska dominacja przygniotła Irlandię z całą mocą, by przy następnej dacie z lekka ustąpić. I ostatnia data: pierwszy stycznia 1801. Pierwszy dzień nowego wieku. Dziewiętnastego wieku. Akt Zjednoczenia, tak to wtedy nazwali. Akt pokoju, mówili. Zjednoczone Królestwo pod rządami Whitehall i Westminsteru.

Prawie siedemset lat pod obcasem Anglików. A ile jeszcze, zanim się zacznie przyszłość Irlandii?

Jankeski oficer był rozmytym kształtem, który to zbliżał się ku niemu, to odpływał dalej. Wpatrując się w niego, Mike zobaczył angielskiego żołnierza. Poczuł, jak znowu wypełnia go gniew. Wstał na niepewnych nogach, złapał za pustą butelkę i cisnął ją w nieprzyjaciela.

Rozmyty obraz jankeskiego oficera nagle wypełnił mu całe pole widzenia, wymierzając w niego pięścią. Mike upadł zaśmiewając się i usnął mocnym snem po raz pierwszy od tygodnia.

Podróżował na północ z coraz mniejszym przekonaniem, bez wewnętrznego pragnienia odnalezienia mężczyzn, których poszukiwał. Nadal jechał w stronę Vermont, gdyż nie miał innego celu. Polował na informacje, tak jak polował na dzikie żrebaki, ponieważ w jego naturze leżało podejmowanie wyzwań i miał do tego talent. Zawsze tak właśnie z nim było, myślał jadąc na północ po dobrze przespanej nocy i uprzednim opróżnieniu w gospodzie butelki. Zawsze musiał polować. Niezależnie od tego, na co.

W jego myślach wciąż pojawiała się Jenny. I Jonathan Travis. Będzie ścigał tego martwego mężczyznę, szukał jego śladów w przeszłości, przez całą drogę do Langley. Ale ten cel wyznaczył sobie na przyszłość. Nie było na niego miejsca w polowaniu, na które teraz się wybierał.

Wiedział, że się zbliża. Czuł to w kościach. Albo w jakiejś irlandzkiej części swojej duszy. Nie w głowie i nie w żołądku.

Rozglądał się za jakimś zajazdem i wreszcie zobaczył jeden, leżący na wzgórzu, na wpół ukryty między drzewami.

Gospoda wydawała się pełna Irlandczyków. Wszyscy pijani i niezwykle rozmowni. W jednej chwili stał się łowcą szukającym informacji, gdyby tylko nadarzyła się okazja.

Była jesień, ostatnie miesiące sześćdziesiątego trzeciego roku. Amerykańscy Irlandczycy, mówiący czasem po celtycku, czasem amerykańskim angielskim, jakby w połowie butelki gubili drogę, by ją odnaleźć znowu, gdy zobaczyli dno lub dojrzelili Irlandię poprzez chmury historii. Ale Irlandia z ich własną przeszłością leżała gdzieś za Atlantykiem, a ich męskość, która stawała się tym wyraźniejsza, im bardziej byli pijani, związana była z teraźniejszością i sięgała w przyszłość.

Przez chwilę myślał, że traci czas, nasłuchując tylko własnych myśli o przeszłych dniach. Wtem odezwał się karczmarz. Najwyraźniej był człowiekiem przywykłym do przemawiania.

— Przychodźcie tutaj i gadacie. Tylko gadacie. Ale jeśli nie jesteście członkami Fenian, tajnej ligi walczącej o wyzwolenie Irlandii, to nie jesteście amerykańskimi Irlandczykami. Nie jesteście żołnierzami i patriotami. Nie jesteście nawet Irlandczykami walczącymi o sprawę, choć powinniście nimi być. Ja jestem. Mogę wam to powiedzieć, mimo że nie powinienem mówić wam, co wiem. Ale wyznam wam jedno, że jesteście potrzebni jako porządni Irlandczycy do tego, co czeka nas w przyszłości. Wszyscy Irlandczycy są potrzebni. Będąc amerykańskimi Irlandczykami, możemy teraz pobić Anglików. Wojna przeciwko trzymającym czarnych niewolników południowcom nie potrwa wiecznie. I wtedy będziemy patrzeć, jako Amerykanie, co czeka na nas na Północy. Wygrywamy na Południu, więc czas spojrzeć na Północ.

Zauważył Mike'a i zamilkł.

Mike podszedł do baru i zamówił butelkę whisky, posługując się swym najlepszym irlandzkim akcentem. Potem odwrócił się tyłem, jakby słowa karczmarza w ogóle go nie zainteresowały.

— Wojna domowa daje Irlandczykom czas na przygotowanie. I musimy przygotować się odpowiednio, nawet gdyby to miało zabrać całe lata, jeśli chcemy wreszcie pobić Anglików — podjął wątek karczmarz.

Zamilkł, rozejrzał się, przyciągając kolejno mężczyzn swym spojrzeniem i słowami.

— Irlandczycy mieszkający w Irlandii będą gotowi do walki z Anglikami. Ale my jesteśmy tutaj. I tutaj musimy rozegrać naszą bitwę. Na Północy. Wiem, że Kongres w Waszyngtonie słucha tych, którzy mówią o połączeniu całego kontynentu. A to oznacza nie tylko południowe stany, ale także północną część, nazywaną przez niektórych Kanadą. To jest ziemia, o którą powinniśmy walczyć z Anglikami, i udowodnić, jacy jesteśmy. Wołam was: kto jest ze mną?

Mężczyzna wtrącał tylko irlandzkie słówka, doszedł do wniosku Mike, trzymając w dłoniach nie tkniętą szklanę. Język był za bardzo pomieszany. Uznał, że jest to Amerykanin starający się grać rolę Irlandczyka. Ale chciał się spotkać z człowiekiem, który stał za tym przemówieniem, niezależnie jak pomieszane były jego koneksje z Irlandczykami.

Wtedy wypił whisky, napełnił znowu szklanę i jeszcze raz wypił. Nie mógł udawać, że jest pijany, nie mając w oddechu alkoholu.

Odwrócił się w stronę baru, powtarzając sobie, że chce tylko zdobyć parę informacji.

— Nie tak dawno temu opuściłem Irlandię — odezwał się do mężczyzny za barem. — I jeśli szukacie Irlandczyków, którzy będą walczyć z Anglikami w Irlandii, chętnie się do nich przyłączę. Do żołnierzy, członków stowarzyszenia Fenian, tak o nich mówiłeś. Równie dobra nazwa jak każda inna, tylko że tam nikt o niej nie słyszał.

— Tej nazwy nie usłyszysz w zbyt wielu miejscach. Moja gospoda jest jednym z nielicznych. Jakim cudem tutaj trafiłeś?

— Przypadkiem — odpowiedział Mike szczerze. — Wspinałem się na wzgórza do wielu barów, ale w żadnym nie czułem się jak w domu, tak jak tu.

— Co sprowadziło cię do Ameryki, i to tak daleko na północ? Nowi imigranci zostają zazwyczaj blisko miejsc, gdzie wysiedli na ląd.

— Nie nazwałbym siebie imigrantem. I nie będę byle obcemu opowiadał, co mnie tutaj sprowadziło. Pijany czy trzeźwy nauczyłem się trzymać buzię na kłódkę. Mogę ci tylko powiedzieć, że szukam jednego z trzech mężczyzn, których nazwisk wymienić ani myślę, a jak sądzę, ty możesz mi do nich wskazać drogę.

— Odpowiedziałeś właśnie na wezwanie przyłączenia się do Fenian — odparł barman, napełniając szklanę Mike'a. — Fenianie składają przysięgę, a jeśli ją złamią, umierają w męczarniach. — Oczy mężczyzny szacowały Mike'a. — Kiedy złożysz przysięgę, musisz walczyć tam, gdzie ci inni każą.

— Czy ci inni nie noszą czasem takich dobrych irlandzkich nazwisk jak O'Brien, O'Reilly, czy O'Connor? — zamilkł i uśmiechnął się.

— A może Doheny czy O'Mahoney? Nawet Stephens może być w głębi serca dobrym Irlandczykiem.

— Czy ci, których poszukujesz, mogą nosić takie nazwiska?

— Na to pytanie nie mam ochoty odpowiadać.

— Na kilka pytań będziesz musiał odpowiedzieć, jeśli Fenianie mają cię przyjąć jako swego.

— Powiedz mi tylko, gdzie mogę znaleźć tych, którzy będą mi zadawać te pytania.

Ci ludzie znajdowali się w pokoju na tyłach gospody. Siedzieli, jakby zebrali się tylko, by spędzić tu spokojny wieczór. Mógł jedynie zgadywać, który z nich jest O'Mahoneyem, Dohenym czy Stephensem, jeśli w ogóle któryś z nich był obecny.

— Powiedziano nam, że chcesz się przyłączyć do Fenian.

— Jestem gotów poprzeć każdą sprawę, która pomoże Irlandii.

— Opowiedz nam o sobie.

— Nazywam się Michael Donohue. Urodziłem się w Connemarze w prowincji Connau-ght. Jako syn dzierżawcy, którego przodkowie mieszkali w tym regionie w czasach, gdy Connau-ght była królestwem Connacht. Pochodzę od Nialłów. Czuję się dumny, że jestem Irlandczykiem.

— Duma nigdy nie szkodzi dobrej sprawie, ale wątpię, byś widział siebie w roli prostego żołnierza przyjmującego rozkazy od innych.

Mężczyzna, który to powiedział, był drobnej budowy, ale miał głos człowieka nawykłego do wydawania poleceń.

Mike odparł po pewnym zastanowieniu.

— Żadna armia nie składa się z samych prostych żołnierzy. Muszą być i tacy, co poprowadzą innych.

— Jak dotychczas walczyłeś za Irlandię?

— Zbyt mało. Zostałem skazany przez Anglików jako buntownik i wysłany do Kolonii, kiedy miałem zaledwie piętnaście lat.

— Kto przysłał cię tutaj?

— Nie jestem pewien, czy zmierzałem akurat tutaj. Na tę gospodę trafiłem przez przypadek. Tak jak już powiedziałem, szukam jednego z trzech ludzi, których nazwiska podałem.

— Skąd znasz te nazwiska?

— Na to pytanie nie jestem gotowy odpowiedzieć.

— Nie ufasz nam?

— To wy mi nie zaufacie, jeśli będę wymieniać nazwiska. Ludzie działający w ukryciu muszą być ostrożni. A ja zakładam, że organizacja Fenian jest tajna. Przynajmniej poza ścianami tego pomieszczenia.

Nieduży mężczyzna uśmiechnął się lekko.

— To jest tajna organizacja — powiedział. — Zaczęła działać w pięćdziesiątym ósmym roku. W sześćdziesiątym pierwszym otrzymała swoją dzisiejszą nazwę. Feniańskie Bractwo. Teraz już nazywa się inaczej — w czterech ścianach tego pomieszczenia i w innych pokojach temu podobnych. Nikt nie pozna jej, dopóki nie złoży przysięgi Fenianom. I żaden fenianin jej nie wymieni, chyba że w czterech ścianach, gdy jest z takimi samymi jak on, i to na rozkaz.

Mężczyzna przerwał, jakby na dany znak.

— Musimy wiedzieć więcej na twój temat. Będziemy ci zadawać pytanie, a odpowiedzi muszą nas upewnić i zadowolić.

Wypytywali go prawie przez godzinę. Na temat jego pochodzenia, działalności w Irlandii, okoliczności skazania i wysłania do Kolonii — podsuwali mu kolejne pułapki, w które mógł wpaść, gdyby ich okłamywał.

Potem odesłali go z powrotem do pomieszczenia publicznego, między pijących i rozmawiających mężczyzn. Wiedział, że go przyjęli. Czuł to. Niedługo zostanie wezwany do złożenia przysięgi i odtąd będzie żyć z jej ograniczeniami. Gdyby mógł wrócić do Irlandii, przysięga Fenian mogła służyć zarówno jego celom, jak i celom jego kraju. Ale jeśli zatrzymają go tutaj, z daleka od miejsca, gdzie chciałby zrealizować swoje własne zamierzenia... Poprosił o butelkę whisky, by pozbyć się gorzkiego smaku trzeźwości. Potem pomyślał, że przysięga pijanego człowieka może nie mieć mocy.

Pił szklanka za szklanką, spoglądając często ku drzwiom prowadzącym na zewnątrz, ku wolności. Ale pamięć o Irlandii, która go tu przywiodła, teraz kazała mu zostać.

Kiedy wezwali go z powrotem, uśmiechnął się szeroko i lekko zachwiał na nogach. Chciał, żeby widzieli, jak bardzo jest pijany.

— Musiałem dodać sobie odwagi, żeby wam coś powiedzieć — rzekł, ciągle jeszcze się uśmiechając. — Ponieważ nie mieszkam w tym kraju, nie mogę wam tutaj służyć. A przecież wy zbieracie stronników, by służyli w Ameryce, a nie na ziemi ojczystej.

— Potrzebujemy kuriera podróżującego między Ameryką a Irlandią — odezwał się nieduży mężczyzna. — Irlandczyk mieszkający w Irlandii lepiej będzie służył naszym celom niż amerykański Irlandczyk osiadły tutaj.

Przyglądali mu się z uwagą. Nie ukrywał ulgi, ale nie okazał, jak bardzo go ta propozycja zainteresowała.

— Czy jesteś gotowy złożyć przysięgę?

— Tak.

— Najpierw jedno pytanie. Teraz powiedz nam, od kogo otrzymałeś nasze nazwiska i kto cię tutaj wysłał.

— Mężczyzna, który zawsze był buntownikiem i bez wątpliwości byłby fenianem. Jestem pewien, że głosowałby za przyjęciem mnie do organizacji, ale nazwiska jego nie podam.

Odwrócił się gwałtownie, zbyt gwałtownie, tak że prawie stracił równowagę.

— Możesz złożyć przysięgę — powiedział niepozorny mężczyzna.

Przez kilka tygodni Mike przechodził szkolenie przygotowujące go do wypełnienia misji specjalnej. Potem dali mu ciężkie juki do siodła i klucze, które je otwierały.

— Zawieziesz to pod ten dubliński adres — powiedzieli i kazali mu nauczyć się go na pamięć. — To jest kwatera główna dowództwa Fenian w Irlandii. Tak jak się pewnie domyślasz, przewozisz złoto, które ma być użyte w dobrej sprawie.

Znowu zwrócił się do niego niepozorny mężczyzna.

— Nie spotkaliśmy tych dublińczyków. Nie mieliśmy okazji ocenić ich tak, jak oceniliśmy ciebie. Musisz polegać na własnym osądzie, czy można im zaufać.

Spojrzał na pozostałych mężczyzn, potem dopiero ciągnął dalej.

— Dyskutowaliśmy na ten temat dość długo. Jeśli ocenisz, iż nie nadają się do swej roli, polegamy na tobie, że oddasz powierzone ci złoto w ręce, które użyją go dla wyzwolenia Irlandii.

— Jesteśmy tajną organizacją prowadzącą wojskową działalność, ale nie jesteśmy głupcami — niepozorny mężczyzna uśmiechnął się blado. — Po prostu traktujemy walkę jako osta-

teczność. Oczywiście, jeśli wszystkie inne środki zawiodą, sięgniemy po najbardziej radykalne. Fenianie to żołnierze, których przygotowujemy do ostatecznej rozgrywki. Ale my już nie jesteśmy Bractwem Feniańskim ani z nazwy, ani z ducha. Nazywamy się Clan na Gael.

Mike wsiadł w Bostonie na statek płynący do Plymouth. To co przewoził, amerykańskie złoto zakrwawione w wojnie wyniszczającej kraj, który zostawił za sobą, ciążyło mu. Wiedział, że kiedy on wypełni swe zadanie, złoto to znowu splami krew, bo posłuży ono na zakup broni dla Irlandczyków, by mogli kolejny raz wystąpić przeciwko Anglikom. Kraj, do którego zmierzał, również będzie niszczyć wojna.

Statek płynął na wschód, a myśli Mike'a płynęły wzdłuż trzech rozbieżnych kursów.

Każdy Irlandczyk niesie pochodnię dla Irlandii. Ale on niósł karabiny lub środki, za które miano je zdobyć. Teraz żałował, że wypił zbyt dużo i nie zastanowił się bardziej przed wplątaniem w nieprzewidywalną przyszłość.

On miał inne plany, inne cele. Jego plany prowadziły do lorda Connacht i niezwywego mężczyzny, który nazywał siebie Jonathanem Travisem. Travis na stronie przedtytułowej swego dziennika napisał spowiedź po łacinie, którą miały ujrzeć jedynie oczy Boga, ale wyszpiewował ją Irlandczyk zaprzyjaźniony z księdzem biegłym w tym języku.

— Jenny, Jenny — wyszeptał Mike. Wpatrywał się przed siebie w ukryte za mgłą wyspy Eire i Anglię. — Przez ciebie muszę iść w dwie różne strony.

Odwrócił się, by spojrzeć na bezmiar oceanu. Z dolnego pokładu ktoś wyrzucał jakieś resztki za burtę. Gdyby on mógł w ten sposób pozbyć się amerykańskiego złota. Zobaczył wynurzającą się z wody rybę, która rzuciła się na odpadki. W tym samym momencie zauważył kormorana.

Słyszał, że ten ptak przynosi szczęście, czuwa, by statek dopłynął bez kłopotów do brzegu. Mike w tej chwili potrzebował naprawdę wiele szczęścia. Patrzył, jak ptak pikuje w morze, łapie rybę w swój haczykowaty dziób i wzbija się w górę.

Nagle Mike odrzucił w tył głowę i roześmiał się.

— Ten cholerny ptak już mi przyniósł szczęście. Przypomniał mi, że jestem synem rybaka. Przynęta! Złota przynęta!

Gdy wspinał się uliczką z rzędem przylegających do siebie domów, prowadzącą do serca Dublina, czuł się niby duch z przeszłości. Widział pomiędzy ulicznikami samego siebie, jak biega rozdając w czterdziestym trzecim ulotki nawołujące do powstania Daniela O'Connella. Za to i za wygłoszenie kilku mów odesłano go do Kolonii.

Duch z wiadomością od ducha. Oświadczył, że przywozi pozdrowienia z Kolonii Australijskiej od Charlesa Gavana Duffy'ego, co było oczywiście kłamstwem.

— Myśleliśmy, że już nie żyje, ale w takim razie byliśmy w błędzie.

— Czuje się świetnie i jest w jak najlepszym zdrowiu — odparł Mike. — Znalazł się we władzach ustawodawczych Wiktorii.

— Coś takiego! Człowiek, który porzuca wszelką nadzieję, zazwyczaj nie żyje zbyt długo. A czy powiedział, kiedy planuje powrót z tego okropnego miejsca, do którego sam się wysłał?

— Nie sędzę, żeby w ogóle planował powrót — powiedział Mike. — Jest członkiem rady wykonawczej Kolonii i niedługo ma szansę zostać premierem tamtejszego rządu. Z takiego Irlandczyka możemy być dumni.

— No cóż, skoro tak twierdzisz. Nie należy źle mówić o martwym, a w jego przypadku rozpacz i utrata złudzeń spowodowała, że pogrzebał się żywcem. Brytyjczycy oskarżyli go o zdradę i to położyło na nim cień śmierci, chociaż był niewinny. Jako redaktor i założyciel pisma „Nation” stał się głosem potępienia dla Anglii i nadziei dla Irlandii. Smutna sprawa. Teraz kiedy wiemy, że pogrzebał się żywcem dla Irlandii, uczymy to chwilą ciszy.

Zebrani wokół stołu mężczyźni na moment ściągnęli czapki, potem włożyli je znowu na głowy i przyjrzeni się Mike'owi uważniej.

— A co z tobą? Czy przybyłeś przyłączyć się do nas? — odezwał się najstarszy z zebranych mężczyzn. Słowa były zasłoną, podczas gdy przenikliwy wzrok taksował gościa, a opinie przekazywał innym, siedzącym w milczeniu, poza kręgiem światła rzucanym przez nisko zawieszoną nad stołem lampy. Najlepiej oświetlony był Mike.

— Przyszedłem, żeby się dowiedzieć, co możecie mi powiedzieć o Ameryce.

— Chodzi ci o Amerykę? No cóż, jeśli ci Ameryka w głowie, to znaczy, że nie jesteś głupi. Wielu Irlandczyków wyjechało tam po Wielkim Głodzie, kiedy urok padł na kartofle jeszcze w latach czterdziestych.

— Mnie interesują Fenianie w Ameryce — powiedział Mike z uśmiechem.

— Aha, Fenianie! No cóż, słyszeliśmy o nich, to pewne. Mówisz, że chciałbyś do nich dołączyć?

— Może.

— Jeśli idzie o przyłączenie się do tej organizacji, nie ma mowy o „może”. Albo przyłączasz się, albo nie, i to nie ty decydujesz. A co takiego wiesz o Fenianach?

— Nie mieszkam w Irlandii od prawie dwudziestu lat. Muszę więcej wiedzieć o człowieku, z którym rozmawiam, zanim wdam się w pogawędkę o amerykańskich Fenianach.

Pytający pochylił się do przodu, rondo kapelusza ocieniało mu oczy.

— Rzuciłeś dwa nazwiska. Daniel O'Connell i Charles Gavan Duffy. Nazwiska z przeszłości, które każdy może znać i wymieniać bez lęku. I bez wątpliwości masz w zanadrzu jeszcze inne. Wystarczy, byś o nas wiedział, że rozumiemy bolączki Irlandii. Czy to samo możesz powiedzieć o sobie?

— Bolączką Irlandii zawsze byli i są Anglicy.

— Możesz mieć rację, a jednocześnie mylić się. Bolączką są panowie angielscy, ale i irlandzcy. Wyjechałeś, zanim ustalony został akt z czterdziestego siódmego, dotyczący biedaków. Zapewnia on jedzenie głodnym, ale tylko tym, którzy mają ćwierć, a nawet mniej akra ziemi na własność. Głód kosztował wielu Irlandczyków utratę ziemi i głodujących gospodarzy zamienił w ograbionych, głodujących dzierżawców. A to, co oni posiadali, zabrali panowie. Bez wątpienia powinienes to wiedzieć, ponieważ to Charles Gavan Duffy próbował walczyć o odzyskanie ziemi w pięćdziesiątym piątym, a cztery lata później, kiedy zrozumiał, że nie wygra, wyjechał do Australii.

— Rozmawiałem z Charlesem Gavanem Duffym góra trzy razy. On nie wraca już do przeszłości, interesuje go tylko przyszłość. Buduje ją na złocie wykopanym w Wiktorii i twierdzi, że przyszłość tego kraju stoi na pracy, nie na rozmowach i wojnie. Słyszałem, że w Ameryce są Irlandczycy, którzy się z nim zgadzają.

— Nie ma wątpliwości, że stracił wolę walki! Ale nie wszyscy Irlandczycy w Ameryce się z nim zgadzają! — stary człowiek zerwał się w gniewie z krzesła. — Żaden fenianin tak by nie mówił. Żaden człowiek taki jak John O'Mahoney, James Stephens czy im podobni!

Mike nie odezwał się po tych słowach. Zapadła ciężka cisza.

— Już czas, byś powiedział nam, co wiesz o Fenianach — odezwał się mężczyzna. Tęczówki jego oczu stały się czarnymi, gniewnymi punktami.

— Jest to tajne stowarzyszenie, o którym mówi się tylko między zaprzysiężonymi Irlandczykami. A John O'Mahoney i James Stephens są przywódcami sprawy. Fenianie ostrożnie wymieniają nazwiska swych dowódców. — Mike podniósł się, jakby chciał odejść. — Myślałem, że rozmawiam z przywódcami Fenian w Irlandii. Wprawdzie jesteście Irlandczykami, ale na pewno nie Fenianami umięjącymi trzymać gęby na kłódkę.

— Jeśli cenisz swoje życie, to powiesz nam trochę więcej o sobie nim podniesiesz się jeszcze o cal lub zrobisz choć jeden krok w stronę drzwi. Obiecuję, że nie zajdziesz zbyt daleko.

Kiedy Mike opadł na krzesło, przywódca pochylił się w jego stronę.

— Czy możesz nam powiedzieć, Michaelu Donohue, co mężczyźni, których właśnie wymieniałeś, mogą zdziałać dla Irlandii?

Mike z uśmiechem rozkoszował się tą chwilą. Przypominał sobie słowa Jenny: „Irlandczycy z natury mają skłonność do złośliwości”.

Spojrzał po zebranych wokół stołu mężczyznach, zanim odpowiedział:

— Zbierać pieniądze i uzyskać wspomnienie od tysięcy amerykańskich Irlandczyków, by wyposażyć i nakarmić armię tu, w Irlandii. Zbudować armię Fenian na tyle silną, aby była zdolna zrzucić brytyjskie jarzmo z Irlandii.

Uniósł rękę, uciszając ich, zanim zdążyli się odezwać.

— Przyjechałem tutaj z Ameryki, od Feniańskiego Bractwa, i mam przy sobie złoto, które ma się przysłużyć sprawie. Ale to złoto jest ciężko zdobyte, więc muszę wiedzieć, czy ludzie, z którymi rozmawiam, będą potrafili z pożytkiem go użyć.

Przez moment jeszcze panowała cisza, a potem rozległ się chór pomieszanych głosów, który przypominał mu szkolne czasy.

— Broń! — wykrzyknął dowódca, a siedzący w cieniu wokół stołu mężczyźni powtórzyli to słowo.

— Broń!

— Czyżby już nie było głodujących Irlandczyków? — zapytał Mike.

— Jeśli głodują, to w dobrej sprawie!

— A czy wy głodujecie? — zadał następne pytanie.

Nawet na nich nie spojrzał. Sięgnął do woreczka, gdzie w irsze miał zawinięte własne złoto i dwa kawałki pożółkłego pergaminu. Położył jeden z nich i zawiniętą irchę na stole.

— To jest papier, który musicie podpisać albo postawić na nim jakiś znak potwierdzony przez świadków. Jest to oświadczenie, że otrzymaliście ode mnie złoto, z podaniem jego wartości. Napisano tu także, że wymieniliście beztróska nazwiska dwóch przywódców tajnego stowarzyszenia znanego pod nazwą Feniańskiego Bractwa — nazwiska O'Mahoneya i Stephensa.

Uśmiechnął się jeszcze raz i popatrzył wokół, tak by każdy z zebranych mógł ten uśmiech zobaczyć.

— Musimy płacić nasze zobowiązania wobec sprawy wolności. Na tym drugim pergaminie znajduje się oświadczenie, że nie przyjmujecie złota, ponieważ złamaliście zasadę milczenia. Który papier chcecie podpisać?

Kiedy wahali się, pochylił głowę.

— Przysięgam przed Bogiem, że tamci nigdy nie dowiedzą się, który papier został podpisany. My jesteśmy Irlandczykami w Irlandii. Oni są daleko w Ameryce.

Ciężka cisza wisiała w zamkniętym pokoju z opuszczonymi zasłonami, kiedy podawali mu pergamin podpisany swymi nazwiskami. Odebrali irchę ze złotem, za które można było kupić ledwie kilka sztuk broni — woreczek jego własnego kruszcu, będącego niczym w porównaniu z tym, co otrzymał w Ameryce.

Kiedy Dublin pozostał już za nim, a hrabstwo Galway zbliżało się coraz bardziej, Mike uśmiechnął się pod wąsem, słysząc w myślach głos Jenny: „Bez wątpienia pletli bajdy tak długie, jak do Dublina i z powrotem”.

— Bez wątpienia — odpowiedział jej w myślach. — Ale to nie było do końca kłamstwo. Przywódcy klanu powiedzieli przecież, że jeśliby dublińscy okazali się niewarci zaufania, powinienem tak użyć złota, aby jak najlepiej dopomóc irlandzkiej sprawie. Są lepsze sposoby niż kupowanie broni. A jeśli święci nie zapomną o mnie, zawsze jeszcze będę mógł przy tym załatwić swoje sprawy.

Poklepał po przytroczonych do łęku skórzanych torbach z amerykańskim złotem. Potem przejechał dłonią po pasie pełnym pieniędzy, którym był przepasany. Był on mocno pękaty, choć schował w nim tylko drobną część tego, co posiadał.

Na własnej ziemi czuł się jak obcy. Po latach pracy stał się całkiem zamożnym człowiekiem. A człowiek zamożny w Irlandii mógł wiele osiągnąć.

Wracał do domu, do Connemary. Podróżował przez południowe Connaught, gdzie jego przodkowie zajmowali się rybactwem i uprawą ziemi — i płacili więcej niż dziesięcinę panom z Connacht, którzy rządzą ziemią Galway, Leitrim, Mayo, Roscommon i Sligo ze swego potężnego dworu, zbudowanego z piaskowca na ruinach zamków starożytnych królów.

Jeszcze w sześćdziesiątym drugim Mike znalazł się w posiadaniu ulotki głoszącej, że „Lord Connacht przepija swoje dziedzictwo i skończy najprawdopodobniej w więzieniu za długi. Irlandczycy nie będą pracowali na farmach, które kiedyś należały do ich ojców, nie będą opiekować się końmi w jego stajniach, nie będą uprawiać ziemi, by miał je czym nakarmić.

Wolą sami głodować i patrzeć, jak Anglik upada. Teraz właśnie w krainach Connaught tak się dzieje".

Mike udał się do banku angielskiego w Dublinie i wykupił wszystkie weksle lorda Connacht. Wielki, szary dwór, ziemie wokół niego, stajnie pełne koni znalazły się teraz w jego rękach. Ale najpierw trzeba to było dobrze rozegrać i wypełnić pewien obowiązek.

Kiedy dojechał na miejsce, znowu poczuł się przez chwilę chłopcem. Wpatrywał się w szary dom z gniewem, pomieszany z lękiem. Potem podjechał do głównego wejścia, dał znak odźwiernemu, by przywiązał konia. Drzwi otworzyła mu kobieta, poprosił, żeby zaanonsowała go Williamowi Hartowi, panu na Connacht, który przestał już być ich panem.

Mówił do niej po celtycku i pokazał pieczęć Connacht wygrawerowaną na sygnecie, który miał na prawej ręce.

— Otrzeźwicie pana — wydał polecenie po angielsku, kiedy wszedł do zadymionego pokoju. Gospodarz wpatrywał się w obcego, wydającego polecenia w jego domu. — Michael Donohue nie wykorzysta nieuczciwej przewagi nad kimś, kto wypił zbyt wiele. — Kiedy służący wybiegli po chłodne kompresy, uśmiechnął się pogodnie. — Ponieważ chcę zaproponować pomoc finansową, muszę mieć w rozmowie trzeźwego partnera.

Mężczyzna, który siedział w zadymionym pokoju, nie był pijany. Nauczył się żyć z alkoholem i wcale już nie odczuwał jego skutków. Nie był też głupcem. W obecności służby nawet nie odezwał się, a tylko przyglądał intruzowi, który wdarł się do jego domu.

— Jesteś Irlandczykiem — powiedział. Jego głos był słaby, podobnie jak charakter. — Ale zachowujesz się, jakbyś nim nie był.

Mike wzruszył ramionami.

— Kiedyś byłem Irlandczykiem. Urodziłem się tutaj. Ale z kolei pan był kiedyś Anglikiem, więc po cóż się pan tu zakopał? Czyżby tak pan pokochał wapień i kwarc, i torf, że zdecydował się zostać Irlandczykiem, jak ci, którzy zapijają się z miłości do Irlandii?

— Po co pan tu przyszedł? Kim pan jest i czego pan chce?

— Podałem już swoje nazwisko i nie chcę niczego, za co już bym nie zapłacił. Posiadam wszystkie weksle na ten dom, okoliczne farmy i stadninę. Siedzi pan teraz w moim salonie, popijając mój alkohol. Ale nigdy nie uczynię sobie wroga z człowieka, który może okazać się sprzymierzeńcem. A każdy potrzebuje sprzymierzeńców. Nikt zaś wrogów.

— Jest pan nietypowym Irlandczykiem.

— Nie nietypowym, po prostu wyobcowanym — Mike zamilkł, oczekując na błysk rozpoznania w oczach mężczyzny. — Ale to stało się bardzo dawno temu. Teraz już nie jestem na wygnaniu. Za to skorzystałem z niego, tak jak każdy Irlandczyk, w taki lub inny sposób. Tylko Anglicy tego nie potrafią. My, Irlandczycy, mówimy dużo o miłości do ojczyzny, ale to Anglicy zabierają z sobą swój kraj, gdziekolwiek ich los rzuci. Nie mówicie o ojczyźnie, tylko cierpicie z powodu własnej straty i waszej nieobecności, a potem staracie się przemienić inne skrawki świata w Anglię. Pan będzie zawsze człowiekiem z Berkshire, nieważne z jakimi irlandzkimi tytułami. Nie jest już pan młody. Czy chce pan dokonać swych dni na tych torfowiskach, kiedy Anglia wzywa pana, a pan może ją mieć? Wystarczy tylko skinąć ręką.

— Jeśli ma pan moje weksle, a ja w to nie wątpię, trudno chyba panu przypuszczać, że kogoś zubożałego i pozbawionego honoru nie uszczęśliwiłby powrót do Anglii.

— Może pan odkupić weksle — powiedział mu Mike. — Są sposoby. Ja jestem bogatym człowiekiem. Zdobyłem majątek na złotych polach Kalifornii, a jeszcze więcej na złotych polach Australii, a potem pomnożyłem majątek. I tylko sam jeden Mike Donohue trzyma pańskie weksle. Ale w torbach przy siodle wiozę złoto innych, złoto Irlandczyków. Wystarczy na spłacenie całej ziemi, którą pan posiada, i zwrócenie jej rodzinom, do których kiedyś należała.

Anglik uważnie mu się teraz przyglądał oczami jak szparki.

— Czy właśnie mówi mi pan, że nie zgłosił jeszcze posiadania weksli, przyznających mu prawo do Connacht? Czy to znaczy, że nie chce pan tego domu?

Mike rozejrzał się po pokoju, a potem wyjrzał przez okno, za którym leżały ziemie Galway.

— Nie, nic takiego nie powiedziałem. Chcę mieć ten dom! Ale nie dzięki weksłom, które angielscy bankierzy sprzedają aż nazbyt chętnie. Jeśli zrezygnuje pan z irlandzkich ziem zajętych podczas głodu i odsprzeda je pan z powrotem na nazwiska rodzin, do których kiedyś należały, zapłacę panu uczciwie irlandzkim złotem. Potem możemy podyskutować o wartości weksli.

Służący już od jakiegoś czasu stukali usilnie do drzwi, prosząc o pozwolenie wejścia z kompresami, po które zostali wysłani.

Mike i Anglik uśmiechnęli się do siebie, jakby z tego samego żartu — pobłażliwość wywodząca się ze zrozumienia przerzuciła między nimi nić porozumienia.

Służących wpuszczono, zostawili chłodne kompresy i wycofali się, rzucając zaciekawione i zmartwione spojrzenia, po czym zamknęli za sobą drzwi. Anglik podniósł się powoli, przeszedł przez pokój do biurka i otworzył szufladę. Wrócił z plikiem pożółkłych pergaminów.

— Niektóre z nich należą do mojej rodziny od trzech pokoleń — powiedział. — Ale nawet moi przodkowie nazwaliby mnie zapijaczonym głupcem, gdybym nie przyjął tej oferty.

Mike zerwał pieczęcie na torbach i opróżnił je ze złota, a na ich miejsce włożył pergami-ny z aktami własności podpisanymi przez Williama Harta, pana na Connacht, opieczętowane krzyżem z Connacht. Na każdym dokumencie widniała cena ziemi w złocie.

— Podpisane, podstemplowane i gotowe do oddania — powiedział. — Będzie powód do świętowania na ziemiach Connaught. — Uśmiechnął się. — Ci ludzie muszą się nauczyć, jak uprawiać ziemię, którą już zbyt długo pozostawili odłogiem.

Przeniósł wzrok ze złota na Anglika.

— Teraz jest pan dość majątny, by zdecydować, czy mam zatrzymać weksle i wszystko, co one reprezentują — powiedział. — Decyzja należy do pana. Proszę nalać sobie jeszcze jednego z mojej karafki, zanim pan podejmie decyzję.

William Hart delikatnie odsunął trunek.

— Jeśli to jest teraz angielskie złoto, zbyt szybko wsiąkłoby w irlandzką ziemię. Uwolni-łem się od długów i złych obyczajów, które były irlandzkim dziedzictwem. Teraz mogę wrócić do Anglii jako dżentelmen, na co nigdy nie miałem nawet nadziei. Domek w Berkshire będzie mi służył lepiej niż ten dwór w Irlandii. Ale myślę, że jeszcze czegoś mi pan nie powiedział. Jaką trzeba za to zapłacić cenę?

Mike uśmiechnął się.

— Nie chodzi o cenę. Mam propozycję. Niech pan znajdzie inny dwór w Berkshire. Rezydencję odpowiadającą pańskiej pozycji. Ja ją kupię i będę jej właścicielem, ponieważ jestem ostrożny jak Szkot. Ale nikt nie musi tego wiedzieć oprócz pana i mnie. Pan zużyje złoto na spłatę długów i nadal będzie żyć jak szlachcic do końca swoich dni. W zamian ja oczekuję od pana drobnych grzeczności od czasu do czasu. Może czegoś więcej niż wprowadzenia w wasze towarzystwo. Jestem człowiekiem honoru, jak wielu skromnych pochodzeniem, ale wyniósł mnie złoty pył. Pan urodził się już wyniesiony.

Mike zamilkł, czując gorycz słów, które miał dopiero wypowiedzieć.

— Pan zawsze będzie posiadał coś, czego za moje złoto nigdy nie zdołam kupić. Więc od czasu do czasu chciałbym poprosić o użyczenie mi odrobiny tego, co pan posiada, a ja potrzebuję.

William Hart przyglądał się gościowi, jakby przeczuwał, że Mike nie skończył. Przeciągające się milczenie sprawiło, że jego gość wypowiedział słowa, których mówić nie zamierzał.

— Pewnego dnia moja mała córeczka stanie się prawdziwą damą. Pragnę dla niej więcej, niż może ofiarować ojciec stojący jedną nogą zagłębioną w torfowiskach Irlandii, a drugą w szczelinach australijskich gór, między migrującymi ćmami i wyrzutkami społeczeństwa.

Roześmiał się z wysiłkiem, żalując, że powiedział zbyt dużo. Wyraz twarzy Williama Harta zmienił się odrobinę, coś jakby cień przemknął po jego twarzy.

— Życie zastawia pułapki na człowieka w dziwnych miejscach — powiedział i wreszcie sięgnął po karafkę. — Ostatni kieliszek dla uczczenia dżentelmeńskiej umowy?

Mike skinął głową, ukrywając zaskoczenie nagłą decyzją Anglika. Wzniósł kieliszek, który William Hart napełnił. Próbował obudzić w sobie dawną nienawiść do starca, który stał przed nim, ale nie bardzo mu się udawało. Pamiętał tylko przysięgę, którą złożył jako chłopiec, że pewnego dnia ten człowiek znajdzie się całkowicie w jego władzy.

— Za naszą dżentelmeńską umowę — powiedział.

Whisky wydała mu się kwaśna, smakowała jak spleśniała woda, którą wmuszano w niego, kiedy skuty łańcuchami płynął na statku zesłańców coraz dalej od domu. Nienawiść, jaka się wtedy zrodziła, stała się jego częścią, zapuściła korzenie tak głęboko, że nauczył się żyć ponad nią, owijając ją w uśmiechy, ukrywać jak aktor odgrywający swoją rolę. Ale krawędzie nienawiści stępiły się na skałach Wirginii, schowały pod wyblakłymi draperiami, zniszczoną skórą i nie były już tak ostre w spokojnej i pełnej zgody atmosferze palarni starego człowieka.

Pod wpływem tych myśli przebiegł wzrokiem po pokoju, by wreszcie zatrzymać go na gospodarzu. Ujrzał ten sam wyraz twarzy, jaki zapamiętał sprzed dwudziestu lat.

— I za wszystko, co godne zapamiętania — powiedział i opróżnił kieliszek.

— Przypomnij bratu, że ma mnie zawieźć na drugą stronę doliny — powiedziała Jenny do Charliego. — Mam nadzieję, że nie zapodział się gdzieś.

Skupiła się znowu nad papierami rozłożonymi na biurku. Oprawiony w skórę dziennik stał się rejestrem urodzin, zgonów i ślubów. Dodawała kolejne imiona i podsumowywała popu-

lacje Minaby Flat z takim samym uczuciem osobistego sukcesu, z jakim notowała przyrosty stada.

Kiedy któraś z kobiet zamieszkujących dolinę przychodziła z wiadomością o kolejnych narodzinach, Jenny robiła zapis jeszcze w obecności posłanki.

— Zostało zapisane w Księdze — mówiła potem kobieta rodzinie, która ją wysłała. W ten sposób oficjalna rejestracja narodzin i śmierci przypadła Jenny.

Teraz, w marcu sześćdziesiątego czwartego, jej spis nazwisk zajmował trzy bite strony.

Zupełnie jak lista ofiar wojennych w gazecie z czterdziestego pierwszego, którą Jonathan zostawił w swojej skrzyni, pomyślała. Ale z uśmiechem spojrzała na jedno imię: „James Thomas Mitchell z Farmy Mitchellów”.

Nie czuła się jak babka! A miała przecież już dwoje wnuków — jedno nieznane i jedno nie całkiem ukochane. James Thomas skończył dziesięć miesięcy i był małą, okrągłą kopia swego grubego tatusia Henry'ego. Trudno się było w nim dopatrzeć choć odrobiny Travisów.

Charlie wrócił.

— Pete powiedział, że powozisz tym nowym faetonem lepiej od niego.

Jenny zamknęła rejestr i podniosła się.

— Wybrałam ten powozik, ponieważ ma oddzielne miejsce dla woźnicy. A dzisiaj chcę być wieziona jak dama. Powiedz mu, że będę gotowa za godzinę.

W sypialni ubrała się w nowy żakiet i założyła kapelusik z piórami. Zerknęła na ścianę, gdzie wisiało samotne oprawione zdjęcie, z wiadomością po drugiej stronie. Obok czekał haczyk na kolejną pocztówkę od Mike'a, której spodziewała się na Gwiazdkę sześćdziesiątego trzeciego — ale święta przeszły bez wiadomości.

— Kiedy wrócę, na tym haku powieszę kapelusz!

Powozik czekał. Pete kręcił się nerwowo na wysokim koźle.

— Po prostu jedź wolno — powiedziała mu Jenny. — Tak jest bardziej elegancko. Poza tym nie chcę się tam zjawić pierwsza.

Ponieważ w jej Księdze zapisanych już było czterdzieści dwoje mieszkańców osady, w tym dwanaścioro podrastających dzieci, poleciła wybudować szkołę, przylegającą do budynku sklepu.

— Nauczyciele są od tego, by uczyć — powiedziała do Violet McGovern. — Nie przejmują opieki nad dziećmi innych matek, tylko po prostu je uczą. Czytania, pisania i arytmetyki.

A ponieważ ty jesteś nauczycielką w tej dolinie i przy tym matką Weta McGoverna, będzie ci wygodniej uczyć w szkole przylegającej do waszego mieszkania.

Budynek szkolny został ukończony. Dzisiaj był dzień uroczystego otwarcia.

Mieszkańcy doliny czekali już, kiedy się zjawiła. Dzieci zgromadziły się wokół Violet McGovern, która trzymała za rękę dwuletniego Weta.

Jenny wysiadła z powoziku, uśmiechnęła się do zebranych, powiedziała kilka zdań i przecięła wstążkę obwiązaną wokół drzwi szkoły. Poprowadziła do środka wiwatujący tłumek z Violet McGovern i dziećmi na czele.

— Twoja matka jest cudowna. Znacznie miłsza niż nasza pani z dworu w Anglii — Jenny usłyszała szept nowo przybyłej pani Morrow, matki dwóch wysokich córek i żony ostatniego osadnika, który zjawił się w dolinie. Jody słuchała jej w osłupieniu. — Czasami zachowuje się, jakby była jedną z nas.

Jenny odwróciła głowę, kryjąc uśmiech. Rozejrzała się po szkole i spojrzała z uznaniem na George'a Farleya i Jima Carruthersa, których zwolniła od innych prac na czas budowy budynku. A potem wyjrzała na bitą drogę i łąkę nad rzeką.

— Jeśli już chcemy, żeby to wyglądało porządnie, można by tu postawić ławki pod drzewami, jak w parku.

— Niech ją! — mruknął Jim Carruthers, kiedy odeszła. — Nie spocznie, dopóki nie każe nam zbudować porządnego miasta. Matriarchat. Violet McGovern miała rację.

Jenny zadowolona i uśmiechnięta wdrapywała się do powozika.

— A jak skończą tę robotę, matriarchini znajdzie im następne zajęcie — szepnęła do siebie. — Żadne miasto nie zostałoby zbudowane, gdyby nie było kilku zapaleńców. A w tej dolinie potrzeba więcej niż tylko parę zagród dla zwierząt i domów dla ludzi, jeśli mamy mieć miasto z prawdziwego zdarzenia.

Projekty pozwoliły jej wypełnić pustkę kolejnego roku, który przyszedł po Gwiazdce — i pustkę na ścianie w jej sypialni.

Wracała do domu, nadal uśmiechając się do siebie.

Ale gdy była już w sypialni i odwieszała na hak kapelusz, przypomniała sobie, co Mike pisał o wojnie. A potem znowu pomyślała o liście zabitych ogłoszonej w gazecie z czterdziestego pierwszego, schowanej w kuferku Jonathana.

— A niech cię, Mike. Napisz, bym wiedziała, że wciąż jeszcze żyjesz — szepnęła.

14.

Mike dotarł do Langley. Przed nim wznosił się Great House, choć wieże, wieżyczki i balustrady były jeszcze na wpół ukryte za drzewami.

Za sobą usłyszał odgłos powozu skręcającego w drogę, która wiodła do posiadłości. Zatrzymał konia na skraju trawnika i przyglądał się mijającemu go powozikowi. Mignęła mu twarz siedzącego wygodnie za stangretem mężczyzny, który nie odwrócił się nawet, by spojrzeć na przejeżdżającego obok jeźdźca.

Mike uśmiechnął się, poklepał konia, żeby go uspokoić i zaczekał, aż kurz osiadzie na drodze. Jako dżentelmen i członek londyńskiego klubu Boodle, składającego przyjacielską wizytę innemu członkowi tego klubu, powinien przyjechać również powozem. Ale on był handlarzem, który zjawiał się, by obejrzyć wierzchowce w stajniach Langley, a koniarz przyjeżdża na koniu.

I utrzymuje temperament na wodzy, upomniał się Mike.

Siedział nie poruszony na siodle, patrząc przed siebie, ale myślami zwrócony ku przeszłości.

— Załatwienie ci członkostwa Boodle może nastreczyć pewnych kłopotów — powiedział z wahaniem William Hart. — Mówimy o najbardziej ekskluzywnym klubie w Londynie.

— To pierwsza moja prośba wynikająca z naszej umowy — odpowiedział Mike. — Jeśli ją spełnisz, nie zażądam już wiele. Przynajmniej przez jakiś czas.

— Musisz zrozumieć, że będą kłopoty.

— Omiń je — odparł Mike, w jego tonie bez wątpienia brzmiała groźba.

— No cóż, jesteś członkiem — poinformował go Hart dwa tygodnie później. — Moja rekomendacja przeważyla protesty.

— Przeciwno Irlandczykowi wdzierającemu się do świątyni?

— Dwóch członków protestowało przeciwko Irlandczykowi — powiedział Hart i wymienił nazwiska. — Inny, Traunton Jonathan, sprzeciwił się, ponieważ jesteś z Kolonii. — Stary człowiek uśmiechnął się, jakby z jakiegoś tylko sobie znanego żartu. Zajęty własnymi myślami, nie zauważył zmiany na twarzy Mike'a. — Traunton wycofał sprzeciw, kiedy poprosiłem, by wyjaśnił swój brak uczuć dla Kolonii. Może był wdzięczny, że powołałem się na moje własne związki z nimi w dawnych czasach, zamiast napomykać o jego koneksjach... — William Hart przypomniał sobie o obecności Mike'a i jego głos zadrżał. — Wybacz staremu czło-

wiekowi te reminiscencje. Są bez znaczenia. Masz, czego chciałeś, ale muszę cię przestrzec, żebyś nie oczekiwał towarzystwa przyjaźnie nastawionych mężczyzn.

Tego dnia, kiedy Mike zamieszkał w Boodle, Tranton Jonathan sam zaczął z nim rozmowę.

— Słyszałem, że jest pan znawcą koni.

— Mam niezbędną wiedzę — odpowiedział. — Handluję nimi.

— To ciekawe. Ostatnio kupiłem czystej krwi arabskiej kobyły do stajni w Langley, to moja posiadłość w Surrey. Może miałby pan ochotę odwiedzić mnie tam i wskazać, który z ogierów najlepiej by się dla nich nadawał.

Przyjął zaproszenie, a zarazem wyzwanie, jakie się za nim kryło. I teraz właśnie, tego wiosennego dnia sześćdziesiątego czwartego roku, znacznie wcześniej, niż się spodziewał, widział przed sobą Langley.

Kurz osiadł na drodze. Mike jechał zalesionym terenem. Przed nim rozpościerał się park wypełniony kolorami azalii i rododendronów, pięknie zaaranżowanych przez ogrodnika na tle kęp drzew i trawnika, na którym pasły się jelenie.

Po lewej stronie drogi prowadzącej od wschodu do bramy otwierającej się na ogrody i podjazd do Great House, rozpościerał się park w stylu francuskim.

Po prawej stronie od podjazdu odchodziła boczna droga, biegnąca przez las do domów farmerów, młyna i odlewni, oraz budynków zamieszkałych przez pracowników gospodarstwa i tartaku. Mike zatrzymał kobyłę i rozejrzał się. Chciał ujrzeć Langley tak, jak Travis Jonathan widział je, kiedy opuszczał rodzinny dom na zawsze.

Spoglądając na Great House i akry otaczającej go ziemi, czuł niechętny podziw dla zmarłego, znienawidzonego mężczyzny. Człowieka zdolnego osądzić i ukarać samego siebie tak jak mało kto. To uczucie rozdrażniło go, ale nie potrafił się go pozbyć do chwili, kiedy pomyślał o Jenny i Jennifer. Przypomnił sobie chatę na wschodnim zboczu doliny, która służyła Jenny za dom dzielony z mężczyzną, nazywającym siebie Jonathanem Travisem. Pomyślał o Jennifer pozostawionej z czarną kobietą w jaskini Yarrangobilli.

— Mam zamiar zrobić to, co ty powinienesz być dla nich uczynić, łajdaku.

Wjechał przez wschodnią bramę i podjazdem skierował się do miejsca, gdzie przywiązywano konie.

W otwartych drzwiach domu czekał lokaj. Po chwili schodził na dół po marmurowych schodach.

Mike przedstawił się, a lokaj powitał go w sposób wskazujący, że był zawiadomiony o przyjeździe gościa. Jednak gdy przenosił wzrok z jeźdźca na konia, jego ton był wyraźnie protekcjonalny.

— Jego lordowska mość oczekuje pana. Jest razem z gośćmi we francuskim salonie i zaprasza tam, chyba że wolałby pan od razu udać się do stajni.

Przynajmniej Hart uczciwie mnie przestrzegł, pomyślał Mike, opanowując chęć rozłożenia lokaja jednym uderzeniem pięści na żwirze podjazdu.

— Dołączę do towarzystwa w salonie.

Służący odwrócił się i ruszył wolnym krokiem przez Great House. Zatrzymał się wreszcie w drzwiach prowadzących do okrągłego pokoju, o ścianach pokrytych niebieskim adamaszkiem, gdzie pod sufitem wisiały ogromne, przytłaczające kryształowe kandelabry. Umeblowanie francuskiego saloniku kazało się Mike'owi zastanowić, czy Napoleon nie sprzedał wyposażenia swego domu jednemu z wcześniejszych wicehrabiów Langley, aby zakupić broń użytą w bitwie pod Waterloo. Ta krotocwilna myśl uzbroiła go przeciwko zebrany w pokoju dżentelmenom z Boodle.

— Jego lordowska mość, przybył handlarz koni, którego pan oczekiwał — oznajmił lokaj.

— Wchodź, Donohue! Myślę, że znasz tutaj wszystkich, więc nie ma potrzeby cię przedstawiać.

Mike skinął głową pozostałym mężczyznom. Służący czekał przy drzwiach.

— Powiedz jednemu ze stajennych, że handlarz już się zjawił — powiedział mu Traunton Jonathan. Potem zwrócił się do Mike'a. — Czy tymczasem napijesz się z nami? Ostatecznie jesteś członkiem naszego klubu.

— Nie, dziękuję, wicehrabio — odparł Mike. Wskazał w stronę karcianych stolików ustawionych w pokoju. — Panowie wyraźnie mieliście zamiar usiąść do kart. A ja nie przybyłem, by przyłączyć się do gry. — Przez szklane drzwi wychodzące na ogród zobaczył stajennego, który oczekiwał na niego, mnąc czapkę w dłoniach. — Pański człowiek czeka, żeby zaprowadzić mnie do stajni, więc chętnie się z nim udam. Zostałem wszak zaproszony, by ocenić ogiery w stajni, a nie w salonie.

— Właśnie mieliśmy zasiąść do pikiety — powiedział lodowato Traunton Jonathan. — To zajęcie dla dżentelmenów. Wyobrażam sobie, że nie jest to pańska ulubiona gra karciana.

— Dobrze pan sobie wyobraża — odparł Mike. Uśmiechał się, cała sytuacja zaczynała go mocno bawić. — Ciułanie punktów w pikiecie to rzeczywiście nie dla mnie. Nie potrzebuję zbierać trzydziestu punktów, jeśli chcę kogoś pokonać. — Rozejrzył się po stylowym francuskim salonie karcianym. — Wybrał pan znakomite miejsce na tę grę. Zdaje się, że ostatnią grą Ludwika XVI, zanim wszystko stracił, była pikiet.

Później, kiedy odjeżdżał już z Langley, ukrywał w zakamarkach swej duszy plany odplacenia jednemu człowiekowi za zbrodnie drugiego. Wiózł kartę, na której namalowana była siedziba Langley z wyraźnymi budynkami stajni. Mike spojrzął na obrazek, żeby się upewnić, czy nie ma na nim nazwy. Samo Great House, które w Anglii mówiło samo za siebie, dla kolonistów nic nie znaczyło. Postanowił, że wyśle obrazek Jenny. Był już najwyższy czas odezwać się do niej, a przyjdzie dzień, kiedy ten irlandzki żart ją rozbawi.

Dwa dni później Mike szedł ulicami Londynu, nie zwracając uwagi na oferujące mu swe usługi pojazdy. Były to głównie dwukółki i czterokołowe powozy o dziwnej konstrukcji, z dwoma miejscami wewnątrz i dwoma na zewnątrz. Szedł z Holborn na północ do miejsca położonego między Westminsterem i City. Szukał prawnika, którego nazwisko otrzymał wraz z dość nieokreślonym adresem.

— Najprawdopodobniej znajdziesz go w którymś z pubów w okolicy sądu — powiedział mu. — Najpierw spróbuj w Lincoln Inn na Chancery Lane. Ma swoją kancelarię w Tempie. Do starej Inner i Middle Temples można dojść Middle Tempie Line i King Bench Walk. Znajdziesz z łatwością.

Mike występował jako reprezentant wdowy po wicehrabim i wobec tego był odpowiednio ubrany. Zastanawiał się, jak długo zniesie udawanie angielskiego dżentelmena. Tęsknił za wysokimi butami, w których można chodzić po torfowiskach Irlandii, a najbardziej brak mu było kolonialnego, buszmeńskiego stroju. Chciałby czuć pod sobą konia i przemierzać mile, zbliżające go coraz bardziej do wyżyny między Cooma i doliną Jenny. Był człowiekiem stworzonym do polowań, nawet gdyby to on sam miał być zwierzyną. Ale na pewno nie nadawał się do prowadzenia życia angielskiego dandysa.

Znalazł kancelarię adwokata w Middle Tempie. Była wypełniona od podłogi po sufit książkami i związanymi foliałami. Okna zdobiły witraże, a sufit wsparto na belkach.

Adwokat siedział za biurkiem zawalonym papierami, wydawało się, że jest zagubiony w swoim otoczeniu, ale tylko do chwili, kiedy się odezwał. W tym momencie jego oczy ukryte w

fałdach tłuszczu ożyły i ukazał się w nich drapieżny wyraz, i taki też ton zabrzmiał w jego głosie.

— Pański list niezwykle mnie zaintrygował, panie Donohue — powiedział, kiedy Mike usiadł. — Zdradza niewiele, za to ogromnie dużo obiecuje. — Zanim zaczniemy, czy mogę prosić, by pozostałe informacje, które panu przekażę, pozostały poufne?

— Oczywiście! Taki jest charakter mojego zawodu. Słowa, które padają między prawnikiem a jego klientem, są objęte tajemnicą zawodową. Najpierw jednak musimy ustalić, czy pan jest moim klientem. Żądam wysokich honorariów, panie Donohue, ale jestem ich wart.

— Nie ma co targować się o cenę. Podał pan zupełnie uczciwą w odpowiedzi na mój list. Chciałbym się tylko upewnić co do jednej rzeczy. Czy wśród pana klientów znajduje się ktoś z Jonathanów, rodu z Langley?

Prawnik wydał wargi i złożył razem palce, przyglądając się w zamyśleniu Mike'owi.

— Nazwiska moich klientów również pozostają tajemnicą zawodową do chwili, kiedy sprawa staje na wokandzie. Jednakże mogę zapewnić pana, że nie będzie konfliktu interesów, jeśli to pana gnębi.

— W takim razie przejdźmy do rzeczy. Reprezentuję wdowę po Travisie Jonathanie, ósmym wicehrabi Langley.

— Jest pan radcą prawnym?

— Nie, tylko reprezentantem tej damy.

— Prawdziwej damy. Właściwie wicehrabiny, co oznacza, że dwie osoby zdają się po-błogosławione tym samym tytułem.

— Dlatego właśnie tutaj jestem.

— Czy ma pan dokumenty?

Mike sięgnął do kieszeni surduta i pozbył się ciężaru, który tam nosił.

— Małżeństwo zostało zawarte w Kolonii Nowej Południowej Walii w 1843, trzynastu lat przed wprowadzeniem obowiązku rejestracji narodzin, śmierci i ślubów. Skopiowałem dokument zawarcia małżeństwa, który znajduje się w parafii w Sydney, i otrzymałem na niej podpis notariusza. Dodatkowo mam atestowaną kopię manifestu statku, którym Travis Jonathan popłynął do Kolonii. Ten dokument zdobyłem tutaj, w Londynie. A także potwierdzenie jego służby wojskowej na Van Diemen Land. Co więcej...

— Na razie wystarczy, panie Donohue. Wygląda na to, że wykonał pan sporo pracy za mnie. Ale jestem zobowiązany sprawdzić każdą informację. Musi pan to zrozumieć.

Prawnik mówiąc to, czytał dokumenty. Uśmiechnął się i unióś brwi w górę.

— Więc okazuje się, że Travis Jonathan zostawił po sobie wdowę! — Prawnik podniósł wzrok na Mike'a. — Czy są owoce tego małżeństwa?

Mike przytaknął, nie przejawiając ochoty do wyjawienia szczegółów.

Oczy prawnika zwęziły się w szparki.

— Oczywiście! Reprezentuje pan wdowę. Ale bardzo duże znaczenie będą miały dzieci, jeśli chodzi o sprawę tytułu.

— Nie chodzi o tytuł.

— Naprawdę? To staje się coraz bardziej interesujące. W takim razie, czego właściwie oczekuje ta dama?

— Powiedzmy, że wszystkiego, do czego upoważnia ją małżeństwo z wicehrabią.

— W to może wchodzić tytuł.

— Bardzo dobrze. Załóżmy, że tytuł również.

— To jest tytuł dziedziczny, panie Donohue. Jeśli ma zostać odzyskany, muszę wiedzieć, czy reprezentuje pan również syna i dziedzica. — Wzruszył ramionami. — Pytanie jest czysto akademickie, póki nie ustalimy, czy roszczenia są zasadne. Jeśli dobrze pamiętam, obecny wicehrabia odziedziczył tytuł i posiadłości w wyniku rzekomej śmierci Trávisa Jonathana.

— Przyjęli, że nie ożenił się przed śmiercią. Prawnik skinął głową.

— Taki był stan, oparty na ostatniej wiadomości, jaką od niego dostali. W ten sposób działa prawo.

— Sprawdziłem rejestry londyńskie. To było w 1852 roku, ożenił się dziewiętnaście lat wcześniej.

Prawnik wybuchnął śmiechem.

— Zabiera pan chleb moim pracownikom.

— Wolałbym, żeby o sprawie wiedział tylko pan i ja.

— Nie mogę używać pracowników mojej kancelarii? To bardzo ciężki warunek dla zajętego prawnika.

— Będzie się to panu opłacało.

— Mój czas może się więcej liczyć niż pański, panie Donohue. Zanim przejdziemy do dalszych kwestii, chcę uświadomić panu, że pańska wartość jako klienta nie została jeszcze ustalona.

— Zostanie. Nie musi się pan tym martwić. Dyskutujemy o domniemaniu śmierci Tralisa Jonathana.

— Właśnie. Naprawdę o domniemaniu, jeśli te dokumenty okażą się prawdziwe. A jeden z nich napęlnia radością serce prawnika. Poszukiwania Jonathana były niewystarczające, delikatnie mówiąc, jeśli ten manifest okrętowy jest prawdziwy. Szczególnie, że zdobył go pan w Londynie. Z czego wynika, że ci, co szukali wicehrabiego, równie łatwo mogli go odkryć. A nie odkryli, jak przypuszczam.

— Zakładając, że ten i inne dokumenty zostaną potwierdzone, a tak się stanie, jaka jest pańska opinia?

— Nie jestem jeszcze przygotowany do złożenia wiążącej prawniczej opinii. Są pewne istotne dla sprawy fakty, które panu przedstawię. Tak jak pamiętam, Travis Jonathan w krótkim czasie między śmiercią jego ojca i brata a własnym zniknięciem napisał testament, w którym ustanawia własnego bratanka, syna starszego brata, dziedzicem i spadkobiercą. Jednakże zgodnie z aktem prawnym z 1837 roku, który został ustalony w sześć lat przed jego ślubem, testament ten staje się nieważny w obliczu małżeństwa. — Prawnik podniósł wzrok i spojrział pytająco. — Może dowiedział się o śmierci bratanka i miał nadzieję na własnego syna i dziedzica.

Mike nie odpowiadał, więc prawnik po chwili milczenia, podjął rozmowę.

— W każdym razie, ten bratanek został zabity w 1841 podczas ataku na brytyjski garnizon w Kabulu, w Afganistanie. Zginął tam też mój brat. Obaj służyli pod generałem Elphinstone. Pamiętam, że widziałem nazwisko Jonathana na liście zabitych.

Przerwał na chwilę, rozejrzał się po zakurzonych stertach książek i papierów wypełniających pokój.

— Prawdopodobnie dlatego też pamiętam inne fakty związane z tą sprawą. Zastanawiałem się, kto odziedziczy Langley. Od zniknięcia Tralisa Jonathana minęło trzynaście lat. Kolejnych jedenaście przeszło, nim jego kuzyn Tranton Jonathan wystąpił o prawo do tytułu i majątku. Gdybym ja był prawnikiem rodziny, wydawałoby mi się, że dwadzieścia cztery lata są wystarczającym okresem na wyjaśnienie tajemniczego zniknięcia Tralisa Jonathana. Nawet bez ułatwienia, które niewątpliwie miał pan, podróżując pod prąd czasu! Kiedy zmarł Travis Jonathan, panie Donohue?

— Jak bardzo istotny jest ten fakt? — zapytał Mike.

— Czy są rozbieżności co do tego? — Prawnik podniósł rękę, jego bystry wzrok przewiercał nic nie wyrażające oblicze Mike'a. — Proszę nie odpowiadać na to pytanie. Wolę, żeby

pan tego nie robił. Posiadam pewną wiedzę na temat dżungli prawnej, jaka ma miejsce w Koloniiach. Jeśli nie żył wcześniej, niż został uznany za zmarłego, to może mieć pewne znaczenie.

Mike spuścił wzrok, zawahał się sekundę, a potem sięgnął do lewej kieszeni żakietu.

Prawnik rzucił tylko wzrokiem na dokument, który Mike mu wręczył. Złożone pod przysięgą oświadczenie, że Jonathan Travis zginął podczas wspinaczki w czerwcu 1849 roku.

— To dokument stwierdzający prawdziwy fakt i autentyczną datę śmierci — powiedział Mike. — Jestem w stanie przedstawić na to świadków.

— Ale wolałby pan ich nie przedstawiać?

— Nowa Południowa Walia leży daleko od Londynu.

— A prawa poła pańskiego żakietu znajduje się zbyt blisko lewej, kiedy trzeba dokonać wyboru? — Prawnik wzruszył ramionami. — Być może, mimo wszystko, odrobinę więcej szczerości nie zaszkodziłoby tej sprawie.

— Wdowa nie miała jeszcze osiemnastu lat, kiedy zginął i zostawił ją z dziećmi, które musiała wychować. Nie zgłosiła nigdzie faktu śmierci. Udawała, że on wciąż żyje. Dzięki temu udało jej się przeżyć w Kolonii. — Mike sięgnął w głąb prawej kieszeni. — Oto inny dokument. Został przygotowany, kiedy wprowadzono obowiązek zgłaszania zgonów w 1856 roku. Wiem o tym, ponieważ sam go przygotowałem. To jest oryginał. Nie znalazł się w rejestrach.

— Widzę pewną rozbieżność w dacie śmierci.

— Data śmierci w tym czasie zdawała się bez znaczenia. Tylko fakt, że ten człowiek nie żyje.

Prawnik pozwolił sobie na lekki uśmiech.

— Nie wyszła powtórnie za mąż?

— Nie, jest niezwykle oddaną wdową.

— To szczególnie szczęśliwa okoliczność. — Ponieważ Mike nie odezwał się, prawnik otwarcie się uśmiechnął. — Czy opowie mi pan nieco więcej o sobie, panie Donohue? Na przykład wydaje mi się, że reprezentując tę damę, pokrywa pan koszty. Może to wynieść kilkaset gwinei.

— Czy słyszał pan kiedyś o Brumby Nugget?

— Oczywiście. Jeden z największych kawałków złota kiedykolwiek znalezionych. Wydaje mi się, że podczas gorączki złota w Wiktorii.

— Znalezione na samym początku gorączki złota w Wiktorii. I to ja go znalazłem. Nie musi się pan martwić o zapłatę za swoje usługi. Ani o koszty. I mogą one wynieść nawet kilka tysięcy gwinei, nie tylko kilkaset.

Prawnik rozparł się wygodnie w fotelu, złożył swe dłonie czubkami palców, spoglądał uważnie i czekał.

— Chciałbym, by moje zaangażowanie w tę sprawę pozostało tylko między nami — kontynuował Mike. — Jeśli zgodzi się pan występować w moim interesie — ciągnął dalej — to będzie pan reprezentował klienta, którego nazwisko nie zostanie podane. Czy jest pan gotów podjąć się takiego zadania?

— To zależy od natury działań, których się pan po mnie spodziewa.

— W najdogodniejszym momencie zgłosi się pan do Trautona Jonathana przedstawiając mu dowody, które mogą go zaprowadzić do sądu i poddać w wątpliwość jego prawa do majątku Langley i tytułu. Chcę, by zaproponował mu pan wybór. Sprzedaż Langley po korzystnej cenie i w złocie, jeśli woli. Z zapewnieniem, że jeśli się zgodzi, cała sprawa zostanie uciszona i nikt nie będzie kwestionował jego prawa do tytułu i innych posiadłości z nim związanych.

— Niezwykła propozycja, panie Donohue. I nie gwarantuje niczego, jeśli Travis Jonathan zostawił syna i dziedzica, który mogły wystąpić o swoje prawa.

— Może pan poinformować, że taki dziedzic istnieje — Mike zamilkł, szukając odpowiednich słów. — A ja również reprezentuję potomków tego małżeństwa. Najstarsze dziecko najstarszego dziecka Trávisa Jonathana.

Prawnik uniósł wysoko brwi, uważnie patrząc na dokument, który mu Mike wręczył. Jego palce wybijały ciche staccato na kopii manifestu statku.

— Pieniądze nie zainteresują Trautona Jonathana, panie Donohue. On sam jest bardzo majątnym człowiekiem. Ale podważenie jego praw... — Uśmiechnął się gorzko. — Publiczne rzucenie wyzwania honorowi jego rodziny, i to w sądzie... — Spojrzenie prawnika powędrowało ku zakurzonym półkom. Nagle roześmiał się. — Cóż to byłaby za sprawa! Oskarżenie, że w oszukańczy sposób otrzymał tytuł i majątek, zatajając miejsce przebywania Trávisa Jonathana. I czekał całe lata z roszczeniami, mając nadzieję, że upływ czasu ukryje prawdę!

Mike milczał, przyglądając się grubemu mężczyźnie, który stukał palcami i przewracał oczami.

— Oczywiście, gdybym ja był jego adwokatem, obroniłbym go. Ale wszystko wskazuje na to, że zostanę pańskim. — Spojrzał na Mike'a, otwarcie go szacując. — Najwyraźniej wie

pan, że sama posiadłość nie jest już związana z tytułem, bo inaczej nie proponowałby pan żadnej alternatywy. Ale po co proponować takie rozwiązanie, skoro istnieje dziedzic i wszystkie dokumenty mogą być potwierdzone?

— Mam swoje powody.

Prawnik zaśmiał się.

— Gdybym miał je zgadywać, powiedziałbym, że chce pan, by ten człowiek znalazł się na pańskiej łasce i niełasce. — Roześmiał się głośniej, aż mu się brzuch zatrząsał. — Gdyby tak było, to tutaj pachnie zemstą, panie Donohue. Jeśli ja będę występował w pana imieniu, ktoś mógłby mi zarzucić nieprawidłowe działanie prawne. Wydaje mi się nawet, że istnieje nowe słowo na określenie takiej propozycji. Szantaż. Z jedną istotną różnicą. To pan chce mu zapłacić! — Śmiał się tak bardzo, że twarz mu poczerwieniała, a ciało trzęsło się nerwowo.

— Żeby chronić honor rodziny, on sam stanie się swoim własnym szantażystą. Dla człowieka takiego jak ja pańska propozycja jest nie do odrzucenia.

— Nie dla człowieka takiego jak pan — powiedział trzeźwo Mike.

— Dla pana. Nie przyszedłem tutaj, nie dowiedziawszy się wcześniej paru rzeczy na pański temat.

— Jestem dość znany — stwierdził prawnik, ale już się nie śmiał. — Podobnie jak moja niechęć do rodziny Jonathanów. Więc czemu pytał pan na początku, czy prowadzę jakieś ich sprawy?

— Po części będzie pan reprezentował rodzinę Jonathanów, jeśli weźmie pan sprawę ode mnie. Nie muszę być pierwszy, który się do pana zwraca.

— Interesująca sugestia. I oczywiście ma pan rację. Ale pan przybył z Kolonii, panie Donohue. Podobnie jak strony sporu, które pan reprezentuje. W Anglii rodziny pozostają bardzo ściśle związane. Rzadko wchodzą w alianse z tymi, którzy mają powód ich nienawidzić.

— Niech pan zrozumie jedno — powiedział Mike. — Wybrałem pana ze względu na pańską reputację jako adwokata. Ale jest pan Anglikiem, a ja zarówno Irlandczykiem, jak i mieszkańcem Kolonii. Pański osobisty antagonizm w stosunku do rodziny Jonathanów wskazywał, że przyjmie mnie pan jako klienta, podczas gdy innym mógł pan odmówić. Ale reprezentując mnie, nie reprezentuje pan własnych niechęci. Jeśli pchnęły one pana w moją stronę, nie pomyliłem się. Lecz gdyby okazało się, że bierze pan tę sprawę wyłącznie dlatego, by realizować własne cele, popełniłem poważną pomyłkę.

— W chwili gdy zdecyduję się pana reprezentować, nie będę się tłumaczył, dlaczego przyjmuję sprawę — odparł prawnik. Spojrzał na zegar stojący na biurku. Wahadło kołysało się na boki jak szale sprawiedliwości. — Proszę mi dać trochę czasu na rozważenie tego, co usłyszałem od pana. Sprawdzę manifest statku. To chyba wystarczy, by uspokoić moje własne sumienie i etykę zawodową, a także da mi argument na poparcie pańskiej propozycji. — Spojrzał na Mike'a i uśmiechnął się. — Irlandczyka i mieszkańca Kolonii, co jest jeszcze dotąd nie znaną jakością.

— Ma pan tyle czasu, ile tylko pan sobie życzy — powiedział mu Mike. — Więcej czasu, niż będzie pan potrzebował czy nawet chciał mieć. Ma pan zakończyć sprawę do końca 1870 roku. — Zawahał się i dodał. — Moje dziecko osiągnie wtedy wiek, w jakim była dziewczyna, którą poprowadził do ślubu Travis Jonathan, który potem zabrał ją i kazał żyć ze sobą w ponurej chatce, w odosobnionej dolinie na końcu świata.

Prawniki odsunął krzesło, ale siedział nadal, złożony dłońmi na okrągłym brzuchu i przyglądając się uważnie Irlandczykowi.

— Nie należę do tych, co znoszą w spokoju zachcianki bogaczy, panie Donohue. Jeśli załatwię tę sprawę, a przypuszczam, że potrafię ją załatwić, będę się kierował własnymi powodami. Chcę, by pan to zrozumiał.

— Już panu powiedziałem wcześniej, że rozumiem. A co ważniejsze, myślę, że wzajemnie się rozumiemy.

Nim upłynęły dwa tygodnie, Mike otrzymał od adwokata list, w którym podana była proponowana data kolejnego spotkania.

— Zdecydowałem się przyjąć pańską sprawę. Sprawdziłem na tyle dokumenty, że mogę rozpocząć postępowanie — oświadczył prawnik, kiedy Mike odwiedził go ponownie w jego kancelarii.

Mike przyglądał się przez kilka chwil grubemu mężczyźnie, a potem skinął głową.

— Z tego, co wiem, powinienem zapłacić teraz za pańską pracę na rok z góry. — Sięgnął do kieszeni, wyciągnął portfel, a z niego plik banknotów. — Czy to wystarczy na pokrycie wydatków i pańskie zaangażowanie w sprawę do następnej płatności?

— Wystarczająca jest zarówno ilość pieniędzy, jak i czasu — powiedział prawnik, spoglądając najpierw na pieniądze, a potem na Mike'a. — Tak jak mówiłem, sprawdziłem na tyle dokumenty, że mogę rozpocząć pracę. Nie potrzebuję tych dodatkowych lat, które dał mi pan

do dyspozycji. — Uśmiechnął się. — Zakładam, że rok 1870 miał być ostatecznym terminem rozliczenia się z rodziną Jonathanów.

— Skontaktuję się z panem za rok — odparł Mike. — A potem znowu za rok. I każdego następnego roku przez co najmniej trzy kolejne lata. Nie podejmie pan żadnych kroków przeciwko Trauntonowi Jonathanowi, dopóki panu tego nie polecę. Jeśli powiedziałem, że chcę ten zestaw mieć w rękach pod koniec 1870 roku, to znaczy, że miałem na myśli 1870 rok.

Prawnik rzucił okiem na pieniądze, potem na Mike'a, a wreszcie na zakurzone półki, otaczające go w pokoju przypominającym pudełko.

— Wydaje mi się, że obaj należymy do kategorii ludzi umiejących ciągnąć zyski z cierpliwości — powiedział cicho.

Kiedy Mike wracał od adwokata ulicami Londynu po zrealizowaniu bieżących zamierzeń, na rezultaty których musiał po prostu czekać, poczuł w sobie rosnącą niecierpliwość. Londyn irytował go. Życie, jakie proponował, wydawało się pozbawione perspektyw i nieciekawie, nie związane z celami, które sobie wyznaczył na przyszłość, a mieszkanie w Boodle wręcz torturą.

Czuł w sobie pustkę, jak nigdy przedtem, kiedy to zawsze zdążał od jednego zadania do drugiego. Próbował odpędzić myśli o Jenny. To było zbyt wiele, niż potrafił znieść. Potęgowały tylko niecierpliwość, którą dawno temu nauczył się kontrolować, dając jej upust poprzez skierowanie swej energii na różnorodne zadania.

Wracał okrężną drogą do siedziby klubu, gdy w pewnej chwili zauważył dwóch mężczyzn bijących się na ulicy. Usłyszał, że jeden z nich mówi po irlandzku, a drugi po angielsku. Stał, by się im przyjrzeć, lecz uznał, że zainteresowanie bójką nie przystoi angielskiemu dżentelmenowi, za jakiego był przebrany. Dwie godziny później opuścił klubowe pokoje i był już w drodze do Irlandii, do Connacht, gdzie można było knuć przeciwko Anglikom spisek. Być może prowadzący do poważniejszej potyczki, niż ta, którą widział na londyńskiej ulicy.

Podczas następnych tygodni zebrał grupkę wojowniczych mężczyzn z ukształtowanymi politycznymi poglądami. Przez jakiś czas tylko ich słuchał, bawiąc się w gospodarza i zapewniając miejsce na sekretne spotkania w szarych kamiennych ścianach Connacht. Ale to byli w odróżnieniu od niego prości ludzie. Powiedział sobie, że widocznie zbyt długo przebywał z dala od Irlandii i nie zastanawiał się więcej nad ambiwalencją swoich uczuć. Pozostawiał ich samych, by dyskutowali, a dla siebie wynajdował inne zajęcia.

Spacerował często wzdłuż brzegu morza. Odwiedzał niewielki domek dzierżawcy, który należał do jego rodziny przez cztery pokolenia. Łowił ryby, a czasami pracował na polu, przypominając sobie dni dzieciństwa. Ale takie życie nie odpowiadało już mężczyźnie, jakim się stał. Tylko samo przebywanie w Connacht sprawiało mu satysfakcję ze względu na przyszłe plany.

Wrócił do domu, do Connemary. Lecz żadne miejsce nie było domem, kiedy Jenny pozostawała tak daleko — nawet Connacht, siedziba starożytnych królów, jego przodków, którym zawsze zazdrościł i których pragnął naśladować.

Potrzebował Jenny.

Sfrustrowany wracał do spiskowców.

— Z głosami Irlandczyków możemy liczyć na coś więcej niż tylko poparcie w wybieraniu reprezentantów Irlandii, zredukowanych do koterii przyczepionej do angielskiej partii w Westminsterze — krzyczał najbardziej elokwentny z zebranych. — Jeśli stworzymy partię, stanie ona przeciwko angielskiej w czasie wyborów. Wszyscy usłyszą głos Irlandii i jej żądania.

— Polityka potrzebuje pieniędzy! — przerwał mu inny. — Już Anglicy dbają, by ten kraj był biedny i nigdy nie mógł zbudować partii, która zdołałaby sprzeciwić się Westminsterowi i władzom z Whitehall. Jedyne, co możemy, to gadać. — Spojrzał na Mike'a. — Niektórzy nawet tego nie robią!

— Wolę słuchać, a odezwać się dopiero wtedy, gdy mam coś wartego powiedzenia — Mike odparł gniewnie, wygrzebując się z kokonu dręczącej go frustracji. — Pieniądze mogę wam dostarczyć w złocie.

Dwa tygodnie później był już na pokładzie statku płynącego do Ameryki.

Opierając się o reling rufy, myślał o Jenny i jej stałej determinacji, prowadzącej ją od lat do tego samego celu. Myślał o samym sobie i o Jennifer oraz o kursie, jaki dla niej wyznaczył. Żaden człowiek nie może po prostu czekać pozwalając, by lata przepływały mimo. Musiał przedzierać się do przodu, brać, co życie ofiarowało. Dzięki więc Bogu za wszystkie kłopoty, które zsyłał na Irlandię!. Słyszał słowa Jenny.

— Jesteś jak wszyscy Irlandczycy, Mike'u Donohue, zawsze szukasz kłopotów!

Mike znalazł kłopoty w Vermont, w gospodzie ukrytej za drzewami. Wśród mężczyzn z Clan na Gael zobaczył nowe twarze: ludzi o zaciętych ustach i wrogich oczach. Ale ujrzał też tego niepozornego człowieka, siedzącego z daleka od innych z cieniem rozbawienia na twarzy.

— Oczekiwaliśmy ciebie wcześniej — przerwał ciszę jeden z mężczyzn. — Albo wcale! — wykrzyknął gniewnie. A kiedy Mike odwrócił się, by na niego spojrzeć, dodał. — Ja stawiałem, że nie wrócisz.

Mike uśmiechnął się do niego.

— No cóż, Irlandczycy często przegrywają zakłady. Mam nadzieję, że nie wyłożyłeś jeszcze na ten zakład pieniędzy. Słyszałem, że tak postępują ludzie, którzy wolą, by inni podejmowali za nich ryzyko.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

— Chcielibyśmy zobaczyć twój raport.

Mike spojrzął na wyciągniętą dłoń, potem potoczył obojętnym spojrzeniem po twarzach pozostałych zebranych.

— Jeśli mnie sprawdzacie, to mogę zapewnić was, panowie, że nigdy nie powierzam ani słowa papierowi. Tak czy siak mój raport jest bardzo prosty. Wasze złoto, które przewiozłem do Irlandii, zostało zużyte na znaczne wspomóżenie irlandzkiej sprawy i jej przyszłego zwycięstwa.

Zapadła cisza, którą przerwał głos gniewnego mężczyzny.

— Niedawno wróciłem z Dublina! Dublińczycy nie mieli dość broni, żeby przedrzeć się przez Sackville Street.

Mike zdołał wywołać na twarzy wyraz szacunku, kiedy zwrócił się do swego adwersarza.

— Gdyby zaryzykował pan podróż do Irlandii, usłyszałby pan zapewne, co udało mi się tam osiągnąć.

Odwrócił się do niepozornego mężczyzny.

— Zgodnie z instrukcjami, jakie otrzymałem w tym pokoju — dodał — miałem starannie ocenić, czy dublińczycy są warci zaufania. Dopiero kiedy przyjechałem do Dublina, zrozumiałem, jak ważna to była rada. Dublin leży tuż pod okiem Anglików. Jak długo dublińczycy są w stanie ukrywać swój arsenał, zanim Anglicy go odkryją? Dublińczycy to odważni ludzie, gotowi zaryzykować swoim życiem — jak również, narazić sprawę. Odważni mężczyźni, ale bez wykształcenia wojskowego. A co gorsza, Anglicy siedzą w całej Irlandii aż do brzegów północnego Atlantyku. Jaką szansę mielibyśmy, gdyby dublińczycy zaatakowali tak szybko? Padlibyśmy i pociągnęli sprawę za sobą.

Mike mówił to z pełnym szacunkiem, a teraz jeszcze uśmiechnął się smutno.

— Nam, Irlandczykom, nigdy nie brakowało odwagi, ale to amerykańscy Irlandczycy przywiedli rozsądek do sprawy.

W pokoju panowała straszliwa cisza.

Boże na niebie, pomyślał, niech któryś z nich coś powie.

Odezwał się niepozorny mężczyzna.

— Chcielibyśmy usłyszeć szczegóły na temat pańskiej misji, która najwyraźniej zakończyła się sukcesem, i zakresu, w jakim złoto Clan na Geal przyczyniło się do niego.

— Złoto zostało użyte na zabezpieczenie zachodnich ziem Connaught, na południu włącznie z Galway, na północy po Leitrim, na wschodzie po Roscommon i Leitrim, przez całą długość Shannon aż po Athlone na północy.

Mike zamilkł i spojrzał po zebranych.

— Złoto, które zawiozłem, będzie użyte w celu otrzymania w przyszłości najpotężniejszej broni umożliwiającej przetrwanie całej Irlandii od Atlantyku po Morze Irlandzkie. Z czego się ona będzie składać, nie jestem jeszcze władny ujawnić, nawet wam. Zresztą nie tylko wasze złoto było użyte. Mogę powiedzieć wam jeszcze tylko jedno, panowie. Kiedy Dublin rozpocznie bitwę przeciwko Anglii, a tylko Dublin może ją rozpocząć! — będzie to najsilniejszy, najbardziej zdecydowany atak, jaki Irlandczycy kiedykolwiek podjęli.

Kilku mężczyzn zerwało się na równe nogi, na niektórych twarzach widać było gniew, na innych konsternację.

Niepozorny mężczyzna odezwał się głosem pełnym autorytetu.

— Usiądźcie, proszę. Najwyraźniej kurier przemienił się w dowódcę. A przynajmniej w jednego z nich. Można się było tego spodziewać, że nadejdzie czas, iż Irlandczycy mieszkający w Irlandii będą chcieli ująć wodze. My jesteśmy Amerykanami. Służymy Irlandii najlepiej, jak umiemy, a najlepiej umiemy zbierać fundusze. Przypomnę wam, że to Irlandia przyszła do nas. Michael Donohue przybył do nas z Irlandii. Dlatego wybraliśmy jego, a nie jednego z nas, choć każdy mógł po prostu przewieźć złoto na potrzeby sprawy.

Mike wycofał się. Chciał, by porozmawiali między sobą i podjęli decyzję na jego temat i roli, jaką przyjął dla siebie. Siedząc na zewnątrz w barze, tak samo jak rok wcześniej, zaczęła mu świtać nadzieja, że odrzucą beczelne warunki, które im postawił, i pozwolą mu wrócić na własną, nie kierowaną przez nikogo drogę. Ale gdy poprosili go do środka, wiedział już, że sam zatrzaskał za sobą drzwi pułapki.

Powiedzieli, że dostarczą mu dalsze złoto na finansowanie tego, co rozpoczął. On i tylko on będzie służył za kuriera, przewożąc je do Irlandii. I tylko on będzie odpowiedzialny. Nie będą zadawać żadnych pytań. Oczekują, że przyszłość na nie odpowie.

Podczas następnych tygodni Mike podróżował do Ameryki i z powrotem, odbierał złoto w Vermont mające finansować jedną irlandzką sprawę i dostarczał je Irlandczykom planującym inną. Rola, którą odgrywał, czyniła go wyrzutkiem, odsuwając zarówno od tych, którzy dostarczali złoto, jak i tych, którzy je otrzymywali. Informacje otrzymywał w skrawkach. Nie słuchał już ich. Musiał jakoś spędzić lata, do czasu gdy jego własne plany zaczną przybierać oczekiwane kształty. Dlatego cieszyło go podejmowane niebezpieczeństwo, tak jak innego człowieka cieszyła kochanka przyjmowana pod nieobecność żony.

W sześćdziesiątym piątym utrzymanka, którą on się zabawiał, wyciągnęła nóż. Popłynęła krew.

Bractwo Fenian rozpoczęło irlandzkie powstanie Jamesa Stephensona. Jednak Anglicy byli na nie przygotowani — jedni mówili, że zostali uprzedzeni przez Irlandczyków z zachodnich okolic, inni, że przez amerykańskich Irlandczyków.

Pogłoski te słyszało się wszędzie, a potwierdziła je gotowość Anglików, którzy odpowiedzieli odwetem. Bractwo w Irlandii poszło w rozsypkę, przywódcy zostali aresztowani. Ale przegrali tylko ci, którzy wierzyli w walkę zbrojną, nie ci, którzy zbierali głosy, by odegrać rolę w Westminsterze. Mężczyźni zbierający się w Connacht mówili o zwycięstwie.

Mike podczas swoich pobytów w Irlandii jeździł tylko na zachód, nieraz, ale bardzo ostrożnie, na południe. Wybierał różne trasy wiodące do portu, z którego odpływały statki do Ameryki. Nigdy nie zbliżał się nawet do Dublina, gdzie jego twarz mogła zostać rozpoznana przez tamtejszych bojówkarzy. W jego rękach spoczywało życie wielu ludzi. Nie chciał, by niebezpieczeństwo mające zdławić gnębiące go frustracje, mogło dotknąć innych.

Raz na rok, kiedy zbliżały się urodziny Jennifer, podejmował ryzyko podróży i odwiedzał ją.

Kiedy wrzesień sześćdziesiątego szóstego roku pognał go znowu na północ, wybrał drogę brzegiem morza z najbardziej wysuniętego na zachód punktu Connemary, potem pożegłował dzielnym kutrem rybackim z Cleggan, tak jak za czasów swego dzieciństwa z ojcem, kierując się najpierw na północ, a potem na wschód do Derry.

Tam przycumował do brzegu, kupił konia i pojechał na południe, i dalej na wschód, kierując się w stronę gór Mourne.

Na północy był nieznany, a skomplikowana trasa, jaką wybrał z Connemary, chroniła Jennifer i Pata O'Reilly przed tymi, którzy mogli za nim podążać.

Pat O'Reilly powitał go i przyglądając się przyjacielowi wyszeptał:

— Już najwyższy czas, byś wdział skórę ojca i zapomniał na chwilę, że jesteś też Irlandczykiem.

Mike odpowiedział mu uśmiechem.

— Kiedy trzeba czekać, by dziecko urosło, Irlandczyk wypełnia czas, zaspokajając potrzeby Irlandii.

— A twoim zdaniem czego potrzeba Irlandii? — dopytywał się Pat O'Reilly.

— Mniej krasomówczych księży?

Mike powiedział to lekko, żartobliwie, oczekując od przyjaciela szybkiej riposty. Ale twarz Pata O'Reilly'ego zmieniła się — stała się zatroskaną maską. Potem pojawił się na niej wymuszony uśmiech i Pat wcisnął tekturową kartę w dłoń Mike'a.

— Anglik od aparatu do obrazków był tu znowu ze swym spoglądającym złym okiem urządzeniem i czarną peleryną, pod którą sam się chowa.

Mike spojrział na zdjęcie Jennifer. Znowu użył go jako pocztówki i na odwrocie napisał wiadomość, która powinna dojść do Jenny na początku sześćdziesiątego siódmego roku.

W 1867 roku pozostali starzy weterani i nowi rekruci — bojówkarze z Bractwa mieli uderzyć na Anglików. Pierwszy atak zaplanowano na marzec, drugi na wrzesień.

Tego września Mike nie dotarł do Ulsteru.

W połowie maja, zanim nadeszła zima sześćdziesiątego siódmego, Jenny przestawiła swoje biurko do sypialni i ustawiła je na wprost trzech oprawionych kart od Mike'a, wiszących na ścianie.

Dziewczynka z pocztówki rosła — na pierwszym zdjęciu, z sześćdziesiątego trzeciego, miała zaledwie trzy lata, na ostatnim, które nadeszło zaledwie przed trzema miesiącami — siedem. Do tej pory Jenny myślała o niej jako o zwykłej, ładnej dziewczynce z pocztówki, ubranej na białą, ustawionej w ogrodzie irlandzkiego klasztoru. Rzadko na dłużej zatrzymywała spojrzenie na zdjęciach, dla niej ważne były tylko słowa na odwrocie. Sztuka fotografii, niewyobrazalna dla niej, powodowała, że osoba portretowana stawała się jakby nierealna. Ale to były przecież zdjęcia tej samej dziewczynki, małej córki Mike'a, uświadomiła sobie nagle Jenny, zastanawiając się, czemu jej to wcześniej nie przyszło do głowy.

Przeniosła wzrok na kartę wiszącą pośrodku, przedstawiającą jej zdaniem angielski zamek, i zastanowiła się, gdzie teraz mogła się znajdować mała dziewczynka Mike'a.

I nagle przyszło olśnienie. Była nadal tam, gdzie spędziła te wszystkie lata. Jenny powtarzała w myślach nazwę irlandzkiego klasztoru, tak jak był on zapisany na fotografiach.

Dopiero teraz, cztery lata od otrzymania od Mike'a informacji w sześćdziesiątym trzecim, zrozumiała przesłaną jej wiadomość. Zamieszał się w coś niebezpiecznego i zawiadamiał ją, gdzie może znaleźć jego córkę, żeby zająć się nią w razie potrzeby.

Ta myśl wywołała w niej sprzeczne emocje, a kiedy przyjrzała się uważniej twarzy dziecka, zastanowiło ją coś jeszcze...

Jazon zapukał do jej drzwi.

— Wejdz — powiedziała.

— Myślałem, że jesteś zajęta — zawahał się na progu.

— A czy kiedykolwiek nie jestem?

Zaczął się wycofywać: cień młodego Jonathana zniknął w jeszcze głębszym cieniu holu.

Był tak wstydlivy, tak wrażliwy. Każdy i wszystko potrafiło go zbić z tropu. Jenny czuła, jak ogarnia ją irytacja. To nie było naturalne, szczególnie u prawie osiemnastoletniego mężczyzny.

— Wyjdźmy na werandę, Jazonie. — Wstała od biurka i poszła za synem. — Przyda mi się oddech świeżego powietrza.

Udała, że nie zwraca uwagi na jego zdenerwowanie. Sięgnęła po ciepły szal i uśmiechnęła się do syna. Siedzieli w milczeniu dobre dziesięć minut, przyglądając się dolinie, kiedy wreszcie zapytała:

— Czy chciałeś ze mną o czymś porozmawiać, Jazonie?

Zaczął mówić z przerwami, starannie dobierając słowa.

— Uczyłem się, bo chcę dostać się na uniwersytet w Sydney — powiedział. — Przyszły właśnie papiery. Wstępny egzamin chcę zdawać pojutrze. W niedzielę szkoła jest pusta. Pani McGovern będzie pilnować, żebym zrobił wszystko w wyznaczonym czasie. Spełni więc rolę po części kontrolera po części strażnika. To jedno z wymagań. Ktoś musi zaświadczyć, że przy pisaniu nie korzystałem z podręczników.

Jenny uśmiechnęła się. Nie bardzo rozumiała, jakie Jazon ma wątpliwości.

— Lubisz się uczyć i lubisz sprawdziany. Zdawałeś już egzaminy wcześniej. Co cię martwi tym razem?

— Wydaje mi się, że zdam egzamin — odparł Jazon cicho. — Oczywiście nie widziałem zadań. Ale myślę, że zdam.

— To dobrze. Zawsze chciałam, żebyś miał dobre wyniki. Tego na pewno też pragnąłby twój ojciec.

— Ale ja nie wiem, czy tego właśnie chcę.

— Ależ oczywiście, że tak! — wykrzyknęła Jenny. — Czy nie zapewniłam ci nauczyciela? Zawsze chciałam ci dać wszystko, co najlepsze.

— Wyjadę stąd — odpowiedział cicho, z tęsknotą w głosie. — Jak Argonauta będę poszukiwał innego życia.

Wpatrywała się w niego. Wydawało jej się, że znowu słyszy małego chłopca, któremu właśnie obiecała nauczyciela, wykrzykującego z przejęciem: „To jest tak, jakbym nagle znalazł świętego Graala.” Obecnie jego słowa były równie dziecinne, choć tym razem chciał już nie tylko świętego Graala, ale również złotego runa Jonathana. Jenny wreszcie przeczytała wszystkie książki zmarłego męża. Niektórych fragmentów nie zrozumiała, ale to jedno pojęła aż za dobrze. Patrząc na syna, słuchając jego słów, żałowała, że nazwała go Jazonem.

Jego słowa dźwięczały wyraźnie, jak echo powracające od gór.

— Co masz na myśli mówiąc, że wyjedziesz?

— Pojadę do Sydney, na uniwersytet.

— Na jak długo?

— Na trzy lata — wyszeptał Jazon.

Ale nie mówił jej całej prawdy, poznała to po jego głosie i wyrazie twarzy. Patrząc na niego z uwagą, powiedziała:

— Trzy lata to długo. I nie nauczą cię w Sydney niczego o ziemi. Tutaj dowiedziałbyś się o niej więcej. — Ponieważ nie odpowiedział, ciągnęła dalej. — Czego cię będą tam uczyć?

— Mówiłem ci już dawno temu. Pięć lat temu — odparł Jazon, mocniejszym już głosem. — Historii Anglii, sztuki, filozofii. — Uśmiechnął się. — Wielu rzeczy, wszystkiego, co powinienem wiedzieć.

Widząc zmianę w jego twarzy, słysząc pragnienie w głosie, zapytała ostrożnie:

— I co dobrego z tego wyniknie dla ciebie?

— Utoruje mi drogę, pozwoli dokonać wyboru. Może zostanę nauczycielem. Może udałoby mi się nawet pojechać do Oksfordu i studiować tam, tak jak mój ojciec. I zamieszkać w Anglii.

Jenny milczała tak długo, że przetrzymała burzę, jaka się w niej rozszalała. Wreszcie zdołała odezwać się spokojnie:

— Wykształcenie to jedno, Jazonie, ale odwracanie się od tej ziemi, to zupełnie co innego. Należysz tutaj i nie chcę patrzeć, jak rzucasz wszystko dla jakichś głupich fantazji.

— Ty wcale nie dbasz o mnie. Jedynie o to, co stanie się z ziemią, jeśli nie będę na niej gospodarował. Ziemią może się zająć zarządca. Ona mnie nie potrzebuje.

— A skąd byłoby nas stać na zarządcę, gdyby nie cała moja praca przez te wszystkie lata? — zaatakowała go Jenny. — Nie po to wypruwałam sobie flaki i robiłam to wszystko, żebyś ty się stał jakimś cholernym dżentelmenem, który odwiedza swoją posiadłość tylko wtedy, gdy ma taki humor.

— A ja nie po to uczyłem się przez te wszystkie lata, by skończyć jako ofiara złożona bogom tej doliny. Tak jak to się działo w Czasie Tworzenia. Benong opowiadał mi o tym. Czy tego właśnie dla mnie chcesz?

— Chcę dla ciebie tego samego, czego pragnął twój ojciec — powiedziała, prawie w to wierząc. — I nie mów mi o poświęceniu! To ja pracowałam jak niewolnica i poświęcałam się dla ciebie. Ty tylko czekałeś na to, co mogłeś otrzymać ode mnie.

Złapała za spódnicę i uciekła do domu jak wtedy, gdy mając jedenaście lat, biegła spóźniona przez Cut do piekarni.

Chwyciła papiery leżące na biurku i zaczęła je przerzucać drażącymi rękami, potem sięgnęła do szuflady i znalazła ten, którego szukała. Kiedy miała już go w ręku, zamarła.

Był to dokument, na którym spisała wszystkie posiadłości pod nazwiskiem Travis: ziemia, gospodarstwo, stajnie i zagrody, pastwiska, stada bydła i konie oraz cały żywy inwentarz, hotel, sklep i szkoła, a także dzierżawy na wspólnym gruncie, gdzie stały te wszystkie budynki. Nawet magazyny, stolarnia i warsztaty zbudowane później i będące własnością Jenny Garnett leżały na ziemi Travisa.

Wszystko to, myślała Jenny, wszystkie moje dochody zapisane na nazwisko Jonathana Travisa. A pod jego nazwiskiem oświadczenie: wszystko, co posiadam, ma przejść na mojego syna Jazona, kiedy osiągnie wiek dwudziestu jeden lat.

Tylko gorzelnia Garnett nie była objęta legatem. Jenny nie chciała, by Jonathana czy jego syna ktoś mógł nazwać bimbrownikiem.

Westchnęła głęboko nadal niepewna, co ma zrobić.

Więc ona zajmie się znowu, tak jak w przeszłości, domokrażną sprzedażą whisky. Ale przecież sama zaplanowała dla siebie taką przyszłość i na nią właśnie pracowała cały ten czas.

Wróciła spokojnym, statecznym krokiem na werandę.

Krokiem młodej kobiety-władczyni, tak sobie powiedziała. Już opanowana, wręczyła papier synowi.

Jazona wciąż przepełniał gniew, który dodawał mu sił. Sięgnął po papier i podszedł bliżej parafinowej lampy, wiszącej na werandzie.

Jenny obserwowała go: jasnowłosego, młodego Jonathana o groźnym spojrzeniu.

„Najstarszemu synowi przypada w udziale majątek”, słyszała znowu senny szept Jonathana.

Pod wpływem tej myśli spojrzała na zachód, w stronę posiadłości Colebrooków, gdzie jasnowłosego Chris Colebrook przez większość czasu miał to samo groźne spojrzenie.

Ostre słowa Jazona wdarły się w jej myśli:

— Nigdy nie znałem mojego ojca i on też mnie nie znał. Jakie więc ma prawo planować za mnie życie?

— To jest prezent dla ciebie — powiedziała Jenny bezbarwnym głosem.

— Chris mówił, że ojciec zginął, zanim ja się urodziłem, jak mógł znać moje imię? Skąd wiedział, że ja w ogóle przyjdę na świat?

Jenny przygotowana była na te pytania, choć nie na taką gorycz w głosie syna.

— Już dużo wcześniej planowaliśmy, jak ci damy na imię.

— Dużo przed czym? Na długo przed jego śmiercią, a może przed tym, jak odszedł i nas zostawił? — gniewne oczy rzucały jej wyzwanie. — Chris powiedział, że zginął, ale on by powiedział wszystko, byleby mnie chronić. Jim Carruthers słyszał zupełnie inną historię. Powiedział, że mój ojciec wyjechał w czasie gorączki złota, prawdopodobnie przed moim urodzeniem. Do Kalifornii. A może do Wiktorii. Nawet rozpytywał o to w Cooma. Ktoś tam powiedział mu, że Jonathan Travis żyje sobie całkiem nieźle na złotych polach.

Mike! domyśliła się Jenny. Umacniał jej historyjkę, starał się ją chronić.

— Teraz już twój ojciec nie żyje i tylko to się liczy.

— Kiedy umarł?

— O tym porozmawiamy innym razem — odparła. Gdy wymyślę dobrą odpowiedź, pomyślała. Nie spodziewała się, by stało się to w ciągu najbliższych trzech lat.

W głowie kłębiły jej się myśli.

— Jeśli on nie żyje i wszystko teraz należy do mnie, w takim razie przynajmniej Carruthers nie będzie musiał dalej szukać — powiedział Jazon.

— Carruthers? O czym ty mówisz? — wykrzyknęła Jenny. Myśl o Mike'u nie pozwoliła jej wcześniej zrozumieć słów syna. — Dlaczego dowiadywał się o twojego ojca? Co go to obchodzi?

— Starał się ustalić jego miejsce pobytu, żeby kupić od niego część ziemi.

Gniew na chwilę odebrał Jenny mowę.

— Może sobie kupować jej tyle, ile chce, jeśli o mnie chodzi — mówił dalej Jazon. — Szkoda, że nie wystarczy mu pieniędzy, by kupić całość.

— Po moim trupie! — krzyknęła Jenny. — A co bardziej prawdopodobne, po jego. Zabiję go, jeśli spróbuje zabrać choć piędź tej ziemi. — Patrzyła kamiennym wzrokiem na swego nieznanego syna.

— Ta ziemia nie należy jeszcze do ciebie. I tak będzie przez następne trzy lata.

— W takim razie nie ma powodu, by poświęcać kolejne trzy lata — powiedział Jazon już bez gniewu. Jego słowa zabrzmiały prawie rozsądnie. Nagle był znowu łagodny, w jego oczach widziała miłość, której tak pragnęła. — A ty musiałaś się dla mnie poświęcać. Teraz to rozumiem. Wszystkie te lata w dolinie, gdzie diabeł mówi dobranoc...

Jenny wydała jakiś stłumiony dźwięk.

Jazon w jednej chwili znalazł się przy niej, objął ją opiekuńczo.

W ramionach syna, łagodnego chłopca, dżentelmena, który nagle wydorósł, stał się silniejszy, Jenny poczuła się dziwnie stłamszona. A przecież zawsze pragnęła, żeby ją tak objął.

W ciągu następnych dni zachowywała nadal spokój. W niedzielę odprowadziła Jazona do budynku szkolnego, gdzie pod czujnym wzrokiem Violet McGovern miał złożyć wstępne egzaminy. Po powrocie jej syn zaczął nerwowym krokiem przemierzać dom.

— Zadania były zbyt trudne? — zapytała Jenny.

— Wydawały się za łatwe — poskarżył się Jazon. — Egzaminy wstępne na uniwersytet nie powinny być takie łatwe. Może nie zrozumiałem właściwie pytań.

— Co się teraz stanie z twoimi papierami?

— Pani McGovern zawiezie je do Cooma i wyśle do Sydney najbliższą pocztą, jeśli Wet wyzdrowieje do tego czasu. Znowu coś mu dolega.

— Zawiozę Violetę do Cooma — powiedziała z uśmiechem Jenny.

— Przynajmniej tyle mogę zrobić. Zajrzę później do sklepu, żeby jej podziękować, i zainiosę kaszkę chłopcu. Przypuszczam, że ona teraz jest zajęta sprawdzaniem twojej pracy.

— Nie. Zapieczętowała kopertę, jak tylko oddałem pracę. Nie ma prawa nawet na nią zerknąć. Takie są zasady. Na uniwersytet w Sydney nie przyjmą wielu studentów, są bardzo surowi, jeśli chodzi o egzaminy korespondencyjne.

— Tak czy siak zrobię kaszkę — powiedziała z ożywieniem Jenny. — Im szybciej te papiery dotrą do Sydney, tym lepiej.

Kiedy Jenny stanęła w drzwiach części mieszkalnej na tyłach sklepu, Violet McGovern popatrzyła speszona na nią, a potem na trzymany przez nią koszyk.

Jenny nie należała do sąsiadek, które wpadają z wizytą, ani do dam niosących pomoc w chorobie czy innej potrzebie. Nie miała czasu na tego typu nonsensy, jak powiedziała kiedyś nauczycielce. Dostatecznie często widywała wszystkich mieszkańców doliny bez specjalnych okazji towarzyskich. A jeśli byli chorzy, nie miała najmniejszej ochoty złapać tego, co mogli przekazać innym. Zaś potrzebujących w dolinie nie było, bo każdemu wyznaczyła wystarczająco wiele pracy.

— Tak dużo zrobiłaś dla mojego syna — odezwała się Jenny.

— Chciałam odwdziżyć się choć odrobinę, więc przygotowałam coś dla twojego chłopca. Ludzie co prawda mówią, że należy nakarmić chłód i przegłodzić gorączkę, ale to tylko głupie gadanie, szczególnie jeśli chodzi o dzieci. Muszą mieć siłę, żeby zwalczyć to, co je męczy.

Jenny odkryła koszyk. Violet niepewnie spojrzała na parującą kaszkę.

— Jest zrobiona z owsa wyhodowanego w umiarkowanym klimacie — wyjaśniła Jenny. I dodała. — Uważam, że większość problemów ze zdrowiem wynika z jedzenia roślin, które rosły w złych warunkach. Naprawdę dobra owsianka uda się tylko z owsa, który wyrósł w umiarkowanym klimacie.

Violet kiwnęła głową. Słowa Jenny wyraźnie zrobiły na niej wrażenie.

— Nie wiedziałam nawet, że owies mógłby być hodowany w innych klimatach — przyznała.

— No cóż, nienajlepszy owies — przyznała Jenny i zmieniła temat. — Dodałam też trochę namoczonego jęczmienia. Dzięki temu kaszka jest lekko strawna.

Podeszła bliżej, by przyjrzeć się Wetowi McGovernowi, który trafił do łóżka z dużą regularnością, kiedy tylko Violet czuła przyływ macierzyńskiej troski. Za późno została matką, pomyślała Jenny, przykładając dłoń do czoła chłopca.

— Wydaje się, że temperaturę ma normalną — powiedziała.

— Ale wygląda, jakby miał gorączkę.

— Jak dasz mu owsiankę — powiedziała Jenny — to prawdopodobnie już dziś wieczór wstanie.

Kiedy następnego dnia podjechała swoim powozikiem do sklepu, zastała podnieconą matkę i rozszalałego syna.

— Nie wiem, co w niego wstąpiło.

Jenny lekko się uśmiechnęła.

— Zabieram go prosto do lekarza, jak tylko przyjedziemy do Cooma — powiedziała Violet. Spojrzała na Jenny przeproszająco.

— To może znaczyć, że nie zdążymy na dylizans pocztowy. Myślałam, że przyjedziesz wcześniej — dodała.

— Przecież wiesz, że te papiery muszą być dzisiaj wysłane — przypomniała jej Jenny. — Gdy dojedziemy do Cooma, zabiorę cię prosto do doktora. A potem wezmę od ciebie papiery i dogonię dylizans.

— Ale to ja osobiście muszę dostarczyć prace egzaminacyjne. Taki jest wymóg uniwersytetu.

— Jeśli ty nie powiesz nikomu, to ja też nie — obiecała Jenny. — To będzie nasz sekret. W ten sposób nie narazimy twojej reputacji.

— Naprawdę nie wiem — powiedziała Violet niepewnie.

— Ale ja wiem — przerwała jej zdecydowanym głosem Jenny.

— Matka musi robić to, co najlepsze dla jej syna. Wróciły do doliny, kiedy już zapadała noc.

Violet McGovern siedziała w milczeniu z pobladłą twarzą, dziecko leżało jej na kolanach.

— Lekarz dał mu dużą dawkę ipecacuanhy — powiedziała wreszcie. — Wymiotował i wymiotował. Po to jest właśnie ipecacuanha, żeby ludzie zwrócili, co mają w żołądku. Szczególnie pijacy. — Spojrzała na Jenny i rozplakała się. — Lekarz powiedział, że mały Wetherley był pijany jak bela.

Jazon kolejne tygodnie spędził na niespokojnym oczekiwaniu. W nocy chodził po pokoju, nie mógł spać, stawał się coraz chudszy, nie mógł jeść. Jego nastrój zmieniał się z minuty na minutę. W jednej chwili był podniecony i pełen oczekiwań, w następnej tracił wiarę w siebie i załamywał się.

Dyżans z pocztą przyjeżdżał z portu Eden do Cooma raz na tydzień. Jazon oczekiwał go za każdym razem.

Minęło sześć tygodni, zanim nadszedł list w kopercie z nadrukiem uniwersytetu w Sydney.

Jazon nie otworzył jej przez całą powrotną drogę, a w domu położył ją, nadal zaklejoną na gzymsie kominka.

— Czy ma tam pozostać? — zapytała Jenny.

— Otwórz ją za mnie — odpowiedział Jazon. Jenny przykryła dłonią usta, potrząsając głową. — Ja nie mogę!

Jazon sięgnął po kopertę, otworzył ją i powoli rozwinął list. Po przeczytaniu pisma stał w milczeniu tak długo, że Jenny chciało się krzyknąć.

— No i co tam piszą?

Jazon bez słowa wręczył jej list. Słowa skakały jej przed oczami.

„Zawiadamiamy z przykrością... egzamin niezdany”...

Nie mogła odpędzić natrętnego obrazu, jaki podsuwała jej pamięć... Kociołek z wodą nad ogniskiem rozpalonym na poboczu drogi... otwarta nad parą koperta, wyciągnięta na chybił trafił karta papieru, porwana na kawałki, które unosi wiatr.

— Nie zdawałam sobie sprawy, ile to dla ciebie znaczy — zaczęła Jenny, ale w swych słowach zbyt dużo usłyszała przeprosin, zbyt dużo poczucia winy.

Jazon zmusił się do nonszalanckiego uśmiechu. Nie był to ładny grymas, jego twarz wyglądała przez moment jak pogięta, biała maska.

To nagle przypomniało jej o pladze cholery, która szalała za jej dziecięcych czasów w Sydney. Damy i dżentelmeni nosili na twarzach białe maski. Słyszała ich przytłumione głosy: „Wracaj, skąd przyszedłeś, ty mała, brudna szumowino. Trzymaj się od nas z daleka”.

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — oświadczyła zdecydowanym tonem. — Sydney to nie jest miłe miasto i nie mieszkają tam mili ludzie. Lepiej ci będzie tutaj.

Jazon roześmiał się. Ten śmiech również nie był przyjemny. Jenny odwróciła się od niego i popatrzyła na pasące się bydło.

— Nie jest dobrze być w miejscu dla siebie nie przeznaczonym — powiedziała. Jej głos brzmiał pewnie i surowo.

To dla jego własnego dobra, pomyślała. Gdyby wiedział, co zrobiłam, podziękowałby mi pewnego dnia.

W listopadzie sześćdziesiątego siódmego, miesiąc po trzydziestych szóstych urodzinach, Jenny siedziała przy biurku, pozwalając myślom swobodnie wędrować. Próbowwała przypomnieć sobie, dlaczego przesunęła biurko. Powinno stać w salonie przy oknie. Tam znajdowało się w pięćdziesiątym ósmym roku, kiedy zjawił się Chris Colebrook z listem zostawionym przez Jen. A także potem, w pięćdziesiątym dziewiątym i sześćdziesiątym, po wyjeździe Mike'a, gdy ona próbowała znaleźć zapomnienie w pracy.

Spojrzała na ścianę przed biurkiem i przypomniała sobie.

Przesunęła je do sypialni, kiedy oprawiła i powiesiła pocztówki od Mike'a. Chciała być bliżej niego. A za plecami miała łóżko, które dzielili w pięćdziesiątym czwartym. Obok stał zbeszczeszczony przez Mike'a kufer Jonathana.

Wstała, sięgnęła do kart, przez chwilę dotykała ich delikatnie jak koraliki różańca. A potem nagle gwałtownym ruchem zrzuciła je ze ściany. Szkło rozprysło się na kawałki po całym pokoju, ostatnie okruchy upadły koło stóp Jazona.

Natychmiast ukryła swe uczucia i schyliła się, by twarz jej nie zdradziła. Ale Jazon nie patrzył na nią, tylko na jedną z pocztówek leżącą pod gradem szklanych odłamków.

Pochylił się i ostrożnie ją wyciągnął, odsuwając szkło.

— Widziałem już wcześniej to miejsce — powiedział powoli. — Na obrazku w jednej z książek ojca.

— To tylko karta świąteczna — odezwała się Jenny.

Wyjęła ją z jego palców i podniosła pozostałe z podłogi. Trzymała je obrazkami w górę, by Jazon nie mógł przeczytać napisanych na odwrocie wiadomości.

— To jest rysunek jednego z wielkich dworów w Anglii — powiedział Jazon. — Pamiętam nawet, jak się nazywa. Langley.

Jenny nie słuchała go. Ostatnimi czasy rzadko zwracała uwagę na to, co mówił. Kiedy wynurzał się z ponurego milczenia, snuł dziecinne marzenia o odległych miejscach.

Patrzyła na datę ostatniej karty, którą otrzymała od Mike'a. Minął ponad rok od tego czasu. Mógł nie żyć lub co gorsza znowu się ożenić, pomyślała, a ja bym nawet tego nie wiedziała, choć chyba czułabym gdzieś w sobie.

Już od późnej jesieni, w ciągu sześciu ostatnich miesięcy, prześladowały ją złe przecucia.

Często budziła się z mocnego snu z walącym sercem i uczuciem dławienia w gardle. Leżała nasłuchując ciszy domostwa i doliny, zakłócanej tylko przez wiatr w drzewach, senne beczenie i inne odgłosy zwierząt, a czasem krzyk ptaka. I przecucie niebezpieczeństwa.



L R